



*Anna Davis*

**W BLASKU DIAMENTÓW**

*W blasku diamentów*

# **Davis Anna**

## **W blasku diamentów**

**Burzliwe lata dwudzieste.**

**Dziennikarka Grace Rutherford opisuje życie towarzyskie pulsującego jazzem Londynu. Zna na wylot nocne życie artystycznej bohemy oraz blichtr i przepych wyższych sfer. Kiedy na jej drodze staje dwóch intrygujących, wrogich sobie mężczyzn, musi wybierać. Czy będzie w stanie odróżnić zwykłą błyskotkę od prawdziwego diamentu?**

**CZĘŚC I**

**TANIEC**

## **PICCADILLY HERALD**

*4 kwietnia 1927*

### **Z życia West Endu**

*Wczorajszej nocy w nowo otwartym Salamander Dinner-Dance Club na Coventry Street {przy akompaniamencie żwawego, emocjonującego jazzu serwują tam jeden z najlepszych steków z pieprzem w Londynie) podejrzany dżentelmen w cylindrze wyładowywał się na mnie podczas brutalnego charlestona, a ja po prostu nie mogłam się faceta pozbyć. Dzisiejszy wieczór - w domowym zaciszu, z kubkiem kakao i kanapką posmarowaną pastą rybną - przeznaczam oficjalnie na rekonwalescencję. Nie chodzi tylko o to, że głowa mi pęka. Nie chodzi o zwyczajowe dzwonienie w uszach, chrypkę i żołądek zawiązany na supeł. Sęk w tym, że różane paluszki mych stóp są dziś całkiem sine. Droga czytelniczko, ja ledwie chodzę!*

*Jak powszechnie wiadomo, minął już rok, odkąd charleston zszedł ze statków i zadomowił się w co lepszych z naszych nocnych klubów. Tańczą go elegancko w Paryżu i Nowym Jorku. Ile więc jeszcze czasu musi minąć, zanim londyńczycy nauczą się, jak należy to robić? Najgorsi są panowie. Jeśli mam być szczerą, dostrzegam w tych wszystkich wymachach i wierzgnięciach coś konwulsyjnego. W Salamandrze wchodzi*

się na parkiet na własną odpowiedzialność. Prawdę mówiąc, nie radziłabym nawet zajmowania stolika w pobliżu tańczących. Ale i przedstawicielki płci pięknej są niewiele lepsze - jak West End długi i szeroki w klubach drepczą, trzepoczą się i dziobią istne stada kwok. Istnieje jakieś rozwiązanie? Jasna sprawa: lekcje. Wierzcie mi, dziewczyny, to rozsądna inwestycja. Dobrze więc wam radzę: jeśli dręczy was przecucie, że wasz charleston jest z rodzaju tych opierzonych i gdaczących, lepiej w trybie pilnym poszukajcie panny Laeticii (wśród przyjaciół określanej mianem Teenie Weenie) Harrison, mieszkającej w Mayfair. Ale uwaga: to może zmienić wasze życie. W idealnym świecie można by też oczywiście zabrać do Teenie Weenie mężulka albo chłopaka, lecz jeśli taki uważa, że jest zbyt dobry, zbyt męski, by brać lekcje, będziecie musiały uczyć go same. Nie oszukujmy się, szkoliliśmy naszych panów w wielu kierunkach, na długo zanim - przynajmniej te z nas, które przekroczyły już trzydziestkę - zdobyłyśmy prawo głosu (notabene, darzyłabym sympatią dziewczęta przed trzydziestką, gdybym nie zazdrościła im młodego wieku), i będziemy robić to dalej, tak długo jak mężczyźni są mężczyznami, a kobiety kobietami. Pogódźcie się ze swoim przeznaczeniem.

Dwa irytujące komentarze, które obecnie, gdy robię się coraz bardziej znana, słyszę regularnie, brzmią: „Panno Sharp, skąd bierze pani taką wytrwałość, by wychodzić gdzieś każdego wieczoru? Ma pani chyba najcięższą pracę w Londynie”, i: „Ależ ma pani łatwą pracę, panno Sharp. Musi pani tylko bywać, świetnie się bawić i opowiadać nam o tym”.

Poza tym jestem oburzona doniesieniami o rozmaitych oszustkach podszywających się pode mnie, by wyłudzić dobry stolik i darmowe koktajle. Portierzy, jeśli ogarną was wątpliwości, poproście „Diamond” o puszczenie kółka z dymu.

*To jeden z moich szczególnych talentów, który ułatwi wam wykrycie fałszywych klejnotów. O, a przy okazji, jeszcze nigdy w całym moim życiu nie musiałam się dopraszać o darmowe drinki!*

*Diamond Sharp*

## **ROZDZIAŁ 1**

Na fotografii widnieje kobieta z zalotnym uśmiechem i włosami ostrzyżonymi na pazia. Siedzi sama przy restauracyjnym stoliku, przed nią stoi pusty kieliszek od szampana. Między palcami obleczonej w rękawiczkę dłoni żarzy się papieros w hebanowej cygarnicze.

Spomiędzy lekko rozchylonych, uszminekowanych warg ulatuje idealnie okrągłe kółko dymu. Hasło nad fotografią brzmi: „Odważysz się?”.

Drobny druczek u dołu zapewnia, że tytoń w Baker's Lights jest prażony i nie podrażnia gardła.

Pan Aubrey Pearson rzucił odbitkę na biurko i odchylił się w fotelu, opierając o trzeszczące skórzane obicie. -Więc?

Grace Rutherford, siedząc na twardym drewnianym krześle po przeciwnej stronie biurka, odchrząknęła. - Więc, panie Pearson, myślałam właśnie...

- Naprawdę? Naprawdę pani myślała? - Zmarszczył czoło i jego brwi zbiegły się ku sobie. - Poświęciła pani chociaż chwilę, by zastanowić się, jak zareaguje na to nasz klient? -Wskazał na odbitkę.

Grace wzięła głęboki oddech. Gdyby tylko rozmawiała teraz z panem Henrym Pearsonem, starszym z braci. On miał bardziej otwarty umysł.

- Wierzę, że ta kampania zwiększy sprzedaż produktów Baker s o jedną trzecią. A może i więcej. Nigdy wcześniej nie zwracaliśmy się do kobiet, nie z papierosami. Chyba najwyższa pora, by to zrobić. W tym roku londyńskie dziewczyny noszą sukienki i włosy krótsze niż kiedykolwiek, naśladując nowoczesny wygląd rodem z Hollywood. Chciałyby też wieść takie życie: całymi nocami tańczyć charlestona, romansować z ognistymi młodzieńcami. To ich sen: odrobina szaleństwa. Chcą robić rzeczy, których nie zrobiłyby ich matki. A hollywoodzkie aktorki, jak wiadomo, wszystkie palą.

Pan Pearson podrapał głowę w miejscu, gdzie włosy robiły się coraz rzadsze. Niewykluczone, że przerzedziły się, ponieważ zawsze pocierał właśnie to miejsce. - Panno Rutherford, stanowczo nie możemy w naszej kampanii reklamowej posiłkować się fotografią palącej kobiety. Musimy dbać o naszą reputację.

- Och, sir, to przecież czysty nonsens. Najwyższa pora, by Pearson & Pearson dogoniło współczesność.

- Ostrzegam - głos Pearsona nagle zrobił się cichy. - Na pani miejscu zastanowiłbym się, co zamierzam powiedzieć.

- W porządku. - Grace przełknęła ślinę. - Zapomnijmy o obrazku. Nie musimy wcale pokazywać palących kobiet. Wyobraźmy sobie parkiet pełen tańczących par. Na pierwszym planie mężczyzna wyciąga ręce do dziewczyny, zachęcając ją do zabawy. Slogan brzmi: „Zgodzisz się? Czy nie?” Albo inaczej: dziewczyna siedzi obok swojego amanta w kabriolecie. Hasło: „Jak szybki jesteś?”.

Pearson otworzył szufladę i zaczął w niej szperać. Za trzasnął ją, a potem ryknął na swoją sekretarkę, Glorię, żeby przyniosła mu aspirynę.



- Sir? - Grace pochyliła się do przodu.
- Jak długo jest pani z nami, panno Rutherford?
- Prawie dziesięć lat.

Wysilił się na uśmiech, który zupełnie nie pasował do wyrazu jego twarzy, jakby ktoś go tam dokleił.

- Może się pani wydawać, moja droga, że Londyn znacznie się zmienił w ciągu tych dziesięciu lat.

- Och, oczywiście, że się zmienił.

- Ale chciałbym pani uświadomić, że nie wszystkie z tych zmian były zmianami na lepsze. Jest wielu, naprawdę wielu ludzi, którzy podzielają ten pogląd. I w samym sercu tego modyfikującego się miasta istnieją pewne wartości, które pozostają stałe, i tak właśnie musi być. Stabilny, nienaruszony rdzeń, wokół którego wiruje chaotyczna rzeka zmian. Pearson&Pearson jest częścią tego rdzenia. Właśnie dlatego, mimo rosnącej konkurencji, potrafimy utrzymać przy sobie klientów takich jak Baker.

- Sir, z całym szacunkiem, ale...

- Szacunek, owszem, on też jest tego częścią, panno Rutherford. Czy uważa pani, że jest oznaką szacunku dla pracodawców i ich klientów, gdy pojawia się pani w biurze z godzinnym opóźnieniem, wyraźnie niedzisiejsza? Albo całymi dniami obija się, paląc papierosy i rzucając żarcikami? Wyobraża sobie pani, że daje w ten sposób dobry przykład maszynistkom i sekretarkom?

- Przecież pozostali copywriterzy robią dokładnie to samo. I nikomu to nie przeszkadza.

Kolejny z tych sztucznych, doklejonych uśmiechów.

- Jest pani inteligentną dziewczyną. Nie muszę chyba tego pani tłumaczyć. Jakież diabeł panią opętał, żeby umieścić s i e b i e na tej cholernej fotografii. Stanley Baker będzie śmiał się przez całą drogę do Benson, jeśli pokażę mu tę odbitkę.

Pojawiła się sekretarka. Postawiła na biurku szklanę wody i dwie aspiryny, po czym wycofała się na korytarz. W pokoju zawisła nieprzyjemna cisza.

- Czyli - powiedziała Grace - powinnam już przygotowywać wymówienie?

Chichot.

- A cóż to za dramatyzm! Ma pani charakterek, trzeba to przyznać. Proszę wrócić do siebie i pogłórkować jeszcze trochę. Jest coś w tym pomysle, aby teraz zwrócić się do kobiet. Ale nie w ten sposób. Zobaczymy, czy zdoła pani wymyślić coś bardziej... odpowiedniego. A co do reszty, to...

- Wiem, sir. Już rozumiem.

Dziesięć minut później w swoim maleńkim biurze Grace podniosła słuchawkę telefonu i poprosiła, by połączyć ją z Richardem Sedgwickiem, redaktorem gazety „Piccadilly Herald”.

- Dickie, chciałabym spotkać się z tobą na kolacji, dziś wieczorem.

- Grace? To ty?

- Oczywiście, że ja. Może być siódma? Wszystko jedno gdzie.

- Niestety, dziś jestem zajęty.

Grace ze zniecierpliwieniem zabębniła palcami o blat biurka.

- Co rozumiesz przez „zajęty”? Praca?

Usłyszała coś, co równie dobrze mogło być westchnieniem, jak i trzaskiem na linii.

- Nie jestem pewien, czy to twój...

- A zatem chodzi o dziewczynę. Ale chyba nie o tę okropną Patsy? To nie ona, prawda, Dickie?

- Grace. Dobrze wiesz, że bardzo cię lubię, ale...
  - To jej seplenienie jest zwykłą pozą. Miałaś pojęcie? Tak samo jak marszczenie nosa. Ona udaje małą dziewczynkę. Myśli, że mężczyźni właśnie tego chcą. - Grace uniosła brwi. - A nie chcą, prawda, Dickie?
  - Nie idę się spotkać z Patsy dziś wieczorem.
  - Więc z kim? - Uświadamiając sobie ciszę, która zapadła pośród maszynistek, Grace wyciągnęła prawą nogę i kopniakiem zatrzaskała drzwi.
  - Muszę zobaczyć ten niemiecki film. No wiesz, ten, który tyle kosztował. Pokazują go w Pavilionie.
  - Ach, ten. Nikt nie chodzi na *Metropolis*, Dickie. Jest przygnębiający i absurdalny. Złe maszyny i piękne dziewczice, czy może na odwrót? Naprawdę, naprawdę głupie.
  - Dziękuję za wyjaśnienie i przedstawienie swojego, jakże wnikliwego, punktu widzenia, najdroższa.
  - Nie ma za co. - Grace wysunęła papierosa z leżącego na biurku pudełka, a potem zaczęła szukać zapalek. - Może zjedlibyśmy coś razem w Tour Eiffel? Wiesz, że nie znoszę tego miejsca, ale dla ciebie poszłabym wszędzie, skarbie.
  - Ojej, jakże bezinteresowni dziś jesteśmy.
  - Później możemy wybrać się na jedno z tych przyjęć, na które zaproszono Diamond.
  - Czyli teraz wybieramy się też na tańce?
- Grace znalazła zapaliki i zapaliła jedną, wcisnąwszy słuchawkę między ucho a ramię, aby zwolnić dłonie. - Mówię serio, Dickie. Jest coś, o czym musimy pogadać.
- Dotarłszy na Tottenham Court Road z półgodzinnym opóźnieniem, Grace trafiła w sam środek kwietniowej ulewy, bez parasolki. Nie było w zasięgu wzroku taksówek, tramwajów ani autobusów, musiała więc na piechotę

przedzierać się przez wieczorne hordy przechodniów. Płynąca rynsztokiem woda ochlapwała jej kostki, deszcz przyklejał ubranie do ciała, a woń mokrego pyłu budowlanego drażniła nozdrza. Pędząc przed siebie, po cichu przeklinała swoją niepunktualność (wszędzie docierała z półgodzinnym opóźnieniem), pracodawców (za to, że ulokowali swoje biura na Piccadilly - nie dość blisko Percy Street, gdzie znajdowało się Tour Eiffel), pogodę (w końcu to był Londyn. Któż z mieszkańców nie przeklinał pogody?), Boga (w którego i tak nie wierzyła) i Dickiego Sedgwicka (za to, że zgodził się z nią spotkać, i za to, że tak lubił Tour Eiffel).

Gdy dotarła na miejsce, zaczęło lać jeszcze bardziej. Wbiegając do środka ze schyloną głową, Grace zderzyła się z kimś - na tyle mocno, że aż zazgrzytała zębami. Czyjaś dłoń zacisnęła się na jej przedramieniu. Uniosła głowę i natrafiła na spojrzenie bladoniebieskich oczu, osadzonych daleko od siebie na szerokiej twarzy. Usta uśmiechały się - a może po prostu to były jedne z tych ust, które zawsze wydają się uśmiechać.

- Jest pani mężatką? - W głosie pobrzmiwał naturalny amerykański akcent.

- Nie - odpowiedziała, zanim zdołała się powstrzymać. Jego dłoń wciąż ścisnęła jej przedramię.

- To dobrze. - Gdy się odezwał, odniosła wrażenie, że patrzy nie na nią, a przez nią.

Uświadomiła sobie, że w pobliżu stoi taksówka, z pracującym silnikiem. Prawdopodobnie mężczyzna właśnie z niej wysiadł. Kierowca zapewne ich obserwował.

- Przepraszam. - Wyzwolili się z jego uścisku i z podniesioną głową ruszyła w stronę restauracji.

- Trzydzieści dwa, jak sędzę. - Jego uśmiech, odbity w szybie, był wykrzywiony, szczerbaty. - Jest pani, jak mniemam,

ciętą osobką. - Przetrzasał kieszenie, szukając drobnych, by zapłacić taksówkarzowi. - Ulotną i uroczą.

- Jeśli już, to trzydzieści. A to i tak nie pański interes.

- Ale za rok czy za dwa pani pazurki się stępią - odparł. -Zawsze tak jest. Zanim nadeszła wojna, Tour Eiffel było spelunką dla co bardziej awangardowych artystów i pisarzy: Augustusa Johna, Wyndhama Lewisa czy Ezry Pounda. Później w księdze gości pojawiły się też takie nazwiska jak Charles Chaplin, Ronald Firbank czy George Gershwin - i restauracja stała się mekką nieco wytworniej szych, bardziej snobistycznych tłumów. W1927 była już legendą i znalazło to odzwierciedlenie w cenach.

Wiszące na ścianach obrazy i akwaforty zróżnicowanej jakości przywodziły Grace na myśl nagrobki: bezładny, szaleńczo kolorowy cmentarzyk. To miejsce zbijało niezły interes na własnej artystycznej przeszłości. Klient mógł dostać przystawkę z hołubionych wspomnień, a później danie główne suto doprawione nostalgią. Nie było wątpliwości, że Dickie Sedgwick czuł się tutaj jak w domu.

- Jak zawsze punktualna. - Dickie wstał, by pocałować ją w policzek. - Gracie, skarbie, ty przecież jesteś przemoczona do suchej nitki!

- Żaden problem. Za moment wyschnę. - Grace usiadła na rzeźbionym orzechowym krześle. - Tymczasem możesz się nacieszyć widokiem wielkich chmur pary wodnej, która się ze mnie unosi.

- Cóż, jeśli tak stawiasz sprawę. - Dickie również usiadł. -Czuję, że powinienem coś dla ciebie zrobić.

- Po prostu zamów mi drinka, dobra?

- Może spróbuj tego. - Odwrócił stojącą na stole butelkę wina, żeby Grace mogła się przyjrzeć etykietce. - Joe mówi,

że pochodzi z doliny Rodanu. Przerażająco dobre.

- Z pewnością, ale nie mam nawet kieliszka. Bądź tak miły i zawołaj Joego.

Wciąż gadał o winie, podczas gdy Grace starała się za pomocą serwetki wysuszyć swoją jedwabną krepową suknię. Podniosła wzrok i zobaczyła przez sobą postawnego mężczyznę - tego samego, na którego natknęła się przed wejściem. Miał na sobie białą, krochmaloną koszulę i muchę. U jego boku natychmiast pojawił się właściciel, Rudolph Stulik.

Poprowadził go w stronę najlepszego stolika, podpalając gościowi papierosa i roztrząsając kwestię jego wygody. Bładoniebieskie oczy skierowały się nagle ku Grace, a ona odwróciła wzrok - najpierw spojrzała na klamrę swojej sukni, potem na Dickiego. Tego wieczoru wydawał się jakiś wymięty, znużony. Zupełnie nie przypominał tego ożywionego, tryskającego energią siebie.

- Dickie, wyglądasz na zmęczonego. W „Heraldzie” wszystko w porządku?

Grymas irytacji.

- Nie wszystko kręci się wokół tej gazety, Grace.

- Wiem.

Krępująca chwila. Nie było sensu dalej ciągnąć go za język. Grace rzuciła okiem na drugi koniec sali. Stulik wyłuszczał Amerykaninowi detale menu, później zaczął pokazywać obrazy stworzone przez co bardziej znanych gości spośród jego artystycznej klienteli. Mężczyzna wydawał się zadowolony, gdy jednak jego rozmówca odwrócił wzrok, spojrzał prosto na Grace.

- Wiadomość dnia. - Grace zmusiła się, by patrzeć na Dickiego i tylko na niego. - Złożyłam dziś wypowiedzenie. - Pociągnęła łyk z kieliszka. -

Miałeś rację co do wina. Bardzo wyrazisty smak.

- Naprawdę to zrobiłaś?

- Cóż, przynajmniej próbowałam. Ale Pearson nie potraktował mnie serio. To znaczy Aubrey Pearson. I wydaje mi się, że ja też nie traktowałam tego serio. Nie stać mnie na utratę pracy. Ale te dinozaury doprowadzają mnie do szaleństwa.

- Zawsze to powtarzasz. Bierzemy rybę? Mają dziś solę w sosie cytrynowym. Z młodymi ziemniakami.

- Dickie, nie masz pojęcia, co to znaczy dla dziewczyny pracować w takim miejscu. Mężczyźni mogą robić, co im się żywnie podoba, jeśli tylko kończą swoje teksty na czas. Ale ja... wystarczy jeden chichot, jedno dmuchnięcie papierosowym dymem i już mnie prześladowają. Powinnam im być wdzięczna, że w ogóle pozwalają mi tam pracować. Właśnie dlatego chciałam z tobą pogadać. Tak się zastanawiałam... Sedgwick zachichotał.

- Zastanawiałaś się, jak by to było pracować w „Heraldzie”. Naprawdę wydaje ci się, że w gazecie będziesz miała lepiej? Myślisz, że będziesz traktowana jak każdy inny pracownik? Żyjemy w takim świecie, w jakim żyjemy, kochana. Na szczęście sytuacja się poprawia, choć powoli. - Skinął na kelnera. - Joe, poprosimy dwa razy rybę.

- Zbyt powoli jak na mój gust. - Grace znów mimowolnie rzuciła okiem na przeciwny koniec sali. Amerykanin, marszcząc czoło, gapił się na swój zegarek... Zmusiła się, by jej wzrok ponownie spoczął na piegowatej twarzy Dickiego. - Tak się zastanawiałam. Co by było, gdyby Diamond zaczęła pisać coś więcej niż tylko felietony? Może zająć się recenzowaniem książek, komentarzem politycznym, nawet horoskopami! Potrząsnął głową.

- Nic z tego nie wyjdzie.

- Niby dlaczego? Diamond odniosła ogromny sukces, sam to podkreślasz. Kto jeszcze w redakcji dostaje takie

sterty listów? O kim jeszcze plotkuje konkurencja? Wiesz, co Harold Grimes wymyślił wczoraj na łamach „Mail”? Myśli, że Diamond Sharp to Rebecca West. Rebecca West!

- Facet jest idiotą - odparł Dickie, odchrząkując. - Słuchaj. Nie mogę być bardziej szczęśliwy z powodu tego, jak się rzeczy mają. Szczerze mówiąc, ledwo w to wierzę. Ale czytanie tekstów Diamond jest jak jedzenie lukrecji. Nikt nie przełknie więcej niż mały kawałek.

Pełne irytacji sapnięcie.

- Cóż, nie muszę przecież przez cały czas być Diamond. Wyciągnął rękę nad stołem, by chwycić jej dłoń. Delikatnie.

- Ależ Grace, ty jesteś Diamond. Przez cały czas. Nie chciałbym, byś była kimś innym.

Amerikanin znów na nią patrzył. Na jej dłoń, ścisnącą przez Dickiego.

- Mimo że czasami czuję się jak Victor Frankenstein -dodał szeptem.

- Dobrze zatem - oswobodziła wreszcie dłoń. - Zrobię to, co każdy potwór na moim miejscu zrobiłby już dawno. Zażądam podwojenia pensji.

- No już, już, Panno Nadaśana. Lepiej uważaj, żeby tyle nie marszczyć brwi, bo robią ci się bruzdy na czole. A to postarza o dobre dziesięć lat.

- Och, Dickie, jesteś naprawdę okropny! Nie ma sensu poważnie z tobą rozmawiać. - Rozejrzała się za kelnerem. -Gdzie Joe? Przydałoby się więcej wina.

Stolik Amerykanina był już pusty.

Półtorej butelki później Dickie i Grace wzięli taksówkę i ruszyli do Cirósa, na Orange Street. Lało coraz mocniej. Połączenie deszczu i ciemności sprawiło, że miasto wyglądało



jak rozmyta akwarela. Grace zerkała przez szybę, obserwując jasno oświetlone wystawy sklepowi rzędy latarni odbite w mokrych chodnikach. Ludzie skrywali się pod parasolami albo pod zadaszeniami przystanków autobusowych, jednak większa część mieszkańców Londynu dawno już poszła spać.

- Kto do diabła chodzi na imprezy we wtorek? - dziwił się Dickie. - To nie jest cywilizowane zachowanie. Czyje to w ogóle przyjęcie?

- Nie pamiętam. - Grace czuła się równie niewyraźnie, jak niewyraźna była dzisiejsza noc. - Zgubiłam zaproszenie.

- Wybornie. I t e r a z mi to mówisz. Mogłaś chociaż wspomnieć, że jest w Cirósie. Sądziłem, że to jakiś kameralny j azzowy wieczorek w czyimś domu. Gdybym wiedział, zmieniłbym garnitur. Założył muchę.

Grace otworzyła torebkę, wyciągnęła czarny jedwabny krawat i podała go towarzyszowi.

- Nie musisz się martwić. Diamond jest zawsze przygotowana na nagłe wypadki. I rozchmurz się, w zaproszeniu wspominali o szampanie. Mamy się dobrze bawić.

Bawiąc się krawatem, Dickie zaczął jakąś opowieść o Cirósie - inna noc, inne przyjęcie - lecz Grace przestała go słuchać; zachwycona, jak zawsze, widokiem nocnego Piccadilly Circus. Tu właśnie mieścił się Nowy Wielki Świat, który daleko w tyle zostawiał wszystkich w rodzaju szefów Pearson & Pearson. Circus, najsłynniejszy punkt orientacyjny w Londynie, rozświetlały ogromne szyldy, rozjaśnione barwnymi lampami. Inicjatywy rady miejskiej mające na celu ograniczenie tego typu reklam poskutkowały czymś wręcz przeciwnym - sprzedawcy tylko zwiększyli nakłady. Partery budynków prezentowały się jednak nieciekawie - tymczasowe i prowizoryczne, a to z powodu budowy nowej stacji metra. Na czas prac usunięto stąd odważną rzeźbę Erosa - i z początku miało się wrażenie, że dusza Circus

zniknęła wraz z nią. Teraz jednak, gdy rzeźby nie było już od tak dawna, Grace niemal zdążyła o niej zapomnieć. Duszą Piccadilly stały się za to te nowe reklamy. Mimo że wykrzykiwały: „Schweppes”, „Bovril” czy „Gordons Gin”, równie dobrze mogłyby wrzeszczeć: „To ja jestem Londynem. To ja jestem przyszłością”.

Tej nocy lało tak mocno, że wszystko wokół przypominało mglisty sen. Rozjaśnione barwnymi światłami krople deszczu nieprzerwanie spływały po szybie, a Grace miała wrażenie, jakby to Circus płakał. Przez jego lzy dostrzegała suche wnętrza mijanych taksówek, którymi podróżowały roześmiane dziewczyny, strudzone panie w kapeluszach i młodzi mężczyźni - polujący bądź upolowani. Wnętrza samochodów niczym niewielkie, lecz kompletne uniwersa. I ona, razem z Dickiem, w swoim własnym świecie, płynąc przez to wszystko niczym w jakimś transie... Do chwili, gdy zbliżyła się do nich inna taksówka, w której dostrzegała jakby znajomy profil: mocny podbródek, rzymski nos...

- To ten facet!

- Jaki facet? O czym ty mówisz?

- Och. - Taksówka skręciła nagle w prawo. Wszystko trwało ledwie mgnienie oka. Czy to naprawdę był ten Amerykanin? Czy może Grace tylko się zdawało, bo nie mogła przestać podświadomie o nim myśleć?

- Grace?

- To nic takiego. Patrz, jesteśmy na miejscu. Pozwól, że pomogę ci z tym krawatem.

Podwójne drzwi otworzyły się i oczom Grace i Dickiego ukazał się słynny szklany parkiet Cirósa, przypominający tafłę lodu - tancerze wyglądali, jakby jeździli na łyżwach. Jean

Lensen i jego Cirós Club Dance Orchestra rozkręcili się już na dobre. Białe garnitury, wybrylantowane włosy, lśniące instrumenty. Powietrze przesiąknięte było dymem i aromatem perfum całego mnóstwa kobiet, z cierpką domieszką potu.

- Nic dziwnego, że na ulicach pustki - szepnęła Grace. -Wszyscy przyszli tutaj. - I faktycznie, miało się wrażenie, jakby wszyscy modnisie Londynu zgromadzili się pod jednym dachem. Szalone, tryskające życiem chłopczyce grzechoczące sznurami paciorków, eteryczne damy w jedwabiach i piórach, nienagannie wystrojeni dżentelmeni.

- Cóż, miałaś rację co do tego szampana - odparł Dickie. Kelnerzy gonili tam i z powrotem, nosząc tace po brzegi wypełnione kieliszkami. Dickie wziął jeden dla siebie i jeden dla Grace. - Tylko popatrz.

Przy podłużnym barze stała chwiejna piramida kieliszków. Barman wskoczył na drabinę i zaczął nalewać szampana z największej butelki, jaką Grace kiedykolwiek widziała. Połykający płyn, pieniąc się, spływał w dół, czyniąc ze szklanej piramidy prawdziwą fontannę Moet et Chandon, gapie zaś zapamiętałe bili brawo.

Dickie, który wciąż wyraźnie czuł się nie na miejscu, ożywił się nagle, gdy ktoś go zawołał. Grace rozpoznała Ronniego Hazeltona z „Timesa”, razem ze zgrają jego męczących kumpli. Wciąż rozglądając się ciekawsko po sali, ruszyła za Dickiem, jednak tylko po to, by po chwili zgubić się w rozbawionym tłumie.

Nieco dalej od parkietu, przy stolikach, dyskutowali z przejęciem mniej rzucający się w oczy ludzie: łysiejący panowie w okularach, przygarbieni mężczyźni z brodami. Literaci, pomyślała Grace, zauważywszy Samuela Wooltona, słynnego wydawcę, który niedawno wystartował z własną firmą. Redaktorzy, powieściopisarze, poeci, ukrywający się w cieniu wszystkich tych pięknych chłopców i dziewcząt,

z tytułami i na dorobku, którzy lubili łączyć pracę z rozrywką. To musiała być impreza literacka - przynajmniej w zamyśle.

- Widzę, że pani już wyszła. Stał tuż przy niej. Zbyt blisko.

- Czy pan mnie śledzi? - odezwała się, nie odwracając nawet głowy.

Spojrzała na parkiet. Światło skierowane było na jednego z trębaczy, który zaczynał właśnie popisową solówkę.

- Miałem cię właśnie spytać o to samo.

Odwróciła się i gdy tylko na niego popatrzyła, poczuła motyle w brzuchu. Zachciało jej się śmiać, a raczej chichotać z podekscytowania - nie mogła za nic w świecie się temu poddać.

Był potężnie zbudowany: te barki, ten kark! Emanowała od niego jakaś przytłaczająca męskość. Chciała się przekonać, jak to jest tańczyć z kimś takim - czuć jego wielkie dłonie na plecach i ramionach.

- No już - powiedziała, grożąc mu palcem. - Przyznaj się lepiej.

Uśmiechnął się.

- Widziałem, że ty i twój przyjaciel weszliście piętnaście minut temu.

Sam jestem tutaj już od dwóch godzin.

- Bzdury! Twoja taksówka minęła przecież naszą, dokładnie na Regent Street.

Uniósł brew.

- Pochlebiasz mi. Musiałem wyrzeć na tobie spore wrażenie.

- Cóż, jeśli mowa o wrażeniach, niewątpliwie udało ci się wrazić mi łokieć w brzuch.

Wyjął jej z dłoni opróżniony kieliszek i wręczył kolejny, wypełniony szampanem. - Chodzi mi o to - powiedział - że gdy o kimś myślisz, gdy nie możesz o kimś zapomnieć, dostrzegasz go wszędzie wokół.

Grace zachichotała. Facet należał do tych, którzy zaliczają utarczki słowne do sztuki uwodzenia. - Trzydzieści osiem - powiedziała, mierząc go wzrokiem z góry na dół.

- Co proszę?

- Lat na karku. A może i czterdzieści. Na dodatek rozwiedziony. Tak to się załatwia w Ameryce, prawda? Całkiem zresztą możliwe, że rozwodziłeś się już dwa razy.

Tym razem to on wybuchnął śmiechem

- Cóż, może sam sobie na to zasłużyłem, panno...

- Możesz mówić do mnie Sapphire.

- Mogę? - Stuknął kieliszkiem w jej kieliszek.

- A ty? Kim jesteś?

- Ja? - wzruszył ramionami. - Typowy Irlandczyk. Ba-jerant jak się patrzy.

Przewróciła oczami.

- To chyba najmniej irlandzki akcent, jaki kiedykolwiek słyszałam. Może jakiś twój pradziadek pochodził ze Skib-bereen albo Ballydehob. Czy to za mało, by być Amerykaninem?

Nie wiedziała, jak do tego doszło - było gorąco, a ona miała zawroty głowy - ale jego prawa dłoń spoczywała teraz na jej policzku.

Przytrzymał jej twarz tak, by nie mogła odwrócić wzroku od jego jasnych oczu.

- Myślę, że trochę amorów mi nie zaszkodzi - powiedział. - A tobie?

Dochodziła czwarta rano, gdy na końcu Tofts Walk, w dzielnicy Hampstead, zatrzymała się taksówka. Podczas wysiadania prawy obcas Grace utkwił we włączce studzienki kanalizacyjnej. Mamrocząc słowa, które wprawiałyby pana Pearsona w nie lada konsternację, Grace doprowadziła się do porządku, zapłaciła taksówkarzowi i na wpół kulejąc,

ruszyła w stronę budynku oznaczonego numerem 9 - jednego z tych wąskich wiktoriańskich domków. Wciąż szamotała się z kluczami, próbując sforsować drzwi i przy okazji nie narobić hałasu, gdy nagle ktoś otworzył jej od środka - mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziała na oczy. Wysoki facet w tweedzie, z wąsem i lśniącymi brązowymi włosami. Onieśmielająco przystojny. Tak przystojny, że istotne przecież pytanie, dlaczego obcy facet otwiera jej drzwi w środku nocy, uleciało z głowy Grace, ustępując miejsca niepokojom, jak też ma się teraz jej makijaż i czy nie jest aby zbyt pijana i nie wygląda przez to kiepsko.

- Panna Rutherford? - Był Amerykaninem. Kolejnym. Spod podwiniętych rękawów koszuli wystawały opalone przedramiona. Cofnął się o krok i pozwolił jej przejść. W korytarzu było na tyle wąsko, że Grace musiała się o niego otrzeć.

- Przepraszam, ale...

- John Cramer - wyciągnął dłoń na powitanie. Mocny uścisk. Delikatny głos. - Mieszkam po drugiej stronie ulicy. Przyszedłem tu, bo chciałem pomóc.

Grace nagle odzyskała trzeźwość myślenia i z miejsca ogarnęła ją panika.

- Gdzie Nancy? I moja matka? Gdzie one są? - Rzuciła zakiet na wieszak i otworzyła drzwi do salonu. Wszystkie światła były zapalone. O czwartej w nocy.

- Matka położyła się już spać, a siostra siedzi przy dziecku. Grace nerwowo kręciła się w kółko.

- Co się dzieje?

- Felix źle się czuje - odparł mężczyzna. - Teraz już zasnął, ale lekarz powiedział, że nie powinno się go zostawiać samego. - Położył jej dłoń na ramieniu. - Zrobić pani coś ciepłego do picia?

- Nie, dziękuję. Proszę mi wybaczyć.

Felix. Gdy ruszyła w kierunku schodów, miała już głowę pełną ponurych myśli. Jej śliczny mały siostrzeniec, jej złoty chłopiec...

- Poczekaj chwilę - zawołał mężczyzna, stojąc u podnóża schodów.

Grace dotarła do półpiętra, gdy drzwi pokoju Feliksa otworzyły się i na korytarz wyszła Nancy, trzymając palec na ustach. Oczy miała zaczerwienione i opuchnięte, a jej gęste blond włosy zwisały w strąkach.

- Tak się cieszę, że już wróciłaś. - W głosie siostry pobrzmiwało zmęczenie i napięcie. - Brakowało mi ciebie.

- Chodź do mnie - Grace rozłożyła ramiona i przytuliła ją. Nancy była drobniejsza od niej. Ścisnęła ją mocno, a ona wsunęła głowę pod brode siostry. Zawsze tuliły się w ten sposób, przynajmniej od kiedy sięgały pamięcią. Grace pogładziła włosy siostry, zaczesując je za jej ucho. - Powiedz mi, co się stało.

- Miał gorączkę. Myślałam, że to przez ząbkowanie, sama rozumiesz. Puściłam Ednę do domu o zwyczajowej porze, po kolacji. - Nancy wyzwoliła się z uścisku Grace, by spojrzeć jej w oczy. - Ale zaraz po tym jak wyszła, mały poczuł się bardzo źle. Miał rozpalone czoło i strasznie się pocił. Zrobiłam mu chłodną kąpiel, ale to nie pomogło. Strasznie się zmartwiłam, Grace. Biedna mała Tilly, musiała sama położyć się do łóżka. Bez historyjek i przytulaniek. Mamy też nie było, miała ten swój wieczór brydża. Tilly była taka grzeczna... I wtedy Felix całkiem opadł z sił.

- Czemu nie zadzwoniłaś do mnie do biura? - Grace zwalczyła jakoś ochotę, by potrząsnąć Nancy. - Powinnaś dać mi znać, gdy tylko mały zaczął gorączkować. Przybiegłabym prosto do domu, sama przecież wiesz.

- Próbowałam dzwonić, ale coś było nie tak z telefonem. I wtedy - to jest najokropniejsze - Felix dostał jakiegoś ataku. Zostawiłam go na moment na kanapie i nagle usłyszałam hałas! Przybiegłam oczywiście z powrotem, a on już leżał na podłodze i cały się trząsał, a ja nie mogłam mu pomóc. To było po prostu przerażające, Grace.

- Nie wątpię. Jak długo to trwało?

- Pewnie z minutę albo dwie, ale ciągnęło się jak wieczność. - Źrenice Nancy były rozszerzone, cała drżała. - Kiedy było po wszystkim, wzięłam go na ręce i pobiegłam na drugą stronę ulicy, pod drzwi Johna. Był cudowny. Zadzwoił po lekarza, a później przyszedł tu ze mną, żeby położyć Feliksa do łóżka. I został na cały wieczór, a nawet na noc. Nawet gdy mamusia wróciła już do domu, nalegał, żeby zostać aż do twojego powrotu.

- A co powiedział lekarz? - Twarzą Grace wstrząsnął nerwowy tik. Sama myśl o tym, że Felix rzuca się w drgawkach po podłodze, była dla niej zbyt okropna. - Jak mały czuje się teraz?

- Powiedział, że atak był prawdopodobnie wywołany gorączką. Wtedy temperatura zdążyła już nieco opaść, więc doktor uznał, że Felix najgorsze ma za sobą. Ale mówił, że musimy go chłodzić i dawać mu pić, gdy tylko się obudzi, i pilnować go do samego rana, tak na wszelki wypadek. Jutro znów do nas przyjdzie.

- W porządku. - Grace uświadomiła sobie, że dłonie ma zaciśnięte w pięści. Zmusiła się, by je rozluźnić.

Usłyszały docierające z dołu skrzypienie. Sąsiad, Cramer, wspinał się po schodach, niosąc dwa kubki kakao.

- Proszę. Nie byłem pewien, czy je słodzić, ale i tak...

- Dziękuję - Grace wzięła swój kubek. Nancy wydawała się dziwnie zawstydzona, sięgając po swój. Wręcz kokieteryjna. Opowiadając o nim, mówiła *per* „John”...



- Chcesz, żebym został i posiedział z Feliksem? - spytał. - Pewnie i tak nie zdołam już zasnąć. Bezsenność ma swoje zalety, więc nie krępuj się z tego korzystać.

Grace niemal poczuła ciepło, patrząc na Nancy i widząc, jak rumienia się jej policzki.

- Dziękuję, panie Cramer - odparła. - To bardzo miłe. Ale z chęcią sama posiedzę przy Feliksie.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Cóż, jeśli jesteś pewna. - Jego oczy miały brązowy odcień, ale były wyjątkowo ciemne. Cudownie nieprzeniknione.

Wschodzące słońce przebiło się przez cienkie zasłony w pokoju Feliksa, rzucając blady blask na jego zaspaną buzię. Miał jedenaście miesięcy i pomалу zmieniał się z dzidziusia w małego chłopca - ale nie był do końca ani jednym, ani drugim. Ten moment przemiany czynił go wyjątkowo kruchym i zarazem wyjątkowo pięknym. Jego główkę porastał złoty puszek. Jego oczy - ciemnoniebieskie - były teraz zamknięte. Oddychał przez różowe, delikatnie rozchylone usta. Twarz miał chłodną, gorączka minęła i Grace mogła bez obaw zostawić go samego, ale mimo tego wciąż tu siedziała, pilnując go i czując ulgę, że najgorsze już minęło. Nie mogła się od niego oderwać. Jeszcze nie w tej chwili.

Ludzie często powtarzali, że mały wygląda jak kopia Nancy. Ale nie widzieli zdjęć Grace z czasów, gdy była dzieckiem, jeszcze zanim pociemniały jej włosy. Jeśli ktoś dobrze się przyjrzał, rysy Feliksa mocniej przywodziły na myśl jego ciotkę niż matkę. Miał oczy Grace i jej szelmowski uśmiech, tak jak i jej bladą, niemal przezroczystą skórę. To raczej czteroletnia siostra Feliksa, Tilly, ze swoją przypominającą oblicze lalki buzię, uroczym zadartym

noskiem i dołeczkami w policzkach, była podobna do Nancy. Felix leżał na boku, z jedną ręką przy twarzy, paluszki zacisnął w pięstkę. Słodkie, pulchne paluszki. Drugą rękę trzymał wzdłuż ciała. Patrząc na niego, wsłuchując się w jego oddech i budzący się za oknami świt, Grace pomyślała, że nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie wolałaby się teraz znaleźć, zamiast siedzieć tu, przy swoim chłopczyku. Pozwalała sobie tak o nim myśleć - jako swoim chłopczyku - nie czując niełojalności względem siostry. To właśnie Grace opiekowała się Nancy, gdy ta była w ciąży z Feliksem, Grace pomagała jej po śmierci męża, George'a. Grace towarzyszyła jej podczas przedłużającego się, omalże fatalnie zakończonego porodu, masując jej krzyż i podtrzymując na duchu. Nie pozwalając jej się załamać. W tamtych dniach to najczęściej właśnie Grace wstawiała, gdy Felix zaczynał płakać. Tatuś i George nie żyli, nie było już więc żadnego mężczyzny pod dziewiątym numerem na Tofts Walk. Nancy była wrażliwa, ciężko znosiła trudy macierzyństwa. Catherine zaś, ich matka, była ekscentryczką i osobą mało praktyczną - z głową nabitą teoriami na temat tego, jak świat powinien działać, mimo że nie miała bladego pojęcia, jak prowadzić własny dom. Nieuchronnie to Grace przypadła rola głowy rodziny. Stała się dla Feliksa substytutem ojca.

I w tym, że traktuję go jak własne dziecko, nie ma nic niewłaściwego, powtarzała sobie, siedząc w bujanym fotelu i patrząc na swojego chłopca. Z każdym dniem to, że będzie miała własne dzieci, stawało się coraz mniej prawdopodobne. Nie teraz, gdy miała już trzydzieści lat i żadnych widoków na zamążpójście. Dlaczego zresztą miałyby chcieć męża? Przywykła do tego, że sama o wszystkim decyduje: nie było najmniejszego powodu, by chciała podporządkować

się jakimkolwiek mężczyźnie. Gdy jesteś sama, nie ma możliwości, by ktoś cię zawiódł albo rozczarował.

Umilkły ptaki zwiastujące świt. Felix słodko westchnął przez sen. Bujany fotel skrzypiał delikatnie. Oczy Grace zamykały się już, głowa opadała.

W myślach wciąż tkwiły obrazy z minionej nocy - wspomnienia zmieniające się w szalone półsny. Tańczyła z jasnowłosym Amerykaninem, a może Irlandczykiem czy kimkolwiek on był. Tego właśnie pragnęła - zatańczyć z nim - ale tak się nie stało. Wciąż rozmawiali, a potem oboje zostali zaczepieni przez znajomych, którzy koniec końców ich rozdzielili. Szukała go jeszcze później, ale nie mogła znaleźć.

Jego dłonie na jej plecach, jej ramiona wokół jego szyi. Spojrzała na jego twarz i ze zdumieniem odkryła, że tańczy z tym drugim Amerykaninem - Johnem Cramerem, sąsiadem z naprzeciwka.

## **PICCADILLY HERALD**

*11 kwietnia 1927*

### **Z życia West Endu**

*Panie, drogie panie, co wy u licha wyprawiacie ze swoimi włosami? Ostatnio zauważyłam znaczny spadek jakości widzianych pazi. Czyżby matki dobrały się do waszych fryzur z michą po puddingu i kuchennymi nożycami? Te ciężkie, pokręcone kępy po obu stronach twarzy są po prostu niewybaczalne! Lepiej pędźcie czym prędzej do profesjonalnego fryzjera i nie pokazujcie się w klubie Kit-Cat, Cirósie, Cave of Harmony ani Klubie 55, dopóki wasz stan się nie poprawi. Jeżeli już musicie wychodzić, proszę, idźcie do Hammersmith Palais albo innych przybytków na przedmieściach, gdzie takie rzeczy mogą ujść na sucho. Naprawdę, nie znajduję dla was żadnej wymówki. Istnieje mnóstwo miejsc, gdzie robią godne podziwu i geometrycznie satysfakcjonujące paze: Steffani na Jermyn Street, William Jones na Brewer Street i cudownie nazwany Angular Salon tuż za Selfridges, by wymienić ledwie kilka. Nie wyjawię tutaj tożsamości mojego własnego, bezcennego fryzjera, bo taka reklama mogłaby mi narobić nie lada kłopotów, gdybym znowu chciała się umówić na wizytę w ostatniej chwili (choćjeśli do mnie napiszesz i będziesz naprawdę zdesperowana, zapewne*

się zlituję). Zresztą już niemal stał się gwiazdę (dotąd zauważyłam u niego tak prominentne postaci jak Isadora Duncan, Constance Talmadge czy Louise Brooks). Przyjeżdżają z daleka, by doświadczyć tej mistrzowskiej trygonometrii, spływającej z koniuszków jego palców, której nie można spotkać nigdzie indziej, może tylko w paryskich salonach. Gdy siedziałam tam ledwie wczoraj, w niemyim zachwycie, wyszeptał mi do ucha, że dorabia sobie jako magik, przecinając damy na pół przed wyselekcjonowaną publicznością, a niekiedy sprawia też, że znikają. Doradziłam mu, by w przyszłości spowodował zniknięcie wszystkich tych ze źle przystrzyżonym paziem, resztę zaś zostawił w spokoju - będzie mu to poczytane za zasługę.

A teraz, drogie dzieci: nadchodzi wiosna, dni się rozciągają - a wraz z nimi wasze roztańczone stopy. Ponownie otwarty Sihestra Club został wystrojem dopasowany do wymogów sezonu: cały obwieszony różowymi i zielonymi girlandami, z tapetą w maleńkie turkusowe ptaszki. Radzę więc: rwijcie róż paki, póki młode\*... jeszcze małe pytanko do nowej orkiestry Dana Cravena: nie moglibyście grać odrobinę żwawiej? Z góry dziękuję. Wróćmy jednak do minionego wtorku: muszę wyblagać u kierownictwa Cirósa, by nie odstępował swojego wspaniałego lokalu dinozaurom z wydawnictw na ich beznadziejne spotkania literackie. Te lśniące fontanny szampana były kosztownym mirażem, ale i tak nie uwierzę, że świat książek ma w sobie choć odrobinę blasku. Stara się pan zbyt mocno, Samuelu Wooltonie.

Na koniec odrobina prywaty w postaci wiadomości od mojej młodszej siostry, Sapphire: czy pewien barczysty

\* R. Herrick, *Do panien, aby próżno czasu nic trwonily*, |w:J tegoż, 77 wierszy, tłum. S. Barańczak, Kraków 1992 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

*dżentelmen amerykańsko-irlandzkiego pochodzenia mógłby łaskawie wystąpić przed szereg i ujawnić swą tożsamość? Biedna Sapphire jest oczarowana i nie uspokoi się, dopóki się nie dowie, kim jest elegant z diabelskim błyskiem w oku.*

*Diamond Sharp*

## **ROZDZIAŁ 2**

Tydzień po imprezie w Cirósie Dickie zadzwonił do Grace, chcąc zaprosić ją na lunch do Kateriny, powszechnie wychwalanej rosyjskiej restauracji w Kensington.

Gdy zatelefonował, Grace pracowała właśnie nad nową kampanią promocyjną odświeżającego oddech specyfiku Stewardsa. Pomagał jej Oscar Cato-Ferguson, współpracownik z agencji, którego Grace uważała za lizusa. Cato-Ferguson twierdził, że powinni pokazać produkt Stewardsa jako nowy, bezkonkurencyjny tonik: „W zdrowym ciele zdrowy dech”.

Grace zamiast zwyczajowego papierosa trzymała w zębach ołówkę.

- Nie podoba mi się.
- Czemu? - Ferguson odchylił się w fotelu. Stopy opierał na biurku Grace.
- Tylko dlatego, że to mój pomysł?
- Nie bądź śmieszny - Podeszwy butów Fergusona napawały Grace obrzydzeniem. - To po prostu do mnie nie przemawia. Nieświeży oddech to bardziej problem towarzyski niż zdrowotny. Podminowuje wiarę w siebie. I w tym właśnie może pomóc ludziom Stewards.

Ferguson zerknął na zegarek i zrobił gest, jakby starał się zamaskować ziewnięcie.

- Całowanie - Grace wymówiła to słowo z emfazą, patrząc, jaki to przyniesie efekt. Tak, teraz Ferguson nieco się uniósł i siedział prosto. Właśnie wtedy zadzwonił telefon.

- Próbowałaś kiedyś barszczu, Gracie?

Pod warstwą kwaśnej śmietany barszcz miał intensywny różowy kolor. Miał też wyrazisty, słodki smak.

- A cóż to takiego? - spytała Grace, gapiąc się na zawartość łyżki.

- Buraki - odparł Dickie. - Jak sędzę z odrobiną wódki. To robi się bardzo modne. Diamond powinna się tym zainteresować.

- Jeszcze zobaczymy.

- Co do twojego ostatniego felietonu - powiedział Dickie, pociągając łyk piwa. - Chciałbym zgłosić zażalenie.

- O co chodzi tym razem? Wycieczki osobiste? Możesz być pewien, że naprawdę miałam na myśli charlestonea.

- Prawa kobiet, jeśli już. Sympatyzujesz z kobietami przed trzydziestką, ponieważ nie mogą głosować.

- Wcale nie. Nie do końca. Powiedziałam, że darzyłabym je sympatią, gdyby nie fakt, że są tak przeraźliwie młode i urocze zarazem.

Twarz Dickiego wyrażała głęboką dezaprobatę.

- A ileż ty masz lat?

- Trzydzieści. Przecież wiesz. Dopił reszkę swego barszczu.

- „Piccadilly Herald” nie ma określonego stanowiska względem przywilejów obywatelskich. Masz tego świadomość.



- W nosie mam stanowisko gazety, określone czy nieokreślone. To twój problem. Piszę, co mi się podoba. Tylko od ciebie zależy, czy to wydrukujesz, czy nie.

- Ty przekłeta, irytująca babo. - Łyżka spadła mu do pustego talerza. Po chwili jednak niespodziewanie się uśmiechnął. - A z innej beczki: kiedy wreszcie dostąpię zaszczytu spożycia kolacji w Hampstead? Całe wieki nie widziałem Nancy. A jeśli idzie o dzieciaki, to zanim wy, panie, zaprosicie mnie do siebie, zdążą chyba dorosnąć.

- Chwytaj dzień ze Stewardsem. - Grace nie mogła odpędzić myśli o tym, jak Cato-Ferguson próbował „chwycić dzień” z nią. To była jedna z tych imprez po pracy - nie pamiętała już która konkretnie - gdy wyłonił się zza rogu, kiedy akurat zmierzała do toalety. Był podchmielony i potykał się o własne nogi. Próbowwała pomóc mu odzyskać równowagę, a już chwilę później on zaczął obłapiać ją tymi swoimi długimi rękami. Dała mu wtedy w twarz, więc od tego czasu się do niej nie zbliżał.

- Obrazek - powiedziała Grace - przedstawia mężczyznę i kobietę, którzy mają się pocałować. Mają przymknięte oczy. Są całkowicie pochłonięci sobą.

- Znów chcesz się wcisnąć na zdjęcie, co? - Ferguson uśmiechał się pogardliwie. - Widzisz siebie w roli romantycznej bohaterki?

- Zdejmij buciory z mojego biurka, Cato.

Milszych od ciebie to ze świeczką szukać, pomyślała Grace, gdy razem Dickiem zabrali się do pałaszowania wspólnego talerza pierogów.

Dickie należał do wyjątkowych facetów, którzy gotowi byliby wziąć na pokład całą jej rodzinę, gdyby im na to

pozwoliła. I kochał ją, naprawdę ją kochał, jeszcze do niedawna. Ilu innych mężczyzn szczerze ją kochało? Być może tylko jeden. Przystojni chłopcy, z którymi kiedyś flirtowała, teraz zostali zajęci przez inne kobiety albo dawno temu stracili życie w okopach. Ci, którzy wciąż byli dostępni, należeli do Cato-Fergusonów tego świata. Oportuniści, kłamcy, ośliżli krętacze.

Gdyby tylko mogła poczuć coś więcej do Dickiego. Gdyby tylko zdołała zapalać do niego uczuciem.

- Mam coś dla ciebie. - Dickie rzucił kopertę przez stół. -Przyszło dziś rano. Nie zwykłem otwierać twoich listów, ale jakimś sposobem ten został przesłany do mojego biura.

Kłopot w tym, że Grace pamiętała, jak to jest być z Dickiem. Pamiętała, czemu to zakończyła. *Nie ma gorszej samotności niż związek z niewłaściwym mężczyzną.*

Sięgnęła po kopertę.

*Hotel Savoy*

*15 kwietnia 1927*

*Londyn, WC2*

*Panna Diamond Sharp „Piccadilly Herald”*

*Droga Panno Sharp, czy mogłaby Pani przekazać tę informację swojej czarującej siostrze?*

*Będę zaszczycony, jeśli panna Sapphire Sharp rozważy wyskoczenie jutro na moment ze szkatułki klejnotów, którą Panie zapewne zamieszkują, aby o godzinie dziewiętnastej wypić ze mną drinka w amerykańskim barze w Savoyu.*

*Proszę wybłagać u panny Sharp akceptację tego zaproszenia, gdyż i ja jestem nią absolutnie zauroczony. Proszę też przekazać jej, że jeśli odmówi, będę musiał znowu jeść*

*w samotności nadmiernie wysmażony stek w jednym z tych ponurych londyńskich grill barów i pewnie zakończę wieczór we własnym towarzystwie w obwieszonej girlandami Silve-strze, gdzie nie mając nic lepszego do roboty, będę przesiadywał, podziwiając turkusowe ptaszki. Mam nadzieję, że jej pełen wrażeń żołądek ma się już dobrze.*

*Z poważaniem*

*Elegant z diabelskim błyskiem w oku*

- Wygląda na to, że złowiłaś swoją rybkę - Dickie starał się mówić swobodnie. - Czy w następnym felietonie dasz na zapowiedzi? Niepokój sprawił, że serce Grace zaczęło bić mocniej, gdy przechodziła przez obrotowe drzwi do foyer Savoya, a jej odbicie wyskoczyło na nią wprost ze lśniących warstw szkła i mosiądzu. Żołądek zacisnął jej się w węzeł, a oddech zaczął więznąć w gardle. Ledwie przebrnęła przez ogromną salę, obwieszoną wyszukаныmi żyrandolami, tylko po to, by zniknąć w najbliższej toalecie. Tam, ogarnięta paniką, zaczęła przeczesywać włosy i poprawiać usta, ale dłonie drżały jej już tak bardzo, że szminka wysunęła się z jej palców i wpadła do umywalki, pękając na pół.

A jeśli on się nie zjawi?

Będzie siedzieć sama w amerykańskim barze, ze swoimi papierosami i koktajlem, i rozczarowaniem. Przynajmniej do momentu pojawienia się kelnera z wyrazem ubolewania na twarzy, który być może przymilnie zasugeruje, że dżentelmen - kimkolwiek jest - musiał oszaleć, skoro wystawił do wiatru tak piękną kobietę. A wtedy ona przyzna, że tak naprawdę nie wie nawet, kim on jest, ten cały dżentelmen,

choć można przypuszczać, że gościem tego hotelu. Kelner będzie wyglądał na zbitego z tropu, wykaże dezaprobatę, a ona dojdzie do wniosku, że najwyższa pora wyjść i wsiąść w autobus do Hampstead. A jeśli jednak się zjawi?

Gdy z piętnastominutowym opóźnieniem weszła do baru (szczerze mówiąc, to i tak było w c z e ś n i e, jak na standardy Grace), zmusiła się do przymknięcia powiek, starając się w ten sposób odwlec nieuniknione. Przygotowawszy się na najgorsze, otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła.

Zdażyła już zapomnieć, jak męskie jest to miejsce. Ciemne drewno, modele statków - pośród tego wszystkiego poczuła się nagle jak nieznacząca dziewczynka. Wewnątrz było mnóstwo klientów, więc większość stolików była już zajęta - jednak żaden przez niego.

Na jednym z wysokich stołków, plecami do niej siedział i palił, barczysty, jasnowłosy mężczyzna w dobrym garniturze. Uśmiech rozjaśnił jej twarz. Już miała klepnąć go w ramię, gdy wśród ogólnego gwaru usłyszała dźwięk jego głosu - piskliwy i z angielskim akcentem - i dostrzegła profil... Ani nos, ani broda nie były podobne.

Piętnaście minut spóźnienia. Żaden rozsądny mężczyzna nie spóźniłby się kwadrans na spotkanie z taką dziewczyną jak ona. Coś musiało mu wypaść - jakaś pozbawiona znaczenia sprawa, na tyle jednak ważna, by zrujnować Grace wieczór i odebrać resztki nadziei. Może zresztą od początku nie zamierzał się z nią spotkać. Może jego stopa w ogóle nie stanęła w Savoyu, może nawet siedzi teraz w innej knajpie, mierząc wzrokiem kobiety i śmiejąc się na samą myśl o tym, że ona tkwi tu sama, wypatrując go.

I wtedy nagle poczuła dłoń na ramieniu i usłyszała znajomy amerykański akcent, brzmiący tak, jakby gdzieś pod spodem krył się zduszony śmiech.

- To w końcu mam cię nazywać Diamond czy Sapphire? Którą dzisiaj jesteś?

Na twarzy Grace pojawił się uśmiech - mający wyrażać umiarkowane zadowolenie, w żadnym razie ekscytację czy ulgę - zanim się odwróciła i powiedziała:

- Możesz zwracać się do mnie jak chcesz, bylebyś przyniósł mi drinka. Zwolnił się stół w kącie. Kelner przyniósł ich drinki - White Lady dla obojga. Podawana z lodem, po amerykańsku, stanowiła jedną z koktajlowych innowacji Harry'ego Craddocka, słynnego barmana Hotelu Savoy, który sam też został sprowadzony tu ze Stanów.

Przyglądali się sobie nad koktajlami. Był mniej więcej taki, jak go zapamiętała. Nie tak doskonały, ale w pewien sposób bardziej realny. Zupełnie jakby od ostatniego spotkania zdążyła go lepiej poznać, choć tak naprawdę nic o nim nie wiedziała. Tego wieczoru wydawało jej się to zabawną sprzecznością - znać go i zarazem nie znać. Bawił się swoim kieliszkiem. Ona bawiła się swoim.

- Opowiedz mi o swoich felietonach - powiedział.

- A o czym tu opowiadać? To moje własne spojrzenie na West End. Radzę ludziom, gdzie jeść, tańczyć, gdzie kupować ubrania. Mówię im też, gdzie chadzać nie należy.

Okrzyknął krawędź kieliszka czubkiem palca, po czym zanurzył go w koktajlu. A potem oblizał.

- Daj spokój. Nie po to każdego tygodnia czytam twój felieton, żeby dowiedzieć się, czy powinienem kupować koszule w Selfridges czy w Liberty albo czy orkiestra gra lepiej w Cirósie czy Salamandrze.

- Czytasz moje felietony tydzień w tydzień?

- Są bardziej osobiste, niż ci się wydaje. To jest historia niezwyklej kobiety prowadzącej w Londynie bardzo nowoczesne życie. Życie możliwe tylko teraz: w tym roku, dzisiaj.

- Ach. Myślisz więc, że dla mnie liczą się tylko imprezy, szampan i idealnie przystrzyżone włosy.

- Cóż, z miejsca, w którym siedzę, twoja fryzura wygląda wyjątkowo dobrze.

Uśmiechnęła się, spuszczać wzrok.

- A jakie jest twoje życie? Co porabiasz w Londynie?

- Ja? - Wzruszył ramionami. - Ciekawią mnie ludzie. Dlatego tu jestem.

- Ludzie?

- Lubię ich obserwować. Myśleć o tym, co sprawia, że funkcjonują. Co czyni ich wyjątkowymi... odrębnymi. Można powiedzieć, że jestem kolekcjonerem.

- Niby czemu? Masz zamiar wypchać swoją walizkę ciekawymi okazami i zabrać je ze sobą do domu?

- W pewnym sensie. - Wyciągnął paczkę Bakers Lights i poczęstował ją. Jego dłonie nawet nie zadrżały, kiedy zapalał jej papierosa. - Spójrz chociażby na tamtą kobietę w szarej sukni. - Skinął głową i Grace rzuciła okiem w tamtą Stronę. Kobieta dobiegała czterdziestki. Atrakcyjna, ale zbyt chuda. Wyglądała na zdenerwowaną. - Zameżna, ale nie z tym gościem w cylindrze, który jej towarzyszy. On nie wie, że ona ma męża, a ona nie chce, by się dowiedział.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Gdy siadała, zwróciłem uwagę na pierścionki. On poszedł do baru, a ona je zdjęła i schowała do torebki. Poza tym wygląda na nieco nerwową, nie sądzisz? Właśnie tak wygląda ktoś, kto ma wiele do stracenia.

- Myślisz, że kocha się w tym w cylindrze?

- Chciałaby. Ale tak naprawdę ledwie go zna.

Grace podniosła wzrok, by lepiej przyjrzeć się twarzy swojego towarzysza, on tymczasem wciąż był skoncentrowany na mężatce i jej kompanie. Po chwili jego blade oczy zwróciły się w jej stronę.

- Byłaś kiedyś zakochana? - spytał, nie spuszczać z niej wzroku.

W myślach przywołała obraz młodego, rudowłosego mężczyzny  
Mrugnęła i natychmiast zniknął.

- Nie - odparła. - Nie do końca. A ty?

- Moja ukochana zmarła.

- Przykro mi. - Odwróciła wzrok, pociągając łyk koktajlu.

- Wcale nie musi być ci przykro. Jej nie było.

To zabrzmiało tak dziwacznie, że Grace zaczęła się zastanawiać, czy nie wymyślił tego, starając się ją zszokować.

- Ale to było dawno.

- Był od tego czasu ktoś jeszcze?

Sam się prosił o taką rozmowę - szczerą i podszytą flirtem.

- Oczywiście. Nieustannie jestem zakochany. To świetna sprawa. Też powinnaś spróbować. Mogłabyś to polubić.

Grace potrząsnęła głową.

- Mówisz o miłości, tak jak inni mówią o lodach. Wzruszył ramionami.

- Pierwsze jest gorące, drugie zimne, ale i jedno, i drugie smakuje wspaniale.

- Miłość nie należy do rzeczy, których można tak po prostu spróbować.

- Jej to powiedz. - Znów miał na myśli kobietę w szarej sukni. Na jej twarzy malował się wyraz subtelny smutku. Mężczyzna w kapeluszu trzymał ją za rękę.

- Wcale nie wygląda, jakby się świetnie bawiła - odparła Grace. - Nie jestem przekonana, by zakochani świetnie się bawili.

- Może i nie. Ale miłość sprawia, że się otwierasz, wyciąga na wierzch całe twoje wnętrze. I to jest coś, co musisz zrobić, jeśli nie chcesz kompletnie zmarnieć. Miłość, panno Sharp, przypomina ci, że żyjesz.
  - Jeśli wcześniej cię nie zabije.
  - Racja.
  - Przepraszam, sir... - To był ich kelner. Obok stał też ktoś w biurowym garniturze, pewnie pracownik recepcji.
  - O co chodzi? - spytał Amerykanin, taksując wzrokiem tych dwóch.
  - Przy recepcji czeka na pana jakiś dżentelmen - powiedział recepcjonista.
  - I co z tego? - odparł szorstko, z irytacją. - Chyba widzicie, że mam towarzystwo.
- Recepcjonista lekko skłonił się w stronę Grace.
- Pani wybaczy, madame. Sir, tamten dżentelmen mówi, że musi z panem porozmawiać.
  - A jak się ów dżentelmen nazywa? Dał panu swoją wizytówkę?
  - Nie, sir. - Recepcjonista wyglądał na zawstydzonego. - Spytałem go oczywiście o nazwisko, ale odmówił odpowiedzi.
  - Na litość boską! - Amerykanin przewrócił oczami. - Proszę mu powiedzieć, że jestem zajęty. Albo że mnie tu nie ma i nie można mnie znaleźć. Zresztą powiedz mu pan, co chcesz, bylebyś się go pozbył. Podniósł głos i ludzie przy sąsiednich stolikach zaczęli zerkać w ich stronę. Grace opuściła głowę, sącząc swoją White Lady.
  - Dobrze, sir - recepcjonista wyglądał, jakby chciał dodać coś jeszcze, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie, przygryzając dolną wargę. Potem odwrócił się i odszedł, kelner zaś podążył za nim.
- Amerykanin wyciągnął kolejnego papierosa.



- O co mogło chodzić? - spytała Grace.
- Nie jestem pewien, ale mam pewne podejrzenia. - Zapalił. - Mam nadzieję, że to już koniec tej sprawy. Gdzie pójdziemy coś zjeść? Mogę załatwić nam stolik w tutejszej restauracji. A może jest jakieś miejsce, w które ty chciałabyś mnie zabrać?
- Nie wiem - Grace zauważyła, że kobieta w szarej sukni wciąż im się przygląda. Schyliła głowę, by powiedzieć coś mężczyźnie w cylindrze. - Nie jestem szczególnie głodna. Nie uważasz, że to było nieco dziwne? Białe oczy zmroziły ją spojrzeniem.
- Nic mnie już nie zdziwi, panno Sharp. Powinniśmy skończyć drinki i się stąd wynieść.
- Tak, może i masz rację. Ale...
- Przykro mi, sir. - Recepcjonista znów stał przy ich stoliku. - Tamten dżentelmen nadal nie chce wyjść. Mówi, że musi z panem pilnie porozmawiać. Mówi, że pan wie, kim on jest. Amerykanin odepchnął krzesło i wstał. Był niemal o głowę wyższy od recepcjonisty.
- Mówiłem już, że jestem zajęty i nie mam zamiaru rozmawiać z tym człowiekiem. Nie macie tutaj ochrony?
- Cóż, sir...
- Każcie odźwiernemu go wyrzucić! Recepcjonista cofnął się o krok, jakby zbierał się na odwagę, by znów się odezwać.
- Jeśli to tylko możliwe, wolelibyśmy uniknąć kolejnych nieprzyjemności, sir. Kierownictwo byłoby wdzięczne, gdyby zechciał pan udać się do recepcji i porozmawiać z tamtym dżentelmenem. Wydaje nam się, że chodzi o jakieś osobiste sprawy, które nie mają z nami nic wspólnego. Amerykanin westchnął, pocierając czoło.
- Och, a więc o to chodzi. Każcie mu poczekać przed wejściem, dobrze? - Dał napiwek recepcjoniście i zmusił

się do czegoś, co miało być uśmiechem, choć nie do końca nim było.

- I co teraz? - spytała Grace, opróżniając kieliszek.

- Przepraszam - odparł, znów pocierając czoło. - Cholera. Obawiam się, że to może potrwać parę minut.

- Cóż, więc to już koniec. - Jej rozczarowanie było nieproporcjonalne do tego, co się wydarzyło. To było coś więcej niż po prostu przerwanie miłego wieczoru, bardziej jakby ktoś cały jej świat pozbawił nagle barw.

- Nie, to na pewno nie koniec. - Ujął jej dłoń i ucałował. - Nie dopuszczę do tego. Jak mogę się z tobą skontaktować?

- Przez „Heralda”. - Poczowała się niepewnie. - Możesz mi wysłać kolejny liścik.

- W porządku. Skoro tego chcesz, tak właśnie zrobię. Do zobaczenia, Diamond. Do następnego razu.

- Na razie, Diable.

Wychodząc do foyer, Grace czuła się słabo, niewyraźnie, jakby wcale jej w tym miejscu nie było. Może prawdziwa Grace - a przynajmniej jej ciało - wciąż siedziała z nim w barze. A może w ogóle nie było jej tu przez cały ten wieczór. Dywan tłumiał jej kroki. Odbicia w szkle i mosiądzu przedstawiały ledwie skrawki jej osoby.

W recepcji panował gwar. Mężczyźni w ciężkich płaszczach płacili portierom, by wnieśli ich ogromne walizki na górę. Puszyste kobiety w perłach i piórach. Pomarszczone staruszki z maleńkimi pieskami.

Śmiejące się dzieci. I mężczyzna, stojący przy ladzie, tyłem do niej, czekający na kogoś. Na jej Diabła. Mężczyzna, którego momentalnie rozpoznała, choć widziała go ledwie przez moment.

## **ROZDZIAŁ 3**

### **Przeszłość**

Siostry Rutherford - mając jedna siedemnaście, druga niecałe szesnaście lat - były zarazem sławne i niesławne w swojej okolicy. Zostały przez matkę - radykalną sufra-żystkę - i ojca - darwinistę - wychowane na wolnomyślicieli, które nie boją się głośno wyrażać swojego zdania, i rzadko się powstrzymywały. Chadzały, gdzie im się podobało i z kim tylko miały ochotę.

- Dziewczeta są niewątpliwie bystre - zauważyła panna Stennet, dyrektorka North London Collegiate School, uśmiechając się zza biurka do pana i pani Rutherford. - Są popularne, żywe i czarujące. Tak bystre i tak czarujące, że ta szkoła znosiła już z ich strony zbyt wiele. Pora zewrzeć szeregi i trochę nasze panny utemperować.

- A jaki dokładnie, jeśli można wiedzieć, jest charakter ich występków? - spytał Harold Rutherford.

Panna Stennet westchnęła.

- Tu jest pies pogrzebany. Chodzi bardziej o całokształt, o ich ogólną postawę. Spróbuję to jakoś wyjaśnić. Weźmy na przykład ich włosy. Szkolna zasada głosi, że włosy powinny być zawsze spięte.

- Dziewczynki mają zbyt krótkie włosy, by mogły je okiełznać. - Catherine Rutherford rozłożyła bezradnie ręce.
- To fakt. Ale zacznijmy od tego, czemu one się w ogóle ostrzygły? Obydwie miały takie piękne włosy. A gdy państwa córki ostrzygły się na krótko, wkrótce podchwyciła to cała szkoła. Niektórym z uczennic stanowczo nie wyszło to na dobre. A wszystko w czasie, gdy dziewczęta znajdowały się pod moją opieką. Nie uwierzą państwo, ile dotarło do mnie skarg od zmartwionych rodziców.
- Chce pani powiedzieć, że to wina naszych córek, że niektóre uczennice nie potrafią się równo ostrzyć? - zdziwiła się Catherine. - I że mamy je potępić tylko dlatego, że mają mocne osobowości? Że potrafią iść swoją drogą, zamiast ślepo podążać za stadem?
- Te ścięte na pazia włosy... - Pannie Stennet zaczynało już brakować słów. - To jest symboliczne. Z tym się wiąże pewne. .. Chodzi o postawę, która temu towarzyszy. Czy którekolwiek z państwa czytało może *Wizję* Dextera O'Connella?
- Wyraz dezorientacji na obydwu twarzach po drugiej stronie biurka.
- Cóż, mogę państwa zapewnić, że państwa córki to czytały.
- Mamy zatem ograniczyć ilość ich lektur? - Harold Rutherford zerknął na zegarek. - Czy ta książka nie miała przypadkiem dobrych recenzji? Wydaje mi się, że O'Connell dostał nawet jakąś ważną nagrodę.
- Ta książka spowodowała niezliczone problemy w Ameryce, przedstawiając portret dziewczyny w określonym wieku. Dziewczyny z włosami obciętymi na pazia, noszącej krótkie sukienki, kłamiącej, pijącej i łamiącej młodzieńcom serca, zupełnie jak to robi wiele dziewczyn biorących tę właśnie bohaterkę za wzór do naśladowania. Zakazano rozpowszechniania tej książki już w trzech południowych

stanach Ameryki. Prowadzi się kampanię, by to samo uczynić w pięciu kolejnych.

- Cóż, panno Stennet. - Catherine wstała. - Nasza rodzina nie wierzy w cenzurę i szokuje mnie, że pani się za nią opowiada. Wydawało mi się, że ta szkoła stawia na nowoczesne myślenie. Jestem pewna, że moje córki nie są kłamczuchami ani pijaczkami. Co do łamania serc, to nie mam pewności, ale odnoszę wrażenie, że jedna osoba wcale nie jest odpowiedzialna za organy wewnętrzne drugiej. W końcu jakież rozsądny chłopiec nie zakochałby się w Grace albo Nancy?

- Sugeruję, by następnym razem, gdy będzie pani chciała ponarzekać na nasze córki, przygotowała pani lepsze argumenty. - Harold wziął żonę pod ramię. - Twierdzi pani, że są przywódczyniami, sprowadzającymi resztę na złą drogę? Czy może, że same są podatne na sugestie i małpują głupie zachowania, o których przeczytały w jakiejś powieści? Wydaje mi się, że musi się pani zdecydować na którąś wersję.

- Mówię tylko... - dyrektorka nagle opadła z sił. - Chciałam jedynie zauważyć, że trochę się o nie martwię. Myślałam, że państwo również dzielają moje obawy.

Tego samego wieczoru, którego odbywała się powyższa rozmowa, siostry Rutherford siedziały w domu, przy stole. Grace tasowała karty do gry.

- Ułożę je wierzchem w dół. - I tak też zrobiła. - Co powiesz na to, żeby każda z nas wyciągnęła jedną, a ta, która będzie miała wyższą, może wybierać?

- Dobra. - Nancy podniosła jedną z kart. Był to walet karo.

- Niezła karta. I ładny chłopak. Teraz Grace podniosła swoją.

- Walet pik. Ha! Który kolor jest więcej wart? Nie pamiętam, jak to działało.

- Ani ja. Może weźmy po kolejnej karcie? Mogę potasować?

- Nie krępuj się.

Nancy zebrała karty i zaczęła tasowanie. Grace wodziła paznokciem po sękach widocznych na blacie drewnianego stołu.

- Mój kłopot polega na tym - powiedziała - że nie wiem, którego wolę. To znaczy, gdybyś spytała mnie pół godziny temu, bez zastanowienia powiedziałabym, że Stevena. Ale teraz mam wrażenie, że bardziej jestem przywiązana do Georgea. Więc może ty wybierz, a ja wezmę tego, którego odrzucisz.

- Tak naprawdę ja czuję bardzo podobnie. - Nancy rozłożyła karty na stole. - Jeszcze wczoraj powiedziałabym, że wolę Georgea. Ale Steven... Cóż, jest Stevenem, prawda?

- A niech to! - Grace zaczęła gryźć paznokcie. - Musi być jakiś sposób, żeby to rozwiązać.

- Możemy pozwolić im wybrać... - Nancy wzruszyła ramionami i na chwilę obie dziewczyny pograżyły się w rozmyślaniach. Nagle wykrzyknęły jednocześnie: „Nie!”, a potem zanosły się śmiechem.

- Bądźmy poważne - Grace starała się uspokoić. - Musimy to dobrze rozegrać. Jeśli dalej będziemy to ciągnąć w ten sposób, nic z tego nie wyjdzie.

- Pewnie i nie - odparła Nancy. - Chociaż... Chyba wiem, o co ci chodzi.

- George jest bystrzejszy - powiedziała Grace. - Pewnie to on będzie zarabiał więcej pieniędzy. Powiedziałabym też, że jest silniejszy, przynajmniej fizycznie. Może duchowo też. Jednak Steven...

- Steven to ten nieprzewidywalny - wtrąciła Nancy. - Kochany łobuziak.
- Wychodzi na to, że George będzie lepszym mężem - podsumowała Grace - ale ze Stevenem będzie lepsza zabawa.
- Ojej... - Nancy potrząsnęła głową. - Obydwe chcemy Stevena na teraz, a Georgea na później.
- Właśnie. I już mnie to męczy. Może zagramy w remika?

W ostatecznym rozrachunku to wojna dokonała wyboru. Wojna podsyciła emocje, wywierając szczególny wpływ na związki. Gdy przyszedł czas rozstań, nawet najmniej romantyczni mężczyźni zaczęli wyznawać miłość ze wzruszającą elokwencją. Ogarnięta uniesieniem większość mocno wierzyła w Chwalebny Powrót, ale i przeczuwała czającą się tuż za rogiem tragedię. Tańczono w uścisku, całowano się goręcej, obiecywano solennie, a w niektórych przypadkach zrzucano ubrania, choć w innych okolicznościach zostałyby na swoim miejscu.

Latem 1915 roku, niemal rok od dyskusji nad kartami, siostry Rutherford wciąż nie mogły się zdecydować, którego z braci Wilkins wolą: Georgea czy Stevena. W efekcie na spacerach po parku Heath, zamiejskie wycieczki i tańce chodzili czy jeździli zwykle we czworo. Grace i Nancy zdawały sobie sprawę, że wśród znajomych i obserwatorów kipi od spekulacji, który z braci jest ostatecznie zalotnikiem której z sióstr, i cieszyło je, że stały się tematem plotek. Państwo Rutherford lubili obydwu chłopców i byli pewni, że dopóki cała czwórka trzyma się razem, żadna z dziewczyn nie zrobi czegoś, czego by później żałowała. Ale to nie mogło trwać wiecznie.

Pewnego przedpołudnia Grace wędrowała samotnie po Heath. Usiadła na ulubionej ławce na szczycie Parliament

Hill, chcąc porozmyślać. Zaoferowano jej miejsce na wydziale literatury angielskiej londyńskiego University College i aż do tej pory była do tego pomysłu zapalona. Ale teraz nie wydawało jej się właściwe, by ktokolwiek zajmował się podczas wojny czymś równie samolubnym, gdy większość mężczyzn i chłopców, których znała, została wysłana na front, by mogli wypełnić swój Obowiązek. Myślała o braciach Wilkins, którzy dzięki wujkowi w Chester i dzięki temu, że spędzili trochę czasu w szkole jako kadeci, trafili do oddziału strzelców w batalionie królewskich fizylierów walijskich. Ich zbliżający się wyjazd sprawił, że zaczęła myśleć o nich inaczej, tak jakby to zintensyfikowało uczucia, którymi ich wcześniej darzyła. Nie mogła sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało życie jej i Nancy bez Georgea i Stevena. Przecież zawsze trzymali się razem. I właśnie wtedy, gdy siedziała na ławce, rozmyślając, z dołu ścieżki dobiegło ją radosne „Cześć!”. Podniosła wzrok i zobaczyła Georgea wspinającego się ku niej. Promienie słoneczne tańczyły w jego kasztanowych włosach, miejscami barwiąc je na złoto.

- Wiedziałem, że cię tu znajdę - powiedział, siadając przy niej.

- Bystry chłopak.

- Muszę z tobą pogadać, Gracie. - Ledwie łapał oddech. Czyżby biegł?

- Nie mogłeś się doczekać wieczoru, co? - Wybierali się dziś na zabawę, całą czwórką. Miał to być ich ostatni wspólny wieczór przed wyjazdem chłopców.

-Nie.

Spoglądała przed siebie, podziwiając widok. Jej zdaniem najpiękniejszy widok na świecie. Całe miasto u jej stóp, jakby istniało wyłącznie dla jej rozrywki. Świeże poranne powietrze pachniało nieco metalicznie. Zapach zmieni się zupełnie za jakąś godzinę, stanie się słodszy, bardziej dojrzały.



Popatrzyła na George'a. Dopiero teraz dotarło do niej, że jest zdenerwowany. Z j e j powodu.

- Chodzi o to, Grace...

Próbowała spojrzeć mu w twarz, ale słońce było zbyt jasne i musiała zmrużyć oczy. Najwyraźniej brakowało mu słów.

- Wyjeżdżamy w poniedziałek. Już w poniedziałek. Nie mogę w to uwierzyć.

- Ja też - cichy głos Grace zupełnie nie współgrał z wszystkimi tymi wielkimi sprawami, które nosiła w sercu. George wydawał się kompletnie zagubiony. Miała ochotę go objąć. Czy jednak odważy się zrobić coś takiego?

- Grace...

- Będziecie razem? To znaczy tam, we Francji. Ty i Steven?

Zmarszczył brwi, jakby powiedziała coś bardzo dziwnego. - Będziemy razem w Wrexham. A później... Cóż, nie mam pojęcia.

- Lubię wyobrazać was sobie razem - powiedziała. - Nie mieści mi się w głowie, jak moglibyście być gdziekolwiek osobno. Przecież podnosicie się nawzajem na duchu. Pewnie i ty myślisz podobnie o mnie i Nancy.

- Tak - odparł. Ale po chwili dodał. - Cóż, nie do końca.

- Naprawdę? - Zaczęło robić się ciekawie. - To znaczy, że myślisz o nas osobno? Rozdzielonych?

- Myślę o tobie. Tylko o tobie.

Skupiła wzrok na kopule katedry Świętego Pawła mającej w oddali. Wciąż patrzyła w to miejsce, czując, jak jej oddech staje się coraz szybszy.

- George? Czy to znaczy, że...

- Dobrze wiesz, co to znaczy. Zawsze przecież tak czułem. Zawsze.

Przełknęła ślinę. Jej ciało zdrętwiało.

- Więc powiedz to wprost.

- Wyjeżdżam, Grace. Nie mogę odjechać, nie wiedząc... -Jego głos się załamał.

- Powiedz to. Nie uwierzę, dopóki tego nie usłyszę.

- Witajcie - Ktoś wysoki stanął przed nimi, częściowo zasłaniając słońce.

- Mama? - Grace poczuła, że wszystko momentalnie się od niej oddała: całe napięcie, cała gorączka trawiąca ją od wewnątrz. - Skąd cię tu przywiało?

-Przywiało? - Prychnęła pani Rutherford. - Wolę myśleć, że po prostu przyszłam. A teraz chodźcie ze mną na spacer, oboje. George, kochany, pomóż mi namówić córkę, by poszła na uniwersytet, jak planowaliśmy. Mówiła ci już, że chce z tego zrezygnować? Nie? Tak też myślałam. Możesz w to uwierzyć? I to po tych wszystkich krucjatach, na które musiały wyruszyć kobiety takie jak ja, żeby głupiutkie dziewczynki takie jak ona mogły zdobyć porządne wykształcenie? Mówi, że chce robić coś „pożytecznego”, a nawet nie poszła ze mną na marsz walczących o prawo do służby wojskowej. Ani ona, ani jej siostra. Naprawdę, te moje dziewczynki...

Grace przyglądała się, jak George wstaje. Biorąc pod ramię jej matkę, posłał Grace spojrzenie - spojrzenie pełne tęsknoty. To sprawiło, że poczuła się, jakby ławka miała się pod nią załamać.

Przyjęcie było pożegnalną potańcówką, zorganizowaną w domu niesamowicie majątnych Perry-Johnsonów, na cześć ich syna Fredericka, który również został powołany do wojska. Nie szczędzono pieniędzy. W lśniącej sali balowej grała orkiestra z prawdziwego zdarzenia. W rytm muzyki wirowali mężczyźni w czarnych krawatach, krochmalonych

koszulach i eleganckich mundurach oraz kobiety w szykownych sukniach, obserwowani z zazdrością przez starszą panią popijającą poncz przy stolikach do gry w karty. Państwo Rutherford, którzy woleli spędzać wieczory na czytaniu w domowym zaciszu, nie pojawili się na przyjęciu. Córki, pozbawione przyzwoitek, jak zwykle miały zachowywać się w towarzystwie Georgea i Stevena rozsądnie. I jak zwykle dziewczyny - jedna ciemnowłosa, druga blondynka - mimo że były pośród tańczących, znajdowały się jakby poza tłumem. Wszyscy wokół wymieniali się partnerami, bawiąc się w odbijanego. Lecz żaden chłopak nie odważyłby się bawić w odbijanego z siostrami Rutherford, gdy te tańczyły z braćmi Wilkins. Ta czwórka była jakby osobnym zjawiskiem, poza zasięgiem pozostałych. Mogli się wymieniać wyłącznie między sobą.

Wszyscy czworo czuli się wyśmienicie. Ich śmiech graniczył już z histerią. Ramiona chciwie zarzucone na szyję, dłonie obejmujące talie... Tańcząca z George'em Grace rozmyślała o jego krzepkim ciele, zwinnych krokach. Jego piwne oczy były niezmacone, ale Grace drżała na samą myśl o tym, co mogło się za tym spojrzeniem kryć. Chciała zostać z nim sam na sam, choć odkładanie tej chwili samo w sobie sprawiało jej rozkosz.

Parę minut później doszło do zderzenia. Rozchichotana Nancy wpadła na Grace. Tę ostatnią odciągnął z parkietu Steven, szepcząc jej do ucha coś niezrozumiałego. Potem wyprowadził ją z sali, przez szklane tarasowe drzwi, prosto w zieloną ciemność ogrodu.

- Kocham to miejsce - stwierdziła Grace. Spacerowali ramię w ramię wśród szeleszczących cicho wierzb, cedrów i dębów. Od czasu do czasu mijali polankę z wkomponowaną statuetką greckiego bóstwa lub fontanną. - Ono ma coś w sobie. Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Jest srebrzyste i magiczne - odparł Steven. - Wszystko może się tu wydarzyć, nie uważasz?

- Owszem.

I nagle dotknął ustami jej ust, a ona przycisnęła swoje ciało do jego ciała. Całowała się już wcześniej z innymi chłopcami - z Georgeem i ze Stevenem też - ale nigdy w taki sposób. Czuła go przez ubranie, tę jego część, o której nie powinna wiedzieć, lecz której nie mogła zignorować. Rozchyliła wargi, a on wsunął język w jej usta. Czuła jego zapach, świeży i metaliczny, taki jak w parku Heath tego ranka. Wcześniej trzymał dłonie na jej plecach, teraz dotykał jej piersi przez sukienkę, a Grace pozwalała mu na to. I nagle odniosła wrażenie, że dostrzega kogoś, kto obserwuje ich spomiędzy drzew. Odsunęła się od Stevena.

- No, no... - Steven przeczesał dłonią włosy. Stał uśmiechnięty, gapiąc się na jej ciało. - Kto by pomyślał, po tak długim czasie? To był mój pożegnalny prezent?

Grace rozglądała się dookoła, zerkając między drzewa. Jeśli ktoś w ogóle tam był, już zniknął.

- Nie rozumiem - powiedziała w końcu.

- A co tu rozumieć? Chciałem cię pocałować, a ty chciałaś pocałować mnie. - Miał oczy bardzo podobne do oczu brata, ale nie aż tak niezmacone. W oczach Stevena było za to coś dzikiego, zwierzęcego.

- Ale co z Georgeem? Myślałam, że...

- Co myślałaś?

- Myślałam, że dokonaliście wyboru, ty i George. Sądziłam...

Zmarszczył brwi, ale wciąż sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Och, Gracie. Nigdy nie mogliśmy się zdecydować. Tak samo jak i wy. Mieliśmy wszyscy dylemat już od dłuższego czasu, prawda?

Znikąd nadciągnął chłodny wiatr. Grace zadrżała.

- Jest coś, o czym nie wiesz.

- Śmiem wątpić.

Chciał ją objąć, ale odsunęła się od niego.

- Widziałam się dziś z Georgeem - odparła. - Na Parliament Hill.

Próbował mi coś wyznać. Zamierzał...

- Co zamierzał? Oświadczyć ci się? Poczowała, że się rumieni.

- A to dopiero stary cwaniak... - zaczął.

- Wcale się nie oświadczył - dodała szybko Grace. - Ale dokonał wyboru między nami dwiema. Postawił sprawę jasno. Widząc, jak świetnie bawicie się z Nancy, pomyślałam, że razem to ustaliliście.

- Gracie, skarbie. - Założył jej kosmyki włosów za uszy. - Niczego nie ustalaliśmy. Jeśliby tak było, to myślisz, że zacząłbym cię całować? Co? No chodźże tu.

Znów się pocałowali. Nie mogła się powstrzymać, to było zbyt rozkoszne.

Gdy w końcu ich usta się rozdzieliły, wypaliła:

- A co z Nancy?

- Jak to: co z Nancy? - Wciąż trzymał dłonie na jej ciele. - Pytasz o to, czy ją też bym w ten sposób całował?

- Nie, nie o to mi chodzi.

- Będę z tobą szczery. Gdyby stała tu zamiast ciebie, pocałowałbym ją.

Piękne z was dziewczyny, podobne, ale zarazem tak inne. I każda z was jest na swój sposób wyjątkowa. Jak para obrazów czy drogocennych waz. Każdy trzeźwo myślący facet chciałby was obu.

- Puszczaj mnie! - Zaczęła się szarpać i w końcu udało jej się wyzwolić z jego uścisku. - Stevenie Wilkins, jesteś zupełnie niemoralny. I chcesz powiedzieć, że George jest dokładnie taki sam?

Przechylił głowę na bok.

- Ależ ty jesteś taka sama, Grace. Przyznaj to wreszcie. Dokąd się wybierasz?

Zaczęła oddalać się od niego, a on musiał biec, żeby ją dogonić.

- Nigdy byś mnie nie pocałował, gdyby nie to, że wyjeżdżasz. Co za impertynencja!

- Ale przecież wyjeżdżam. - Szedł tuż przy niej. - I jeśli chcesz, żebym wybrał ciebie zamiast twojej siostry, jeśli chcesz być moją lubą i słać mi perfumowane liściki i pukle włosów, i tęsknić za mną całą sobą, to cóż... Jestem zaszczycony, Grace. I będę za tobą tęsknił tak samo.

- I jeszcze myślisz, że mogłabym za tobą tęsknić! Dotarli z powrotem do domu. Kilku mężczyzn stało na

tarasie, paląc cygara i popijając brandy. George był wśród nich.

- Witaj, braciszku - zawołał Steven.

- Wybaczcie mi - Grace nie chciała nawet na nich patrzeć, na żadnego z nich. Przystąpiwszy przeszkłone drzwi, szybkim krokiem przemierzyła salę balową i wyszła do hallu.

Zapłakana, dotarła do łazienki. Nie wiedziała już, co myśleć ani w co wierzyć. Ledwie mogła uporządkować własne emocje. Były bardzo silne

- tylko tyle wiedziała. Silne i straszne. Czy naprawdę była aż tak płytka?

- Grace! - Drzwi łazienki otworzyły się i w progu stanęła Nancy.

Podbiegła do siostry i wzięła ją w ramiona. - Muszę ci coś wyznać, ale ani mi się waży powtarzać to mamie albo tacie...

- Och, Nancy, posłuchaj...

Ale Nancy była zbyt podekscytowana, by słuchać, co mówi Grace.

- George poprosił mnie o rękę, Grace. Na razie to będzie tajemnica. Och, kochana, czy to nie najcudowniejsza wiadomość?!

## **PICCADILLY HERALD**

*18 kwietnia 1927*

### **Z życia West Endu**

*Od czasu mojej ubiegłorocznej wycieczki do Paryża (och, cóż za raj mody, jedzenia i błyskotek - czy życie jeszcze kiedyś będzie miało taki blask?), jak pewnie pamiętacie, na próżno szukałam w Londynie kawiarni, w której można zjeść naprawdę dobre ciastka. Szczerze mówiąc, wystarczyłaby nawet przyzwoita cukiernia, by w przygnębiające wiosenne poranki przywrócić mojej twarzy uśmiech. Cóż, najdrożsi wielbicieli ciasteczek, wreszcie mam jakieś wieści. Na początku tego tygodnia dobiegły mnie plotki, że jest na Baker Street jakiś lokal o barwnej nazwie Morning Glory, który podobno serwuje croissanty równie dobre jak na Rue de Rivoli. Cóż mogłam począć, jeśli nie pognać tam ze ślinką cieknącą z ust?*

*Morning Glory to zabawny lokalik. Jasne oświetlenie, stoliki blisko siebie, a sztucce - nie oszukujmy się - niespecjalnie czyste. Ale ciastka - te ciastka... Spośród tych, których zdążyłam spróbować (a próbowałam niejednego; możliwe, że niedługo moje kości biodrowe znikną pod warstwą tłuszczu) najlepsza była duńska mieszanka. Croissanty nie były może z najwyższej półki, ale przynajmniej miały aspiracje.*

*Dostępny był także szeroki wybór dań z jajek, serwowanych przez nieustraszoną kobietę z wąsami.*

*Co do wieczorów: wiarygodne źródła donoszą, że Ben Bernie, niekwestionowany król nowojorskich orkiestr tanecznych, ma się pojawić w klubie Kit-Cat na kolejny sezon. Po prostu musicie się tam wybrać, obojętne, czy wpadłyście już na niego w ubiegłym roku, czy nie. Nikt, naprawdę nikt, nie potrafi tak jak ten facet podrywać stóp do tańca. A teraz pozwólcie mi się trochę wyżyć. W tej kwestii zdam się na waszą łaskę i niełaskę. Prawdą jest, że mam już serdecznie dość bycia Inteligentną Kobieta. Jaki jest w ogóle sens posiadania choć kropli oleju w głowie w takim „nowoczesnym” mieście jak nasze? Nie da się uzyskać należnego poklasku, nawet kiedy co rusz wyskakuje się przed szereg miernot, z którymi niestety trzeba pracować. Nie można też użyć swojego wspaniałego mózgu, by ujawnić osobiste poglądy na temat wybieranych władz, przynajmniej dopóki nie wkroczy się w czwartą dekadę życia (w moim przypadku stało się to mniej niż rok temu, więc jeszcze nie głosowałam). A najbardziej chyba boli to, że mężczyźni - ci, których uwagę chciałoby się przykuć - chcą tylko porozmawiać. Porozmawiać. Widzicie, jestem bystra. Jestem kobietą doświadczoną i obytą w sprawach kultury, więc oni wszyscy chcą wiedzieć, co sądzę o rozmaitych rzeczach: ostatni teatralny hit, kolacja w Tour Eiffel, jak powinno się nosić apaszkę, czy nawet co powinni zrobić, by podbić serce dziewczęcia, w którym są zadurzeni. Więc pytam was: na co mi takie rozmowy? Gdybym była tępą, pewnie zechcieliby poszukać lepszych sposobów na spędzanie ze mną czasu.*

*To tyle. Chociaż - wcale nie.*

*W ubiegłym tygodniu zabawiłam przelotnie (bardzo przelotnie, jak się okazało) w Savoyu, w towarzystwie pewnego eleganta z diabelskim błyskiem w oku. Owszem, dla*



*wiadomości tych z was, które uważnie czytają te felietony: jeśli idzie o spotkanie z tym panem, to wcześniej udawałam, że chodzi o moją siostrę, nie zaś o mnie. Przepraszam, że wprowadziłam cię w błąd, droga czytelniczko, ale zrozum: dziewczyna musi dbać o swoją reputację. Tak czy owak, dżentelmena nagle gdzieś wezwano, jeszcze zanim lód w naszych koktajlach zaczął się topić (swoją drogą, jeśli zawędrujecie w Savoyu do amerykańskiego baru, spróbujcie White Lady), obiecał jednak, że jeszcze spróbuje mnie upolować za pośrednictwem tej gazety. Droga czytelniczko, nie dotarł do mnie żaden liścik. Uświadom więc sobie, szanowny panie, że nie jestem łaskawa dla tych, którzy igrają z moją godnością. Jeżeli nie ujawnisz się, gdy tylko te słowa ukażą się drukiem, ja zapoluję na ciebie - i możesz być pewien, Diable, że mój charakterek do łagodnych nie należy.*

*Diamond Sharp*

## ROZDZIAŁ 4

Prawdopodobnie był niedzielny poranek. Łupanie w głowie gorsze niż zazwyczaj, gardło obolałe od papierosów („nasz tytoń jest prażony i nie podrażnia ...” - och, litości), w lustrze wymizerowana postać ze zmrużonymi oczami, bladą twarzą i ustami czerwonymi od wina.

- Dobry Boże - powiedziała nierozpoznawalnym (nawet dla samej siebie) głosem Grace i ostrożnie ruszyła w kierunku drzwi.

Za progiem jej pokoju panował chaos. Tilly bawiła się z dwiema dziewczynkami z sąsiedztwa. Wyciągnawszy praktycznie wszystkie zabawki, którymi wraz z braciszkiem dysponowała, rozstawiła je na schodach, udając, że to sklep. Dziewczynki kłóciły się o to, która z nich będzie sprzedawczynią, a które klientkami (każda chciała być sprzedawczynią). Feliksa nie było widać, ale za to było go słychać - z któregoś z pokoi dobiegały jego wrzaski, przerywane zdaniem w rodzaju: „Nie, Felix. Nie znaczy nie”. To był głos Edny, ich irlandzkiej służącej i nieoficjalnej niani. Nieco dalej, niemniej jednak przeszywająco, rozbrzmiewały nierówne dźwięki wydobywane z fortepianu przez matkę Grace, ćwiczącą właśnie fragmenty *Mesjasza* Haendla.

- Ciociu Grace, Laeticia jest okropna. Każ jej przestać.
- Tilly zadarła główkę, ujawniając okrągłe rumieńce namalowane na policzkach szminką (pewnie podkradzioną cioci albo matce). Pozostałe dwie dziewczynki też miały taki makijaż.
- Nie teraz, kochanie. - Grace, ściskając kurczowo poręcz, ostrożnie wymijała zabawki. - Ciocia Grace jest niedysponowana.
- Ale...
- Pamiętasz, jak się umawiałyśmy co do niedzielnych poranków, 'Tilly...  
Dziewczynka westchnęła i splotła ręce na brzuchu, grając nadąsaną. Grace machnęła niemrawo dłonią, a potem przedarła się na sam dół schodów, by stamtąd ruszyć do jadalni.
- Podziwiającie. Oto powstała. - Nancy, rześka i z lśniącymi włosami, siedziała przy stoliku z kubkiem herbaty i talerzykiem z kawałkiem biszkoptu. Po przeciwnej stronie, nalewając sobie herbaty z najlepszego srebrnego dzbanka, siedział ich amerykański sąsiad, John Cramer. On także aż lśnił i wyglądał po prostu świetnie. Jego oczy miały barwę kasztanów, które zeszłej jesieni Grace zbierała razem z Tilly.
- Dobry Boże! - Grace szybko przewiązała szlafrok. Gdyby tylko mogła się teraz skurczyć i zniknąć ze wstydu...
- Uroczo - odparła Nancy.
- Miło znów panią widzieć, panno Rutherford.
- Możesz mówić do niej: Grace - wtrąciła Nancy. - Zawsze twierdzi, że „panna Rutherford” ją postarza, brzmi wręcz staropanieńsko. Prawda siostrzyczko?
- Przepraszam. Ja... Wybaczycie mi? - Grace odwróciła się do drzwi. Ale Cramer już przesunął talerz w stronę wolnego krzesła.
- Bardzo dobre ciasto. I jest go za dużo dla dwóch osób - powiedział.

- Cóż, dziękuję. Ale przecież mogę spróbować później. Jestem teraz... -  
Odwróciła się do Nancy. - Czyżbym przegapiła śniadanie?

Nancy uniosła brwi.

- Skarbie, dochodzi trzecia.

- Ach. - To wyjaśniało, czemu Tilly nadała się, słysząc o ich umowie dotyczącej niedzielnych poranków. Głód zdołał odwrócić jej uwagę od wywołującej mdłości myśli, że przyłapano ją w szlafroku. Swoją drogą Nancy wyraźnie dała do zrozumienia, że jest zainteresowana Johnem Cramerem, czemu więc Grace miałyby się teraz przejmować, jak wygląda? - Może więc lepiej, żebym jednak zjadła trochę ciasta.

Cramer ukroił jej kawałek, a potem nappełnił filiżankę. Rozlał przy tym herbatę na biały obrus, wymamrotał więc przeprosiny i ruszył na poszukiwanie jakiejś ściereczki.

- To zaczyna się robić ciekawe. - Grace spróbowała ciasta. - Nie codziennie widuję cię w towarzystwie tak przystojnego mężczyzny. Widzę, że on czuje się tu jak u siebie.

Nancy zmarszczyła brwi.

- Chciał sprawdzić, jak czuje się Felix. Dlatego przyszedł. Mam nadzieję, że nie chcesz narobić mi wstydu.

- Ja? Tobie? Jeśli ktokolwiek może czuć się zawstydzony, to raczej ja. Tylko popatrz, w jakim jestem stanie!

- Faktycznie. - Nancy zacisnęła wargi w poziomą kreskę, jak zawsze, gdy była wściekła. - O której wróciłaś?

- Nie mam pojęcia. To ma jakieś znaczenie? Tymczasem zjawił się Cramer z ręcznikiem w dłoni i zaczął ścierać rozlaną herbatę.

- Nie przejmuj się tym, John - powiedziała Nancy. - Obrus i tak miał iść do prania. - To było kłamstwo.

- W porządku - odparł, uśmiechając się to do jednej, to do drugiej siostry. Potem wrócił na swoje miejsce. - A więc gdzie się wybrałaś minionej nocy, Grace?

- Cafe Royal i Cave of Harmony. - Grace musiała bardzo się starać, by nie zwracać uwagi na swój kiepski wygląd. To było dziwne: ustępować Nancy, dając jej pierwszeństwo względem jakiegoś mężczyzny. Ale tak właśnie powinna zrobić. Powtarzając to sobie w myślach, słyszała własny głos opowiadający o wczorajszych wydarzeniach. - Potem wyruszyliśmy na imprezę w artystycznym studio w Bloomsbury. Okropne obrazy, ale przynajmniej niezły jazz z gramofonu. Ciekawy był też posązek mitycznej bogini z sześcioma rękami, świetnie się na nim wieszało płaszcze. Później część z nas wybrała się do Hyde Parku. Mieliśmy jakiś ważny powód, ale nie pamiętam już jaki. I nie sądzę, by w świetle dnia miał on jakikolwiek sens. - Odwróciła się do Nancy. - Cudowne ciasto, siostrzyczko. Sama piekłaś czy dostałaś od Edny?

- John je przyniósł.

- Miło z twojej strony, John.

- Ależ gdzie tam - odparł Cramer. - To mnie jest miło, że mam takie sąsiadki. Mieszkam sam i zaczynam się martwić, że niedługo stracę zdolność do konwersacji. I, prawdę mówiąc, moja gosposia piecze takie ilości ciast, że zastanawiam się, czy nie założyć na piec jakiejś kłódki. Poza pokojem panował coraz większy zgiełk.

- Chcesz powiedzieć, że pracujesz w domu? - spytała Grace. - Czym się zajmujesz?

- Jestem dziennikarzem. Angielskim korespondentem „New York Timesa”, ale dorywczo piszę też dla innych tytułów.

- To fascynujące. Zamierzasz długo zabawić w Londynie?

- Jeszcze nie wiem. Zostanę, dopóki będzie tu dla mnie ciekawie.

Grace pociągnęła łyk herbaty i ich spojrzenia spotkały się.

- Czy w takim razie trafiłeś tu na coś, co cię interesowało?

- Na razie tak. - Nie odwracał wzroku. Czują, jakby starał się przejrzeć jej myśli. - A w przyszłości, kto wie?

- A jeśli chodzi o twojego przyjaciela z Savoya? Czy on też jest interesujący?

Nancy już miała coś wtrącić, ale wtedy dobiegły ich krzyki i płacze z korytarza - nagły wybuch agresji pośród czterolatek. Mówiąc:

„Wybaczcie mi na chwilę”, wstała i poszła przywrócić porządek.

Kiedy Grace i Cramer zostali sami, przyglądali się sobie znad stołu. Grace nie powinna oczywiście o tym wspominać, ale jakoś nie mogła się oprzeć. To było dla niej zbyt intrygujące. Zastanawiała się, co za interes może mieć Cramer do jej Diabła i czemu ten ostatni zrobił się taki wściekły, gdy tylko Cramer się pojawił. Teraz wydawało jej się prawdopodobne, że to wszystko ma coś wspólnego z dziennikarstwem. A przez to Grace robiła się jeszcze bardziej ciekawa, kim też może być jej Diabeł...

- Co konkretnie wiesz? - spytał cicho Cramer.

Grace zmierzyła go wzrokiem. Oceniała wagę informacji.

- Wszystko.

Słyszając to, rozluźnił się.

- Szczerze wątpię. - Wstał. - Miło było się z wami spotkać, ale powinienem już iść. Do piątej muszę skończyć tekst.

Sięgnął do klamki i nagle się zawahał. Znów spojrzał na Grace.

- Na twoim miejscu trzymałbym się od niego z dala.

- Czemu?

Wzruszył ramionami.

- Jeśli wiesz już wszystko, nie muszę ci chyba tłumaczyć.

Później, gdy dzieci leżały już w łóżkach, a w jadalni Catherine grała ze swoją koleżanką Clementine w remika, Grace namówiła Nancy, by wybrały się razem na wieczorny

spacer ulicami Hampstead, a potem nakłoniła ją jeszcze, by wstąpiły do Mitre. Nancy rzadko wychodziła gdzieś bez dzieci. Udawała, że ma opory przed wejściem do takiego przybytku, ale sam pomysł wydał jej się zabawny.

- Trzymaj - Grace postawiła na stoliku dwa gin fizzy. Po jej kacu nie został już nawet ślad, a poza tym bąbelki orzeźwiają, nieprawdaż? jednak węch Grace pozostał dziwnie wyostrzony. Panująca w lokalu woń wydawała jej się nieznośna. Mdły zapach wilgoci. Smród przemoczonego psa.

- Powinam cię ostrzec - Nancy pociągnęła pierwszy łyk. - Mamusia wkroczyła na wojenną ścieżkę.

- W związku z czym? - Grace rozglądała się po sali barowej. Wybrała miejsce w rogu, by widzieć każdego, kto wchodził.

- Z twoim felietonem.

- A co z nim nie tak?

- Nie mam pojęcia. Czytała go dziś rano, ten zeszytygo-dniowy, cały czas mamrocząc, a później cisnęła gazetą i wy-była, wciąż mrucząc coś pod nosem i przeklinając. Chyba sama wiesz, do czego to prowadzi.

- Dzięki za ostrzeżenie - Uśmiech Grace nieco zbladł. - Ciekawe, co ją tak zdenerwowało.

Nancy wzruszyła ramionami.

Grace grała na zwłokę, wyciągając z torebki swoją hebanową cygarniczkę i szukając ognia.

- Powinam niby recenzować restauracje i nocne kluby. Ale sądzę, że tak naprawdę robię znacznie więcej.

- Bo robisz. - Ale?

- Nie ma żadnego „ale”. Raczej nie ma. Naprawdę nie mam bladego pojęcia, co tak zdenerwowało mamusię. - Źrenice niebieskich oczu Nancy lekko się zwięziły. - Ale może...

-No?

- Cóż, piszesz tak, jakbyś zakładała, że wszyscy są tacy jak ty.

Wychodzenie co noc do najlepszych lokali, noszenie strojów będących ostatnim krzykiem mody i martwienie się wyłącznie takimi sprawami.

Piszesz, jakby tylko to było w życiu ważne, i zdajesz się sugerować, że ci, którzy tak nie żyją, są... bezwartościowi.

Grace poczuła ukłucie.

- Wcale tak nie uważam. Chyba nie myślisz tak o mnie?

- Skarbie, możesz znieść odrobinę krytyki, prawda? Twoje felietony są popularne, świetnie sobie radzisz... Ale mam wrażenie, że większość twoich czytelników nie wie o takim życiu jak ty. Czytają twój felieton pod koniec długiego, wyczerpującego dnia, gdy dzieci leżą już w łóżkach, a oni wreszcie mogą odsapnąć. Są tylko widzami. Czytanie Diamond Sharp jest dla nich jak wyjście do teatru. Albo do zoo.

- Nancy! - Chwyciła dłoń siostry. - Proszę, nie mów w ten sposób.

Gdybym tylko mogła, zamieniłabym się z tobą. Tilly i Felix...

- Ja rozumiem. Naprawdę rozumiem. - Przez twarz Nancy przemknął cień. Wyzwolila dłoń z uścisku Grace. Było widać, że przypomniała sobie o Georgeu.

Grace omiotła wzrokiem salę, szukając czegoś, co oderwałoby siostrę od jej myśli.

- Hej, Nancy, spójrz na tych dwóch przy barze. Nie, nie odwracaj się od razu.

- Co z nimi? - Nancy wyglądała w tej chwili jak uosobienie niewinności.

- Jeju, ale z ciebie durnota. Nie zwróciłaś uwagi, jacy z nich przystojniacy? Wcześniej ich tu nie widziałam.

- Grace, jesteś niepoprawna.



- No co? Oni też się nam przyglądali. Nie codziennie trafiasz na dwóch niezłych facetów. Nie w jednym lokalu, w tym samym czasie, a co dopiero siedzących razem.

- Tylko nie rób nic głupiego. Błagam. - Nancy nagle zaczęła panikować. - Wskoczyłyśmy na drinka. Mnie to wystarczy.

Grace parsknęła.

- Ależ proszę bardzo. Tylko potem nie mów, że się nie starałam.

- Nigdy bym tak nie powiedziała. Jesteś kochana, ale ja nie...

- Wiem. - Grace wciąż taksowała wzrokiem mężczyzn siedzących przy barze. Dobrze ubrani, trzydzieści parę lat. Namiętnie o czymś dyskutowali. - A co z naszym przyjacielem, Johnem Cramerem?

- Co z nim?

- Nancy, litości.

- To tylko sąsiad. Był dla mnie miły i tyle.

- Na miłość boską!

- Lubi zajmować się dziećmi. Sam ma w Stanach córkę w szkole z internatem i bardzo za nią tęskni. Jego żona zmarła parę lat temu. - Nancy zarumieniła się, mówiąc to. Zawsze się rumieniła. Nigdy nie umiała ani przekonująco kłamać, ani dotrzymywać tajemnic. W przeciwieństwie do Grace.

- Pewnie dobrze go poznałaś, co? Ile czasu z nim spędziłaś?

Nancy zacisnęła usta - jej wstyd zmienił się w gniew.

- A niby czemu nie miałabym spędzać z nim czasu? Muszę przesiadywać domu, codziennie, z mamusią i dziećmi, i raz się zdarzyło, że jest ktoś, z kim mogę inteligentnie porozmawiać albo wyjść na spacer. John Cramer okazywał mi dotąd wyłącznie uprzejmość i szacunek. Oboje jesteśmy samotni.

- Rozumiem.
- Nie patrz tak na mnie.
- To znaczy jak?

Nancy wykonała nieokreślony, dziki gest.

- Jakbyś... Jakbyś wszystko wiedziała lepiej. Grace, przypominasz teraz mamę kiedy ma zły dzień.

- To prawdopodobnie najbardziej przykra rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedziałaś.

- Cóż, zasłużyłaś sobie. - Nancy dopiła drinka. - Znasz setki facetów, którzy są tylko i wyłącznie twoimi przyjaciółmi. Czy ja nie mogę mieć choć jednego, bez tego całego unoszenia brwi i kąśliwych komentarzy? Czy chodzi o to, że ty chodzisz do pracy, a ja nie? Czy żeby móc darzyć kogoś platonicznym uczuciem, trzeba koniecznie mieć obycie w świecie? Potrzebuję przyjaciół równie mocno jak ty.

- Och, Nancy, przecież tylko się z tobą drażniłam.

- Pora żeby to do ciebie dotarło. Między mną a Johnem Cramerem nie ma nic poza przyjaźnią. - Wrócił jej dobry humor. - Ale co z tobą? Kim jest ten tajemniczy mężczyzna,

O którym ciągle wspominasz w felietonach?

- Jakie tam ciągle. Wspomniałam o nim ledwie dwa razy. Tak czy siak, nie wiem nawet, kim on jest. Na jego temat wiem tylko tyle, że między nim a Johnem Cramerem jest jakiś konflikt.

- Naprawdę? O co u licha może chodzić?

- Nie mam bladego pojęcia. - Wypiła ostatni łyk drinka i energicznie odstawiła szklankę na stolik.

- Gracie, mam nadzieję, że nie wplączesz się w coś paskudnego. Potrzeba ci porządnego faceta, przy którym mogłabyś się ustatkować. Co ci nie pasuje w starym, dobrym Dickim? Jest taki uroczy, a ostatnio prawie wcale go nie widuję.

Grace zaczęła namyślać się nad odpowiedzią, ale zdecydowała dać sobie spokój. Nancy pewnie i tak nie liczyła na wyczerpującą odpowiedź. Zerknęła w stronę baru. W miejscu, gdzie wcześniej siedziało dwóch przystojniaków, zobaczyła teraz dwa puste krzesła.

- Już sobie poszli - powiedziała. - Typowe! Faceci nie wiedzą, co dobre, nawet jak mają to przed nosem. Napijemy się jeszcze czegoś?

## ROZDZIAŁ 5

- Gracie, czytałaś kiedyś *Wizję*?

Dickie wybrał złą chwilę na telefon. Poniedziałki w Pearsons zawsze bywały gorączkowe, a dzisiejszy to już szczególnie. Grace właśnie opuściła długie spotkanie działu copywriterów, na którym byli też obaj panowie Pearson - spotkanie w stylu burzy mózgów, jakie organizowano za każdym razem, gdy inna agencja reklamowa zaczynała ich wyprzedzać. Przy okazji stracili na rzecz rywala wieloletniego klienta - zakład mięsny Pottera. Siedzieli w sali konferencyjnej jak banda skulonych ucznia-ków czekających na porządne lanie. Wszyscy z wyjątkiem Grace - jedynej copywriterki, która dość beztrąsko traktowała takie spotkania. Posyłając uśmiechy trzęsącemu się ze starości Henryemu Pearsonowi, zarazem starała się przekonać Aubreya Pearsona, że w przypadku Pottera problemem nie były błędy w kampanii reklamowej, tylko sama nazwa produktu.

- Co przychodzi nam na myśl, gdy słyszemy słowo „metka”? - zapytała zgromadzonych. - Brązowe dziadostwo w słoju, nic innego. Mnóstwo mięsnej bylejakości. Powinniśmy wymyślić dla produktu nową nazwę. Coś, co brzmiałoby

ekscytująco, pomogło produktowi zyskać własną tożsamość. Coś jak... Superlunch.

- Cudownie, panno Rutherford - odparł pan Aubrey. - Ale szukanie nazw dla produktów, które reklamujemy, nie jest naszym zadaniem. Poza tym co by nam miało dać wymyślanie nazwy dla produktu, który właśnie straciliśmy?

- Chodzi o to, byśmy wiedzieli, jak poradzić sobie następnym razem. Jak mamy działać, żeby nie tracić kolejnych klientów.

Ale oczywiście nikt nie był zainteresowany. Nigdy nie byli.

Po spotkaniu Grace zawołała do biura Margaret, swoją ulubioną stenotypistkę.

- Zapisz to, co powiem, dobra? „Drogi Franku, jesteśmy bardzo rozczarowani, że nie jesteś już naszym klientem, także z tego powodu, że już mieliśmy pomysł, jak zapewnić twojemu produktowi świeży start. Jesteśmy pewni, że moglibyśmy zrobić dla ciebie więcej niż Benson's, i sugerujemy, byś raz jeszcze przemyślał swoje działania, zanim będzie za późno. - Zatrzymała się, by pomyśleć. - Jesteśmy tak pewni swego, że mogę zdradzić ci nasz pomysł" ... Hmm, „zdradzić" chyba nie pasuje, jak uważasz?

- Niespecjalnie. - Margaret strzepnęła niewidzialny kurz ze swoich nieskazitelnie białych rękawów. - Może lepiej „ujawnić"?

- Ujawnić... Pewnie, czemu nie? Na czym skończyłam? „Jesteśmy tak pewni swego, że mogę ujawnić ci nasz pomysł. Twój produkt potrzebuje nowej nazwy: Superlunch. Jesteśmy przekonani, że również w twoim mniemaniu nazwa ta nada twojej, szczerze mówiąc nieco oklepanej, marce nową tożsamość i otworzy nowe możliwości jej reklamowania. Błagamy, przemyśl to raz jeszcze i wróć do Pearson's..."

- Nie, panno Rutherford. - Margaret przyglądała swoje ciemne, kręcone włosy, mimo że nie odstawał ani jeden kosmyk. - Proszę mi wybaczyć, ale nie chce pani nikogo „błagać”. Tak mówią zebracy.

Grace uśmiechnęła się. Właśnie dlatego lubiła Margaret.

- Oczywiście masz rację. „Prosimy, przemyśl to raz jeszcze i wróć do Pearsons. Nasze drzwi są zawsze otwarte”. - Znów się zatrzymała. - Podoba mi się to zdanie z drzwiami.

W tym samym momencie rozdzwonił się telefon. Grace skinęła na Margaret, żeby odebrała.

- Biuro Grace Rutherford. - Położyła dłoń na słuchawce. - Richard Sedgwick do pani.

- Gracie, czytałaś kiedyś *Wizję*?

- Chyba wszyscy już to czytali.

- Bo chciałbym, żebyś zrobiła wywiad z Dexterem O'Connelllem dla „Heralda”.

Grace wyprostowała się.

- Serio?

- Chcę, by to wyglądało jak zapis rozmowy między O'Connelllem a Diamond Sharp. Wstaw tam te swoje shar-pizmy. I nie miej dla niego litości. Rozumiesz?

- Oczywiście. - Grace uśmiechała się od ucha do ucha. - Jak cudownie. Ja rozmawiająca z Dexterem O'Connelllem.

- Jest w Londynie. Plotki mówią, że właśnie skończył nową powieść: arcydzieło, o którym opowiadał od lat.

- Mam go o to spytać?

- Tylko tego nie zepsuj. On prawie nigdy nie udziela wywiadów. Ten będzie na wyłączność. Jak dobrze pamiętasz *Wizję*?

Grace podrapała się po głowie.

- Cóż, przeczytam oczywiście jeszcze raz. To było całe wieki temu. Jeszcze w szkole...

- Nie ma na to czasu. Spotykasz się z nim dziś wieczorem.

- Dziś!? Ależ nie mogę... Mam plany i... - Ale Grace już w myślach zmieniała plany na wieczór. - Dobra. Niech będzie dziś wieczorem. Szkoda tylko, że niespecjalnie pamiętam tę książkę.

Margaret zaczęła coś gadać. Grace odwróciła się od niej, lekko zdenerwowana.

- W Tour Eiffel o ósmej - powiedział Dickie. - Stolik jest zarezerwowany na jego nazwisko.

- Znowu Tour Eiffel... Masz chyba obsesję na punkcie tego lokalu, Sedgwick.

- To jego wybór. Potrzebuję tego tekstu na jutro. Dwa tysiące słów powinno wystarczyć.

- Patrzcie go! Wcale nie wymagasz zbyt wiele, co?!

Margaret znów marudziła jej nad uchem, klepiąc ją na dodatek w ramię. Grace popatrzyła na nią spode łba i odsunęła się.

- Oczaruj go - w głosie Dickiego pobrzmiwała dziwna nieśmiałość. - Użyj każdego ze swych kobiecych forteli. Chcę, żeby ten artykuł był bardzo osobisty. Intymny.

- Boże, Dickie, za kogo ty mnie uważasz?

- Dobrze wiem, jaka jesteś, Grace - teraz jego głos brzmiał nieco delikatniej. - I wiem też, że wyciągniesz z niego wszystko, co najcenniejsze. Poślę ci do biura chłopca z egzemplarzem *Wizji*, w razie gdybyś jednak znalazła trochę czasu na czytanie. Razem z tym dostaniesz też wszystkie nasze materiały na temat O'Connella.

- Świetnie. - Grace starała się mówić szorstkim, oficjalnym tonem. - Ach, i jeszcze jedno, Dickie. Dzięki za taką szansę.

- To nie mnie powinnaś dziękować - w jego słowach słychać było złość. - To O'Connell wybrał ciebie. Powodzenia. I uważaj. Facet ma nieciekawą reputację.

- Na razie, Dickie. - Grace odłożyła telefon na widełki i odwróciła się do Margaret.

- Panno Rutherford...

- Skończmy to, zanim stracę wątek, dobra? - odchrząknęła. - Zaraz, na czym to stanęłam?

Margaret przeczytała fragment z karki.

- Ach, więc już niemal skończyłyśmy. Podpis pana Aubreya Pearsona i „wszystkiego dobrego” czy czego on tam zazwyczaj życzy.

Margaret rozdziawiła usta.

- Wysyła to pani w imieniu pana Pearsona?

- Dokładnie. - Grace popatrzyła jej w oczy. - To będzie nasza tajemnica, dobra? Nie przejmuj się. jeżeli wpadniemy w kłopoty, biore wszystko na siebie. Nie doniosę na ciebie.

- Ale panno Rutherford... -Tak?

Margaret żuła końcówkę ołówka.

- Lepiej żeby list był od pana Henryego Pearsona. On zna Pottera lepiej. I jeśli to zadziała... Myślę, że będzie zadowolony. Pan Aubrey będzie wściekły, obojętne, czy to się uda, czy nie.

Grace gapiała się na jej nieprzeniknioną twarz, na jej okulary w czarnych, grubych oprawkach.

- Masz absolutną rację.

- Grace. - Margaret chyba zapomniała, na jakim jest stanowisku. - Czemu to robisz? Przecież możesz stracić tę robotę!

Grace postanowiła powiedzieć jej prawdę.

- Bo mam mnóstwo obowiązków. Nawet zbyt wiele. Czasami mnie one przygniatają. I właśnie wtedy, gdy powinnam być szczególnie ostrożna, mały diabełek wskakuje mi do głowy i po prostu nie chce się uciszyć.

Pojawia się od czasu



do czasu, żeby narobić kłopotów. A gdy już się pojawi, nie mogę na to nic poradzić.

Margaret przez chwilę namyślała się nad tym, co usłyszała, a potem w milczeniu skinęła głową. W końcu powiedziała.

- Czytałam *Wizję* osiem razy. Czytałam wszystko, co napisał Dexter O'Connell. Jego powieści, jego opowiadania i eseje. Trzykrotnie słuchałam, jak on sam czytał swoje teksty. Jeżeli zabierzesz mnie o pierwszej na miły lunch, opowiem ci wszystko, co wiem.

## ROZDZIAŁ 6 PICCADILLY HERALD

25 kwietnia 1927

### **Diamond Sharp versus Dexter O'Connell Ekskluzywny wywiad „Piccadilly Herald”**

*Raz na jakiś czas spotykam mężczyznę, który jest prawdziwie, oszalamiająco, dziko i, tak, wręcz bluźnierczo przystojny. Aż ślinka cieknie. Do wszystkich dziewczyn, które kilka lat temu obgryzały paznokcie, wczytując się nocami w powieść Wizja: wreszcie mogę potwierdzić, że jej niesławny autor, Dexter O'Connell, jest istnym cudem amerykańskiej męskości. Tak, amerykański to odpowiednia szufladka. Bo kiedyż to ostatnio spostrzegłyście wśród naszych przemiłych angielskich chłopców kogoś o tak niesamowicie szerokich ramionach i równie umięśnionej klatce piersiowej? To ciało (czy ktokolwiek ma odwagę, nawet w tych oświeconych czasach, dywagować w druku na temat męskiego ciała?), cóż, to ciało z gatunku tych, których po prostu nie sposób zignorować. Pewnie, że wiele zyskało na tym, że było przyodziane w świetny, szyty na miarę garnitur (jedwab i bawełna*

*w odcieniach szarości, bez wątpienia z Savile Row, czy jak tam się nazywa jego nowojorski odpowiednik), jeden z takich, które potrafią wydobyć zalety każdego ciała, nawet najprzeciętniejszego, ukrywając jego niedostatki dzięki różnym kosztownym sztuczkom. Ale ta autentyczna, postawna, atletyczna wspaniałość nie wzięła się jedynie z dobrze skrojonego garnituru, możecie mi wierzyć, dziewczęta.*

*To akurat ciało, jeśli mogę coś dodać, stanowi końcowy rezultat wszystkich uprawianych na amerykańskich uniwersytetach sportów {O'Connell studiował w Yale). Jak również krótkiej, ale fizycznie wymagającej służby w Ambulance Corps w czasie wojny {owszem, O'Connell jest jednym z tych rodzyneków, którzy najwcześniej przybyli do Europy, by walczyć u boku naszych mężczyzn). Wzięło się także z szeroko pojętego południowego wychowania, w skład którego wchodzi domowa kuchnia z jej „polentą, „succotashem" i wszystkimi „klopsami" (choć brzmia mało apetycznie, coś w nich musi być).*

*Nie wolno nam też zapominać o twarzy: o ustach skorych do uśmiechu, rzymskim profilu, kokieteryjnych blond włosach, czystej, zimnej przenikliwości niebieskich oczu, które zdają się nie zwracać na ciebie uwagi, dopóki nie padniesz ofiarą ich bystrego spojrzenia.*

*Kłopot w tym, że niespecjalnie lubię przystojnych mężczyzn. Za grosz im nie ufam.*

*Usadowił się przy najlepszym z narożnych stolików -tam gdzie siedział także tej nocy, gdy się poznali. Zauważyła go kilka sekund przed tym, zanim uniósł wzrok i ją dostrzegł. Ledwie parę sekund, ale to wystarczyło, by zdołała nadać twarzy wyraz chłodnego opanowania. Wystarczająco długo, by uzyskała przewagę wynikającą z tego nagłego*

odkrycia - gdy więc wreszcie na nią spojrział, to o n, a nie ona, wyglądał na zdenerwowanego.

- Panno Sharp. - Wstał i ujął jej dłoń, całując ją z szarmancją, która wydała jej się groteskowa, a następnie, wciąż stojąc, zmierzył ją wzrokiem, od którego natychmiast zaczęła tracić zyskaną przed momentem pewność siebie. Jej sukienka - z kwiatowym nadrukiem, lekko przezroczysta, wskazująca na to, że pod spodem znajduje się prosta, jedwabna halka - była zbyt zwiewna jak na taką okazję. Gdyby Grace miała na to czas, poszłaby do domu przebrać się w czarny kostium od Chanel i szklane koraliki.

- Dobry wieczór, panie O'Connell. Czy ten cały fortel ma mi pochlebiać?

- To znaczy, że nie czuje się pani skomplementowana? Usiadła wreszcie, a on zrobił to samo.

- Zaaranżowałaś sytuację, w której cała uwaga skupia się na tobie, sytuację, w której ja mam odgrywać rolę podrzędną. Czemu niby miałabym czuć się dobrze w takiej sytuacji?

- Cóż, można na to patrzeć i w ten sposób. A może po prostu chciałem cię znowu zobaczyć. Powiesz mi wreszcie, jak się naprawdę nazywasz? Nie odpowiadając, zaczęła przetrząsać swoją torbę w poszukiwaniu notesu i pióra, by wreszcie wyjąć je z ostentacją.

- Dobrze zatem - westchnął. - Ale czy nie uważasz, że cała ta potyczka jest nieco męcząca?

- Biedny Dexter. Aż tak strasznie jesteś zmęczony? - Otworzyła swój notes.

Potrząsnął głową.

- Panno Sharp, w ten sposób nic z tego nie wyjdzie.

- Naprawdę?

- Nie. - Wyciągnął rękę i zabrał jej notes i pióro.

Tuż obok stał Joe, kelner, który przyszedł podczas ich rozmowy.

- Dobry wieczór, panie O'Connell. Czy mogę ośmielić się zaoferować państwu chateaubriand? Podajemy go z ziemniakami i fasolą szparagową.
- Brzmi wspaniale - odparł O'Connell. - I przynieś nam butelkę czerwonego, co, Joe? Twój wybór, byle było dobre.
- Przepraszam - wtrąciła Grace. - Czyja nie mam tu nic do gadania?
- Nie. Odgrywasz dziś rolę podrzędną, pamiętasz? Weźmiemy średnio wysmażony stek, Joe. I byłbyś tak miły, by zaopiekować się tym? - spytał, podając kelnerowi notes i pióro Grace.
- A teraz - podjął rozmowę, gdy kelner ich opuścił. -Jeżeli nie chcesz mi powiedzieć, jak się nazywasz, to może chociaż opowiedz coś ciekawego na swój temat.
- Na przykład?
- Na przykład czemu nie jesteś mężatką?
- *Pisarze są odrażający - oświadczył O'Connell, gdy siedzieliśmy w Tour Eiffel nad przypominającym podeszwę cha-teaubriandem. (Przykro mi, panie Stulik, ale naprawdę taki był. Pański szef kuchni powinien ograniczyć ustępstwa na rzecz klienteli angielskiej i jej upodobania do dań bien-cuit i zaznajomić się lepiej z kuchnią francuską. Ziemniaki, dla odmiany, były niedogotowane. W przypadku innych warzyw rzecz jeszcze do wybaczenia, ale ziemniak i?) -Robimy okropne rzeczy bohaterom naszych powieści - tłumaczył O'Connell. - Bacznie ich obserwujemy, a potem naciskamy tak, by sprostali naszym zamiarom. Kończą jako odbicia w krzywych zwierciadłach. Pisanie to okrutny biznes.*

*Spytałam go, czy ta zasada ma zastosowanie dla kreacji Véronique z Wizji, czy pierwsza nowoczesna kobieta O'Connell była krzywym odbiciem kogoś, kogo znał.*

*- Oczywiście - odparł. - To była dziewczyna, którą kiedyś kochałem i która zламаła mi serce. W Wizji tkwi więcej pasji niż w czymkolwiek innym mojego autorstwa. Dlatego to moja najlepsza powieść. Ta pasja była też oczywiście bezlitosna. Pełna nienawiści. Lecz nie przestawała być pasją. Spytałam go, co się stało z tą dziewczyną, która zламаła mu serce. Wzruszył ramionami.*

*- To już nie ma znaczenia. - Gdy wypowiadał te słowa, jego twarz nie była wcale przystojna, była brzydka.*

*- Nie wierzę, że nikt dotąd nie poprosił cię o rękę. - O'Connell nabrał pełen widelec fasoli i wsunął go do ust, nawet jej nie krojąc.*

*- Nie obchodzi mnie, czy wierzysz, czy nie. Taka jest prawda. - Grace męczyła się ze swoją wołowiną. W ustach miała strasznie sucho, obojętne, ile by wypła. Ledwie mogła przełykać, więc tylko żuła i żuła, jak krowa, i każdy kęs musiała popijać dużymi ilościami wina. Nie cierpiała być tak zdenerwowana.*

*O'Connell wydawał się zdeterminowany, by pociągnąć temat do samego końca.*

*- Musiał ktoś być. A co z twoim redaktorem? Nazywa się Sedgwick, prawda?*

*- Jesteśmy tylko przyjaciółmi.*

*- I sądzisz, że on też tak to widzi?*

*- Nie wiem. Póki zachowuje swoje uczucia dla siebie, nie muszę się o to martwić.*

Na twarzy O'Connella pojawił się uśmiech, który jednak nie znalazł odbicia w jego oczach.

- Nie zapominaj, że widziałem was razem. Powinnaś była słyszeć jego głos, gdy zażądałem, byś to ty zrobiła ze mną wywiad.

- Jeśli nawet masz rację, no to cóż, pech.

Nadział na widelec kawałek wołowiny, ale tylko siedział z nim, nie biorąc go do ust, więc w końcu wzrok Grace spoczął na jego dłoni. Miał na palcu srebrny pierścień. Rękę porastały złotawe włoski.

- Twarda z ciebie kobieta - powiedział. - Kto sprawił, że stałaś się właśnie taka?

- Był ktoś. I ten ktoś umarł. Nic w tym niezwykłego, prawda? Nie w tych czasach. Nie w tym kraju. Każdy stracił kogoś bliskiego i to nie powód, by zgrywać, jak mówisz, „twardą”. Może zawsze taka byłam.

- Próbujesz rzucić mi wyzwanie? - Wciąż miał na widelcu ten sam kawałek wołowiny.

- Co masz na myśli?

- Chcesz, bym postarał się przebić przez ten twój pancerz? Żebym otworzył cię wreszcie, jak puszkę sardynek?

- Nie potrafisz znaleźć bardziej subtelnego porównania? W końcu jesteś pisarzem. Jeśli liczysz na jakiś romans, postaraj się być bardziej poetycki. Lekko nachylił się w jej stronę.

- Daj spokój. Chyba nie interesuje cię to całe owijanie w bawełnę, co? Chcesz ode mnie czegoś innego.

- Serio? Czego niby mogę od ciebie chcieć?

- Pragniesz, by ktoś cię poznał. Naprawdę poznał.

- Och. A już myślałam, że wreszcie powiesz coś ciekawego. O'Connell zaśmiał się, a potem wreszcie wsunął mięso do ust i zaczął je żuć. Grace przyglądała się jego wargom. Myślała o nich. O tym, jak mogą smakować.

- Po ukazaniu się *Wizji* zaczęło się szaleństwo - powiedziała Margaret. Siedziały przy lunchu, jedząc rybę w Carltonie. - Nagły przyptyw ogromnej gotówki. Sama wiesz, jak to jest.

Tak jakby którakolwiek z nas mogła mieć o tym pojęcie, pomyślała Grace, bawiąc się sałatką.

- Samochody. Kobiety. Imprezy. Bójki. Zaczęto wyrzucać go z hoteli. Dostał nawet zakaz wjazdu do jakiegoś miasteczka w Pensylwanii, chyba około 1920 roku. Raz go aresztowano, we Francji. Gdzieś na Riwierze. Zaczęło się od bójki z właścicielem restauracji. Pięści poszły w ruch, potłukło się parę talerzy. Później, gdy już wyrzucono stamtąd O'Connella i jego przyjaciół, wspiął się na szczyt jakiegoś pomnika i tam zaczął wydzierać się i śpiewać. Nie chciał stamtąd zejść. W końcu policja musiała przynieść drabinę i ściągnąć go siłą. Wpłacił kaucję i oczywiście było po kłopotach.

- Oczywiście.

- Była też kobieta... Henrietta, czy jakoś tak. Była z nim we Francji tamtego lata. Mężatka, żona senatora, jeśli dobrze pamiętam. Wybuchł niezły skandal. Ona posłużyła za wzór postaci Heleny Doherty z jego trzeciej powieści, *Helena i piekło*. Czytałaś to?

- Czytałam tylko *Wizję* - odparła Grace. - Co się stało z Henriettą?

- Wróciła do męża - odparła Margaret. - O'Connell dostał za to niezłe baty w prasie. Ludzie byli zazdrośni. O pieniądze. O to, jak żył. O wszystko. A potem nagle się uspokoił.

Skończyła jeść rybę i zaczęła oglądać się na wózek z deserami. Grace wezwała kelnera, ale sporo czasu zabrało jej dokonanie wyboru między ciastkami z kremem a szarlotką



bądź torcikiem z czekoladą i bitą śmietaną. W końcu zdecydowała się na torcik.

- Mówiłaś, że się uspokoił? Co przez to rozumiesz?

- Po prostu. Ludzie mówili, że się wypalił. No wiesz, pisano o tym w gazetach i w ogóle. *Niesforny syn* i *Helena i piekło* nie poradziły sobie zbyt dobrze. Nie mogły się równać z *Wizję*. Krytycy ich nie polubili i nie sprzedawały się w tak dużym nakładzie. Mnie się podobały, ale ja nie jestem taka jak większość. Wszyscy chcieli, żeby napisał kolejną *Wizję*. Może, koniec końców, zaczął się tym przejmować. A może po prostu skończyły mu się pieniądze, nie wiem. Ale tak jakby zniknął. Nagle ucichły wszystkie te opowieści o jego życiu podrywacza. Nikt nie wie, czym się przez ostatnie lata zajmował. Od czasu do czasu pojawiały się plotki, że napisał coś nowego. Bo przecież na to wszyscy czekają. Ludzie oczekują, że wykorzysta swój potencjał, stworzy wreszcie swoje *opus magnum*. Wszyscy mają nadzieję, że właśnie tym się ostatnimi czasy zajmuje. A teraz ty będziesz miała okazję to sprawdzić. Naprawdę go poznasz, będziesz z nim sam na sam!

*Przez ostatnie pięć lat, od czasu opublikowania jego trzeciej powieści, Helena i piekło, Dexter O'Connell milczał. Żadnych powieści, żadnych opowiadań, żadnych artykułów czy recenzji. Przez niemal całą poprzednią dekadę nie było wręcz tygodnia, żeby O'Connell nie wypowiadał się głośno, efektownie i stylowo w jakiejś znaczącej publikacji. Nie było miesiąca bez protestów przeciw jego „demonicznym” dziełom ze strony Ligi Matek Wisconsin, Teksasńskiego Kościoła Zaginionych Dzieci bądź innej bandy dziwaków.*

*Niektórzy podejrzewali, że się już wypalił i straciwszy wszystkie pieniądze, zapuścił korzenie w barze jakiegoś taniego francuskiego hotelu, by wzdychać za utraconą sławą.*

*Inni widzieli go raczej zamkniętego na jakimś poddaszu, w osamotnieniu piszącego swoje opus magnum - być może walącego głową w biurko, bo wciąż mu nie wychodziło, nie mógł odzyskać tej magicznej siły, która sprawia, że pisanie jest równie łatwe jak śmiech.*

*I oto nagle jest. Jedząc tykawatą wołowinę z waszą najdroższą niżej podpisaną. Emanuje z niego zadowolenie i spokój. Jego dłonie nie drżą. Wcale nie wygląda jak człowiek wracający z wygnania. Ale czy powie mi na uszko choćby słowo o tym, co robił przez cały ten czas? Czy powie, do licha!?*

*- Tak, piszę nową powieść - odpowiada niechętnie, ulegając w końcu roztaczanemu przeze mnie czarowi i namowom na zwierzenia (a nie muszę wam chyba mówić, jaka jestem czarująca). - Me, jeszcze jej nie skończyłem. Ale skończę, prawdopodobnie w ciągu kilku miesięcy. Przyjechałem tu, żeby popracować nad rozdziałami osadzonymi w Londynie. Można powiedzieć, że to kontynuacja Wizji, choć słowo kontynuacja brzmi w tym przypadku lekceważąco. Ci bohaterowie pozostali ze mną. Stanley zyskał kilka siwych włosów, tak samo zresztą jak ja (nie martwcie się, dziewczyny, nie dostrzegłam w jego włosach nawet jednego siwego pasma. Jestem też pewna, że ich złoty odcień nie jest efektem farbowania. To całe gadanie o starzeniu się można włożyć między bajki), a Véronique zyskała pewnego rodzaju grację, którą można dostrzec u nieco starszych, lecz wciąż pięknych kobiet. Jej szalona figlarność wyewoluowała w coś bardziej wyrachowanego. Pytanie brzmi, czy pod tą całą przebiegłością kryje się coś czulego. To właśnie fascynuje mnie najbardziej w Véronique.*

*Jak sam przyznaje, musiało upłynąć sporo czasu, zanim poczuł się gotowy, by powiedzieć coś więcej o Stanleyu i Véronique. Ich historia musiała dojrzeć w jego umyśle, gdy tymczasem jego własna opowieść toczyła się dalej. Dorastali wraz z nim, musieli jednak poczekać, aż zyska nowy punkt*

*widzenia i zdoła połączyć ich doświadczenia z własnymi. Teraz, po tych wszystkich latach, po tym całym rozrabianiu i późniejszym zamilknięciu, wreszcie jest gotów dać nam książkę, na którą od tak dawna czekaliśmy.*

Butelka dobrego czerwonego wina zrobiła swoje i Grace zaczęła się wreszcie rozluźniać. Gdy przybyli do Armagnaca była już zupełnie zrelaksowana i nawet zrobiła się nieco gadatliwa. Opowiadała O'Connellowi o tym, że mężczyźni w powieściach są znacznie bardziej atrakcyjni niż mężczyźni na dużym ekranie.

- Ogranicza ich rzeczywistość - mówiła, gestykułując swoją cygarniczką.

- Kiedy czytasz książkę, możesz wyobrażać sobie głównego bohatera, jak tylko ci się podoba. Możesz uformować go tak, by odpowiadał twoim gustom. Kamera potrafi przekształcić aktora w bohatera, ale nie zdoła uczynić już niczego więcej. Z mąki, jajek, cukru i masła mogą zrobić biszkopta, ale nie uda mi się stworzyć idealnego francuskiego croissanta, nieważne jak bardzo bym się starała.

- A przecież wszyscy czytelnicy twoich felietonów wiedzą, że bardzo lubisz croissanty.

- Ciiiiii, nie przerywaj. - Kolejne machnięcie cygarniczką. - Jeszcze nie skończyłam. Za rok czy dwa aktorzy wreszcie przemówią. Wtedy nawet ich głosy nie zostaną pozostawione naszej wyobraźni. To sprawi, że staną się tylko bardziej pospolici.

- Myślisz, że to wypali? Gadające filmy?

- Och, z pewnością - odparła Grace. - Wspomnisz jeszcze moje słowa. I zobaczysz, ile karier runie z hukiem. Filmy dźwiękowe będą wymagały zupełnie innego rodzaju aktorstwa. Wielkimi gwiazdami przyszłości zostaną najlepsi angielscy aktorzy teatralni, sam zobaczysz.

- Wszystko już sobie obmyślałaś, prawda? - O'Connell wetknął cygaro do ust.
- Nie wstydę się głośno wygłaszać własnych opinii. Tak mnie wychowano. Mamusia i tatuś zawsze zachęcali nas, by myśleć niezależnie.
- Nas?
- Mnie i siostrę.
- Ach tak, stara śpiewka. Diamond i Sapphire... Ale myśli Grace biegły już swoim torem.
- Może właśnie dlatego jestem niezameżna. Bo jestem kłótliwa. Nie pozwalam facetom robić z siebie popychadła. Pewnie przez to wydaję się nieco niesforna.
- Cóż, nic nie wiem o tym, żebyś była popychadłem. Ale może masz ochotę wyjść stąd i potańczyć trochę w jakimś modnym lokalu? Czy to przemówi do twojej specyficznej i całkowicie niezależnej jaźni?
- A pewnie! - I zanim zdołała to zahamować, podekscytowanie rozjaśniło jej twarz jak dziecku.
- Ma cudowny głos. - Margaret miała na końcu nosa trochę bitej śmietany. Grace starała się zwrócić jej na to uwagę, ale tamta wydawała się przebywać w innym świecie, całkowicie pochłonięta opowiadaną historią. - Melodyjny, wiesz, co mam na myśli? Pisarze nie zawsze są dobrymi czytelnikami. Te dwie rzeczy nie muszą przecież iść w parze. Ale O'Connell... On ma klasę. Można bez trudu wyobrazić go sobie na scenie. To jasne, że jest kimś. Gdyby nie był pisarzem, byłby znany z innego powodu.
- Lepiej poproszę o rachunek. - Grace rzuciła okiem na zegarek. - Musimy już wracać.
- Strasznie ci zazdrozczę! - Margaret bacznie przyglądała się Grace zza swoich okularów. - Często sobie wyobra-

żałam, że wpadam gdzieś na niego. I że on patrzy na mnie i mówi...

- Tak właśnie było ze mną. - Grace uśmiechnęła się. - Wpadłam na niego. Ale Margaret wcale jej nie słuchała.

- Pewnie nigdy nie będę bliżej niego niż teraz. To znaczy niż podczas tego lunchu. Gdy w końcu przeczytam twój wywiad i rozpoznam w nim własne pytania... Wszystko to, o czym ci mówiłam... To będzie zupełnie tak, jakbym sama z nim rozmawiała, tyle że poprzez ciebie. Jakbyś ty była medium dla dwojga naszych duchów.

- O rany. - Grace znów popatrzyła na zegarek.

- Przepraszam, Grace. - W tamtej znów odezwała się przesadna zażyłość.

- Ale jego książki są dla mnie po prostu wszystkim.

- Och, świetnie. - Na stole pojawił się rachunek i Grace zaczęła przetrząsać torebkę.

- Kiedy go opublikują? To znaczy ten artykuł. To będzie zabawne, zobaczyć twoje nazwisko w gazecie. „Wywiad przeprowadziła Grace Rutherford”. Wyobraź sobie, co powiedzą u Pearsona!

- Ach. - Grace wyjęła głowę z torebki. - Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. To tajemnica.

- Naprawdę? Powiedz. Możesz mi zaufać.

- Cóż, chodzi o to, że felietony do „Heralda” piszę pod pseudonimem... Margaret wciąż miała na nosie bitą śmietanę. Całkiem możliwe, że zostanie tam ona przez resztę dnia.

Jego charleston robił wrażenie - ale czy mogło być inaczej? O'Connell, wynalazca Nowoczesnej Kobiety, zły chłopiec literatury amerykańskiej, partner do tańca wszystkich

tych obwieszonych biżuterią ślicznotek, których otyli mężowie mogli tylko patrzeć na to z zazdrością. Grace nawet przez myśl nie przeszło, by i on musiał brać lekcje u Tee-nie Weenie. W klubie Lido tak nią obracał, że ledwie czuła podłogę pod stopami. Sprawił, że poczuła się nieważka. Jej uczucia też stały się nieważkie. Tańczyli, a ona śmiała się i śmiała. Dexter też miał na twarzy uśmiech i wyglądał przez to jak młody chłopak - taki, jakim był, kiedy wyczarowywał postać Véronique.

W końcu, rozczochrani i z zawrotami głowy, zeszli z parkietu i wrócili do swojego stolika (Manny Hopkins, właściciel lokalu, widząc ich, przepędził szybko siedzących tam ludzi), skąd mieli dobry widok na orkiestrę i dzisiejszego gościa specjalnego - piosenkarkę, Violet Lamore. O'Connell poprosił kelnera o szampana.

Grace odwróciła się do niego i powiedziała.

- Świątujemy coś dzisiaj? Czyżbyś skończył swoją nową powieść?

Jego twarz spochmurniała.

- Dexter, przeprowadzam z tobą wywiad dla gazety. Muszę przecież pytać o tę powieść.

- Ach, tak - odparł. - Wywiad. Zupełnie o nim zapomniałem.

- To był twój pomysł.

- Nie należy do moich najlepszych.

- Dickie podejrzewał, że mogłeś już skończyć powieść.

- Naprawdę?

Zamilkli, gdy kelner przyniósł szampana.

Rozległ się aplauz. Violet Lamore podeszła do mikrofonu. Była niska i chuda jak patyk, lecz gdy zaczęła śpiewać, jej głos okazał się niezwykle głęboki i donośny, pobrzmiewała w nim nutka rozpacz. O'Connell wpatrywał się w nią, wyraźnie poruszony.

Sącząc szampana, Grace obserwowała, jak O'Connell przygląda się piosenkarce. Spędziła w jego towarzystwie już bite pięć godzin. Wkrótce ten wieczór się skończy i będzie musiała wracać do Hampstead. Z powrotem do rodziny, do monotonnej szarzyzny życia. Musiała jakimś cudem znaleźć czas, by między kilkoma godzinami snu a pracą u Persona napisać wywiad do gazety. Poskłada go jakoś, mimo że ten wieczór wypełniony był flirtowaniem i słownymi pojedynkami, podszytymi jakąś dziwną intensywnością - wrażeniem, że na głębszym poziomie znaleźli nic porozumienia. Oboje wiedzieli, że robią to, co powinni.

A może ta nic porozumienia była jedynie jej wyobrażeniem? Może tylko życzyła sobie, by tak było?

- Te ostatnie lata... Gdy milczałeś...

- Ach. Więc znów wracamy do wywiadu. - Przewrócił oczami. -

Powinienem być po prostu zaprosić cię na randkę, jak każdy normalny facet.

- Ukrywałeś się przed światem, bo nie chciałeś, by świat miał cię w garści. Czułeś się uwięziony w tym byciu Wielkim Pisarzem. W byciu Złym Chłopcem. Wszyscy wiedzieli, kim jesteś, i z początku podobało ci się to, ale później przestało. Musiałeś uciec, by pozostać sobą. Nie wiem, gdzie byłeś przez cały ten czas ani co robiłeś, ale o to właśnie chodziło. Jego rysy wygładziły się. Położył dłoń przy jej dłoni, tak, że dotykali się opuszkami palców.

- Jesteś równie bystra jak piękna. Jęknęła.

- Słyszeć z twoich ust coś tak banalnego... to rozczarowujące.

- Przepraszam, że cię rozczarowuję. - Jego palce wciąż dotykały jej palców. Tylko koniuszkami, ale to wystarczyło. - Jestem tylko człowiekiem.

- Tak czy owak, wcale nie jestem piękna. Nieźle się ubieram. Wiem, jak podkreślić swoje atuty. Wiem, gdzie ściąć włosy. Ale uroda nie jest moją najmocniejszą stroną. Jestem o wiele bardziej bystra niż piękna. -

Westchnęła mimowolnie. Bardzo chciała pochylić głowę i położyć ją na jego ramieniu. Poczuć, jak Dexter gładzi jej włosy.

- Pytałaś o powieść. Cóż, nie ma żadnej powieści. Niewiele już ze mnie zostało. Nie po tym... Po tych paru latach.

- Czyżby dopadł cię kryzys twórczy?

- Niezupełnie. Problem leży we mnie i dotyczy czegoś innego. Muszę zacząć poznawać inne życie. Coś odmiennego od tego, czego doświadczałem. Coś, co stałoby się paliwem dla mojego pisarstwa.

Violet Lamore zaczęła kolejną piosenkę. Mroczną pieśń o niekończącej się nocy.

- Co w takim razie mam napisać w wywiadzie?

- Pisz, co chcesz. - Teraz jego dłoń zbliżyła się bardziej, obejmując jej dłoń. - Napisz to, co czytelnicy chcą usłyszeć. Nigdy nie wiadomo: może za jakiś czas to w końcu okaże się prawdą.

Ciepło jego dłoni. Melancholijny śpiew. Powietrze przesiąknięte wonią drinków. Jego jasne oczy i coś kryjącego się za nimi, lecz nieuchwytnego.

- Nie chcę, by ten wieczór się skończył - powiedziała bez namysłu. - Nie chcę wracać do domu.

Uśmiechnął się.

- Więc tego nie rób.

*Jedząc deser w towarzystwie Dextera O'Connella, uświadomiłam sobie, że czuję się dość dziwnie. On jest nie tylko autorem powieści. Jest też twórcą fenomenu. Jestem jak Potwór*



*jedzący w towarzystwie Doktora Frankenstein (choć jestem świetnie ubranym potworem o nienagannych manierach). Nie zrozumcie mnie źle: jeszcze przed ukazaniem się Wizji istniały nowoczesne kobiety, to rzecz oczywista. O'Connell nie jest odpowiedzialny za fakt, że każdej nocy chodzę na tańce, tak samo jak nie można za ten stan rzeczy winić Louise Brooks, Clary Bow czy Coco Chanel i rewolucji prêt-à-porter (mimo że - i tu się pewnie zgodzicie, dziewczęta - stroje na ulicach i w katalogach są obecnie znacznie bardziej stylowe). Jednak to O'Connell, już w swoim pierwszym opowiadaniu, wprowadził do obiegu termin „kobieta nowoczesna”. To O'Connell zwrócił uwagę wszystkich tych pełnych dezaprobaty, a jednocześnie potajemnie zafascynowanych elegancików na to zjawisko. Zauroczyła ich zbuntowana, dwulicowa Véronique. Także Helena, z jej nieszczęśliwym małżeństwem i szatańskimi pomysłami. Tak jak i żywiołowa Georgia z Niesfornego syna. Apóźniej były jeszcze bohaterki jego opowiadań: dziewczyny z włosami obciętymi na pazia, puszczające kantem swoich narzeczonych, przyćmiewające swoje rówieśniczki, tańczące całymi nocami, pijące i palące. Te dziewczyny wiedziały, co to znaczy dobrze się bawić. I właśnie tego wielu spośród nas brakowało, nieprawdaż? Zanim zdążyłyśmy się ustatkować i zacząć rodzić dzieci (mam na myśli te z nas, które zdołały znaleźć męża). Żyłyśmy życiem na pełnych obrotach.*

*Gdy przedzierałam się do tortu pavlova (dla niewtajemniczonych: jest to nowy, pochodzący z antypodów deser, przypominający górę pokrytą śniegiem. Został tak nazwany na cześć primabaleriny, a robiony jest z ubitych białek jaj wymieszanych z ogromnymi ilościami cukru), zaczęło do mnie docierać, że bez Dextera O'Connella pewnie nie byłoby Diamond Sharp. Cóż za dziwna myśl. Można dlatego właśnie chciał, by to Moja Skromna Osoba przeprowadziła z nim wywiad.*

*Żegnamy się ze sobą przed restauracją. Potrząsa moją dłońią w wielce oficjalnym geście. Jego uścisk jest mocny i godny zaufania.*

*Zaufać mu? Nie ma mowy. Z mężczyznami takimi jak Dexter O'Connell wcale nie o to chodzi. Nie tego od nich chcemy i nie to pragną nam dać. Tacy jak on stanowią ucieleśnienie pełnej przepychu, olśniewającej dekadencji, której echo pobrzmiewa w jego opowiadaniach. Niektóre z nas mogłyby śnić o takim życiu, gdybyśmy tylko miały na nie szansę, ale nie powinniśmy zapominać, że opowiadania O'Connella rzadko kończą się szczęśliwie. Legendy na temat pięciu „straconych” lat pisarza i smutek czający się w jego oczach mówią nam, że tym właśnie jest ten sen. Wizją. Pocałował ją na ulicy. W deszczu, w ciemnościach. Było już po trzeciej, szukali taksówki. Byli gdzieś w Bloomsbury. Skryli się przed deszczem - z każdą chwilą bardziej ulewnym - pod sklepową markizą. O'Connell chwycił Grace za ramiona i przyciągnął do siebie.*

*Chciała tego przez cały wieczór - tej bliskości. Chciała czuć jego ciało przyciśnięte do swojego. Zamknęła oczy i poddała się pocałunkowi. Pragnęła, by stał się wszystkim, by reszta jej świata nagle odpłynęła, choćby na moment. Jego ręce na jej plecach - tak silne i rzeczywiste. A jego usta... Lecz nagle odsunął się od niej.*

- Wiesz, chyba nigdy się nie dowiem, jak to jest całować dziewczynę, nie musząc się przy tym schylać. Wysoki wzrost rodzi takie problemy.

- Stanęłabym na stopniu, gdybyśmy tylko jakiś znaleźli. Zaśmiał się.

- Zapomnijmy o schodkach. Chodźmy do mojego hotelu. Możesz stanąć na łóżku.

- Nie, Dexter, nie mogę.
- Czemu? - Wydawał się poirytowany. A może rozczarowany. Ciężko było zrozumieć, co mogło się kryć za tymi oczami.
- Muszę wracać do domu. Wepchnął dłonie do kieszeni.
- Ktoś tam na ciebie czeka?
- Tak. Nie. To nie tak, jak ci się wydaje. Mieszkam z siostrą i dwójką jej dzieci. I jeszcze z matką.
- Chcesz powiedzieć, że nie poradzą sobie, jeśli przez jedną noc cię zabraknie? A tak naprawdę to przez pół nocy?
- Muszę iść rano do pracy. Mam wywiad do napisania. Jestem po prostu...
- Nie jesteś taką dziewczyną? - w jego głosie słychać było kpinę. - Cóż, zatem wyprowadziłaś mnie w pole, Diamond Sharp.
- Mam na imię Grace. Grace Rutherford. Za dnia pracuję jako copywriterka. I jestem głową hałaśliwej rodziny.
- No, no. Wydaje mi się, że to nasza chwila prawdy. Chyba lepiej poszukam dla ciebie taksówki, Grace. Ruszemy, jak tylko ten deszcz się trochę uspokoi.

Już zaczynała żałować, że zdradziła mu swoje sekrety. Czar nagle prysnął. O'Connell pewnie teraz straci zainteresowanie, gdy nie ma już tej aury tajemnicy, która tak go pociągała. Wyszła spod markizy i szybko ruszyła ulicą; deszcz spływał jej po włosach, pryskał na nogi.

Usłyszała kroki za sobą.

- Grace, czekaj! Co się stało?
- Dobrze wiesz, co się stało. - Odwróciła się. - Jesteś... jesteś sobą.
- I ty zastanawiałaś się, czemu zniknąłem na te pięć lat? Nie tylko ty musisz ukrywać swoje prawdziwe nazwisko. Daj spokój. Pozwól chociaż, że pomogę ci znaleźć taksówkę.

Wziął ją za rękę, mamrocząc coś na temat pogody w tym przeklętym kraju. Ruszyli razem w stronę Tottenham Court Road.

- Chciałabym cię o coś spytać - powiedziała, gdy deszcz nieco osłabł.

- Znów ten cholerny wywiad!

- Nie. To nie do wywiadu. Dexter...

- Teraz zaczynasz mnie naprawdę niepokoić.

- Kim jest dla ciebie John Cramer? Zamarł, zatrzymując się w miejscu.

- Czy właśnie wymówiłaś głośno nazwisk tego faceta? Czy dobrze usłyszałem?

- To on był wtedy w Savoyu, prawda? To on przerwał naszą małą randkę.

- Jezu! Czy kiedykolwiek uwolnię się od tego sukinsyna? - Podrapał się po głowie, ramiona mu opadły. Wyglądał na wykończonego.

- To nasz sąsiad. Był miły dla mojej siostry. Całkiem możliwe, że jest w niej zakochany.

- Jezu!

- Powiedział, żebym trzymała się od ciebie z daleka. Czemu to zrobił?

- Posłuchaj... Nasza historia, moja i Cramera, sięga lat wstecz. To jeden wielki burdel. Myślałem, że to się już skończyło, ale on znów się pojawił, właśnie w Londynie, mimo że powinien nas dzielić cały Ocean Atlantycki. I tak to się ciągnie. Będę starcem na łożu śmierci, podniosę wzrok, a on też tam będzie. Ramię w ramię z przekłątą Kostuchą.

- Chcesz powiedzieć, że to jakaś jego zemsta na tobie? Że przyjechał za tobą do Londynu?

- Patrz, jest taksówka. - O'Connell wystawił rękę i taksówka się zatrzymała.

- Dexter?

- Tylko moja matka mówi do mnie Dexter. - Otworzył drzwi i stanął obok, pomagając Grace wsiąść do środka. -Pani jedzie do Hampstead - powiedział do kierowcy.

- Nie chcesz, żebym cię podwiozła?

- Jedziesz na północ. Ja ruszam na południe, do Savoya.

- Cóż, więc chyba pora powiedzieć dobranoc.

- Chyba tak. Do zobaczenia, Grace Rutherford. A, i uważaj na Cramera. Nie pozwól, by flirtował z twoją siostrą. Albo z tobą.

I zanim zdążyła coś odpowiedzieć, zatrzasnął drzwi, a taksówka wyjechała na drogę. Podniosła rękę, by mu pomachać, ale odwrócił się i poszedł w swoją stronę.

## **ROZDZIAŁ 7**

Następnego ranka, by móc skupić się na pisaniu wywiadu, Grace zadzwoniła do biura i powiedziała, że jest chora. Chciała się tym nacieszyć. Mimo bólu głowy, panującego w domu hałasu, braku jakichkolwiek notatek - i oczywiście pomimo tego, że właściwie wcale nie przeprowadziła wywiadu z O'Connelllem w normalnym znaczeniu tego słowa - tekst właściwie napisał się sam.

Dnia drugiego i trzeciego Grace chodziła z głupkowatym uśmiechem przyklejonym do twarzy. W domu wydawała się kompletnie nieobecna: gubiła różne rzeczy, robiła dzieciakom omlety, mimo że nie znosiła jajek, nie mogła się skupić na rozmowie z Nancy czy z matką. W pracy również nie była w stanie się skoncentrować i przez pomyłkę wysłała do zatwierdzenia szkic nieaktualnej i raz już odrzuconej reklamy Bakera - w rezultacie znów oberwała od Aubreya Pearsona. Nie przejęła się jednak. W głowie miała wyłącznie O'Connella. Ten pocałunek, oczywiście, oraz potańcówkę -ale także rozmaite drobiazgi. Widok jego dłoni ściskającej nóżkę kieliszka szampana - ponętne połączenie siły i delikatności. Jego uwaga, że będąc w Europie, najbardziej ze wszystkich miesięcy polubił luty (jak sądził, przewrotnie).

Luty, z jego szaloną, chaotyczną mieszaniną z jednej strony mroźnych wiatrów, ciemności i śniegu, a z drugiej — wiosennych kwiatów: perlistych przebiśniegów czy fioletowych i złotych krokusów przebijających się przez warstwę śniegu, i z tymi dziwnymi dniami, pełnymi najmniej spodziewanego, oślepiającego blasku słońca.

- Z lutym to nigdy nic nie wiadomo - powiedział. - A ja lubię nie wiedzieć. Lubię, gdy życie jest nieprzewidywalne.

Im więcej czasu spędzała, odtwarzając w myślach ich wspólny wieczór, tym więcej szczegółów sobie przypominała. W końcu osiągnęła niemal zbyt doskonałą świadomość tego wszystkiego - jej pamięć zacisnęła się i naprężyła, niczym skrzypce to nastrajane, to znów rozstrajane, aż ich struny niemal pękają. Postanowiła nieco sobą wstrząsnąć - w prawdziwym, fizycznym znaczeniu tego słowa - i stwierdziła, że musi natychmiast przestać o tym rozmyślać. Należało wreszcie zwrócić uwagę na rzeczywiste, niecierpiące zwłoki problemy własnego życia: brudne pieluchy Feliksa, samotność jego matki, obecność Diamond na uroczystym otwarciu nowej francuskiej restauracji na Great Portland Street, starania Cato-Fergusona, by przekonać wszystkich, że udana kampania odświeżającego oddech płynu Stewardsa była zasługą wyłącznie jego pomysłu (i przez jednodniową „chorobę” Grace niemal mu się to udało).

Pod koniec trzeciego dnia jej fantazje pognały jeszcze dalej. Nie myślała już o tym, co naprawdę zaszło między nią a O'Connell'em, tylko o tym, co jeszcze może się wydarzyć. Wyobrażała sobie, jak znów z nim tańczy - może w Salamandrze, może w klubie Kit-Cat, gdzie gra orkiestra Bena Berniego. Czy porzuci skrupuły i następnym razem pójdzie z nim do Savoya? Wiedziała, że nie powinna tego robić, oczywista sprawa - dziewczyna nie powinna być tak łatwa. Ale jak długo jest gotowy czekać? Jak długo ona

będzie potrafiła mu się oprzeć? To nie był zwyczajny facet, a ona nie była konwencjonalną dziewczyną. Obiegowa opinia głosi, że mężczyzna traci zainteresowanie kobietą, gdy dostanie to, czego chciał; Grace pragnęła jednak wierzyć, że w jej przypadku byłoby inaczej. Ma w sobie tak wiele do odkrycia, że po prostu nie można się nią znudzić.

Był tylko jeden mały problem: Dexter wciąż się do niej nie odezwał. Ale zrobi to. Wiedziała, że to zrobi.

Czwartego dnia - w sobotę (wciąż bez wiadomości od O'Connella) - zaczęła wyobrażać sobie sceny jednocześnie krępujące i olśniewające. Jak tłumaczy O'Connellowi, że nie może za niego wyjść i zamieszkać w Ameryce, ponieważ ma obowiązki względem Nancy, Tilly i Feliksa. Jak stara się wymóc na nim obietnicę, że wszyscy razem osiedlą w ich domu w Hampstead, lecz zamiast tego słyszy, że on zabierze całą jej rodzinę do swojego obszernego apartamentu w Nowym Jorku (być może z widokiem na Central Park, żeby dzieci nie tęskniły tak bardzo za parkiem Heath). Zaczęłyby pisać dla „New Yorkera”. Od razu mieliby dwójkę dzieci - możliwe, że bliźnięta. Marzenia zaczęły ocierać się o histerię i Grace musiała się coraz częściej z nich otrząsać. Matka zaprosiła na lunch kilku starych znajomych, a Grace kilkakrotnie ich przeproszała, by móc wstać od stołu, pójść do swojego pokoju i przemówić sobie do rozsądku.

W niedzielę rano Grace przekonała się, że do jej histerycznych fantazji wkradają się wątpliwości, jak czarne chmury na tle błękitnego nieba. Nie da się ukryć, minęło już pięć dni. Próbowwała szukać dla niego usprawiedliwień: nie miał jej numeru ani adresu, ale przecież wiedział, że może się z nią skontaktować przez redakcję „Heralda”, więc czemu tego nie zrobił? A może to zrobił? Może Dickie, targany zazdrością, nie przekazywał jej liścików ani wiadomości telefonicznych? Powinna zadzwonić do Dickiego



i postawić sprawę jasno. Ale ten pewnie wszystkiemu zaprzeczy i co wtedy? Zamiast napastować Dickiego, powinna zadzwonić do jego sekretarki i kazać jej to sprawdzić -ale nie, pewnie zdążył ją uprzedzić. Więc co teraz? Pewnie tak czy siak wszystko się dobrze ułoży. O'Connell uświadomi sobie, że na Dickiem nie można polegać. Grace wspominała mu, że pracuje dla agencji reklamowej, więc będzie wydzwaniał od agencji do agencji, póki nie trafi na tę właściwą. Grace w poniedziałek rano wróci do pracy i zastanie go w swoim biurze, tak, będzie tam na nią czekał...

Nadszedł poniedziałek. Gdy Grace wchodziła przez obrotowe drzwi do budynku Pearsona, czuła ściskanie w żołądku. Z trudem przemogła się żeby zajrzeć do własnego biura - gdy w końcu to zrobiła, okazało się, że jest puste. Oczywiście. Szalony pomysł: że on tam będzie, tak z samego rana.

Pocztę przynoszono w okolicach 9:30. Ani słowa od O'Connella.

Sama ze sobą grała w te idiotyczne gierki. Przez cały tydzień. Fantazje rozwijały się niezależnie od jej woli. Pędziły przed siebie siłą rozpędu. Jak dziecięcy wózek wypuszczony z rąk w Pancerniku Potiomkinie. Gorzka Wiedza i wywołane nią Przygnębienie spoczęły na ramionach Grace, ciężkie jak nigdy wcześniej. On nie przyjdzie. Nie zadzwoni. Nie wysłał i już nie wyśle żadnego liściku. Wywiad był definitywnie skończony. Nie była już dla niego mityczną Diamond Sharp. Wyjawiała mu, kim jest naprawdę. Powiedziała, co ją łączy z Johnem Cramerem. Wszystko się skończyło, zanim jeszcze zdążyło się zacząć.

**CZĘŚĆ II**

**KONKURENCI**

## **ROZDZIAŁ 1**

### **Przeszłość**

Zanim Grace w ogóle spróbowała napisać cokolwiek do Stevena, Nancy zdążyła wysłać trzy listy do Georgea. Nie chodziło wcale o to, że nie chciała do niego pisać. Po prostu nie wiedziała, co i jak ma powiedzieć. Nie potrafiła rozszyfrować własnych uczuć. Wszystko tak strasznie się pozmieniało. A świadomość niekończących się elaboratów, jakie pisała do Georgea Nancy, niczego nie ułatwiała.

#### *Najdroższy Stevenie*

Napisanie tego powitania zabrało jej ponad godzinę po jednym z niedzielnych lunchów. Zmieniła najpierw „Drogi” (zbyt formalne) na „Kochany” (przesada w drugą stronę), następnie na „Mój kochany” (czułość starej ciotki), mnąc kartkę za kartką, aż w końcu stanęło na „Najdroższy”. Ta wyczerpująca walka wewnętrzna - i dopisanie daty, „10 września 1915” - zużyła jej zasoby popołudniowej kreatywności. Pod wieczór Grace znów zasiadła za biurkiem, by kontynuować próby.

*Mam nadzieję, że ten list trafi w twoje ręce. Często o tobie myślę, zastanawiając się, co u ciebie. (Znów jak stara ciotka).*

*Hempstead bez ciebie jest szare i nudne. Nancy i ja nie mamy z kim chodzić do kina i musimy tańczyć same ze sobą.*

*(Zbyt zręczliwie - a na dodatek, jeśli chodzi o tańce, niezupełnie prawdziwe).*

*Tak bardzo za tobą tęsknię, mój bohaterze. Każdej nocy modłę się o twój bezpieczny powrót. (Dobry Boże!)*

Poddała się. Minał kolejny tydzień. Tydzień wypełniony nudnymi wykładami na uniwersytecie i pisaniem esejów. Tydzień, podczas którego Nancy strzeliła kolejne dwa listy do Georgea.

Następnej niedzieli Grace zmagala się z poczuciem winy. Co z niej za człowiek, że zostawia tęskniącego za nią Stevena bez jednego słowa otuchy, podczas gdy wszyscy jego kompani dostają pewnie mnóstwo listów od swoich bliskich? Przecież nie było tak, że go nie lubiła. Tylko że... Czy można to nazywać kryzysem twórczym (jak zaczynała określać swój problem), skoro chodziło o napisanie zwykłego listu?

Zmęczona tym, co działo się w jej głowie, poczekała, aż reszta domowników pójdzie do łóżek, po czym podreptała do salonu i wyjęła z barku butelkę sherry. Nalała sobie pełny kieliszek, wypila, a następnie napełniła raz jeszcze i poszła z nim na górę. Jeśli to nie pomoże, nic już nie da się zrobić.

*Najdroższy Stevenie,*

*upila się sherry mojego taty. Uwierz mi, tylko w ten sposób jestem w stanie przez to przebrnąć. Chodzi o to, że*

*przez ciebie stałam się przerażająco nieśmiała. Myślałam że cię znam, że znam was obu, po czym nagle zobaczyłam, że istnieją też inny ty oraz inny George, a nawet inna Nancy. Czuję, że pozostałam jedyną osobą, która kurczowo trzyma się przeszłości, nadal mając w głowie wizję nas jako całej czwórki. Wszyscy pozostali śmiało ruszyli naprzód. Wiem, że to nie ma sensu i przepraszam (zwalam to na sherry), ale musiałam napisać te słowa. Coś mnie blokuje, gdy trzeba pisać listy, obiecuję jednak, że będę myśleć o tobie przez cały czas.*

*Steven, cokolwiek się wydarzy, chcę żebyś wiedział, że nigdy nie zapomnę tamtej nocy w ogrodzie. Wiem, że wtedy na to nie wyglądało, ale byłam po prostu zaskoczona, miałam mętlik w głowie. Naprawdę, to była wyjątkowa noc. Całujesz najlepiej spośród wszystkich, z którymi się dotąd całowałam.*

*Chyba nie najlepiej mi to wychodzi (to przez sherry). Rozmyślam o tobie, gdy tylko zostaję sama. Czuję coś do ciebie -i jest to jedna z tych rzeczy, o których nie mogę mówić, nawet po wypiciu sherry.*

*To tyle. Mam nadzieję, że ten list cię rozweseli. Steven, nie mam pojęcia, co teraz przeżywasz, iprzykro mi, jeśli to wszystko wydaje ci się strasznie banalne. Nie będę udawać, że choć trochę rozumiem tę wojnę ani to, jak to jest walczyć na froncie.*

*Opornie szło mi pisanie do ciebie, mam jednak nadzieję, że wybaczysz mi i to. Odpisz, kiedy będziesz mógł. Dbaj o siebie i opiekuj się Georgeem. Mocno wierzę, że wkrótce tutaj wrócisz i znów mnie pocałujesz.*

*Z całą moją miłością Gracie*

Następnego ranka, zaraz po śniadaniu, naładowana pozytywną energią Grace (żadnego bólu głowy) ruszyła na górę po list. Miała zamiar iść z nim na pocztę, zanim zdąży się rozmyślić.

Nie będę go znowu czytać, powiedziała sobie. Rzecz jasna, zrobiła inaczej. Zarumieniła się. Potem przeczytała list raz jeszcze i zarumieniła się nawet bardziej, starając się odwlec moment wyjścia z domu.

Rozchmurz się i pomyśl o Stevenie, powiedziała sobie. Napisałaś list, więc teraz pozostaje ci go tylko wysłać.

Wsunęła list do koperty, zakleiła ją i zaadresowała, a później zeszła na dół po płaszcz i klucze.

Ale przez te kilka minut, kiedy była na górze, rozdzwonił się dzwonek przy drzwiach. Świat zdążył pójść do przodu.

Przez próg salonu Grace dostrzegła panią Wilkins siedzącą w fotelu i kryjącą twarz w dłoniach. Pan Wilkins stał przy kominku, wpatrując się w puste palenisko. Tata szukał czegoś w barku. Gdy zobaczył, że butelka sherry jest niemal całkiem opróżniona, przez jego twarz przebiegł wyraz zdziwienia.

- Jest Grace. - Mama dostrzegła ją i ruszyła w kierunku drzwi. Po twarzy spływały jej łzy. - Chodź tu na moment, skarbie. Gdzie twoja siostra?

Serce Grace zaczęło łomotać. Jej dłoń otworzyła się bezwiednie i list spadł na podłogę. Usłyszała własny głos, mówiący:

- Który z nich?

Steven zginął w bitwie o Loos, podczas ostrzału. Jego śmierć zmieniła wszystko. Wcześniej siostry Rutherford żyły jak pod kloszem, a wojna wydawała im się czymś odległym. Znały wprawdzie ludzi, którzy na niej ginęli, ale aż do teraz nie straciły nikogo bliskiego. Nikogo niezastąpionego.

Grace uczęszczała na uniwersytet jeszcze przez jakiś czas, ale to wszystko wydawało się zupełnie nieistotne, teraz, gdy Steven nie żył, a George wciąż był na wojnie. Musiała zająć

się czymś bardziej pożytecznym. Mimo protestów rodziców, rzuciła studia i znalazła sobie pracę w fabryce amunicji. Wierzyła, że w ten sposób będzie mogła naprawdę pomóc walczącym. Produkując broń, która zabije tych, którzy odebrali życie Stevenowi.

Dobrze było działać niczym maszyna, ciężko pracować i nie mieć czasu na humory. Ale inne kobiety, pochodzące z gorzej sytuowanych rodzin, patrzyły na Grace z mieszaniną podziwu i pogardy. Nie mogły pojąć, czemu ktoś taki jak ona wybrał pracę z nimi - w oparach wywołującego żółtaczkę trotylu, przez który zyskały przezwisko „Kanarkowych Dziewczyn” - zamiast zdecydować się na jakąś lżejszą robotę. Patrzyły na nią podejrzliwie i raczej trzymały się z daleka. Jedyną osobą z tej samej sfery była kierowniczką, która, jak Grace szybko pojęła, piastowała to stanowisko wyłącznie z racji urodzenia. Styl działania tej kobiety polegał na ukrywaniu swojej niekompetencji za fasadą wyrafinowanej delikatności - zupełnie jakby ktoś chciał ukryć bałagan, przykrywając go narzutą. Kierowniczką, Emily, składała Grace przyjacielskie, lecz zarazem protekcyjne propozycje, a jej specyficznym okazywaną przyjaźń budziła większy sprzeciw niż umiarkowana wrogość innych pracownic. Najtrudniejsze do zniesienia były podszepty Emily - mówiła, że chce zdjąć Grace z linii produkcyjnej, by ta mogła pracować u jej boku. - To od samego początku był głupi pomysł - powiedział Harold. - Marnowanie sprawnego umysłu. Powinnaś rzucić tę robotę i wrócić na uniwersytet. A jeśli myślisz, że robisz za mało, mogłabyś zostać wolontariuszką, tak jak twoja matka i siostra. - Nancy w ciągu dnia pracowała w biurze, a po pracy zbierała fundusze dla rodzin osieroconych w wyniku wojny i mających kłopoty finansowe. Catherine, wraz z innymi kobietami z Womens Social and Political Union,

dołączyła do Women's Police Service. Wieczorami w mundurze patrolowała park Heath, besztając krnąbrne dziewczęta i przeganiając stamtąd pary z pomocą kija.

Musiało dojść do drugiej rodzinnej tragedii, by Grace porzuciła pracę w fabryce (choć i tak nie wróciła na uniwersytet). W lutym 1917 roku zmarł Harold. Powodem była grypa. Żadne z nich nie mogło się pogodzić z przykrym faktem, że problemy z oskrzelami ciągnęły się u niego już od lat - choroba rozwijała się bez wiedzy rodziny, a także samego Harolda. Pograżeni w wojennej żałobie, stracili świadomość faktu, że również w domu są bezbronni. Ich rodzina była jak kurczak, który wciąż gna przed siebie po tym, jak obetną mu głowę. Grace i Nancy nadal chodziły do pracy, a Catherine trzymała się swoich zajęć. Ale wieczorami nie paliły się już u nich światła, bo to Harold był zawsze tym, który je zapalał. Nikt nie pomyślał nawet o tym, jak wiele nie zostanie zrobione, kiedy zabraknie tatusia, by mógł się tym zająć. Nikt nie pomyślał też, jakie braki jego śmierć spowoduje w przyszłości. Aż do chwili, gdy ktoś nie wszedł do jego gabinetu.

Los sprawił, że to akurat Grace była w domu, gdy służąca z zażenowaniem oświadczyła, że mimo iż rozumie, że rodzina przechodzi ciężki okres, bez cotygodniowej wypłaty jej również jest ciężko. To Grace otworzyła drzwi, gdy mleczarz oświadczył, że przestanie przynosić im mleko, jeśli nie będą mu płacić. To Grace odebrała telefon od radcy prawnego ich rodziny, który chciał wiedzieć, co do diabła dzieje się ze sprawami Harolda. I w końcu to Grace usiadła w zakurzonej gabinecie ojca i zaczęła przeglądać jego papiery.

Uświadomiła sobie, że jej praca w fabryce była swego rodzaju zabawą. Motywowały ją wprawdzie poczucie obowiązku i patriotyzm, ale teraz dostrzegła, że jej najważniejszym obowiązkiem stała się rodzina.

Catherine mogła wyglądać



na radosną, ale Grace widziała, co się za tym kryło. Mama nie była w stanie zająć miejsca ojca, nie potrafiąc uporać się nawet ze swoimi emocjami. A Nancy błąkała się apatycznie po domu, podenerwowana i z przekrwionymi oczami - była najmłodsza, właściwie wciąż była dzieckiem.

Grace uporała się w końcu z papierkową robotą, uregulowała zaległe rachunki. I przy okazji odkryła, że ojciec miał mniej pieniędzy, niż którakolwiek z nich przypuszczała. Musiała poszukać pracy, gdzie płacono by więcej niż w fabryce. Znalazła ją w agencji Pearson & Pearson.

## **ROZDZIAŁ 2**

Nancy i George wzięli ślub 22 grudnia 1917 roku, o godzinie 11:30. Już wcześniej zmuszeni byli dwukrotnie przekładać termin z powodu cofniętej przepustki. Tym razem okazja pojawiła się, gdy George został odesłany do domu z powodu odniesionych ran. Już od kilku tygodni mieszkał u rodziców, odzyskując siły po operacji prawej nogi przeprowadzonej w Queen Alexandra Hospital w Highgate. Z nogi usunięto mu liczne skrawki i odłamki czegoś, co wyglądało jak granit. George zachował je jako pamiątki, twierdząc, że to kawałki czyjegoś grobu. Podczas ostrego bombardowania w Ypres ukrywał się na cmentarzu, gdy na jeden z pobliskich nagrobków spadła bomba. To nie było bajkowe wesele, o jakim marzyła Nancy. Miało miejsce w pobliskim urzędzie stanu cywilnego, w obecności ledwie garstki przyjaciół. Niemniej jednak atmosfera była romantyczna. Nancy pojawiła się pewna siebie, w zimowym płaszczu. W ten jasny, mroźny poranek jej oczy aż błyszczały. George, obecnie już kapitan, wyglądał sztywnie w swoim mundurze, wsparty na kulach. Miał w sobie dystans i powagę, ale to było samo w sobie romantyczne. Brał udział w bitwie o Loos, gdzie zginął jego brat (od tego

dnia minęły już dwa lata). Przetrwiał Somnę i trzecią bitwę o Ypres, a teraz wrócił do domu, by dać swojej narzeczonej najlepszy świąteczny prezent: siebie.

Dla Grace ten dzień był bardzo trudny. Przez całą ceremonię Catherine ścisnęła jej rękę z taką siłą, że dziewczyna niemal słyszała strzelające kości. Mimo że żadna z nich nie przyszła w żałobie, Grace czuła, że roztaczają wokół siebie ciężką i tragiczną aurę - dwie wdowy stojące w kącie. Było zupełnie jasne, że współczucie wypisane na twarzach gości było skierowane nie tylko do matki, lecz także do Grace. Ślub przypominał im wszystkim o czymś, o czym dawno zapomnieli - być może nawet wielu z nich nie zdawało sobie z tego sprawy. Gdyby po jednej stronie równania postawić Georgea i Nancy, wtedy ona i Steven byłiby po drugiej: skoro Nancy miała wyjść za Georgea, Grace musiała stracić swojego Stevena. Ale choć ta myśl wcale jej się nie podobała, to nie Steven zaprzętał dziś umysł Grace. Pod radosną powierzchownością starała się ukryć przekonanie, że tak naprawdę George powinien ożenić się z nią, nie z jej siostrą. Zmiana, jaka w nim zaszła, wzmocniła tylko pewność, że Grace rozumie go lepiej, niż Nancy kiedykolwiek zdoła. W jakimś bałaganie ona i George zmienili swoje życie tego jednego pełnego namiętności dnia, latem 1915 roku.

i jak przypadkowo wszystko toczyło się od tamtego czasu. Lepiej za dużo o tym nie rozmyślać - to było tak nieznośnie okropne i - w przypadku Stevena - tragiczne.

Po ceremonii czekał ich nudny lunch w pobliskim Woolton Hotel. Szary rosół, a po nim obrzydliwa wołowina w galarecie, podawana z marchewką i ziemniakami, później zaś wcale nie lepszy pudding z suszonymi owocami. Trzeba było dużo pić, żeby to wszystko w ogóle przełknąć. Popołudnie mijało, a Grace była coraz bardziej wstawiona - jej sztuczny uśmiech robił się coraz szerszy.

Muszę to przetrwać, powtarzała sobie, unikając ciśniętego przez Nancy bukietu. Jutro rano będzie okropnie, ale nie powinnam teraz o tym myśleć. Później, gdy ten dzień się skończy, będzie już z górki.

Tak jednak nie było. Nowożeńcy zostali u Rutherfordów na święta. To George kroił gęś i to on zajął przy stole miejsce, na którym kiedyś siedział pan Rutherford. To George był tym nowym, donośnym tenorem, gdy przyszedł czas śpiewania kolęd przy pianinie. Naprawił radio. Co wieczór palił w kominku. Pomagając sobie kulami, przedzierał się przez zarośnięty ogród, starając się go uporządkować. Nancy patrzyła na niego z podziwem w oczach, a później spoglądała na matkę i siostrę. Jakby chciała powiedzieć: widzicie? Widzicie, jak bezcenny się okazał?

Widzicie, jakie to szczęście, że go mamy?

Grace szukała u matki objawów rozżalenia, gdy George krok po kroku coraz bardziej zajmował miejsce należące niegdyś do ojca. Ale pani Rutherford była nieustannie radosna i Grace nie miała powodu zwracać jej uwagi. Niewykrzyczany gniew Grace coraz mocniej kierował się w stronę przybierającej stoicką pozę wdowy. Chciała złapać ją za ramiona i wrzasnąć: „Oni zrobili z nas gości w naszym własnym domu! Nancy obnosi się ze swoim szczęściem jak z nową sukienką! Nie przeszkadza ci, że przez nich twoja pierworodna córka w wieku dwudziestu lat stała się nietykalną starą panną?”.

Najgorsze były noce. Pani Rutherford oddała im swoją sypialnię, przenosząc się do maleńkiego pokoju młodszej córki. To oznaczało, że między Grace a nowożeńcami stała teraz tylko cienka ściana.

Drugiego dnia świąt nerwy Grace były już w strzępach. Kiedy tylko Nancy i George po śniadaniu odeszli od stołu i poszli na spacer, Grace poczuła, że musi wreszcie coś powiedzieć.

- Tak sobie myślałam, mamó. Musi być ci strasznie ciasno w pokoiku Nancy.

- Jest najzupełniej w porządku. Młodym potrzeba więcej miejsca niż mnie. Jeszcze herbaty, kochanie? - Pani Rutherford zajęła się dzbankiem i Grace znowu nie mogła zatrzymać jej uwagi.

- Może byś się ze mną zamieniła? - spróbowała raz jeszcze. - W moim pokoju będzie ci znacznie wygodniej.

- Już mówiłam: jest mi dobrze. Nie kłopotz się tym, Grace.

- Ale to nie w porządku, żebyś musiała znosić takie niewygody. Nie po tym, jak tatuś... Nie po tak trudnym okresie, jaki przeszedłaś. Nancy powinna się wstydzić, że umieściła cię w swojej sypialni.

Surowe spojrzenie.

- Niczego takiego nie zrobiła. To był wyłącznie mój pomysł. I tak jak mówiłam: jest w porządku. Przestań już o tym gadać.

- Dobra. Skoro tak twierdzisz. - Grace ścisnęła krawędź stołu, próbując się uspokoić. Całą energię skupiła na tym, by nie powiedzieć tego, co miała na końcu języka.

Późnym wieczorem, ostatniego dnia przepustki Georgea, Grace została z nim sama przy kominku. Matka poszła się położyć jak zwykle, o dziesiątej. Nancy była podenerwowana nadchodzącym wyjazdem męża, postanowiła więc wziąć uspokajającą kąpiel. Zostali sami. W milczeniu gapili się na płomienie, sącząc brandy.

- Chciałem cię o coś spytać, Grace. - George bawił się szklanką, wprawiając alkohol w ruch obrotowy.

- Pewnie, zaopiekuję się Nancy po twoim wyjeździe. - Grace skończyła drinka i walczyła z potrzebą, by nalać sobie kolejnego. - W końcu to moja siostra.

- Dzięki... Ale nie o to mi chodzi. - W jego głosie pobrzmiwała niepewność.

Grace spojrzała na niego.

- Więc o co?

- Po prostu... - Przeczesał dłonią swoje kasztanowe włosy - Jesteś na mnie zła?

- Czemu, do cholery, miałbym być na ciebie zła? - powiedziała, niemal warcząc.

- Tak mi się właśnie wydawało. - Patrzył na nią, uśmiechając się nerwowo. - Niespecjalnie potrafisz to ukryć.

- Zapal mi papierosa, dobra? - Starła się uspokoić. Ta okazja pojawiła się zupełnie niespodziewanie. Grace musiała pomyśleć, jak z niej skorzystać. Jeśli mają kiedykolwiek otwarcie porozmawiać o tym, co między nimi zaszło i co to wszystko znaczyło, muszą to zrobić właśnie teraz. W końcu całkiem możliwe, że już po raz ostatni są tylko we dwoje. Och, Boże. Nie mogła dopuścić do siebie myśli, że to naprawdę ostatni raz.

George wstał - już nie potrzebował pomocy kul - i sięgnął po paczkę schowaną za stojącym na kominku zegarem. Mówił coś na temat kłopotów wynikających z tego, że są tu wszyscy pod jednym dachem. Mamrotał o czymś bez przekonania, a ona uświadomiła sobie, że wcale go nie słucha. Namyslała się, co powinna powiedzieć. Patrzyła na jego plecy. Na jego szyję.

- Zmieniłeś się - powiedziała.

- Oczywiście, że się zmieniłem. - Podał jej zapalonego papierosa, a ona wetknęła go w cygarniczkę. Sam również zapalił. - Czy mogło być inaczej?

- Nie jesteś już tym dawnym Georgeem. Uprzejmym, ułożonym i miłym. Co najzabawniejsze, teraz jest w tobie sporo ze Stevena. Jakbyście obaj stali się jedną osobą, wciśniętą w twoje ciało.

- Co za bzdura. - Powiedział to łagodnie, ale na jego twarzy widać było napięcie. Siedział na krawędzi fotela.

W tej chwili Grace coś sobie uświadomiła.

- To ty jesteś wściekły na mnie.

- Nie, nie jestem. Ale czy miałabyś prawo mnie winić, gdyby tak było? Twoje słowa były obraźliwe. - Mocno zaciągnął się papierosem.

- Widziałeś nas wtedy, prawda? Mnie i Stevena.

- Co? - spytał, lecz to była zwykła gra na czas.

Żar z kominka zdał się silniejszy, a w pokoju nagle zrobiło się duszno. Grace zaczęło się kręcić w głowie.

- Tamtej nocy widziałeś mnie i swojego brata. Tak cię to rozwścieczyło, że wróciłeś do domu i od razu oświadczyłeś się Nancy. Żeby zrobić mi na złość! Ze wszystkich głupot, jakie...

Wymuszony chichot.

- Aleś ty próżna, Grace.

- Och, czyżby?

- Kocham Nancy. Wypuściła kółko dymu.

- Mam nadzieję, że to prawda. - Rozmowa zmieniała się w pojedynek, choć wciąż jeszcze subtelny. - Z pewnością zachowałeś się bardzo honorowo. To znaczy w stosunku do niej. Zrobiłeś to, co słuszne.

Palenisko wydało dziwny, przeciągły, skrzypliwy odgłos. Zupełnie jakby było w nim coś żywego - coś, z czego wyduszano właśnie życie.

- Nancy chce, żeby matka założyła jeden z tych modnych kominków gazowych - powiedziała z roztargnieniem

Grace. - Tych nowoczesnych, jak ten w jej sypialni. Przepraszam: waszej sypialni. Mówi, że tak byłoby prościej i schludniej.

- Ożeniłem się z twoją siostrą, bo właśnie tego chcieliśmy. Oboje.

Głośny trzask ognia. Potem syk. Starła się nie zwracać uwagi na to, jak George wzdrygnął się, słysząc ten odgłos.

- Powiedziałam matce: po moim trupie. Prawdziwy ogień jest niczym żywa istota. Uwielbiam sadzę i cały ten brud. Nie lubię, jak jest prosto i schludnie.

- Bo nigdy tak nie jest, nie sądzisz? - Wstał i cisnął papierosa w ogień.

- Biedna Nancy.

- Wstrzymaj się z tym współczuciem. Jesteśmy szczęśliwi.

- Dla ciebie to jest chyba równie trudne jak dla mnie. Czy się mylę? - Jej głos był teraz bardziej stonowany.

George wziął pogrzebacz i przesunął polana, by stłumić płomienie.

Ostrożnie założył osłonę kominka.

- To było lata temu, Grace. Tamten dzień w Heath. Przez ten czas wszystko się zmieniło. Wszystko. Nie masz bladego pojęcia, co znaczy „trudne”.

- Przepraszam. - Zawstydziała się. Spokorniała nieco w obliczu jego doświadczeń, o których przecież nie wspominał jej wcześniej. -

Oczywiście masz rację. Co ja tam mogę wiedzieć?

Zamknął oczy.

- Chociaż bardzo bym chciała, George. Chciałabym, żebyś mi o tym wszystkim opowiedział.

George westchnął i otworzył oczy.

- Gdy Steven i ja po raz pierwszy dotarliśmy do Francji, wysłano nas do Hartleur, by nas przeszkolono przed



wyruszeniem na front. Tak było z każdym nowym rekrutem. Mieliśmy tam zostać parę tygodni. Musztra, nauka strzelania, wykłady o gazie i bombach... Pewnego dnia, gdy czekaliśmy na przyjście instruktora, by opowiedział nam o ładunkach wybuchowych, sierżant postanowił zrobić nam nieoficjalną pogadankę, taki rodzaj wstępu. No i ten sierżant, ostrzegając nas, czego nie można robić z granatem, cisnął tą przeklętą rzeczą w stół, chcąc pokazać, o co mu chodzi.

i to cholerstwo wybuchło, zabijając jego i dwóch innych, a raniąc kolejnych dziesięciu.

- Mój Boże.

- Grace...

Wiedziała, co chce powiedzieć, jeszcze zanim otworzył usta.

- Steven był jednym z tych dwóch. Nigdy nawet nie dotarł do okopów.

Biernie przysłuchiwała się swoim słowom sprzeciwu.

- Widziałam list od pułkownika. Było w nim napisane, że Steven zginął w walce, że podczas ofensywy trafił go pocisk i zmarł w czasie powrotu do bazy. Zmarł w wyniku odniesionych obrażeń, tak tam było napisane.

- Standardowy list. Pułkownik wysyłał ich setki. Popatrzyła mu w oczy - było w nich znudzenie, brakowało im blasku. Wiedziała, że mówił prawdę.

- To potworne.

- Wszystko jest potworne. Nie powtarzaj tego nikomu. Nie chcę, żeby rodzice dowiedzieli się, jak bezsensownie zginął mój brat. Nie mów też Nancy. Martwiłaby się o mnie jeszcze bardziej niż teraz. - Wstał i ruszył w stronę drzwi. - Dobranoc.

- Chcę wiedzieć więcej. Nadal chcę, byś mi o tym wszystkim opowiedział. Jeśli tylko będziesz chciał. - To zabrzmiało żałośnie, nawet w jej uszach.

- Dobranoc, Grace. -1 wtedy, z ręką na klamce, jakby po chwili namysłu dodał. - Możesz mi wysłać list od czasu do czasu. Jeśli będziesz miała ochotę. Wydaje mi się, że Nancy nie powinno to przeszkadzać. Odgłos jego kroków na schodach. Skrzypienie desek podłogi. Dźwięk ich głosów gdzieś u góry - jego i Nancy.

## **PICCADILLY HERALD**

*2 maja 1927*

### **Z życia West Endu**

*Nie jestem Dobrą Dziewczyną. To powinno być oczywiste dla każdego, kto czyta moje felietony. Noce spędzam poza domem. Lubię towarzystwo mężczyzn. Jestem próżna. Przesadzam z makijażem. Naginam prawdę tak, jak mi pasuje. Nie odmawiam koktajli. Nie sprzeciwiam się, gdy... Cóż, przynajmniej do niedawna.*

*Staliśmy na deszczu, kończyła się długa, wyczerpująca noc. Nieziemsko przystojny mężczyzna, będący moim towarzyszem, zadał mi pytanie, a ja odpowiedziałam „nie”, mimo że chciałam powiedzieć „tak”. Postąpiłam w ten sposób, bo myślałam, że to słuszna taktyka. Mówisz „nie” i to doprowadza faceta do szaleństwa, aż w końcu goni za tobą jak chłopiec za latawcem, gdy wiatr wyrwał mu z ręki sznurek. Przynajmniej tak właśnie powinien zrobić. Ale nie tym razem, czytelniczko. Ten dżentelmen najwyraźniej nie rozumie zasad tej gry. Może omyłkowo wziął mnie za Dobrą Dziewczynę -jedną z takich, które mówią „nie”, gdy mają na myśli „nie”. Może sam gra w coś zupełnie innego. To nie był dobry tydzień.*

*Pewnie chcecie się dowiedzieć czegoś o kolejnych restauracjach i kolejnych nocnych klubach. Ale cóż ja mogę wam powiedzieć, mając taki nastrój? Jeśli okoliczności zmuszą was, żeby iść do Morelli na Brewer Street, nie zamawiajcie tam ryby, błagam. Ani wieprzowiny. Ani spaghetti. Ani żadnych puddingów. Ani przystawek. Jeśli wasz uparty jak osioł kompan zmusi was do pójścia do Little Venice na Lower Regent Street, weźcie stolik możliwie jak najdalej od parkietu, bo tłumy są tam większe niż na meczach piłkarskich i każdy w promieniu kilometra od podskakujących par będzie narażony na kopniaki, nadeptnięcia albo i gorzej. {Jeśli wasz tydzień był tak kiepski jak mój, zwalisty, tysy mężczyzna może wpaść na wasz stolik, gdy sącycie drinka i zajadacie się frytkami, a potem jeszcze mieć czelność twierdzić, że weszliście mu w drogę). W końcu: jeśli nadzwyczajne okoliczności, na które nie będziecie mieć wpływu, sprawią, że pojawicie się w nocnym klubie Marchesa na Charing Cross Road... Ale nie, niemożliwe, by cokolwiek mogło zagonić trzeźwo myślącą osobę w to hałaśliwe, przepocone i ohydne centrum marnych koktajli i Fatalnie Ubranych Ludzi.*

*Jakby tego było mało, w tym tygodniu listy od was są pełne skarg. Panna Gertrude Summerhouse z Peckham strofuje mnie za to, że uznałam Dextera O'Connella za niegodnego zaufania, i nakazuje mi upublicznić wiadomość, że „analiza pisma pana O'Connella ujawnia, iż jest on osobą szczerą i honorową; kimś na kim zdecydowanie można polegać”. Panna Elizabeth Jones z Hammersmith jest jeszcze bardziej stanowcza: „Jak śmiesz mówić w ten sposób o Dexterze O'Connellu!? I ty siebie nazywasz pisarką? Nie jesteś godna lizać mu butów”. Coś czuję, że te panny i ich towarzyszyki z mojego worka z listami mogły ostatnio tańczyć charlestona z jakimś zielonookim potworem.*

*Wracając do tematu: co powinnam zrobić z moim krnąbrnym dżentelmenem? Odpowiedzi proszę przesyłać na*

*zwyczajowy adres. Oczywiście przyjętym sposobem postępowania jest czekanie, ale obawiam się, że będę czekała w nieskończoność. Mogłabym wprawdzie sama poszukać Diabła i upewnić się, czy rozumie, jak rzadką icenną rzeczą jest Diamond. Ale przecież Złe Dziewczyny tak nie robią. I dla Złych Dziewczyn to nigdy nie kończy się dobrze. Dzielę się z wami moim dylematem, drogie czytelniczki, w duchu koleżeństwa. Możecie tego nie rozumieć, możecie ze mną dyskutować, ale jeżeli wyrażacie zwyczajną dezaprobatę, to znaczy że nie jesteście częścią Nowoczesnego Świata dla którego piszę i nie powinnyście w ogóle czytać moich felietonów. Ach tak, mała poprawka: wiarygodne źródło informuje, że „właścicielka cukierni The Morning Glory wcale nie ma wąsów. To pewnie był tylko cień”.*

*Cień o piątej po południu, jasne.*

*Diamond Sharp*

### **ROZDZIAŁ 3**

Zaczęło się od zwykłej plotki, o której z dnia na dzień robiło się coraz głośniej. Grace usłyszała ją pewnej nocy w Salamandrze, a później kolejnej nocy w Lido. Trzeciego dnia o poranku miała telefon od Dickiego. Plotka głosiła, że Dexter O'Connell będzie czytał swoje teksty w Cirósie, właśnie tego wieczora, o dziewiątej. Dickie zadzwonił do menedżera Cirósa i otrzymał dziwną odpowiedź: „ani nie potwierdzamy, ani nie zaprzeczamy”. To tylko dołało oliwy do ognia.

- Lepiej tam idź, Grace - powiedział Dickie. A Grace odparła:

- Mimo wszystko wolałabym nie.

- Będzie czytał fragmenty swojej nowej powieści. Powinnaś o tym napisać.

- Dickie, on nie ma żadnej nowej powieści.

- W wywiadzie powiedział co innego. A teraz przestań zrędzić i idź tam.

Odłożywszy słuchawkę, Grace wezwała Margaret do swojego biura, zamknęła drzwi i nie patrząc maszynistce w oczy, opowiedziała jej o plotce, na końcu dodając:

- ja nie mogę iść, więc będę musiała wysłać ciebie, żebyś porobiła notatki. Oczywiście jeśli usłyszysz coś wartego zapisania. Później to przepiszę po swojemu.

Twarz Margaret przybrała dziwaczny wyraz.

- No? - Grace we wzburzeniu uderzyła końcówką ołówka o biurko.

- Bardzo chciałabym pójść. Dałabym sobie rękę uciąć, żeby tam być.

- Nie będzie takiej potrzeby.

- Ale... - dziewczyna zmarszczyła brwi i poprawiła sobie okulary na nosie.

- Ale co?

Znów zaczęła majstrować przy okularach.

- Myślę, że to nie w porządku, by sprawy osobiste przeszkadzały ci w pójściu tam i napisaniu dobrego artykułu.

- Co proszę? Nie ma żadnych „osobistych” spraw. Po prostu jestem już umówiona.

- Poproszono cię, żebyś opisała pierwsze od pięciu lat publiczne wystąpienie Dextera O'Connella, a ty „jesteś już umówiona”? Byłabym zaszczycona i wniebowzięta, gdybym mogłam tam iść. I dziękuję ci serdecznie za to zaproszenie. Ale prawda jest taka, że ty też powinnaś tam być. Jeśli poważnie traktujesz swoje pisanie, nie pozwolisz, by cokolwiek weszło ci w drogę, a już szczególnie jakaś drobna uraza.

Ołówek pękł Grace w dłoni.

Piccadilly Circus w słoneczne czwartkowe popołudnie. Swawolne sukienki w jasnych kolorach - na tyle krótkie, by pokazać łydki, a w niektórych przypadkach także kolana. Kapelusze, torebki, sportowe buty. Białe apaszki, krochmalone koszule i tyle olejku do włosów, że można by nim pokryć całą Regent Street. Pазie różnej jakości. Chichotanie. Plotki.

- Zrobił to.

- Nie może być.

- Zrobił!

- Nie gadaj!

Pijak zeskakuje z chodnika, Bentley stara się go ominąć i wtedy Citroen wbija się w jego bok. Głośny dźwięk klaksonu.

- Ty cholerny idioto! Pijak ślania się.

Przed Piccadilly Restaurant sprzeczka zmienia się już niemal w bijatykę.

- Zostaw go, William. Nie jest tego wart.

- Właśnie że jest.

Dziewczyny rozdzielają dwóch chłopców. Twarze czerwone ze zdenerwowania.

- Gdybyś mnie puściła, Agnes, chyba bym go zabił.

- Zabij mojego brata, a ja zabiję ciebie. Dziewczyna o długich rudych włosach, w kapeluszu

z niemodnym szerokim rondem, przechodzi niemal po stopach perorującego chłopca. Ten odwraca się i wrzeszczy.

- Powinnaś patrzeć, gdzie leziesz!

Dziewczyna i jej towarzyszka znikają za rogiem Orange Street. W klubie Cirós, który dziś został otwarty dwie godziny wcześniej niż zazwyczaj.

Wewnątrz Cirósa zgromadziły się tłumy. Tłumy jak na ten lokal bardzo nietypowe. Zupełnie z innej bajki, jak pudełko z ekstrawaganckimi butami na wyprzedaży rzeczy używanych. Ludzie kłębią się, kupując drinki przy barze i bacznie przyglądają się wyposażeniu. Kelnerzy rozstawiają rzędy krzeseł na parkiecie. Na podwyższeniu umieszczono mównicę.

- A więc to prawda. - Margaret ścisnęła w dłoniach swój egzemplarz *Wizji*.

- Zobaczmy. - Grace była zaabsorbowana długą, rudą peruką i szerokim kapeluszem, który dzisiaj założyła. Rondo



opadało tak nisko, że ledwie była w stanie cokolwiek zobaczyć. Wpół do dziewiątej. Wielu zajęło już miejsca, choć co poniektórzy zostali przy barze, gdzie wciąż trwały ożywione konwersacje. Nikt nie był pewny tego, co się wydarzy. Podślucliwali jeden drugiego.

- Jones dowiedział się z pewnego źródła. Można mu wierzyć.

- Mówiła mi o tym Cynthia. Jest bibliotekarką, zna się na takich sprawach. Na literaturze i tym podobnych.

Margaret pokazała Grace kilka pustych krzeseł.

- Usiądźmy lepiej, zanim wszystkie zostaną zajęte. Grace rzuciła okiem na swoje odbicie w szkłe i metalu.

Peruka wyglądała absurdalnie. Zakłęła cicho.

Dziewiąta. Rozmowy umilkły zupełnie. Tłum czekał w napięciu.

- Myślisz, że się pojawi? - Na twarzy Margaret malowała się mieszanina nadziei i konsternacji.

- Mnie nie pytaj. W sprawie O'Connella moje przeczucia są bezużyteczne.

Margaret podekscytowana rozglądała się dookoła. - Na pewno przyjdzie. W innym wypadku po co otwieraliby klub? Po co by ustawiali wszystkie te krzesła i mównicę?

- Może też usłyszeli plotkę, tak jak wszyscy pozostali, i pomyśleli, że warto zaryzykować. W końcu dzięki temu sprzedali dziś masę drinków.

Podejrzane jest to, że nie ma tu Sisleya, menedżera. Och!

- Co?

- Nic. - Grace chwyciła kapelusz za rondo i wcisnęła się w krzesło.

Zauważyła kogoś, z kim wolałaby teraz nie rozmawiać. Co on mógł robić akurat tutaj...?

Kolejne minuty mijały, a atmosfera w pomieszczeniu gęstniała z każdą chwilą. O wpół do dziesiątej osiągnęła

punkt krytyczny. Szeptane półgębkiem narzekania stawały się coraz głośniejsze. Ludzie kiwali głowami z niedowierzaniem, a potem wstawali i wychodzili. Kelnerzy zaczęli składać krzesła i zabierać je z parkietu. Grace czuła nieznaczną satysfakcję. Na wszystkich twarzach wokół niej malowały się rozczarowanie i gniew, te same emocje, które O'Connell już od tygodnia wywoływał u niej. To niejako dowodziło jej racji.

Już w lepszym humorze, odwróciła się do Margaret.

- Wybieram się na Stand, do Tutankhamuna. Chcesz pójść ze mną?

Margaret potrząsnęła głową.

- Zostanę jeszcze chwilę. Tak na wszelki wypadek.

Klub Tutankhamun stylizowany był na egipski pałac: wszędzie marmurowe kolumny i ściennie malowidła, ukazujące piramidy, niewolników oraz ich panów. Nie brakowało masek, posągów ani złotych skarabeuszy, które według wiedzy Grace były autentycznymi artefaktami przywiezionymi z Egiptu. Kelnerzy, noszący na biodrach złote przepaski, wysoko nad głowami trzymali tace pełne drinków. Kobiety w białych szatach wachlowały gości purpurowymi wachlarzami bądź palmowymi liśćmi. Członkowie orkiestry mieli czarne peruki i mocny makijaż na twarzach.

Pozbywszy się sztucznych włosów i kapelusza, Grace wpadła na Monique, menedżerkę, kobietę pokaźnej tuszy, opatuloną koronkami. Ledwie zaczęły rozmawiać, gdy zabrzmiał okrzyk „Skałbie! Jak cudownie!” i już całował ją po policzkach wylewny właściciel lokalu, Sheridan Hamilton-Shapcott, który zaraz poprowadził ją do najlepszego stolika. Był mężczyzną tak chudym, że nawet najlepsze garnitury

Savile Row wisiały na nim niczym worki. (On i Monique wyglądali obok siebie doprawdy przekomicznie. Jakby nie należeli nawet do tego samego gatunku).

- Dłinki, dłinki! - Sheridan klasnął w dłonie przywołując kelnera. - Głace, lepiej spłóbuj mojego nowego koktajlu, Luxor Lizard. Przyrządziłem go własnołecznie, możesz więc być pewna, że jest przepyszny.

- A co w nim jest?

- Spłóbujesz, to się przekonasz. - Tak brzmiało motto Sheridana. Wisiało wysoko nad barem, napisane literami przypominającymi hieroglify. Grace słyszała kiedyś, że kazał je też zawiesić nad swoim łóżkiem. Złotawy drink smakowo przypominał nieco miód.

- Przepyszny. Jest pewnie strasznie mocny?

- Nie bądź taka podejrzliwa. - Skrzyżował nogi i zmarszczył brwi, co wyglądało tym zabawniej, że wokół sarnich oczu miał mocny egipski makijaż. - Pamiętaj, że masz być miła, Głace. Ciągłe jestem zły, że nie przyszłaś tu wcześniej. Ty, moja najstańsza przyjaciółka. A przecież mamy otwałe już od miesiąca!

- Pomyślałam, że zanim wpadnę, powinnam pozwolić ci się rozkręcić. Żebyś zdążył się tu poczuć jak na swoim.

To było bliskie prawdy. Zbyt dobrze znała Sheridana, by chcieć tu przychodzić w któryś z wieczorów tuż po otwarciu. Jej uszu szybko dobiegły plotki o tym, że Sheridan robi głupoty w rodzaju pozwalania obsłudze na picie darmowych drinków - nawet ich do tego zachęcał, żeby się dobrze bawili. W rezultacie powstał kompletny zamęt. Trzeciej nocy ktoś wezwał policję i Sheridan tylko dzięki darmowym drinkom mógł sprawić, by to miejsce wciąż jakoś funkcjonowało. Chaos zakończył się wraz z przybyciem Monique. Od lat prowadziła różne knajpy, więc

szybko zdołała zaprowadzić w Tutankhamunie porządek, nie tolerując idiotycznych zagrywek szefa, który - jak sam przyznawał - był w tej branży dziewicą.

Sheridan odziedziczył Browar i Gorzelnię Shapcott po zmarłym ojcu Edwardzie, ale nie zdołał wejść w buty swojego wielkiego przodka. Jego próby zwrócenia na siebie uwagi nie były dobrze odbierane w świecie biznesu, więc wkrótce został zmuszony przekazać interes w ręce wieloletniego zastępcy ojca. Odtąd poświęcał swój czas i energię na rozwijanie swego ewoluującego hobby. W tym przypadku „ewoluujące” jest naprawdę najwłaściwszym określeniem: to się zaczęło jeszcze przed śmiercią ojca, gdy Sheridan studiował historię starożytną na Cambridge. Będąc tam, zaprzyjaźnił się z grupą archeologów, którzy przekonali go do porzucenia studiów i dołączenia do ich wyprawy do Egiptu - i jednocześnie do jej zasponsorowania. Shapcott senior, który trzymał rękę na funduszach, zgodził się na to, słysząc, że to nie historia starożytna, ale właśnie archeologia jest konikiem syna. Starzy przyjaciele Shapcottów, Catherine i Harold Rutherford, poparli pogląd Amelii, że „kiedy chłopak się wy-szaleje, na pewno wróci na uczelnię”. Ale tak naprawdę Edward wcale się nie martwił dyplomem syna. Potrafił przyjąć do wiadomości, że mężczyzna chce po prostu kopać ziemię w dalekich krajach w poszukiwaniu skarbów. Pragnienie przesiadywania w bibliotekach i czytania zakurzonych tomów było mniej zrozumiałe - dobrze więc, że syn wreszcie postanowił wziąć się do jakiejś roboty.

Podczas wyprawy Sheridan nie zakochał się jednak w archeologii, lecz w Egipcie. Piramidy były naprawdę wspaniałe, a spływ Nilem okazał się cudownym doświadczeniem. Po co więc spędzać czas na kopaniu dołów w upale? Wystarczyło dać w łapę komu trzeba, żeby zyskać dostęp do niewysłowionych skarbów i móc wysłać je do domu, a tam trzymać je jako trofea bądź komuś opchnąć.

W czasie gdy jego dom rodzinny zaczął wypełniać się amuletami i sarkofagami, zręczliwy i cierpiący na gruźlicę Edward opuścił nasz padół, patrząc ze zdumieniem na maskę Anubisa, boga cmentarzy i balsamowania o głowie szakala, który tajemniczym sposobem pojawił się na ścianie jego sypialni.

Krótko po śmierci ojca z Sheridanem skontaktowała się Cécile Joubet, paryska projektantka, i poprosiła o zgodę na obejrzenie słynnej egipskiej kolekcji, chcąc skorzystać z jej motywów, kolorów i ogólnie pojętego ducha przy tworzeniu kolekcji dla House of Myrbor. Patrząc, jak ta maleńka, pełna pasji Francuzka obmacuje jego trofea, gapiąc się na pokryte hieroglifami płyty i trzymając jego bezcenne klejnoty pod światło, Sheridan myślał o Kleopatrze. Miesiąc później poślubił pannę Joubet i stał się niewolnikiem jej świata mody i projektowania wnętrza inspirowanych stylem egipskim.

Obecna faza życia Sheridana jako właściciela Tutankha-muna nastąpiła po przedwczesnym i nagłym rozpadzie jego małżeństwa. Gdy Cécile skończyła z Egiptem, przeniosła się na Daleki Wschód, co wiązało się z równoczesnym „przeniesieniem” uczucia na francuskiego profesora, posiadacza bogatej kolekcji chińskich dzieł sztuki.

- Ta dziewczyna nie jest stała w uczuciach - jęczał Sheridan, leżąc na barze Coyote Club w Paryżu. - Zmienia facetów jak rękawiczki.  
- Odwagi, *mon ami*. - Monique, menedżerka Coyote, klepała go po plecach, podając kolejnego drinka. - Potrzebujesz przedsięwzięcia, które pozwoli ci zapomnieć o tej dziewczynie. Brak ci marzenia, za którym mógłbyś

podążać. Ja z kolei mam marzenie, ale nie mam środków na jego realizację. Możemy pomóc sobie nawzajem. *Vous comprenez?*

- Jest na mnie stłaszliwie zdenęwowana. - Sheridan przewrócił oczami. - Wiesz, kogo mi przypomina? Moją dawną niańkę. Tę małodną Irlandkę. Pamiętasz? Ogrywała mnie w pokęła, łaz za łazem.

- Monique?

- Nie, nie: tamta niańka. Och, na pewno pamiętasz, Głace. Wielgachny nochal i cała łeszta.

- Pewnie. - W myślach zobaczyła ich wszystkich jako dzieci, bawiących się razem: Sheridana, Nancy i ją samą, kiedy rodzice jedli obiad i gadali o „dorosłych sprawach” na dole. Sheridan zawsze wolał przesiadywać u Rutherfordów, bo mieli sympatyczniejszą nianię i zestaw do herbatki dla lalek. Jako że był chłopcem, nigdy takiego nie dostał. Ona i Nancy bardzo lubiły, gdy do nich przychodził. Był od nich kilka lat młodszy i łatwo można było nim dyrygować. To była jedyna zmiana, jaka w nim zaszła: nie dawał już sobą dyrygować. Chyba że robiła to Monique. Pod innymi względami wciąż pozostał taki sam jak wtedy, gdy był małym chłopcem.

- Zabawne - powiedziała po chwili Grace. - Całkiem nieźle pamiętam twoją nianię, ale zupełnie nie przypominam sobie jej nochala.

Klapnął dłonią.

- Cóż, może mi się zdawało. Z pewnością powinna mieć taki nochal. Tak czy siak, pewnie poszło o węże.

- Węże?

- To właśnie zdenęwowało Monique. Spotkałem tego stałego poskłamiacza węży, jeździł z jakimś cyłkiem. Dał mi niezłą cenę za pałę pytonów. Napławdę wielgachnych. Pomyślałem, że będą pasować do tego miejsca, gdzie mogą owijać się wokół artefaktów. Egzotyczna atmosfera i cała łeszta.

- Sheridan! Nic dziwnego, że Monique się wściekła! Powiem ci coś: jeśli zaczniesz wpuszczać węże do klubu, moja noga już tu nie postanie.

- Oj, niedobła, niedobła. Jesteś taka sama jak Monique. Przecież pytony

nie głyżą. Nawet cię nie zaduszą, jeśli podasz im odpowiedni słodek. Tak mówił tamten facet. Wystarczy je otumanić.

Grace zauważyła kogoś.

- Margaret! Tutaj!

Sheridan cmoknął z niesmakiem.

- Skałbie, co ty wypławiasz? Czemu wleciesz takie szale panie do mojego klubu? Ona wygląda jak sekletałka. Spław ją, jeśli łaska, i widzimy się później.

Po czym zniknął, zostawiając Grace lekko oburzoną (w imieniu Margaret).

- Dłinka? To znaczy: drinka? - Grace spytała Margaret, gdy ta, zdyszana, stanęła na miejscu Sheridana.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie zostanę tutaj. Robi się późno. Jutro praca i w ogóle. Musiałam tylko przyjść, żeby opowiedzieć ci, co się stało.

-No i?

Szelmowski uśmiech.

- On tam był, ukryty w tłumie. Zauważyłam go. Miał sztuczną brodę i wąsy, ale nie zdołał wyprowadzić mnie w pole.

- Naprawdę?

- Podeszłam i klepnęłam go w ramię. „Panie O'Connell", powiedziałam: „Czy mogę prosić o autograf?”.

- I? Jak zareagował?

- O mało nie wyszedł ze skóry. Potem wziął mnie na stronę i powiedział, że podpisze, jeśli nikomu nie zdradzę, kim jest.

- Cóż on tam robił? Czemu przyczał się na własnym spotkaniu autorskim w takim przebraniu?

- Powiedział, że też usłyszał plotkę o tym czytaniu i nie mógł się oprzeć, żeby przyjść tam incognito.

Grace parsknęła.

- Czego się spodziewał? Że siedząc na widowni, zobaczy samego siebie na scenie?

Margaret wzruszyła ramionami.

- Pewnie myślał, że to zabawne. On chyba lubi takie rzeczy.

- Zapewne.

- I kto to mówi. Sama schowałaś się pod rudą peruką. Pociągnięcie nosem. Dziewczyna chyba znów zapomniała, gdzie jej miejsce.

- Popatrz na to. - Margaret wyciągnęła swój egzemplarz *Wizji* i otworzyła go na zakładce.

*Dla Margaret*

*Najmądrzejszego rodzinaka w cieście. Z wyrazami podziwu, Dexter O'Connell*

- Widzisz? Podziwia mnie. - Była strasznie zadowolona z siebie. - Z wszystkich ludzi, którzy przyszli posłuchać, jak czyta, tylko ja go rozpoznałam. Więc teraz choć jedna osoba na świecie wie, jaka jestem bystra!

- Cóż, w takim razie gratuluje. - Grace poczuła, że na jej twarzy włączył się tik nerwowy.

- Jesteś zazdrosna! Nie ma powodu. Kazał mi też przekazać wiadomość dla ciebie. - Nagle irytująco zamilkła, zapewne chcąc wykorzystać moment przewagi.

- No i? Co powiedział?

Oj, jakże jej się spodobało byciem powiernikiem czyjegoś sekretu.



- Powiedział: „Przełącz swojej przyjaciółce, że nie musi zgrywać powściągliwej, bo to do niej nie pasuje”. I dał mi to. - Wyjęła z torebki zaklejoną kopertę, którą podała Grace przez stół.

Grace podniosła ją. Była ciężka, a w środku był znajomy kształt.

- To klucz, prawda? - spytała Margaret. - Pewnie do jego pokoju hotelowego. Co z tym zrobisz?

- To najbardziej arogancki, najbardziej bezczelny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek poznałam. - Nadal nie otworzyła koperty. - Męczą mnie już jego gierki.

-No ale co zrobisz?

- Odeślę mu to z powrotem. - Wrzuciła kopertę do swojej torebki. - A teraz już chyba powinnaś się zbierać. Jutro praca i tak dalej, no nie?

- Chyba masz rację. - Wyglądała, jakby rozważała zmianę zdania i chciała się napić. - Czy to znaczy, że mam zostawić cię samą?

- Niezupełnie. Ona już ma towarzystwo. - To był John Cramer, stojący tuż przy ich stoliku. Cramer, z szerokim uśmiechem na twarzy i oczami ledwie dostrzegalnymi w przyciemnionym oświetleniu klubu.

- Co ty tu robisz? - jej głos zabrzmiał niemal panicznie. Próbowała się uspokoić. Margaret patrzyła to na jedno, to na drugie, a w końcu jej wzrok spoczął na twarzy Cramera. Spodobał jej się, pomyślała Grace. I wtedy, widząc twarze kobiet przy sąsiednich stolikach, uświadomiła sobie, że podobał się im wszystkim.

- Pomyślałem, że powinienem ci to oddać. - Za plecami chował perukę i kapelusz. - Upuściłaś po drodze.

- Śledziłeś mnie?

- Niezupełnie. No, dobra, może i tak. - Cramer lekko się zarumienił. - Zaintrygowało mnie to przebranie. I pomyślałem: założę się, że ona idzie gdzieś, gdzie warto być. Trzeba sprawdzić gdzie.

Margaret pomachała im z zażenowaniem, coś wymamrotała i poszła sobie.

- Czy ten mężczyzna cię denerwuje, Głace? Sheridan wrócił - i teraz tych dwóch obściskało się,

mówiąc: „Lata całe cię nie widziałem, stary druhu”. Sheridan chwilę się wygłupiał z wykorzystaniem peruki i kapelusza, ale po chwili zdjął je z siebie. Cramer zaczął go wypytywać o Tutankhamuna. Kelner postawił na stole trzy kolejne Luxor Lizardy.

- Spotkałem tego dziada w Kairze pałą lat temu. Ale heca! Ja byłem tam na wykopaliskach. A on... Co ty lubiłeś w Kairze, John?

Cramer wzruszył ramionami.

- Byłem na wakacjach.

- Czytałaś kiedyś jego teksty, Głace? Jest piekielnie doły, no wiesz, gdy łobi wywiady z łóznymi ludźmi. Spławia, że wyjawiają mu wszystkie swoje sekłety.

- Starczy tego dobrego, Sheridan. - Cramer zapalił papierosa.

- Zabłysnął, łobiąc wywiad z płezydentem Hardingiem kilka lat temu.

Wiedziałaś o tym? Facet wpadł jak śliwka w kompot: kochanki, skandal Teapot Dome... długo by wymieniać. I można by pomyśleć, że ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, jest łozmowa z kimś takim jak John. I co on wtedy powiedział, John? „Mogę poładzić sobie z moimi włogami. Ale to przez najbliższych przyjaciół mam takie płoblemy”.

- Coś w tym stylu.

- Głace też jest tak jakby dziennikałką. Wiedziałaś tym, John?

- Sheridan...

- Jako Diamond Shałp pisze te felietony dla „Hełalda”. Są stłasziwie populałne. Ta nasza Głace jest dopławdy niegrzeczna. - Widząc wyraz jej

twarży, dodał szybko. - Och, skałbie. Chyba popełniłem małe *faux pas*.  
Widzisz, jak tełaz na mnie patrzy? Co najmniej jakby chciała mnie  
udusić. Zupełnie zapomniałem, że te jej felietony są tajemnicą.  
Orkiestra grała dobrego, szybkiego charlestona. Grace zmusiła się do  
uśmiechu.

- John, masz ochotę zatańczyć?

Ona i Cramer tak wirowali i podskakiwali na parkiecie, że ludzie aż  
zaczęli się im przyglądać. Grace zawsze pociągali mężczyźni, którzy  
potrafili dobrze tańczyć, tak samo jak nie potrafiła zainteresować się  
tymi, którzy robili to kiepsko. Tańczyli blisko siebie, a ona obejmowała  
ramionami szyję Cramera - wiedziała, że wyglądają w tej chwili, jakby  
byli kochankami. Znała jeszcze tylko jednego mężczyznę w Londynie,  
który tańczył z taką wprawą.

Musiła się trochę uspokoić.

- Spędzasz sporo czasu w towarzystwie mojej siostry - powiedziała, gdy  
wrócili do pustego stolika.

- Nancy jest cudowną kobietą, sama wiesz. Bardzo się zaprzyj ażniliśmy.  
Grace wyciągnęła papierosy i poczęstowała się jednym.

- Przechodzi ciężki okres. Słyszałam, że ty również.

- A więc powiedziała ci? O mojej żonie?

Zauważyła, że John wciąż jest kompletnie trzeźwy, podczas gdy jej plątał  
się już język. Przekłete koktajle! I na dodatek on nawet nie tknął swojego.  
Szkłanka wciąż była pełna. Grace postanowiła się poczęstować.

- Od śmierci mojej żony minęło pięć lat - powiedział. - Zresztą to nie robi  
różnicy. To sporo czasu. Ta cała gadka, że czas leczy rany... Zwykły  
banał.

- Ludzie muszą w coś wierzyć - odparła Grace. - Wojna spowodowała takie straty, że zrezygnowaliśmy nawet z noszenia żałoby. Bo przecież wszyscy musielibyśmy chodzić ubrani na czarno. Londyn wyglądałby jak miasto kruków. Ale rezygnując z tego, straciliśmy umiejętność opłakiwania bliskich. Zakopaliśmy te sprawy w szufladzie i zgubiliśmy klucz. Wszyscy starają się jakoś trzymać i tyle. Nie potrafimy już mówić o naszym żalu.

- Masz absolutną rację - powiedział Cramer. - Sam pogubiłem się trochę w sekretnym świecie mojej rozpacz. Po kilku miesiącach to wszystko stało się... niemożliwe do wysłowienia. Niby powinno się przejść nad tym do porządku dziennego. Poskładać się jakoś do kupy. Ale nikt nie powie ci, jak tego dokonać. - Potrząsnął głową - Boże, dobrze że mogę o tym z tobą porozmawiać, Grace. Ty i Nancy, wy nie odwracacie się od takich spraw. Jesteście pierwszymi od długiego czasu osobami, z którymi naprawdę mogę na ten temat pomówić.

- Mineły niecałe dwa lata, odkąd Nancy straciła Georgea.

- Wiem.

- Może wydaje się silna i radosna, ale to tylko pozór. Pod spodem jest bardzo krucha.

- O tym też wiem. - Zaczął dziwnie się jej przyglądać.

- Rutherfordowie trzymają się razem. Odkąd straciliśmy Georgea, jesteśmy sobie bliżsi niż kiedykolwiek.

- Grace, ja naprawdę darzę twoją siostrę szacunkiem. Nie gram w żadne gierki. Jesteśmy przyjaciółmi.

Coś zawirowało Grace w brzuchu, poczuła nagły ucisk i odwróciła wzrok, patrząc na stojący przed nią złoty koktajl.

- To dobrze. Bo jeśli ją skrzywdzisz, będę musiała cię zabić. Tańczymy? Tym razem był to staromodny walc. Pary poruszały się powoli, jakby się unosiły nad powierzchnią parkietu.

Mocno ściskając Cramera, Grace wdychała atramentową woń jego skóry. Miała wrażenie, że jej siostra przytula go dokładnie w taki sam sposób.

Jednak ciężko jej było to sobie wyobrazić. On nie był w typie Nancy, przynajmniej oceniając z perspektywy jej wcześniejszych wyborów. Lecz jeśli tak na to spojrzeć, nie był także w jej typie.

- Nancy nie lubi wąsów - szepnęła mu do ucha. - A ty?

- Nie mogę powiedzieć, żebym za nimi szalała.

- Ale lubisz Amerykanów. Przynajmniej tak można wywnioskować z twoich tekstów. Chociaż może nie jestem aż tak „oszałamiająco przystojny”?

W myślach przeklęła Sheridaną.

- Co to za historia pomiędzy tobą a O'Connellem? Twierdzisz, że go nie znosisz, ale łazisz za nim jak pies.

Poczuła, że na dźwięk tego nazwiska Cramer dosłownie zamarł.

- A ty? Czemu włożyłaś dziś tę idiotyczną perukę i kapelusz?

- To chyba jasne: nie chciałam, żeby mnie tam zobaczył. Z tobą było inaczej. Bardzo chciałeś, by zwrócił na ciebie uwagę.

Mimo że zespół wciąż grał, John wypuścił ją z objęć i wrócił do stolika. Po chwili dołączyła do niego.

Gdy oboje usiedli, poprosił kelnera o tonik z cytryną. Wiedziała, że nie powinna już pić, ale i tak zamówiła sobie Gin Fizz i wetknęła kolejnego papierosa do cygarniczki.

- Więc? - spytała. - Masz zamiar mi opowiedzieć o tobie i O'Connellu?

Westchnął.

- Byliśmy przyjaciółmi na Yale. Mieszkaliśmy w jednym pokoju.

Byliśmy naprawdę zżyci. I wtedy pojawiła się

dziewczyna, wyjątkowa dziewczyna, która zakończyła naszą przyjaźń.  
Grace wypuściła kółko z dymu.

- Mówisz poważnie? Chodzi tylko o dziewczynę?

- Czyż nie jest tak zawsze? Ona była wyjątkowa.

- Musiało wydarzyć się coś więcej niż sprzeczka o dziewczynę, obojętne, jak bardzo wyjątkowa by była. Przecież minęły już całe lata. Życie popłynęło dalej dla was obydwu. Przynajmniej powinno.

Wzruszenie ramion. Wyraz bezsilności zaprawionej kpina, co rozwścieczyło Grace.

- Więc co się stało?

- Ożeniłem się z nią. A on napisał książkę, w której była bohaterką. Ona już nie żyje.

- Byłeś mężem Véronique?

- Moja żona miała na imię Eva.

Zespół zaczął grać nowy numer, szybki jazzowy kawałek. Na parkiecie tancerze kręcili się i podskakiwali. Grace miała mętlik w głowie. Starła się to wszystko jakoś uporządkować.

- Słuchaj, mógłbym ci powiedzieć, że O'Connell to łajdak, że wykorzystuje ludzi, że to samo, co zrobił Evie i mnie, uczyni także tobie, jeśli tylko mu na to pozwolisz. Ale przecież nie ma sensu tego mówić, prawda? Ostrzeżenia nic nie dadzą, bo należysz do dziewczyn, które mają obsesję na punkcie takich spraw. Im dłużej na niego narzekam, tym bardziej stajesz się nim zafascynowana.

Zmusiła się, by się roześmiać.

- Nie próbuj bratać się z moim kobiecym wnętrzem. Ono musi zostać nienaruszone.

Potrząsnął głową.

- Wnętrzem? Bardzo starasz się je ukryć za pseudonimem i głupimi przebraniami. A tak naprawdę wszyscy wiedzieli, że to byłaś ty. To było jasne. Pozwól, że będę szczery:

nie będziesz się mogła oprzeć, żeby nie usłyszeć jego wersji tej całej historii. I gdy on ci nakłamię na mój temat, będziesz jeszcze bardziej zafascynowana. Wtedy wrócisz do mnie po kolejną część opowieści. I zanim się zorientujemy, uczepisz się nas jak rzep.

Ze złością wypuściła dym nosem.

- Co proszę?

- Dłinka, kochani? - Sheridan znów wrócił do ich stolika, kładąc jedną dłoń na ramieniu Cramera, drugą zaś na ramieniu Grace.

- Nie, dzięki, Sheridan - powiedziała Grace i wstała. - Właściwie powinnam się już zbierać.

- Ej, nie idź jeszcze. Obiecuję, że już się zamknę i będę się zachowywał jak należy. - Mimo tych słów, w oczach Cramera wciąż było widać złośliwość.

Sheridan kiwnął na niego palcem.

- Kawał z ciebie łajdaka i łotła. Głacie, skałbie, nie idź jeszcze. Ten facet jest nikczemny. Każę nakałmić nim pytony, gdy tylko mi je przywiozą. Posłuchaj, jest coś, o czym chcę z tobą porozmawiać, w cztery oczy. Coś ważnego. Zatkaj uszy, Cłameł, bo to nie twoja spława.

- Przykro mi Sheridan. Muszę lecieć. Może innym razem? - Uśmiechnęła się do nich przelotnie. - Jestem z kimś umówiona.

## **ROZDZIAŁ 4**

Na rozgwieżdzonym niebie wisiał księżyc cienki jak sierp. Na West Endzie zrobiło się zupełnie cicho, jeśli nie liczyć stukotu obcasów Grace, idącej wzdłuż Strandu. W dłoni ścisnęła hotelowy klucz.

Wmawiała sobie, że wcale nie idzie tam dlatego, że jest zakochana. Nie chodziło też o to, by zrobić na złość Cramerowi bądź uszczęśliwić O'Connella. A już na pewno nie była żadnym z tych aroganckich i podłych drani „zafascynowana”.

Chciała po prostu znowu spojrzeć w tę niewiarygodnie przystojną twarz, zobaczyć, jak malują się na niej kolejno pewność i zadowolenie, a następnie cisnąć w nią kluczem, na tyle mocno, by nabić siniaka. W ten sposób ogłosi, że z pewnością nie jest żadną powściągliwą dziewczyną. A potem odwróci się i spokojnie odejdzie, wraz ze swoją nienaruszoną godnością i nietkniętym kobiecym wnętrzem.

Mimo tego postanowienia, zaciśniętych zębów i wysoko podniesionej głowy, zachwiała się nieco, mijając Hotel Cecil, uważany niegdyś za najlepszy w Europie, teraz zaś przyćmiony przez swojego większego, bardziej luksusowego



sąsiada. Savoy nocą był nawet bardziej imponujący niż za dnia. Rozświetlony i pełen obietnic. Nawet o takiej porze przed wejściem stało kilka daimlerów i bentleyów. Taksówka zakrecała w Savoy Court, a kilkoro świetnie ubranych, lecz wstawionych maruderów przechodziło przez obrotowe drzwi, głośno rozmawiając.

Grace bardzo się starała roztaczać wokół aureę pewności siebie, kołysząc w dłoni kluczem tak, by portierzy wzięli ją za gościa. Unikała wzroku kobiety polerującej mosiężne ozdoby, podobnie jak faceta przy kontuarze, gdy z udawaną nonszalancją mijala recepcję. Wielki frontowy hall był słabiej oświetlony - odpowiednia ilość światła jak na tak późną godzinę, gdy większość imprezowiczów już dawno sobie poszła, a poranne gazety jeszcze nie dotarły. Jednak wciąż świeciło się w sali barowej. Wciskając windziarzowi monetę w dłoń, poprosiła, by zawiózł ją na czwarte piętro. To powinno wyglądać jak sytuacja nieodbiegająca od normy - dobrze ubrana młoda kobieta wraca nocą do hotelu, dokładnie wiedząc, dokąd zmierza. Kobieta dyskretnie zwracająca na siebie uwagę. Budząca szacunek, ale bez przesady. Ale i tak jej się to nie podobało - nie podobała jej się sama myśl o tym, o czym może teraz myśleć chłopiec obsługujący windę. Dłoń, w której ścisnęła klucz, obłana była zimnym potem.

Stojąc przed jego drzwiami, żałowała, że wypila ten ostatni gin fizz. Miała w dłoni klucz, ale sama myśl o przyjsciu tu bez zapowiedzi była tak śmiała, że Grace aż się wzdrygnęła. Powinna zapukać. Tak właśnie powinna zrobić. Podniosła rękę i nagle ją zatrzymała. Klucz - fakt, że go miała - stanowił wyzwanie.

Leżał bokiem na łóżku, plecami do niej. Po rytmie oddechu poznała, że śpi. Było zbyt ciemno, by dojrzeć coś więcej niż zarys jego kształtu. Zsunęła buty, podeszła do stojącego

przy łóżku stolika i zapaliła lampkę. Nawet się nie poruszył. Jego ramiona były odkryte, nagie. Jedną rękę położył pod głowę, druga leżała na kołdrze. Rozejrzała się po wielkiej sypialni, podziwiając jej przepych. Kotary ozdobione frędzlami. Mnóstwo połączonych ornamentów. Orientalny parawan. Przez uchylone drzwi dostrzegła kolejny pokój: a w nim kształty biurka, krzesel oraz szezlongu. Za kolejnymi drzwiami kryła się marmurowa łazienka. Niespodziewany dźwięk sprawił, że Grace aż podskoczyła. Pomruk, nic więcej. O'Connell przewrócił się na plecy. Kiedy spał, na jego twarzy malowała się łagodność, której Grace nie dostrzegła wcześniej. Stracił całą swoją przebiegłość i napuszenie, które jednocześnie przyciągały ją i odpychały od niego. Co powinna teraz zrobić? Nie mogła przecież cisnąć w niego kluczem, gdy spał. Miała budzić go tylko po to, by to zrobić? W tej chwili sam pomysł wydał jej się absurdalny.

Najmądrzejszym i najbardziej stylowym rozwiązaniem byłoby położenie klucza na poduszce i wyjście z pokoju. W ten sposób odzyskałaby panowanie nad sytuacją. Pewnie lada moment Dexter zacząłby za nią gonić. Myśl o tym zapaliła ogień w jej wnętrzu, ogrzała ją... Tak, musiała to sobie przyznać: wciąż go pragnęła. Pragnęła mocniej niż kiedykolwiek. A co jeśli jednak nie zacznie się za nią uganiać? Co jeśli odczyta jej gest jako zwykłe odrzucenie zaproszenia? Czy aby na pewno był jednym z facetów uganiających się za niedostępnymi kobietami?

Kolejny odgłos. Westchnienie. Na jego ustach pojawił się uśmiech. Gałki oczne poruszyły się pod powiekami. Wydawało się, że śni. Zapragnęła wkraść się do jego snów. Pomysł nie chciał dać się odegnąć. Zanim zorientowała się, co robi, zaczęła odpinać guziki sukienki, zdejmować ją, rozpinać stanik...

To był inny sposób na odzyskanie kontroli nad sytuacją.

Wciąż się nie poruszył. Nie drgnął nawet, gdy odkryła go i weszła pod kołdrę. Leżąc nago tuż przy jego ciele, zamarła w pełnym napięciu oczekiwaniu. Cudowna mieszanina pożądania i zdenerwowania sprawiły, że niemal wybuchła śmiechem. W końcu wyciągnęła dłoń i dotknęła go: najpierw niezobowiązująco, później z większą pewnością, kładąc dłonie na jego klatce piersiowej - ciepłej i twardej, lekko owłosionej - czując, że teraz objęła go w posiadanie, ale jednocześnie wiedząc, że jej dłonie są jednymi z wielu, które na nim spoczęły.

- Witaj, Grace - jego głos wciąż był zaspany, a oczy pozostawały przymknięte. - Nie sądziłem, że przyjdiesz. Myślałem, że będę musiał dłużej grać z tobą w kotka i myszkę.

- Ta gra już mnie znudziła. - Pocałowała jego powiekę, później drugą. Przesuwając dłonią wzdłuż twarzy, pogłaskała szyję.

Otworzył oczy. Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, a później podniósł się.

- Chcesz, żeby ktoś cię wreszcie poznał - powiedział. - Naprawdę poznał. Czy o to chodzi?

Wiedziała już, że nie ma znaczenia to, kto tu ma nad kim kontrolę. A nawet więcej. Chciała utracić panowanie nad sobą, poddać mu się całkowicie.

- Chcesz się do kogoś dopasować - ciągnął. - Prawda? - A potem poruszył nią. Po chwili zaczął poruszać się razem z nią, sterując jej ciałem, dopasowując je do swojego. W jego ruchach nie było nawet cienia niezdarności. Żadnych nieporozumień, przypadkowych gestów. Zadziwiła ją łatwość tego wszystkiego. Nigdy nie była równie nieskrępowana w towarzystwie mężczyzny. Spojrzała w dół na ich poruszające się ciała. Widok ten sprawił, że zapragnęła O'Connella

jeszcze bardziej. I wtedy, w końcu, wsunął się w nią i było w tym coś niesamowicie zwierzęcego, to był najbardziej fizyczny seks jej życia. Usiadła na nim. On przeturlał się na nią.

Minął już ponad rok, od kiedy ostatni raz była w łóżku z mężczyzną, to jest od jednorazowej przygody z Dickim. Ich związek skończył się na długo przedtem, bez wzajemnych wyrzutów i oskarżeń. Po początkowym okresie trudności i zdystansowania, wkrótce wrócili do swojej przyjaźni i obojgu było z tym dobrze. Ale tego wieczoru, gdy razem wyszli do Mitrę, oboje poczuli się bardzo samotni. Zaszedł wtedy do niej na drinka. Siedzieli przy gasnącym ogniu ze szklaneczkami brandy, gadając o czymś nieistotnym. I nagle wpadł jej do głowy ten pomysł. Pójście do łóżka z Dickiem byłoby czymś znajomym, wręcz swojskim. Czymś bezpiecznym. Mogłaby czerpać z tego przyjemność, nie musząc się nad tym zbyt wiele zastanawiać. Ich historia i tak już się już skończyła, więc można by to potraktować jako krótki epilog. Miła oaza na pustynnym krajobrazie jej życia miłosnego tamtego okresu. Miłe przypomnienie, że ktoś wciąż może jej pożądać.

Wstała i chwyciła go za rękę, a on spojrzał na nią zmieszany i zdziwiony. W ciszy wspięli się po schodach i w ciszy poszli do jej pokoju, gdzie kochali się delikatnie, ogarnięci melancholią. Później leżeli wtuleni w siebie, a Grace kończyła swoją brandy. Ogarnęło ją przygnębienie na myśl, jak bezowocne to było, ta próba ucieczki przed samotnością przez seks, czy chociaż podzielenia się tą samotnością z drugim człowiekiem. - Nie powinniśmy tego więcej robić - Dickie odezwał się pierwszy. Też miała w głowie takie słowa i przygotowywała

się do tego, by wypowiedzieć je na głos. Poczwała ulgę, wiedząc, że on czuł podobnie. To sprawiło, że zapragnęła go przytulić. Już chciała się z nim zgodzić, gdy dodał. - Między nami jest wciąż coś wyjątkowego, Grace. Nie powinniśmy tego w ten sposób trwonić.

Grace i O'Connell jedli w łóżku tort czekoladowy, popijając szampana. Rozrzucali okruchy po świeżej pościeli. Dexter ogłosił, że jest głodny, wezwał więc kelnera, a ten pojawił się tak szybko, że Grace zaczęła się zastanawiać, czy aby nie stał pod drzwiami przez cały czas, podglądając ich przez dziurkę od klucza.

- Więc to prawda. W Savoyu możesz dostać, co chcesz i kiedy chcesz - powiedziała.

Wziął kawałek i poczęstował ją, z uśmiechem kładąc głowę na miękkim oparciu łóżka.

- Skarbie, ja zawsze dostaję, czego chcę i kiedy chcę.

- Lubisz, kiedy wszystko jest zaaranżowane, nie? - Oblizała palce. - Nie zdziwiłoby mnie, gdybyś to ty wymyślił plotkę o dzisiejszym czytaniu. Tylko po to, żeby zobaczyć, kto się tam pojawi. Tylko po to, żeby się z nich śmiać pod swoją sztuczną brodą.

Podniósł brew.

- Naprawdę tak o mnie myślisz? Czy właśnie taką myśl miałaś w głowie, gdy siedziałaś na składanym krześle w swojej rudej peruce i kapeluszu, czekając?

- Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo żałuję, że je założyłam, Dexter.

- Chyba mówiłem ci, żebyś nie nazywała mnie Dexter.

- Jak w takim razie mam na ciebie mówić?

- Chodź no tu. Połóżmy się w czekoladowych okruszkach.

Gdy ją chwycił, zdała sobie sprawę z jego siły. Mógłby bez trudu cisnąć nią przez pokój. Leżałaby połamana i pozbawiona sił, ale to i tak byłoby wspaniałe uczucie.

- Szczęśliwa? - spytał ją później, gdy leżeli obok siebie.

- Sama nie wiem. - Gorączka opadła i Grace wstydziła się tego, jak słaba się okazała. Wcześniej, gdy wędrowała StranDEM, mocno wierzyła, że podejmuje stanowcze działania. Ale to, że przyszła tu do niego, było oznaką słabości, nie siły. Wystarczyło że kiwnął palcem, a już wskoczyła mu do łóżka. Wystarczył klucz, by przyniosła mu samą siebie jak urodzinowy prezent. - Nie wiem nawet, na czym stoję.

- Chcesz, żebym ci powiedział, że cię kocham, czy coś? Seks nie jest miłością. Chyba nie muszę tego wyjaśniać tak światowej kobiecie jak ty. Usiadła, opierając się o oparcie. Uniosła nogi i wtuliła się w swoje kolana.

- Kiedyś powiedziałeś, że nieustannie jesteś zakochany. Że to miłość sprawia, że czujemy się żywi.

- Problem tkwi w tym, że zdążyłaś się przyzwyczaić do tego, że mężczyźni się w tobie zakochują. Masz w sobie dość czar, by to działało się raz za razem. To ty decydujesz, którego faceta chcesz. Pstrykniesz i już masz go u swych stóp. Ale zastanów się. Naprawdę oczekujesz ode mnie czegoś takiego? Naprawdę chcesz, bym taki był?

Ścisnęła kolana jeszcze mocniej, kuląc się.

- Chciałam, żebyś zadzwonił albo chociaż wysłał wiadomość.

- Pewnie, że chciałaś. Ale nie rozumiesz, że tak jest lepiej? - Sięgnął po papierosy leżące przy łóżku.

- Dla ciebie.

- Dla nas obojga. - Poczęstował ją. - Grace, wcale nie jesteś we mnie bardziej zakochana niż ja w tobie. Gdybym robił to, co powinienem, to, co wydaje się słuszne, już byś się

mną znudziła. Zostałbym splawiony jakąś zgrabną puentą w twoim felietonie: „Dziewczeta, lepiej ubawicie się, spędzając wieczór z jedną z jego książek niż w jego towarzystwie”. Nie mam racji?

- Być może. - Wydmuchnęła kółko dymu i zgmiotła niedopałek.

Za trzecim razem zrobili to powoli, wręcz sennie. Może to był efekt działania alkoholu, że zdawało się, jakby ich ciała wcale nie leżały na łóżku w pokoju hotelowym. Zupełnie jakby unosiły się w powietrzu.

Patrzyła mu w oczy i nie mogła oderwać wzroku. Wydawało jej się, że gdyby to zrobiła, zaczęłaby spadać, a do ziemi było strasznie daleko.

W pewnym momencie to musiało się skończyć. Musieli zasnąć, bo Grace śniła o maszynistce Margaret, której czarne włosy zmieniły się w węża.

John Cramer też występował w tym śnie - grał na drewnianym flecie, a wąż poruszał się do granej przez niego hipnotyzującej melodii.

## **ROZDZIAŁ 5**

- Proszę usiąść, panno Rutherford. - Henry Pearson nawet nie podniósł wzroku znad papierów.

- Dziękuję, sir. - Usiadła na krześle dla gości, błędząc wzrokiem po miniaturowych olejnych obrazach koni, wiszących na pokrytych zielono-brązowym sukniem ścianach. Wchodzenie do tego pokoju było niczym cofanie się w czasie. Stęchłe powietrze, w którym tańczyły drobiny kurzu, skrzypiące krzesła i specyficzna cisza, kojarząca się z tą, jaka panuje w bibliotekach.

Jej uwaga z pokoju, w którym przebywała, przeniosła się na jaśniejszą, bardziej słoneczną perspektywę. Po z lekką wstydliwym śniadaniu w Savoyu, ona i O'Connell przespacerowali się wzdłuż Victoria Embankment. Ciężko załadowane łodzie mijały ich, wzburzając lśniące, spienione wody. Na rzece panował ruch równie wielki co na drogach i mostach. Londyn tętnił życiem, a Grace zaczęła rozmyślać o krwi pulsującej w jej żyłach. Idąc obok O'Connella, ściskając go za rękę, była najszczęśliwszą kobietą na świecie...



- Osoba leniwa. Taka, która marnuje pieniądze oraz dane jej szanse - powiedział to tak głośno, że Grace aż podskoczyła. Pan Henry wciąż jednak nie podniósł wzroku.

- Proszę, sir?

- Dziewięć liter. - W końcu spojrzał na nią znad szkieł swoich okularów, unosząc gęste brwi. Zauważyła, że przed nim leży gazeta z krzyżówką. Grace przełknęła ślinę.

- Może „darmozjad”, sir?

- Faktycznie. - Jego zbyt szeroki jak na taką okazję uśmiech zniknął po ledwie sekundzie. - Oczywiście, jeśli się nad tym zastanowić. - Znów opuścił głowę, zapewne by wpisać słowo w odpowiednie kratki, lecz Grace miała wrażenie, że wcale tego nie robi. Wydawało się, jakby pochłonął go jakiś niewidoczny szczegół, gdy ona tymczasem znów musiała przyglądać się gęstym wiktoriańskim bokobrodom. Jego zakończona srebrnym obiciem laska stała w kącie biura, oparta o porcelanowy stojak, tuż obok parasolki i zagadkowo wyglądającego przedmiotu, który mógł być przetykaczem do toalety (ale po co miałyby tu trzymać coś takiego?). Jakże dziwnie było spacerować z O'Connelllem w świetle dnia, tuż przy połyskującej srebrem rzece. Zdawałoby się, że taki mężczyzna pasuje wyłącznie do barów, restauracji i pokoiów hotelowych, słabo oświetlonych i zadymionych, pełnych chrapliwego śmiechu i erudycyjnych żarcików. Ale jednak tam był. A raczej: oni tam byli, para nocnych stworzeń, które wypełzły na światło dnia. I wydawało się to niemal normalne, niemal naturalne.

Pan Henry odłożył ołówek i odchylił się w fotelu, bacznie przyglądając się Grace. Wciąż miała na sobie sukienkę z wczorajszego wieczoru. Trzymała w biurze coś do przebrania, tak na wszelki wypadek, ale zapomniała, że dziś akurat

było w pralni. Już miała po to iść, gdy do jej drzwi zapukała sekretarka. Wczoraj nie widziała się z panem Henrym, więc może nawet nie zwróciłby uwagi. Jednak śmierdziała dymem tak bardzo, że była pewna, że i w jej wyglądzie tkwi jakaś luka. Na dodatek ten dziki błysk w jej oczach...

- Moja droga, doszedłem do wniosku, że możesz być zmęczona sporadycznymi (a może nie tak sporadycznymi) pogadankami z moim bratem, dotyczącymi twojego... całokształtu. Pomyślałem, że może chcesz mi o tym wszystkim opowiedzieć. Może masz jakieś usprawiedliwienie? Skoro Aubrey jest już na tyle poirytowany, że ma zamiar umyć od twojej sprawy ręce, pomyślałem, że może powinienem tym razem wejść w jego rewir - Mówiąc to, bawił się palcami.

- Cóż, panie Pearson, ja...

Ona i O'Connell obok siebie nad rzeką. Im dłużej spacerowali, tym bardziej realne wydawało jej się to, że są razem, że stanowią parę. Wraz z pewnością siebie wzrastała też jej ciekawość. Doszli do mostu Blackfriars, gdzie powietrze przesiąknięte było smrodem gnijącego drewna, kanalizacji i rozkładających się stworzeń, których szczątki dryfowały pośród szlamu; odory te mieszały się z wyziewami przemysłowymi i dolatującą z daleka wonią wytapianego tłuszczu. Tam Grace zaczęła wypytywać o Cramera. Starła się poznać wersję O'Connella - dokładnie tak jak przewidział to Cramer.

- Eva była wyjątkowa - stwierdził O'Connell. - Było w niej więcej życia niż w kimkolwiek innym. Żyła chwilą, miała gdzieś konsekwencje. Z nią nigdy nie było wiadomo, na czym się stoi, bo nieustannie się zmieniała, co pięć minut była kimś nowym, sama nie wiedząc kim. Była moją pierwszą miłością. Być może tą jedyną prawdziwą.

Choć mówił o swojej dawnej ukochanej, ciężko jej było tego słuchać.

- Takie przecież są dzieci - odparła Grace. - Mam wrażenie, jakbyś opowiadał o dziecku.

Wypuścił kłęb dymu i podał jej papierosa.

- Możliwe. Z pewnością była szalona. Nie nadawała się do zamążpójścia.

- A mimo to wyszła za Cramera.

- To był kolosalny błąd, tak właśnie mi napisała. Pisała do mnie mnóstwo listów, za każdym razem gdy on umieszczał ją w szpitalu. Powinienem raczej powiedzieć: w psychiatryku. To właśnie z nią robił, Grace.

Zamykał ją tam. I w końcu ona się zabiła.

- Co?!

- To była niewątpliwie tragedia, niemniej można się było jej spodziewać. Eva nie była osobą, która zdołałaby się kiedykolwiek ustatkować, a tego właśnie chciał Cramer. Nie można było sobie jej wyobrazić jako starzejącej się matrony.

- Panno Sharp?

PSTRYK! Pan Henry wyciągnął ramię nad biurkiem i pstryknął palcami przed samym nosem Grace. W pokoju było strasznie gorąco. Jak on ją przed momentem nazwał?

- Owszem, dobrze słyszałaś. Wiem o twoim *alter ego*. O twojej pracy na boku.

Grace przyłożyła dłoń do czoła.

- Jak...?

- Jesteś chyba bardziej naiwna niż sądziłem, młoda damo. Takie tajemnice nie zostają tajemnicami zbyt długo. Nie w świecie gazet.

Słońce nad rzeką świeciło coraz mocniej. Woda jarzyła się srebrnym blaskiem, odbijając i załamując jego promienie. Na jednej z łodzi ktoś śpiewał niskim barytonem. Głos brzmiał operowo i donośnie, a mimo to Grace nie mogła dostrzec śpiewaka, obojętne, jak bardzo by się starała.

- Cramer obwinia mnie o śmierć Evy - stwierdził O'Connell. - Zrobił ze mnie wygodnego kozła ofiarnego, żeby nie musieć szukać winy w sobie.

- Ale jak może sądzić, że to twój a wina?

- Czyż nie przekonał cię, że wykorzystałem nasze wspólne doświadczenia, pisząc *Wizję*, że ukradłem życie jego oraz Evy i w koszmarny sposób przekształciłem ich w publiczną własność? Wierzy, że ona nie mogła się z tym pogodzić i to ją ostatecznie złamało. A teraz chce się zemścić, pisząc własną powieść.

- Jesteś pewien? Myślałam, że jest dziennikarzem. O'Connell skrzywił się.

- Sam mi o tym powiedział. I brzmiało to jak groźba.

- I o czym ona będzie? To będzie jego wersja historii całej waszej trójki? Znalazł już wydawcę?

- Nie wiem. - Cisnął niedopałek w wir rzeki. - Wiem tylko, że spędziłem pięć lat w dziczy, starając się przed tym uciec. Ale John Cramer najwyraźniej nie zamierza odpuszczać.

- Och, tak. Ale, jeśli mogę to tak ująć, masz mały problem. Przypomina to sytuację, gdy proszę pannę Hanson o zrobienie mi przekąski. Na przykład jednej bądź dwóch kanapek z metką Pottera. I panna Hanson zawsze smaruje te kanapki zdecydowanie za cienko.

Czując wzrastające w niej napięcie, Grace przełknęła ślinę. Pod biurkiem jej stopy owinęły się wokół krzesła.

- A nie powinno się smarować aż tak cienko, panno Rutherford. Nie mnie tłumaczyć, którą ścieżkę powinna pani wybrać. Ale musi pani wybrać jedną i jej się trzymać. Nie wystarczy po prostu być utalentowanym.

- Rozumiem, sir. Ale naprawdę traktuję serio pracę tutaj. - W tej chwili właśnie tak było. Naprawdę.

- Dobrze zatem. - Zaszeleścił gazetą, rozkładając ją.

- Dziękuję, sir. - Rozmowa była skończona, więc Grace wstała.

- Jeszcze jedno, panno Rutherford. - Nie przestawał uzupełniać krzyżówki. - Potter znów jest naszym klientem. Pomyślałem, że powinna to pani wiedzieć.

Wszystkie konie z wiszących na ścianach obrazów zostały uchwycone podczas lotu. Nawet jedno kopyto nie dotykało ziemi.

- Te twoje felietony to kawał świetnej roboty. - Znów zaczął się bawić palcami.

- Naprawdę, sir? Dziękuję. - Wiedziała jednak, że to nie był szczery komplement. O'Connell i spacer nad rzeką wyparowali z jej umysłu. Namacalna proza życia - pan Henry i jego biuro, nuda codzienności - przedostawała się do świadomości i martwiła.

## PICCADILLY HERALD

9 maja 1927

### Z życia West Endu

*Dziękuję Wam, najdroższe czytelniczki, za ten gromki wielogłos potwierdzający, że Dobre Dziewczyny jednak są nudne. Naprawdę: możecie być teraz moimi siostrami od podnoszenia na duchu. Razem możemy stworzyć swoje własne, tańczące charlestona, strzygące się na pazia i palące papierosy stadium darwinowskiej ewolucji, gdy tymczasem odszcze-pieńcy (w worku z listami trafiło się kilku, nie ukrywam) siedzą w domu, wyszywając ścięciem krzyżowym swoje umoralniające wskazówki, a potem kładą się wcześnie do łóżek. Dla tych, którzy wykazali zainteresowanie: z Przystojnym Diabłem wszystko idzie w dobrym kierunku, lecz wcale nie osiągnęłam tego, czekając z założonymi rękami. W tym tygodniu życie jest już znacznie lepsze, nie sądzicie? Cudowna pogoda sprawiła, że jestem wyjątkowo rozbrykana i pełna pomysłów. Po pierwsze, czy mogę prosić, by ktoś zaprojektował i rozwiązał po naszych sklepach kolekcję dwustronnych sukienek? W jednej z tych niezręcznych okazji, gdy okoliczności zmuszają nas do tego, by przyjść do pracy we wczorajszych ciuchach, mogłybyśmy po prostu odwrócić sukienkę na drugą stronę i - czary-mary! - miałybyśmy nowe wdzianko, a nikt by się nawet nie zorientował. No dalej, projektanci. Wkroczyliśmy w erę masowej produkcji, a to jest przecież pomysł dla mas. Tylko pomysłcie, jaki to by miało potencjał sprzedaży!*

*Przejdźmy do mojego drugiego sezonowego pomysłu. Mamy obecnie taką porę roku, gdy ma się ochotę zacząć wieczór od wypicia koktajlu na świeżym powietrzu. Możemy to zrobić w tych rzadko spotykanych przestrzeniach West Endu -ogródkach z alkoholem (do moich obecnych faworytów należą przeuroczy, porośnięty bluszczem dziedziniec*

*Bombardiera na Drury Lane oraz nowo otwarty taras klubu Lido, gdzie stoją greckie rzeźby). W okolicach ósmej musisz jednak wejść do środka, bo na ramionach i nogach pojawia ci się gęsia skórka, a na dodatek szcękasz zębami. No dalej, właściciele pubów i nocnych klubów: pora zrobić burzę mózgów i wspólnie opracować jakąś formę gazowego bądź elektrycznego grzejnika, by wilk był syty i owca cała!*

*Innowacja numer trzy: jeden z was, właściciele nocnych lokali, powinien znacząco ulepszyć orientalny styl swojego lokalu. Każdy, kto zawędrował w dalekie rejony Limehouse (a, jak wiecie, ja wszystkiego próbuję co najmniej raz - nawet potwornego gulaszu z ośmiornicy, choć był to wybór niezamierzony), zrozumie przyjemność jedzenia naleśników z kaczką po pekińska albo słodko-kwaśnej wieprzowiny podczas gry w madżonga na pieniądze bądź patrzenia na ludzi w kimonach starających się tańczyć charlestona pod rzędami jaskrawych chińskich lampionów. Do roboty, Sheridanie Hamilton-Shapcott - przecież uwielbiasz atrakcje, więc obiecuję, że to sprawdzi się lepiej od węży. Tak, czytelniczki, dobrze przeczytałyście. Mój ulubiony elegancik sprowadził żywe pytony do swojego nowo otwartego klubu Tutankhamun. Nie ma jednak powodu do niepokoju, ponieważ „nie głyżą i nie potłafią nawet dusić, gdy damy im śladek uspokajający”. Już macie*

*dreszcze? Gady na bok, czas oznajmić, że Tutankhamun stał się najbardziej niezwykłym klubem w Londynie. Wyładowany po brzegi skarbami starożytnego Egiptu, pełen przepięknych chłopców i dziewcząt w czarnych perukach, z egipskim makijażem i - w niektórych przypadkach - przepaskami na biodrach. Ruszajcie zatem na koktajl Luxor Lizard i lepiej się pospieszcie, zanim przypełzną węże!*

*Bystry i cieszący się złą opinią przyjaciel podszepnął mi dowcipną uwagę, która tak mnie poruszyła, że postanowiłam uczynić z niej osobiste motto: „Oportunistka to taka dziewczyna, która spotkawszy w środku nocy wilka, następnego poranka pojawia się w nowym futrze”.*

*Myślę, że mogłabym wyszyć to zdanie ściegiem krzyżowym i zawiesić je sobie nad łóżkiem.*

*Diamond Sharp*



## ROZDZIAŁ 6

Hedonizm. To było właśnie to. Czysty, oszalamiający, wspaniały hedonizm. Tak cudowny, że aż chciałoby się, by trwał wiecznie. A jednocześnie tak dziki, że było jasne, iż musi się skończyć.

Od czasu pogawędki Grace z panem Henrym życie u Pearsona zrobiło się naprawdę klawe. W końcu udało jej się dopiąć swego w kampanii Baker's Lights, adresowanej bezpośrednio do kobiet. „Masz ochotę na ciastko? Sięgnij po Bakersa. Strać zbędne kilogramy dzięki Baker's Lights”.

Wpadła na ten pomysł, nawet się nie starając, mimo że bujała wtedy w obłokach.

Teraz - trzymając głowę nisko, skoncentrowana, dokładnie tak jak sugerował pan Henry - Grace starała się coś napisać dla Potterowego Superlunchu bądź Baker's Lights, wymyślić chwytliwą frazę.

Zastanawiała się, jaki obraz najmocniej rzuci się w oczy, a jednocześnie gratulowała sobie błysku oryginalności, skuteczności, z jaką potrafi sklejać słowa, mocy, z jaką w to weszła, w tę rolę... Naraz okazało się, że trzyma w dłoni telefon i prosi o połączenie z Savoyem - i naprawdę nie ma bladego pojęcia, co się stało,

jakim to cudem nagle porzuciła wszystko, nawet się nad tym nie zastanawiając.

Jego głos w słuchawce. Brzmiący donośnie i głęboko na tle trzasków linii.

- Więc, co dziś mamy w wieczornym *menu*<sup>7</sup>.

Odchyliła się w fotelu, zatrzaszkując kopniakiem drzwi. Zezwoliła swojej twarzy na uśmiech w rodzaju „kotek dostał śmietankę”. Wyznaczy mu teraz dzisiejsze miejsce schadzki: najnowsza sztuka na West Endzie, a następnie Ben Bernie w klubie Kit-Cat, drinki w Cafe Royal, a po nich wino oraz ser w towarzystwie artystów i gramofonu w studiu Bloomsbury, impreza na rzecznej barce, przyjęcie urodzinowe księżnej, cyrk na Blackheath. Diamond i Diabeł bawią się noc po nocy, przemierzając taksówkami miasto w poszukiwaniu jaśniejszych świateł, mocniejszych Martini, szybszego jazzu, ciekawszych występów. I każdą noc kończąc w jego pokoju w hotelu Savoy.

Sypianie z O'Connellem było jak jedzenie w najlepszej restauracji.

Wystawne, pożywne, egzotyczne. I nie było takiej rzeczy, której brakowałoby w karcie. Odnosiła teraz wrażenie, że mężczyźni, z którymi sypiała wcześniej, byli w tych sprawach raczej zasadniczy. Zawsze instynktownie czuła, kiedy powinna ściągnąć cugle, jak unikać budzącego lęk zdania: „myślałem, że jesteś Grzeczną Dziewczynką”.

Nauczyła się, jak być podniecająco powściągliwą, jak wysyłać potajemne sygnały. Nie można było mówić wprost, czego się pragnie w łóżku, ale można było subtelnie sugerować to mężczyźnie, tak by myślał, że to on tego pragnie. Nie sądziła, że to się kiedykolwiek zmieni. Ale z O'Connellem nie istniały żadne granice, nic nie było zabronione.

Minęło całe dziesięć dni, nim zdecydowała się wziąć noc „wolnego”.

Napędzana adrenaliną, przedzierała się przez

kolejne dni w biurze, podsycając nocny ogień alkoholem i czystą ekscytacją. W tym czasie wracała do Hampstead tylko okazjonalnie, żeby się wykapać, przebrać i krzyknąć „cześć” do rodziny. Ale teraz potrzebowała odpoczynku. Przytulenia się do Tilly i Feliksa. Odrobiny zdrowego snu, zanim wpędzi się do grobu.

Tego dnia Edna miała wolne. Na stole stała najlepsza zastawa. Nancy, zupełnie skołowana, ganiała do kuchni i z powrotem. Pod fartuchem miała ciemnozieloną szyfonową sukienkę, jedną z jej najlepszych. Dzieci były już w koszulach nocnych, ale pozwolono im jeszcze zejść na dół. Babcia wysyłała je z pokoju do pokoju, sadząc chyba, że jeśli pozostaną zbyt długo w jednym miejscu, narobią bajzlu.

Grace uświadomiła sobie, że Cramer też przyjdzie na kolację. I wraz z tą myślą poczuła delikatny skurcz jakiegoś tajemniczego mięśnia w okolicach żołądka.

Zajrzała do kuchni.

- Co tam gotujesz?

- Sznycel wiedeński. - Nancy waliła tłuczkiem w cienkie kawałki cielęciny.

- Ulubione danie Johna?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Nie przestawała tłuc. Jej policzki były już czerwone. - Choć zdaje się, że mieszkał przez jakiś czas w Wiedniu.

Nie było żadnego „zdaje się”. Z pewnością znała wszystkie szczegóły tamtej wycieczki, wraz z adresami jego hoteli oraz listą muzeów, teatrów i restauracji, które odwiedził.

Grace znów poczuła ściskanie w żołądku i musiała zacząć głęboko oddychać, żeby się rozluźnić.

„W porządku”, przekonywała samą siebie. „O'Connell jest twój, a Cramer należy do Nancy. Wszystko zostało rozstrzygnięte, nie ma się o co martwić. Wystarczy się zrelaksować i po prostu dobrze bawić”.

Przyszedł punktualnie o siódmej trzydzieści. Grace, schowana w salonie za książką, usłyszała, jak Catherine zachwyca się przyniesionymi przez niego kwiatami, a później pędzi szukać wazonu. I oto był tutaj, stojąc w progu salonu. Jego koszula miała podwinięte rękawy, marynarkę zaś zarzucił sobie na ramię. W jakiś sposób wydawał się zbyt rzeczywisty. Jego włosy były zbyt lśniące, oczy zbyt ciemne, śmiech za głośny. Sam fakt, że w ogóle tu był - fizycznie obecny w jej domu - sprawił Grace w stan podobny do szoku. Również on, gdy tylko zobaczył Grace, przestał zachowywać się swobodnie. W jego ramionach pojawiło się napięcie, zaczął też nieświadomie dotykać wąsów, jakby obawiał się, że coś w nich znajdzie.

„On czuje dokładnie to samo - uświadomiła sobie Grace. - W moim towarzystwie czuje się równie niekomfortowo, jak ja w jego”.

- Nancy specjalnie dla ciebie robi sznycel wiedeński. Z kiszoną kapustą. - Odłożyła książkę, nie ruszając się jednak z fotela. Nie była pewna, czy ufa sobie na tyle, by pewnie stanąć na nogach. - Pomyślałam, że dam ci znać, na wypadek gdybyś nie mógł tego zidentyfikować.

- W porządku. - Znów dotknął wąsów. - Wiem, czym jest sznycel z kiszoną kapustą.

- Ty może wiesz, ale Nancy? Z zasady jej pichcenie nie wybiegało nigdy poza pieczoną szynkę i gotowane ziemniaki.

- Grace. - Wyglądał na bardzo zakłopotanego. - Tamtej nocy w Tutankhamonie... obraziłem cię i...

- Ale i tak Nancy jest lepszą kucharką ode mnie. Pewnie nawet Tilly jest lepsza.

- Wujek John! Wujek John! - Tilly przybiegła w podskokach. W ręce trzymała misia, blond włosy spływały jej na ramiona. - Znam już wszystkie słowa do *Ali Things Bright and Beautifull* Posłuchaj.

Stała przed kominkiem, wysoka i wyprostowana, z dłońmi splecionymi na plecach, i zaczęła śpiewać swoim piskliwym, dziewczęcym głosem. Właściwie się nie pomyliła, no może z wyjątkiem tego, że zamieniła „jasne kolory” na „jaskrawe wzory”. Kiedy śpiewała, podczołgał się do niej Felix. Zaplątał kolana w koszulę nocną i zaczął piszczeć z niezadowolenia - co było bezsłownym rozkazem dla Grace, by go podniosła i przytuliła. Tak też zrobiła, chcąc nacieszyć się jego ciepłem, zupełnie jak ludzie przytulający kota. Po chwili zaczął się szaleńczo wiercić, więc posadziła go na podłodze i patrzyła, z rosnącą irytacją, jak czuł się do Cramera i czepia się jego spodni. Znow chciał, by go podnieść.

Wykonanie hymnu zakończył aplauz. Grace ruszyła wtedy na drugi koniec pokoju, by z przeproszającym gestem odciągnąć Feliksa od Cramera.

- Pora do łóżek, dzieci. Tilly tupnęła.

- Och, ciociu Grace! Teraz miałam zamiar zaśpiewać *There is a Green Hill Far Away*.

- Mamy maj, Tilly. Jezus zmartwychwstał dobrych parę tygodni temu.

- Ale ja tak lubię kawałki o krwi i umieraniu...

- Typowa kobieta. - Cramer przyciągnął wzrok rozbawionej Grace.

- Ciesz się, że w pokoju nie ma mojej matki. Nawet za mniejsze przewinienie dałaby ci nieźle popalić. Chodź już Tilly. Pora spać.

- Ciociu Grace, czy wujek John będzie moim nowym ojcem?

Pytanie pojawiło się znikąd, w chwili, którą Tilly szczególnie upodobała sobie do zadawania trudnych pytań: po

bajce na dobranoc, gdy wierciła się w łóżku, a Grace miała już zgasić światło.

- Och, skarbie. - Spojrzała w szeroko otwarte oczy Tilly i ujrzała w nich Georgea. Jego powagę. Jego dociekliwość. - Nikt nie może zastąpić twojego taty. On zawsze będzie z nami.

- Ale czy zmartwychwstanie? Tak jak Jezus?

- Nie, niezupełnie. On żyje w tobie, Tilly. W tobie i w Feliksie. Lecz Tilly już robiła się poirytowana. Uderzyła rękami w narzutę.

- To kłamstwo. On odszedł. A ja nawet go nie pamiętam. Grace spróbowała ją przytulić, jednak Tilly była zbyt rozzłoszczona.

- To nie fair. Elizabeth ma nowego ojca. I on ma pełno medali z wojny, a teraz jest menedżerem w banku i liczy pieniądze. Chcę, żeby wujek John ożenił się z mamą, żeby i ja miała nowego ojca.

Trudno było się nie zaśmiać.

- Ojcowie nie są jak książki z biblioteki, Tilly. Nie można wciąż dostawać nowych. Swoją drogą, może mamusia i wujek John wcale nie chcą brać ślubu. Nie myślałaś o tym?

Tilly się naburmuszyła.

- Czemu nie? Przecież się lubią. I on zawsze tutaj przesiaduje. Może przecież wyprowadzić się ze swojego domu i zamieszkać u nas.

- Tilly... - Jak często Cramer tu bywał? Grace musiała zdusić w sobie chęć zadawania pytań o to, kiedy przychodził i na jak długo zostawał. Nie zostawał na noc, tego była pewna. Nancy nie pozwoliłaby na to, nie mając przynajmniej pierścionka na palcu.

- Cóż, jeśli nie ma zamiaru żenić się z mamusią, powinien ożenić się z tobą.

- Tilly!

- Albo ze mną. Może ożenić się ze mną! Mogłabym być panną młodą w białej sukni. Zostałby wtedy moim panem starszym. - Znów zaczęła się uśmiechać, układając się już do snu. Grace schyliła się i pocałowała ją w czoło.

- Ta kapusta jest bardzo specyficzna. - Catherine Rutherford dźgnęła potrawę widelcem. - Peklowana czy coś?
- Robiona po austriacku - odparła Nancy. - I szczerze mówiąc, mam, chyba sama jesteś już bardziej zapeklowana niż ta kapusta.
- Gadanie. - Ale akcent Catherine był wyraźniejszy niż zazwyczaj, a to był pewny znak, że była wstawiona. Piła rzadko, lecz dzisiaj sięgnęła po sherry, jeszcze zanim otworzyli butelkę wina reńskiego. -Zresztą, a nawet jeśli? Czy mamy jakąś spisana zasadę, że tylko młodzi mogą bywać wstawieni? Czy bardziej dojrzałe damy muszą ograniczyć swoje zajęcia do szycia, picia herbaty i wpatrywania się w płomień kominka, tęskniąc za utraconą młodością?
- Cóż, przecież masz te swoje brydżowe wieczory... -Grace przyciągnęła wzrok Nancy i oboje zachichotały. Teraz, gdy siedziały razem przy stole, wszystko stało się znacznie prostsze. Siostry gładko weszły w swoje zwyczajowe role współpracowniczek, wsłuchując się w swoje kwestie i wymieniając spojrzenia.
- Co tam wy, trzpiotki, możecie wiedzieć! Pozwólcie, że coś wam powiem... - Catherine machnęła nożem i kawałek kapusty poleciał w stronę Cramera.
- Oho, zaczyna się. - Nancy przewróciła oczami.
- Wtrącono mnie do celi, żebyście wy, smarkule... - powiedziała Grace, naśladowując głos matki.

- Naprawdę tak było, pani Rutherford? - Cramer wyglądał na szczerze zainteresowanego. - Pod jakim zarzutem?

- Popęłniłam najbardziej odrażającą zbrodnię: agitowałam za prawem kobiet do głosowania. - Catherine poprawiła okulary na nosie i dumnie uniosła głowę.

Nancy nachyliła się do Cramera i szepnęła konfidencjonalnie:

- Na spotkaniu Liberal Party rzucała jajami i mąką w kilku parlamentarzystów.

- Jednego z tych łobuzów trafiłam prosto w jego łysy łeb! - wykrzyknęła triumfalnie. - Warto, byś wiedział, młody człowieku, że byłam sufrażystką, członkinią WSPU. Aresztowano mnie razem z Emmeline Pankhurst.

- Chodzi o Womens Social and Political Union - wyjaśniła Grace. - Mamusiu, zapominasz, że John jest Amerykaninem. Nie ma pojęcia o WSPU ani o Pankhurstach.

Uczestnicząc w żartach, Grace cały czas bacznie przyglądała się Cramerowi. W kieliszku miał wodę i przez cały wieczór nie wypił nawet kropli wina. Tamtej nocy też był trzeźwy - zwróciło to wówczas jej uwagę. Czyżby abstynent? A może kiedyś był uzależniony?

- Ogłosiła pani głodówkę, pani Rutherford? Czy zmuszali panią do jedzenia?

- Mów mi Catherine. - Bardzo ją cieszyło męskie zainteresowanie.

- Tatuś zbyt szybko ją stamtąd wyciągnął - powiedziała Grace. - Jeśli nawet odmówiła jedzenia, był to może jeden posiłek.

- To ją naprawdę rozwścieczyło.

- Ale za to zrobili jej zimną kąpiel - dodała Grace. - Byli bardzo nieprzyjemni. - Siostry znów popatrzyły na siebie i zachichotały.



- Wy niewdzięczne smarkule! - Mimo wszystko Catherine wydawała się radosna, bez wątplenia ukontentowana tym, że rozmowa dotyczy właśnie jej. Co chwilę spoglądała na przyniesione przez Cramera kwiaty, stojące teraz w wazonie na kominku. Białe róże i stokrotki, które ściał we własnym ogrodzie.

- Tylko się droczymy, chyba rozumiesz, mamusiu? - Grace odwróciła się do Cramera. - Nie potrafimy się powstrzymać. W rzeczywistości sądzimy, że była naprawdę odważna. Zresztą, wszystkie te kobiety były dzielne.

- Jeśli już, to są a nie były - odparła Catherine. - Ale skończmy już ten temat. Opowiedz mi o swojej pracy, John. O czym piszesz w tej chwili?

- Och, no wie pani, o tym i owym.

Nancy pochyliła się do Grace konspiracyjnie.

- Znowu zaczyna. Taki wielce nieśmiały. Nic nie chce powiedzieć, ale wydaje mi się, że pisze powieść.

Grace patrzyła to na siostrę, to na Johna. Nancy była tego wieczoru wyjątkowo wesoła i atrakcyjna: błyszczące oczy, twarz rozpromieniona czymś, co mogło być szczęściem. Cramer z zakłopotaniem bawił się sztucami.

- Serio, John?

- Szczerze mówiąc nie miałbym na to czasu. Zbyt wiele dzieje się na świecie. Kto miałby czas na jakieś zmyślenia? - Podniósł wzrok, patrząc na Grace, a w oczach miał urazę. „Tylko o n”, zdawały się mówić. „Tylko on ma czas na takie rzeczy”. Minęła chwila, po czym ciągnął dalej. -

Pracuję nad dużym artykułem na temat lotów transatlantyckich.

Słyszaliście może o Orteig Prize? - Widząc pełne konsternacji spojrzenie Catherine, wyjaśnił: - Raymond Orteig zaoferował dwadzieścia pięć tysięcy dolarów nagrody dla kogoś, komu uda się bez przerwy polecieć z Nowego Jorku do Paryża bądź z powrotem.

- A są jakieś nowe wieści na temat tych Francuzów? - spytała Nancy. - Nungessera, czy jak tam się nazywał jeden z nich?

Cramer potrząsnął głową.

- Ostatni raz odezwali się, gdy byli nad Irlandią. Obawiam się, że minęło zbyt wiele czasu. Pewnie spadli do oceanu.

- Biedacy. - Catherine teatralnie położyła dłoń na piersi. - Odważni pionierzy, obydwaj. Cóż za okropna strata.

- Ale jest już kolejny śmiałek, który zamierza spróbować - odparł Cramer.

- Pilot pocztowy, dacie wiarę? Planuje wylecieć z Long Island dwudziestego. Samotnie.

- Myślisz, że ma jakiegokolwiek szanse? - spytała Grace. - Tak zupełnie sam?

- Cóż, w Stanach nazywają go Latającym Głupcem. Myślę jednak, że są w błędzie. On będzie pierwszym człowiekiem, który przeleci nad Atlantykiem, a ja mam zamiar być pierwszym, który będzie widział jego lądowanie. Jadę do Paryża i biorę ze sobą fotografa. Oczywiście napiszę o tym do „New York Timesa” i same zobaczycie: moje nazwisko także trafi do gazet. Jego rzecz jasna też, nazywa się Lindbergh. - Spojrzał na Grace.

- Czasami lepiej działać w pojedynkę.

Na deser Catherine podała chlebowy pudding z kremem.

- Bardzo przypomina to, co robiła moja mama. - Cramer już wyczyścił talerz z każdego okruszka. - Podawała go z karmelową polewą. - A potem szybko dodał - Ten jest jednak lepszy, pani Rutherford.

- Możesz mówić mi Catherine.

- A pańska żona? - spytała Grace.

- Eva nie gotowała - odparł, odkładając łyżkę.

- Była bardzo piękna - wtrąciła niespodziewanie Nancy. - To znaczy, jeśli można oceniać po fotografiach w twoim domu.

- Zdjęcia nie oddają prawdy - odparł opryskliwie Cramer. - Nie są w stanie uchwycić całej osoby.

Grace patrzyła to na jedno, to na drugie. Nancy spuściła wzrok. Cramer wyglądał, jakby żałował tego, co tak raptownie powiedział.

Catherine wstała i zaczęła zbierać talerze.

- Mam mnóstwo zdjęć George'a. - Głos Nancy był spokojny, wyważony. - Czasem znajduję w nich pocieszenie. Patrzę na niego, takiego, jaki był, i przypominam sobie, jak szczęśliwi byliśmy razem. Ale czasem, gdy widzę go w mundurze z tym głupim uśmiechem, po prostu pęka mi serce. Strasznie się wtedy na niego denerwuję. Niezbyt rozsądnie, prawda? W końcu biedny George już nie żyje. Ale jest coś jeszcze gorszego. Coraz trudniej mi jest naprawdę ujrzeć George'a. No wiecie, w wyobraźni. Coraz częściej muszę przyglądać się fotografiom, by w ogóle przypomnieć sobie jego twarz. I wydaje mi się, że to nieuniknione. Strasznie mnie to smuci, że on każdego dnia wyparowuje z mojej pamięci. Nie ma żadnego sposobu, by jego wspomnienie pozostało żywe.

Patrząc na pociemniałą nagle twarz Cramera, Grace pomyślała, że to była ostatnia rzecz, którą chciał usłyszeć. Cramer ze swoim sekretem, z niewysłowionym żalem w sercu, który kładł się cieniem na całym jego życiu. Gdy wreszcie zabrał głos, jego słowa były skierowane bardziej do Grace niż do Nancy.

- Eva zniknęła dawno temu. Zaczęła znikać jeszcze na długo przed swoją śmiercią. Od dnia, w którym O'Connell opublikował swoją książkę. Odkąd użył mojej żony, by stworzyć postać Véronique. Ukradł jej energię, charakter, aż nic jej już nie zostało. Rozumiecie, co mówię? Przez długi czas

leżała chora w szpitalu, ledwie się odzywając i nie chcąc nikogo widzieć. Tylko pisała listy i czytała książki, dzień za dniem, marząc o tym, jak będzie, gdy się jej polepszy. Od czasu do czasu pojawiała się w niej jeszcze moja dawna Eva, ale potem znów znikła. Patrzenie, jak znika, było okropne. To nie do opisanania.

Później, znacznie później - gdy Cramer już wyszedł, Grace wzięła się do zmywania, a Nancy chwyciła za ścierkę - zaczęły rozmawiać o wydarzeniach tego wieczoru.

- Ta cała historia o jego żonie - powiedziała Grace. - Nie wierzę, że można stracić osobowość tylko dlatego, że ktoś umieścił nas w książce. To mi przypomina amerykańskich Indian, którzy uważają, że jak ktoś robi ci zdjęcie, to kradnie twoją duszę. Eva po prostu postradała rozum, a Cramer postanowił zrzucić winę na O'Connella i jego książkę.

- Nieźle się chyba orientujesz w tym temacie - odparła Nancy, wycierając talerz. - Albo przynajmniej wydaje ci się, że tak jest.

- Sądysz, że się mylę? - Grace zmierzyła ją wzrokiem. - A tobie co powiedział?

- Niewiele. - Odłożyła wytarty talerz i wzięła do ręki kolejny. - To jednak wystarczyło, bym się zorientowała, że istnieją dwa punkty widzenia tych samych wydarzeń. A właściwie trzy. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jesteś stronnicza.

Grace spojrzała w kuchenne okno, przyglądając się ich odbiciom. Szkło było zaparowane i twarze ich obu były rozmyte, niewyraźne.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jesteś zakochana w Dexterze O'Connellu. Wierzysz we wszystko, co ci opowiada.

- Wcale że nie! - Stuknęła talerzem o zlew.
  - Jesteś pewna? Najpierw byłaś absurdalnie szczęśliwa, potem piekielnie załamana, a przez ostatni tydzień czy dwa niemal nie pojawiaasz się w domu. Na dodatek masz ten swój wyraz twarzy.
  - Jaki wyraz?
  - Taki tajemniczy. Chyba nie sądziłaś, że to przeoczę?
  - Nie na wszystko zwracasz uwagę. Nie przez cały czas.
  - Tym razem zauważyłam.
  - Nie jestem w nim zakochana. - Cisnęła talerzem o suszarkę.
  - Nieważne, czy go kochasz, czy nie. Masz z nim burzliwy romans.
  - A co w tym złego? - Namydlonymi dłońmi dotknęła czoła. - Potrafię się o siebie zatroszczyć.
  - Naprawdę, Grace? Po tym wszystkim, co powiedział mi John...
  - Znowu zaczynasz. Niby co ci takiego powiedział?
  - Nie powiedział zbyt dużo. - Wciąż przecierała naczynia ścierką. - Ale wiesz równie dobrze jak ja, że O'Connell jest tak samo znany z pisania powieści, jak z bycia skończonym łajdakiem.
  - Ale on jest zabawny. I bystry. I przystojny. I bogaty. I ekscytujący. A na dodatek mnie lubi. Znasz w naszym towarzystwie kogokolwiek, kto spełniałby wszystkie te warunki?
  - Cóż... - Wyglądała, jakby już miała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła.
- Znów myśli o Dickiem, wywnioskowała Grace. Czy kiedyś wreszcie do niej dotrze, że nic by z tego nie wyszło?
- Po prostu obiecaj mi, że będziesz ostrożna. Masz dobry instynkt i mam nadzieję, że zdasz się na niego. Bardzo cię kocham, Grace. Nie mogę znieść myśli, że jakiś facet wyrządzi ci krzywdę.

- Och, skarbie! - Grace wzięła Nancy w ramiona i przez jakiś czas stały tak: objęte, wsłuchane w swoje oddechy, wbicie swoich serc. - Oczywiście, że będę ostrożna. - Ich odbicia w szybie stopiły się teraz w jedno.

Gdy wreszcie wróciły do zmywania, zapadła niezręczna cisza.

- W twoim felietonie wyczytałam, że byłeś w tym nowym klubie Sheridana - powiedziała w końcu Nancy, chcąc przerwać milczenie.

- To prawda.

- Ostatnio nieczęsto go widuję. Właściwie nie widuję go, odkąd przestaliśmy być dziećmi. Od czasu tamtego rozłamu między naszymi rodzicami. Ile mieliśmy wtedy lat?

- Nie jestem pewna. Trzynaście, może czternaście. Ale nie rozmawiajmy o tym.

- Nie. - Nancy z przejęciem polerowała talerz. - Oczywiście, że nie. Ale jaki on jest teraz? Sheridan?

- Niemal taki sam jak wtedy, gdy jeszcze był dzieckiem. Dziwny.

Delikatny. Moim zdaniem uroczy, choć wiem, że nie każdy by się ze mną zgodził. Po tym, jak odziedziczył ten cały majątek, zrobił się bardziej pewny siebie. A im bardziej jest pewny siebie, tym większy z niego ekscentryk. Jakby zupełnie świadomie postanowił wzmocnić każdy aspekt swojej osobowości. Nawet wadę wymowy.

- No popatrz. - Nancy uniosła brwi. - Chętnie bym się z nim spotkała.

- On i John są starymi przyjaciółmi - odparła Grace. -Może spytaj go, czy nie zabrałby cię któregoś wieczoru do Tutankhamuna?

Zmarszczenie brwi.

- Nasze spotkania z Johnem nie na tym polegają.

- Naprawdę? - Grace zmierzyła ją wzrokiem. Nancy podniosła żeliwną patelnię i zaczęła ją szorować. - Wiesz,

Nancy, dzisiejszego wieczoru wydajesz się naprawdę szczęśliwa. Nie widziałam cię taką od dawna, chyba od czasów przed śmiercią Georgea. Nancy wzruszyła ramionami.

- Może i jestem szczęśliwa. W końcu to był miły wieczór. -Ale?

- Nie ma żadnego ale. To był miły wieczór. I nie ma tu nic do dodania.

Więc może przestań węszyć, Grace.

- Skoro tak twierdzisz. - (irace westchnęła i położyła patelnię na suszarce.

Ale nie skończyła jeszcze z tematem Cramera. - Przy kolacji mówiłaś, że podejrzewasz, że John pisze powieść. Skąd ten pomysł?

- Chodzi o coś, co kiedyś powiedział. Już dokładnie nie pamiętam, co to było. Ale wygląda na to, że się myliłam. Choć wiąże się z tym coś jeszcze...

-Co?

- Cóż, przeczytałam *Wizję* kolejny raz. Byłam ciekawa, jak w świetle nowych okoliczności to wszystko będzie się prezentować. Skończyłam ją ubiegłej nocy.

- I?

- Bardzo dziwnie jest czytać książkę, wiedząc o prawdziwych ludziach i rzeczywistych wydarzeniach, na których została oparta.

Grace czekała, aż Nancy powie coś więcej. Wzięła do ręki poczerniały rondel i zaczęła szorować go szczotką.

- Teraz, gdy znam Johna... Cóż, stwierdzam, że słyszę w tej książce jego głos.

- Co przez to rozumiesz?

- Nie jestem pewna. To było dość niezwykle. Sprawilo, że zaczęłam myśleć o duchach. O nawiedzonych domach i takich tam. O niewidzialnej obecności. Nie żebym wierzyła w takie rzeczy...

- O czym ty, do diabła, opowiadasz?

- Chodzi o to, że John jest wyraźnie obecny w tej powieści. Zupełnie jakby sam przyłożył się do jej napisania. Wiem, że brzmię teraz, jakbym oszalała.

- Fakt, tak właśnie brzmisz. - Grace odłożyła rondel. -Szczególnie, że wiesz, jaką on ma opinię o tej książce. - Na moment zamilkła, namyślając się nad tym, co usłyszała. -W czasie gdy O'Connell pisał tę powieść, on i John byli sobie bardzo bliscy. Może ta ich bliskość jakoś przeniknęła do tekstu.

- Możliwe.

Okno całe zaszło już parą. Odbicia dziewczyn zniknęły zupełnie.



## ROZDZIAŁ 7

### Przeszłość

Po południu 17 października 1922 roku, siostry Rutherford, obładowane zakupami, zatrzymały się na kawę i ciastko w Lyons Corner House na Piccadilly. W przeddzień swoich dwudziestych czwartych urodzin Nancy wręcz promieniała szczęściem i pozytywną energią. Grace również była w pogodnym nastroju, choć w bardziej stonowany sposób. Jej zadaniem było dziś zapewnienie Nancy udanych zakupów, na które siostra z pewnością zasłużyła.

- Wprost nie mogę uwierzyć swojemu szczęściu. - Nancy miała w ustach ciastko z kremem i sypała okruchami wokół siebie. - Ups, przepraszam. - Musnęła usta serwetką. -Przez tak długi czas nic się nie układało.

Pamiętasz, jak beznadziejne były moje dwudzieste pierwsze urodziny?

- Oczywiście. - Grace wypila łyk herbaty, a potem odwróciła głowę, chcąc zobaczyć kwartet smyczkowy, usilnie starający się przebić przez gwar rozmów, brzęk filiżanek i hałas wózków z ciastkami, jeżdżących tam i z powrotem. -Jakże mogłabym zapomnieć? Na szczęście to już za nami.

- Byłaś taka twarda. - Nancy wzięła do ust kolejny kawałek ciastka. - Ugłaskałaś gości i dopilnowałaś

wszystkiego. Gdy George wrócił w końcu z pubu chwiejnym krokiem, pomogłaś mi położyć go do łóżka. Wytarłaś jego wymiociny.

Grace przewróciła oczami.

- Błagam, Nancy, musisz o tym mówić? A tak w ogóle, solenizantko, pora chyba zostawić te wszystkie okropieństwa za sobą. Z Georgeem już w porządku.

- Tak. - Oczy Nancy rozpromieniły się. - Dzięki Bogu. Wiesz, Grace, ja naprawdę wierzyłam, że on robił to tylko po to, by mnie wkurzyć. Że mnie nienawidził, a ja nie mogłam dociec, czemu tak jest. Pamiętasz, jak się do mnie odzywał? Nie mogłam spojrzeć mamie w oczy. Nie mogłam znieść faktu, że jest świadkiem czegoś takiego. To znaczy, ty też byłaś, ale to co innego.

- Napijmy się wina - wtrąciła radośnie Grace. - Powinnyśmy wznieść toast.

- No raczej. - Nancy schyliła się i zaczęła grzebać w jednej z toreb leżących na podłodze. - Ależ mi się podoba ta niebieska sukienka. Jesteś kochana. Założę ją na jutrzejsze przyjęcie. Myślisz, że spodoba się Georgeowi?

- Z pewnością. Wyglądasz w niej bosko.

Do stolika podeszła kelnerka i Grace zamówiła dwa kieliszki białego wina. Kwartet grał teraz jakiś znany, przebrzmiały już kawałek.

- Kto to napisał? - spytała Grace.

- To była wściekłość wywołana wojną - stwierdziła Nancy. - Mówię oczywiście o Georgeu. Tłumiona wściekłość. Wrzenie krwi. Te wszystkie koszmary... Nie mogłam go z nich wybudzić. Musiałam kurczowo trzymać się łóżka i czekać, aż się skończą. I właściwie głównie to robiłam. Trzymałam się jakoś i miałam nadzieję, że wszystko znów będzie dobrze. I w końcu było.

Kelnerka przyniosła wino. Stuknęły się kieliszkami.

- Twoje zdrowie. Wszystkiego dobrego z okazji jutrzejszych urodzin. Jak myślisz, to Vivaldi?

- No i za ciebie. - Nancy znów stuknęła jej kieliszek. - Za to, że jesteś taka twarda. Naprawdę uważam, że tylko dzięki tobie jakoś razem przetrwaliśmy.

- Bzdury. - Grace upiła łyk wina. - Lepiej patrzmy w przyszłość. A propos: o której masz się spotkać z mamą?

- O piątej. Grace, muszę ci coś powiedzieć.

- Lepiej pij szybciej. Jest już prawie wpół do. Na jaki film się wybieracie? Kłamstwa ciągnęły się już od dłuższego czasu. Można by się spierać, czy ich początek sięgał tamtej nocy 1915 roku, gdy na potańcówce George oświadczył się Nancy. Może nie tyle było to kłamstwo, co zatajenie prawdy. George i Grace milczeli na temat tego, co zaszło między nimi wcześniej, w Heath.

Milczenie pogłębiło się wtedy, gdy George opowiedział Grace, co spotkało Stevena, prosząc, by nikomu tego nie powtarzała. Potem doszły jeszcze listy. Zachęcił, by pisała do niego, gdy będzie na służbie. Jak mogłaby mu odmówić i niby czemu powinna? W końcu nie chodziło o listy miłosne. Jej listy były utrzymane w chłodnym tonie i wypełnione bieżącymi informacjami. Miały upewnić Georgea, że z Nancy wszystko w porządku, że ciągle o nim opowiada i bardzo tęskni. W ten sposób Grace przekazywała mu też różne ploteczki z Hampstead: Philippa Green jest w ciąży, Tabitha Ferrier zdradza męża, Frederick Perry-Johnson wrócił do domu po stracie ręki. Lamentowała na temat stanu ich domu: pozatykane rury, zepsuta kłamka, zacieki na ścianach kuchni, przeciągi. Mówiła mu, by wracał jak najszybciej, inaczej dom się zawali. Mało pisała o sobie.

Uważała, że nie wspominając o tych listach, postępuje właściwie. To nie tak, że miała coś do ukrycia. Po prostu nie wiedziała, jak ma wyjaśnić siostrze, czemu nagle zaczęła regularnie wysyłać listy do jej męża. Wydawało się to dość dziwne. A im dłużej to trwało, tym trudniej było o tym mówić, tym bardziej że George również milczał na ten temat. Nadeszła wiosna 1918 roku. George wciąż pisał wyłącznie do Nancy, nie mówiąc nic o listach, jakie otrzymywał od Grace. W swoich listach pisał głównie o tym, jak bardzo tęskni za domem. Wspominał o podróżach pociągiem, o długich dniach marszu, odmrożonych stopach, nudzie i śpiewaniu. Cenzorzy niczego w nich nie zmieniali. George pomijał tematy, które mogłyby przerazić żonę. Ale siostry Rutherford czytały w gazetach na temat wielkiej niemieckiej ofensywy, słuchały doniesień radiowych. Wiedziały, że George musi być w samym centrum tych wydarzeń, lecz nie może opowiedzieć im o wszystkim. Nancy pokazywała te listy Grace, a ta zaczęła myśleć, że być może znajdzie w nich jakieś ukryte wiadomości skierowane do niej. Gdy pisał o ulewnym deszczu, sądziła, że chodzi mu o ciężki ostrzał. Historie o kopaniu piłki z kolegami z kwatery tak naprawdę kryły w sobie znacznie bardziej mroczną treść. George wiedział, że Nancy tego nie dostrzeże, ale ona już tak. Z czasem Grace czuła się coraz mocniej zobowiązana do czytania listów Georgea i gdy Nancy któregoś jej nie pokazała, przeszukiwała ukradkiem sekretarzyk siostry. Zaczęła myśleć o sobie jako o powierniczce Georgea. Jej listy stały się bardziej osobiste. A fakt, że George nie odpisywał jej bezpośrednio, sprawił, że łatwiej było się przed nim otworzyć. Jego milczenie było czymś kojącym, oczekiwanym. Z końcem lata, gdy nadeszły te wszystkie doniesienia o porażce

niemieckiej armii i końcu wojny, listy Grace zmieniły się w regularny pamiętnik, w którym opowiadała George'owi już praktycznie o wszystkim.

Jego długo wyczekiwany powrót okazał się dla wszystkich zainteresowanych niezmiernie trudny. Uśmiechy George'a wydawały się wymuszone. Był przesadnie uprzejmy, niezdarny i niespokojny.

Wydawało się, że chce ukryć tyle, ile tylko zdoła: w łóżku, za gazetami, w pracy, w pubie ze starymi przyjaciółmi. Późną nocą Grace słyszała płacz i narzekania Nancy. Jego odpowiedzi były lakoniczne i ciche.

Grace była w gruncie rzeczy zadowolona, że George stał się małomówny. Co innego zwierzać się ze swoich pragnień George'owi, który jest gdzieś daleko i milczy w odpowiedzi, a co innego znów mieszkać z nim pod jednym dachem. Już samo przebywanie z nim w jednym pokoju budziło jej zażenowanie. To, co o niej wiedział... Nie było żadnych szans, by to cofnąć. Na szczęście w tamtym okresie musiała już regularnie wychodzić do pracy, więc dom opuszczała wcześniej rano, a wracała dopiero późnym wieczorem. Po cichu zaczęła odkładać pieniądze, by wynająć sobie osobne mieszkanie.

Mijał rok 1919, a sytuacja się pogarszała. George coraz więcej pił i coraz częściej był nieobecny. Jego przedłużające się milczenie przerywane było atakami gniewu. Szalę przeważały nieudane dwudzieste pierwsze urodziny Nancy. Gdy jednak Grace oświadczyła, że ma zamiar lada dzień przeprowadzić się do małego mieszkania w Bayswater, Nancy zaczęła ją błagać, by tego nie robiła.

- Sama sobie z nim nie poradzę... On słucha tylko ciebie! Taka jest prawda. Hamuje się, gdy jesteś w domu, bo nie chce, byś o nim źle myślała. Gdy zostaję z nim sama, nie zwraca już uwagi na to, co mówi ani co robi.

- Masz jeszcze mamę - tłumaczyła Grace.

- Gracie, błagam, zostań jeszcze na trochę. Musisz mi pomóc doprowadzić go do porządku. Gdybyś tylko mogła spędzić z nim trochę czasu... porozmawiać z nim...

Za namową Nancy George i Grace zaczęli co kilka dni odbywać wspólne przechadzki do Heath. Czasami rozmawiali, ale zazwyczaj spacerowali w ciszy. Tak było łatwiej. Szli pod ramię i widać było, że George relaksował się w towarzystwie Grace. Niekiedy siadali razem na ławce, nieopodal szczytu Parliament Hill, gdzie kiedyś próbował wyznać jej uczucie.

Zawsze gdy tam siedzieli, Gracy rozmyślała o tym wydarzeniu i wiedziała, że on także o tym myśli. W drodze powrotnej na Tofts Walk zaczynał się robić spięty. Jego milczenie stawało się tym bardziej paraliżujące, im bliżej domu się znajdowali.

Nancy wydawała się aż przesadnie wdzięczna.

- My tylko spacerujemy - tłumaczyła jej Grace. - Czasami sobie usiądziemy. On niczego mi nie mówi. Ani o wojnie, ani o tobie. Nie wydaje mi się, by to w czymkolwiek pomagało.

- Ależ pomaga.

I naprawdę tak było. George zaczynał łagodnieć, stopniowo, lecz zauważalnie. Tajał. Częściej zostawał w domu. Przystopował też z pićciem.

Spacery trwały więc dalej. Pewnego dnia, gdy siedzieli na ławce, George wziął Grace za rękę, a ona mu na to pozwoliła. Nic więcej - trzymała go jedynie za rękę i siedzieli tak razem. Po powrocie do domu George był radosny przez resztę dnia. Podczas następnego spaceru znów to zrobił i tym razem siedzieli tam znacznie dłużej. Wsłuchiwała się w jego oddech, w nieznaczące ruchy jego ciała. Czuła ciepło ich złączonych dłoni. Ale nie pozwoliła sobie na niego spojrzeć. Skierowała wzrok na Londyn, z tego miejsca

zredukowany do rozmiarów zabawkowego miasteczka leżącego u ich stóp.

Przy następnej okazji, gdy to się powtórzyło, odwróciła głowę i spojrzała na niego: złote pasma migoczące w miedzianych włosach, blada, zapadnięta twarz - być może z powodu nieszczęścia, a może przez wspomnienia, o których nie chciał mówić. Jego piwne oczy nie były już tak przejrzyste jak przed wojną. Ale też nie były już tak puste jak wtedy, po powrocie do domu.

- Mogę cię przytulić, Grace? - spytał. - Tylko przytulić?

Przysunęła się do niego i objął ją ramionami. Pochylając się ku niemu, wsunęła głowę pod jego brodę i wsłuchiwała się w bicie serca. Wokół nich opadały liście.

To podniosło ich oboje na duchu, więc później przytulali się już za każdym razem. Siedzieli tam coraz dłużej, nawet gdy nadeszła zima i w Heath zrobiło się mokro, zimno i wietrznie. Gdy dotykali się nawzajem, między ich ciałami przebiegał prąd, który dawał siłę. Zawsze, kiedy to się działo, Grace czuła, że oczywistym i naturalnym odruchem byłoby uniesienie głowy i dotknięcie ustami jego ust. Wiedziała jednak, że to ta granica, której nie może przekroczyć. To, co robili, nie było całkiem niewinne, ale wciąż tkwiła w tym pewna dwuznaczność. Musieli po prostu zostać po właściwej stronie wyznaczonej sobie granicy.

Aż nagle, pewnego śnieżnego styczniowego dnia, gdy znów siedzieli wtuleni w siebie, Grace zrozumiała, że to dla niej zbyt wiele.

Problem w tym, mówiła sobie, że coraz mocniej mnie to pochłania i mam wrażenie, że jego także. Im dłużej się temu opieramy, tym większą mamy na tym punkcie obsesję. Może gdy się temu poddamy, będziemy mogli ruszyć przed siebie, zostawiając to wszystko za sobą.

Była gotowa to zrobić, w każdej chwili. Chciała podnieść głowę i go pocałować. To po prostu musiało się stać.

Heath pokrywała warstwa śniegu. Na ich ramiona i włosy opadały cicho białe płatki. Gdzieś w oddali piszczały dzieciaki, rzucając w siebie śnieżkami. Ale to było bardzo odległe. Grace odetchnęła głęboko... Zaś George, wciąż ją trzymając, zaczął mówić.

Mówił o tym, co działo się w październiku 1915 roku, o ofensywie La Basse w trakcie bitwy o Loos, gdy jego towarzysze czekali w okopie na rozkaz, by ruszyć przed siebie. Myśleli, że będzie trzeba czekać kilka godzin, ale niemal tydzień później wciąż tkwili w błocie, na deszczu. By zachować zimną krew pili mnóstwo whisky. Zasypiali od razu, gdy tylko kończyła się ich warta. Wokół nich wały się ciała towarzyszy, rozkładające się paskudnie dzień za dniem: ich brzuchy nabrzmiwały, wzdymały się i zapadały, skóra stopniowo zmieniała kolor. Patrzyli, jak szczury pożerają ciała ofiar. Smród, powiedział, był nie do opisania. Mówił o żołnierzu z regimentu East Surrey, umierającym między liniami zasieków, na ziemi niczyjej.

- Słyszeliśmy go, słyszeliśmy jego agonię. To trwało i trwało, i nie dało się tego słuchać. Ale nie mogliśmy wyjść z okopu, by mu pomóc. Ostrzał był zbyt mocny. Wciąż przepraszał za hałas, który powodował. Gdy sanitariusze w końcu go odnaleźli, martwego, miał pięść wetkniętą w usta. Zrobił to, by oszczędzić nam swoich krzyków. By nikt z nas nie musiał ryzykować, próbując go ocalić.

- W ogóle nie wychodziliśmy z okopów. Potem gruchnęła wieść, że już po wszystkim. Mogliśmy zawracać.

Grace podniosła wzrok, myśląc że zobaczy jego łzy, lecz twarz Georgea była blada z wściekłości.

- I wiesz co? Najtrudniejsze ze wszystkiego były moje krótkie powroty do domu. Wszystkie te bzdurne przepustki,



gdy tymczasem życie toczyło się dalej. Kobiety takie jak twoja matka, maszerujące w mundurach. Absurdalne wiersze o szkarłatnych polach i przelanej krwi bohaterów. Nie mieliśmy pojęcia, czemu tam jesteśmy, Grace. Szczerze mówiąc, bardziej nienawidziliśmy naszego pułkownika niż Niemców. Zaraz po La Basse zaczęła narzekać, że niezdyscyplinowani, zbyt bezpośredni oficerowie pozwalają żołnierzom mówić do siebie po imieniu. Nie wydaje mi się, by ktokolwiek z tych, którzy tam byli, mógł wciąż wierzyć w Boga, Anglię czy cokolwiek. Ale mówię ci, Grace, łatwiej było być tam, niż tu, teraz, gdy wszyscy tak idiotycznie się zachowują. Oglądać wszystkich tych bezmyślnych patriotów z ich wielkimi słowami. Oni nigdy nie widzieli, jak naprawdę wygląda wojna, albo po prostu o tym zapomnieli. Zdaje się, że pokój, o który walczyliśmy, polega na samozadowoleniu i ignorancji.

W milczącym porozumieniu George i Grace przestali chodzić na kolejne spacerunki. Czuli, że oboje wiedzą, jak bardzo zbliżyli się do niewidzialnej granicy, której nie chcieli przekraczać. Jak na ironię, jego decyzja, by opowiedzieć jej o swoich wojennych doświadczeniach, zapobiegła temu, co mogło między nimi zajść. Jak pragnienie zakazanego pocałunku mogło przetrwać taką rozmowę? Mimo to po jego słowach ich wzajemne zrozumienie jeszcze się pogłębiło. W drodze powrotnej George ścisnął dłoń Grace tak mocno, jakby chciał połamać jej palce.

- Podtrzymuję moją decyzję o przeprowadzce - oznajmiła siostrze. - George znów jest sobą. Już mnie tutaj nie potrzebujesz.

- Masz rację, Georgebwi się poprawiło - odparła Nancy. - Życie tutaj stało się znacznie przyjemniejsze, prawda? Po co się w takim razie miałabyś się wyprowadzać?

Kilka dni później Grace była w swoim pokoju, pakując rzeczy do leżącej na łóżku walizki. W domu panowała cisza,

bo pozostali domownicy gdzieś się rozeszli. Grace przekonała Nancy, że nie zdoła zmienić jej decyzji. Nadszedł czas, by usunęła im się z drogi. Potrzebowali trochę prywatności i szczerze mówiąc, ona także.

Trzasnęły frontowe drzwi. Usłyszała głośny tupot i wiedziała już, że to George. Chwilę później wpadł bez pukania do jej pokoju. Twarz miał czerwoną, włosy w nieładzie.

- Nie możesz odejść.

- Czemu? Bo Nancy tak powiedziała? Wypłakiwała ci się w jakiejś kawiarni, tak? Prosiła, byś przyszedł tu i nakłonił mnie do zmiany decyzji?

- To nie ma nic wspólnego z Nancy. - Wciąż nie mógł złapać tchu po wyczerpującym biegu. Z jak daleka tutaj przybiegł?

Westchnęła.

- Dobrze wiesz, że muszę się wynieść.

Wyglądał tak, jakby się namyślał nad właściwą ripostą. Patrząc w jego oczy - pełne pasji i tylu niewypowiedzianych słów - przypomniała sobie, co powiedziała mu lata wcześniej w Heath. „Powiedz to. Nie uwierzę, dopóki tego nie usłyszę”.

Przestał się wahać. Odsunął na bok walizkę wraz ze starannie poskładanymi ubraniami. Wszystko pospadało na podłogę. Popchnął ją na łóżko, a ona zaczęła go rozbierać i w końcu - w końcu - poddali się temu, co wisiało nad nimi od tak dawna. Ulga była nie do opisania.

Jeszcze podczas tych dni, gdy ona i George tulili się do siebie w Heath, Grace zaczęła się zastanawiać, czy jeśli się temu poddadzą, to po prostu minie - czymkolwiek owo „coś” było. Jak można było przewidzieć, tak się wcale nie stało.

Zwlekli się z łóżka i ubrali w półmroku, niezdarni, przepełnieni wstydem. George zszedł na dół po schodach, nie mówiąc nawet słowa na temat tego, co między nimi zaszło. Grace znów została sama i pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było włożenie rzeczy do szafy i schowanie walizki pod łóżko.

Począwszy od tamtego dnia, za każdym razem, gdy Grace i George zostawali sami w domu, od razu rzucali się na siebie. To był wewnętrzny przymus. Oboje zachęcali Nancy i matkę do częstego wychodzenia na zewnątrz. Oboje nie pojawiali się na spotkaniach i uroczystościach, jeśli tylko mieli pewność, że to drugie czeka w domu, samo. Stawiali wszystko na jedną kartę - skradając się nocą po domu, niekiedy nawet zachodząc razem do ogrodu. Od czasu do czasu spotykali się w małym hoteliku przy Russell Square, meldując się jako pan i pani Sharp.

Grace zastanawiała się niekiedy, co czułaby do Georgea, gdyby nie te wszystkie fortele. Czy kochała tego mężczyznę takiego, jaki był, czy raczej traktowała go jak zakazany owoc? Miała nadzieję, że chodziło o to drugie - bo w takim wypadku to wszystko niechybnie wygaśnie prędzej czy później. W końcu znudzą się sobą i oddalą od siebie. Najlepiej, by to się właśnie tak skończyło. W najmniej bolesny sposób. Bo przecież musiało się skończyć, tak czy inaczej - zbyt wiele ryzykowali.

Ale to wcale nie pożądanie, lecz poczucie winy zaczęło stopniowo wygasać. Kłamstwa stały się czymś na porządku dziennym. Przestali się przejmować tym, że w końcu zostaną nakryci. Zaczęli nawet wierzyć, że ten romans leży w ogólnym interesie. Dzięki temu wszyscy byli szczęśliwsi, Nancy także.

To ten argument stopniowo tłumiał wszelkie wątpliwości w umyśle Grace podczas jej trwającego dwa lata i dziesięć miesięcy romansu z George'em. W taki właśnie sposób

widziała całą sytuację, przynajmniej aż do chwili dwudziestych czwartych urodzin Nancy, gdy Grace wysłała siostrę i matkę do kina, sama zaś poszła do łóżka ze swoim szwagrem, jak tyle razy w przeszłości. Ale tamten dzień, siedemnasty października 1922 roku, był w jakiś sposób inny. Grace czuła to, wiedziała o tym, słysząc szcęk kluczy w zamku frontowych drzwi o dobrą godzinę za wcześnie, wiedziała, nim jeszcze usłyszała głos swojej matki, mówiącej:

- Właśnie, skarbie. Idź się położyć, a ja przyniosę ci rumiankowej herbaty. George mocno spał, z głową opartą na jej piersi. Musiała szturchnąć go w ramię trzy czy cztery razy, zanim rozbudził się, odkaszlnął i usiadł.

- Ciiii - Przyłożyła mu palec do ust. - Wróciły. Nancy chyba źle się poczuła. Ubiorę się i zejdem na dół. Oczekaj parę minut i też zejdz. Wymknęła się z pokoju i ruszyła schodami na dół, a w żołądku aż ścisnęło ją ze zdenerwowania. Nie chodziło nawet o to, że mogli zostać przyłapani - już nieraz było od tego o włos, a jednak zawsze udawało im się jakoś wywinąć. Jeśli ktoś nam ufa i niczego nie podejrzewa, często nie dostrzega tego, co ma przed samym nosem. Nie widzi, ponieważ nie szuka. Nie, tym razem chodziło o coś zupełnie innego.

- Nancy, kochana. - Grace weszła do salonu. Jej siostra, cała blada, leżała na sofie. Matka przykładała dłoń do jej czoła, starając się wyczuć gorączkę. - Co się, do licha, stało?

- Zemdlała w kinie - odparła Catherine. - Gdy odzyskała przytomność, była blada i osłabiona. Pięć minut później twierdziła, że czuje się doskonale, ale pomyślałam, że najlepiej będzie wrócić do domu. No dobrze. Pójdę jej zrobić rumiankowej herbaty.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytała Nancy.

Gdy tylko matka wyszła z pokoju, Grace zmierzyła siostrę wzrokiem. Owszem, była blada. Ale wydawała się też... niesamowicie szczęśliwa.

- Nancy, co się dzieje? Jesteś chora czy nie?

- Nie - odparła Nancy, uśmiechając się szerzej niż kiedykolwiek. - Zamierzałam powiedzieć ci wcześniej, Gracie, ale nie dałaś mi dojść do słowa, a potem odpowiednia chwila minęła. Poza tym pomyślałam, że George powinien usłyszeć o tym pierwszy.

- Och, moja kochana. - Grace ruszyła przed siebie z otwartymi ramionami i w jednej sekundzie cały jej świat kompletnie się odmienił. Ściskając Nancy, zobaczyła Georgea, stojącego niepewnie w progu, z twarzą skrytą cieniu.

- O, zobacz, kto przyszedł - powiedziała, tak ciepło, jak tylko potrafiła. - Nancy ma ci coś ważnego do powiedzenia. - A potem, ścisząc głos, dodała. - Lepiej zostawię was samych.

## **PICCADILLY HERALD**

*16 maja 1927*

### **Z życia West Endu**

*Karty nigdy mnie szczególnie nie pociągały. Nie mam cierpliwości wymaganej przy brydżu, kanasta wprawia mnie w zakłopotanie, a remik przypomina dzieciństwo i wszystkie tamte niedzielne popołudnia, kiedy z powodu nieznośnej monotonii życia miałam ochotę wrzeszczeć i wyrywać sobie włosy z cebulkami (to był okres przedpaziowy, miałam wtedy długie włosy i taki gest byłby bardzo efektowny). Możecie więc sobie wyobrazić, jaki dreszcz podniecenia mnie przeszył na myśl o nowym pomysle klubu Silvestra - Środowym Wiście. Szczerze? Samo wyobrażenie o wieczorze gry karcianej, toczącej się przy akompaniamencie niemrawego jazzu, wystarczyło, bym stała się senna. Ale, droga czytelniczko, jakże się myliłam!*

*Po pierwsze, odkryłam, że od mojej poprzedniej wizyty orkiestra Dana Cravena zdecydowanie przyspieszyła tempo gry. Dobra robota, panie Craven, cieszę się, że posłuchał pan mojej rady! Później przyszło objawienie: wist jest nieskomplikowany, szybki i łatwy (bardziej niż niejeden z moich znajomych, pominiemy jednak tę kwestię). Natychmiast opanowałam jego zasady i odkryłam - cóż za szok! - że*

*gra naprawdę sprawia mi przyjemność. Spróbowałam podejść do tego z wielką powagą - wydawało się, że tak trzeba, w końcu specjalnie na tę okazję stoliki pokryto zielonym suknem i postawiono na nich małe lampki, zaś same talie kart były nowiutkie i doskonałej jakości. Ciężko było mi jednak powstrzymać uśmiech, gdy wyszło na jaw, że mój towarzysz to oszust, co się zowie! Co nie powinno być dla mnie żadnym zaskoczeniem. Każdy kawaler, który jest tak przystojny i przebiegły, po prostu musi być skończonym łajdakiem, w innym wypadku już dawno zostałby usidlony i od lat miał żonę. Tak naprawdę zasugerowałam wybranie się na Środowego Wista jako sposób sprawdzenia charakteru tego eleganta. Bezczelność mojego kompana była doprawdy nadzwyczajna, a mimo to wciąż upierał się, że to kwestia jego umiejętności i żadne oszustwo nie wchodzi w grę.*

*Naprawdę zabawnym elementem Środowego Wista jest to, co dzieje się pomiędzy kolejnymi partiami. Po każdym rozdaniu, zanim ty i twój partner przejdziecie do następnego stolika, zwycięska dziewczyna wybiera, czy chce zatańczyć ze swoim partnerem, czy z przeciwnikiem. Cudownie było wybierać między jednym a drugim (jakimś cudem zwyciężyliśmy, głównie dzięki wspomnianej wątpliwej taktyce Diabła), gdy przegrane dziewczę siedziało obok - kipiąc ze złości -i czekało, aż jego los się rozstrzygnie. Końcowy charleston to naprawdę urocze okrucieństwo w całej tej błazenadzie. A co najlepsze - nie ma mowy o odbijaniu.*

*Poza tym, dziewczęta, powinnyście się wybrać do Selfridges i poprzymierzać nową kolekcję strojów kąpielowych. Właśnie takie rzeczy nosi się teraz od Deauville aż po Riwierę, a przynajmniej tak powiadają. Mnóstwo śmiałych poziomych pasków, więc raczej nic dla puszystych dam. I nie zapomnijcie o czepku. Wasze pazie potrzebują ochrony przed piaskiem i solą.*

*I jeszcze jedno: pod koniec tego tygodnia nasze myśli powinny być przy Charlesie A. Lindberghu, śmiałym amerykańskim pilocie pocztowym {tak, nasze listy latają teraz z miejsca na miejsce samolotami!}, który, jeśli pogoda dopisze, spróbuje osiągnąć coś, co może się okazać pierwszym nieprzerwanym solowym lotem przez Atlantyk, a dokona tego w samolocie zwanym *The Spirit of St Louis*. Trzymajcie kciuki, kiedy ten bohater będzie dwudziestego startował z Long Island. Trzymajcie zresztą wszystko, co tylko macie. Gdy wyląduje w Paryżu, zorganizują tam dla niego przyjęcie stulecia.*

*Założę się, że ten pan nie oszukuje także wtedy, kiedy trzyma w dłoni karty.*

*Diamond Sharp*



## **ROZDZIAŁ 8**

Biblioteka Marylebone była wypchana po brzegi. Ludzie siedzieli na składanych krzesłach ustawionych w szeregi, lecz tłoczno było nawet na tyłach, gdzie znajdowały się miejsca stojące. Sala, zazwyczaj chłodna i przepastna, dziś była duszna. Ciepło pochodziło głównie od ludzi. Zebrani chcieli wyglądać inteligentnie, założyli więc ciężkie garnitury i kapelusze, mimo że mieliśmy ciepły majowy wieczór - w efekcie „opatulili” całe pomieszczenie. Większość tych odświętnych strojów była w kolorze czerni, publiczność przypominała więc żałobników podczas pogrzebu. Zwyczajowa biblioteczna woń została wzmocniona mocnym zapachem kulek na mole i starych szaf.

Jedynymi odgłosami dobiegającymi od strony publiczności były okazjonalne kasznięcia, kichnięcia, zachrypnięte oddechy bądź szelest przypominający odgłos wachlowania się gazetami (a może był to odgłos pełnego napięcia oczekiwania i niepokoju). Ale teraz do tych szelestów dołączył niski pomruk, wibrujący nieprzyjemnie w uszach, zębach i żołądkach. Pomruk, który dla Grace stanowił nasilenie tego, co jest tłem dla samego życia, który słyszy się, siedząc

samotnie w pustym domu albo gdy leży się nocą w łóżku, próbując zasnąć. Może tak właśnie brzmi krew szumiąca w naszych głowach. Ów pomruk, którego wibracje przepływały przez cały zgromadzony w bibliotece tłum, wydawała siedząca z przodu sali kobieta, która skupiła na sobie uwagę zgromadzenia i która odwróciła się twarzą do pozostałych, mając zamknięte oczy, a dłonie wyciągając przed siebie. Trwała w tej pozycji już od ponad pięciu minut, zanim jeszcze zaczęła mruczeć.

Grace, która siedziała obok CConnella w dziewiątym rzędzie (na tyłach sali), próbowała domyślić się, w jakim wieku może być pani McKellar. Jej pozbawiona makijażu twarz była blada i mogła sugerować różny wiek, ale kobieta miała też kilka zmarszczek wokół oczu, ust i na czole. Była ubrana w bezkształtną żółtą suknię, a pozbawione koloru włosy przykryła żółtą chustą. Mogła być sześćdziesięciolatką, która dzięki swoim psychicznym mocom unikała przykrości starzenia, albo czterdziestolatką, która nie miała pojęcia, jak się ubrać ani zaprezentować.

Mruczenie trwało już od trzech czy czterech minut. Publiczność siedziała nieruchomo, pogrążona w zadumie, lecz Grace wierciła się na krześle, starając się powstrzymać ziewanie. Gdy zaburczało jej w brzuchu, O'Connell odwrócił się do niej, unosząc brew.

- Nic na to nie poradzę - szepnęła Grace. - Nie jadłam od śniadania.

- A lunch? Czyżbyś była na jakiejś wariackiej diecie, która nie pozwala ci jeść za dnia?

- Musiałam coś skończyć w terminie. Ale gdzie ty byś tam pojął prozaiczne wymogi mojej pracy, co? Konieczność zarabiania na chleb... -

Głowy zaczęły się obracać. Byli jak niegrzeczne dzieciaki siedzące na tyłach klasy, co to szepczą i chichoczą. - Gdzie pójdziemy, gdy ta pantomima wreszcie się skończy?

- Może pójdziemy gdzieś, gdzie lepiej pojmem twoje zarabianie na chleb. Bo przecież pragnę cię pojąć w całości, moja kochana. - Tym słowom towarzyszyło ściśnięcie dłoni Grace.

- Co znowu knujesz?

- Ciiii - O'Connell położył sobie palec na ustach. - Mącisz w eterze.

- Cóż, z pewnością nie chcę tego robić. - Grace raz jeszcze rzuciła okiem na mruczącą kobietę, a potem na otaczający ją tłum. - Musi być mnóstwo duchów w tym całym eterze, jeśli wszyscy zgromadzeni mają dostać to, za co zapłacili.

Mruczenie stało się głośniejsze i jednocześnie o ton czy dwa wyższe.

Kobieta siedząca na prawo od Grace ścisnęła wiszące na jej szyi koraliki.

- Tylko wyobraź sobie, ile szylingów zmieniło tego wieczoru właściciela

- szepnęła Grace. - Cóż za osoba żyje z tego, że inni poumierali?

- Na przykład właściciel zakładu pogrzebowego. Podobnie jak kwiaciarz, kamieniarz, grabarz, lekarz, prawnik... Myślę, że pani McKellar powiedziałaaby, że to dany przez Boga dar i powołanie, aby mogła pomagać potrzebującym, ale tak poza tym to ma różne koszty do pokrycia i gęby do wykarmienia.

- Też tak myślę - wyszeptała Grace.

- Ciszej tam z tyłu! - Zielone oczy kobiety zmierzyły Grace srogim spojrzeniem. - Przymknij się wreszcie albo po prostu stąd wyjdź.

- Jaka uduchowiona - wyszeptała Grace.

Oczy pani McKellar zamknęły się i znów rozległ się pomruk.

Jak sala długa i szeroka, wszyscy gapili się na Grace. Z zasady taką publiczność powinni stanowić ludzie w starszym wieku. To nie powinna być kusząca wyprawa dla mężczyzny i kobiety w okolicach dwudziestki czy trzydziestki, dla chłopców i dziewcząt, którzy dopiero co uzyskali pełnoletniość.

„Wszyscy w tym pomieszczeniu są pogrążeni w żalu -pomyślała Grace. - Nikt jeszcze nie zdołał się od niego uwolnić”.

- Ach, Edwin, tutaj jesteś. W samą porę. - Pani McKellar wstała, kładąc dłoń na czole. Gdy kołysała się nieznacznie, jej obszerna, żółta szata to marszczyła się, to wzdymała niczym żagiel. Już wcześniej wyjaśniała publiczności, że jej „duchowy przewodnik” to chłopiec imieniem Edwin, który zmarł podczas epidemii grypy, jaka wybuchła zaraz po wojnie. To właśnie Edwin, w jej imieniu, komunikował się z duchami.

- Kim on jest, Edwinie? Powiedz nam, jak ma na imię. -Zamilkła na moment, przykładając dłoń do ucha. - Powiedziałaś Archie? - Znow otworzyła oczy. - Czy Alfie? - Na dźwięk tego imienia jakaś kobieta na przodzie głośno zaczerpnęła powietrza. - Alfie - potwierdziła pani McKellar. -Co chcesz nam powiedzieć, Alfie? Coś na temat dzieci? Grace dostrzegła między głowami zgromadzonych kobietę, która westchnęła. Miała pewnie ze czterdzieści lat. Gdy usłyszała słowo „dzieci”, momentalnie opadły jej ramiona. Grace zastanawiała się, jaki tamta może mieć teraz wyraz twarzy.

- Alfiemu jest bardzo przykro - powiedziała do tej kobiety pani McKellar.

- Że nie obdarował cię dziećmi... -I wtedy, gdy głowa kobiety przechyliła się na bok, prowadząca dodała - ... które by przeżyły.

Odgłos dławienia się. Kobieta zaniósła się płaczem.

- Chcesz mu coś powiedzieć, skarbie?

- Tylko to, że zawsze będę go kochać - odparła łamiącym się głosem kobieta.

- On mówi, że też cię kocha. Obserwuje cię z tamtej strony.

- To nieprzyzwoite - szepnęła Grace.

- Mówi, że powinnaś poszukać pudełka - dodała pani McKellar.

- Pudełka? - Kobieta, słysząc to słowo, wyprostowała się. Jej głos był bardziej zdecydowany. - Gdzie jest pudełko?

Lecz pani McKellar skończyła już z Alfem. Teraz do ich świata chciała się przedrzeć jakaś mała dziewczynka. Dziewczynka w białej koszuli nocnej, ze szmacianą lalką. Opis jej wyglądu postawił na równe nogi dwie pary oplakujących swoją stratę rodziców, którzy jednocześnie wymówili imiona swoich zmarłych córek. Chwilę później pani McKellar zdołała potwierdzić, że dziecko ma na imię Edith, nie zaś Mary, i zaoferowała zwyczajowe mgliste zapewnienia wiecznej miłości z drugiej strony.

- To nie wymaga nawet żadnych umiejętności - szepnęła Grace. - Równie dobrze ja bym tam mogła stać. Ona jest zwykłym sępem, a oni są zbyt zdesperowani, by to dostrzec.

- A co z pudełkiem Alfiego? - spytał O'Connell. - Skąd mogła o tym wiedzieć?

. - Och, przecież wszyscy przetrzymują cenne rzeczy w pudełkach. To oczywiste.

- Jest tutaj także żołnierz - ogłosiła pani McKellar. I Grace dostrzegła nadzieję malującą się na twarzach niemal wszystkich wokół. - Oficer. Nie wiem, jakiej rangi i z którego pułku. Wysoki, z rudawymi włosami. O'Connell szturchnął ją łokciem.

- Lepiej słuchaj, Gracie. To może być twoja chwila. -Z jego twarzy emanował ten diabelski blask. Czy właśnie po to tutaj przyszli? By O'Connell mógł zobaczyć, jak Grace

zareaguje, gdy ta oszustka zacznie gadać o martwych żołnierzach? Nie po raz pierwszy poczuła się jak jakiś okaz schwytyany między jego kciuk a palec wskazujący i wkładany właśnie pod mikroskop.

- Jak masz na imię, synku? - spytała kobieta. Głęboki oddech. Rzut oka na O'Connella. Po prostu stroił

sobie z niej żarty, to wszystko. Dotknął drażliwego tematu, pewnie nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Oboje zauważyli kilka dni temu plakat i przyszedli tu dla czystej zgrywy. Nie mogli przypuszczać, że tak to będzie wyglądać. Nie popatrzyli na to pod tym kątem.

- Jak, Edwin? - Pani McKellar trzymała dłoń przy czole, jakby starała się coś usłyszeć. - Coś na „W”, tak powiedziałeś?

Wilkins.

Słowo utkwilo jej w głowie i serce zaczęło łomotać coraz mocniej, mimo że Grace próbowała się uspokoić.

- Jest tutaj dwóch żołnierzy - stwierdziła pani McKellar. - Bracia. Bardzo do siebie podobni.

O'Connell ścisnął mocniej ramię Grace. Utkwiła wzrok w pani McKellar, nie chcąc nawet na niego patrzeć. Nie miała też zamiaru patrzeć na pozostałych, by zobaczyć własne napięcie i podekscytowanie odbijające się w ich twarzach. Nie była jedną z nich.

- Czy to na pewno „W”, Edwinie? - Głos jasnowidzącej stał się bardziej donośny. - Edwinie, potrzebuję ich imion.

Grace zamknęła oczy, pragnąc, by ta koszmar, przepelniona napięciem chwila wreszcie się skończyła. Za zasłoną jej powiek George i Steven siedzieli razem w domu Rutherfordów, grając w karty przy kuchennym stole.

- Och, a więc teraz chodzi o „M”? - W głosie pani McKellar pobrzmiwała irytacja. - Edwinie, musisz chyba lepiej nauczyć się alfabetu.

A zatem nie „W”. Nie Wilkins.

- Grace - O'Connell wciąż ścisnął jej ramię. - Wszystko w porządku?

- Proszę, Edwin? Powiedziałeś Michael? Matthew? Kobieta siedząca obok Grace pociągnęła nosem i zacisnęła dłoń na koralikach.

- Chcesz stąd wyjść, kochanie? - zabrzmiało to, jakby był autentycznie zmartwiony. A może nawet więcej niż zmartwiony. Grace odwróciła się i spojrzała na niego.

- Ona spada! - Prowadząca zachwiała się i chwyciła swojego krzesła. - W dół, tak daleko w dół! Biedna dziewczyna, leży na ziemi z pękniętym naszyjnikiem, z pękniętym karkiem. Perły rozrzucone wszędzie dookoła.

- Wyjdźmy stąd - O'Connell stanął na nogi, chwytając Grace za rękę. - Mam już tego dość.

Było późno, dochodziła trzecia w nocy. Uliczne latarnie i księżyc rzucały srebrzysty blask na powierzchnię dębowego biurka. Na podłodze leżało pełno ołówków, pióro, pieczętka, oprawiona fotografia kobiety siedzącej w fotelu, dwa arkusze akt, pojedyncze kartki i telefon, którego słuchawka leżała tak daleko, jak pozwalał kabel, porzucona z dezynwolturą.

Grace i O'Connell siedzieli obok siebie na zakurzonej dywanie, opierając plecy o ścianę. Dzielili się papierosem, strzepując popiół do chińskiej filiżanki. Grace miała gołe nogi, a jej włosy były w nieładzie. Ubrania leżały gdzieś wśród śmieci zrzuconych z biurka. On z kolei miał rozwiązany krawat i rozpiętą koszulę. Zdołał już wygrzebać swoje spodnie z tego bałaganu i je włożyć. Grace bardzo odpowiadał fakt, że odważny, zblazowany O'Connell denerwował się, jeśli był bez spodni dłużej niż parę minut.

- Jak on się nazywa? Facet, który zajmuje to biuro? -O'Connell wyciągnął przeschmuglowaną z Cirósa butelkę białego wina z marynarki i podał ją Grace.

- Aubrey Pearson. Jest jednym z braci, do których należy agencja. Jest obleśny.

- A co myśli o tobie?

- Uważa, że jestem chodzącym zniszczeniem. Chciałby mnie utemperować.

OConnell pochylił się, by pocałować ją w usta.

- Więc chyba daliśmy mu właśnie dobry powód, by tak zrobił. O ile kiedykolwiek się o tym dowie.

Grace zadrżała i upiła duży łyk wina. Trzeźwość i zdrowy rozsądek szybko do niej wracały, a ona wcale tego nie chciała. Pragnęła, by ta pełna niebezpieczeństw chwila trwała jak najdłużej.

- A zatem, czy pojąłeś już, jak ciężko muszę pracować, by zarobić na chleb?

O'Connell wziął od niej butelkę.

- Nie, ale wiem przynajmniej, jak przyjemnie jest dobrać się do ciebie na biurku twojego szefa. I zastanawiam się, co dalej?

Rzeczywiście: co? Było coś, co nie dawało jej spokoju, gdzieś w tle tych wszystkich wydarzeń. Jak długo mogą to ciągnąć - przekraczać granice, nie licząc się z konsekwencjami? Każda kolejna rzecz, którą robili, wydawała się bardziej fantastyczna i jednocześnie bardziej skandaliczna od poprzedniej. Z pewnością nadejdzie taki dzień, że niespełnione fantazje i niewysłowione pragnienia po prostu im się skończą. Nie zostanie im już nic do odkrycia prócz idiotycznych lub po prostu okropnych zachowań, od których lepiej trzymać się z daleka. I co wtedy?

- Diable... - Wciąż czasem go tak nazywała, zwykle w najbardziej intymnych chwilach. - Co będzie, kiedy impreza się skończy?



Zastanawiam się, czy możemy jeszcze wrócić do naszych zwyczajnych, nieskomplikowanych postaci. Zastanawiam się, czy to nam wystarczy. O'Connell zaciągnął się papierosem. Na jego końcu niepewnie chwiała się kolumna popiołu.

- Po co się o to martwić? Impreza wciąż trwa, prawda? Zostań w terażniejszości, Grace. Ciesz się tym, co mamy teraz. Ja tak właśnie robię. Podał jej papierosa. Popiół spadł na dywan. Grace uświadomiła sobie, że O'Connell myśli o Evie. Kiedyś wspominał, że Eva żyła tylko w chwili obecnej. Jej przeznaczeniem nie był los statecznej matrony - tak właśnie mówił. Że niemożliwe było wyobrazić sobie, jak się starzeje...

Tego wieczoru zjedli coś w podłej restauracyjce za rogiem biblioteki Marylebone. Gulasz z królika - cóż za potworna pomyłka. Wino, którym to przepijali, smakowało octem, ale i tak je wypili, a potem chichotali, rozmawiając o seansie.

- Cóż do licha mogło sprawić, że ta kobieta uznała, że warto nosić rzeczy w kolorze żółtym.

- Jedyne duchy, z którymi rozmawia, to te, które wyskoczyły z jej butelki dżinu. Przysięgam, że czułem alkohol w jej oddechu, mimo że siedzieliśmy na tyłach sali.

Po kolacji wybrali się do Cirósa na drinki, tańce i jeszcze więcej drinków - a skończyli tutaj. I tutaj, po wszystkim, w ciszy gabinetu Aubreya Pearsona, gdy Grace puszczała ustami kółka z dymu, a O'Connell starał się ją naśladować („Nie tak. Musisz tak ułożyć usta - dokładnie tak, Diable”), pomyślała o pani McKellar, krzyczącej coś o spadającej dziewczynie, i o wyrazie twarzy O'Connella, kiedy wstawał do wyjścia.

- Nie mogę żyć wyłącznie w terażniejszości - powiedziała Grace. - Nie jestem taka jak Eva. Pragnę długiego szczęśliwego życia i troszcę się o przyszłość. O chleb i całą

resztę. I nie widzę w tym nic złego. Jeśli ty widzisz, to nie sądzę by jakakolwiek przyszłość rysowała się przed nami.

- Ojej. - O'Connell potarł czoło chusteczką. - Nie wiem, co będzie jutro, ale w tej chwili kocham cię, Grace.

- Naprawdę? - Była tak zaskoczona, że zabrzmiało to wręcz piskliwie.

- A niby czemu chcę się z tobą spotykać każdej nocy? Nie mam pojęcia, jak to się dla nas skończy, ale tyle mogę powiedzieć z pewnością: pobudzasz moje pragnienie.

- Pobudzam pragnienie?

- A raczej: gasisz moje pragnienie. Ale potem ono wraca ze zdwojoną siłą i znów muszę się z nim uporać.

To właśnie było jej zmartwieniem: że ich związek był swego rodzaju przymusem. Napędzała go energia, która kiedyś z pewnością się wyczerpie. Wydmuchnęła kolejne kółko dymu i zaczęła się zastanawiać nad tym, co chce powiedzieć.

- Kiedyś powiedziałaś, że sądzisz, że chcę zostać poznana. Naprawdę poznana. Pamiętasz?

- Całkiem możliwe.

- Cóż, miałaś rację. Właśnie tego chcę. Tym właśnie jest miłość, przynajmniej w moim odczuciu. Głębokim wzajemnym poznaniem dwojga ludzi.

- I myślisz, że między nami to jest? Między mną a tobą?

- Wiem, że chcę, by to między nami było. Mam zamiar powiedzieć ci coś, o czym nigdy nikomu nie mówiłam. Coś, o czym musisz wiedzieć, jeśli chcesz naprawdę mnie poznać. A później chcę usłyszeć coś od ciebie.

- Pokaż mi, co masz do ukrycia, a ja ci pokażę swoje sekrety?

- Nie chcę, byśmy mieli przed sobą tajemnice. Skinął głową i napił się wina.

- Miałam romans z mężem mojej siostry. Tak naprawdę to było coś więcej niż romans. I trwało latami. Skończyło się, gdy ona zaszła w ciążę.

Wydaje mi się, że ta ciąża uświadomiła mi, jak poważna jest sytuacja, z czym igram, uświadomiło, że on należy do niej, nie do mnie. I jeśli nie chcę stracić jej na zawsze, tak musi pozostać.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Z jego twarzy zniknęło całe rozbawienie. Z powagą słuchał jej wyznania.

- Nancy nie ma pojęcia - ciągnęła. - I nie mogę teraz jej o tym powiedzieć, nawet gdybym chciała. On nie żyje i to ja odpowiadam za nią i za jej dzieci. Nie mogę robić niczego, co mogłoby zagrozić rodzinie. Mogę więc jedynie zamknąć ten rozdział. Ale ciężko powstrzymać przeszłość przed niszczeniem teraźniejszości.

Nic poza tykaniem ściennego zegara Aubreya Pearsona. Warkot jadącego samochodu i jego światła oświetlające na moment biuro.

- To wiele wyjaśnia - powiedział O'Connell.

- Na przykład co?

Jednak nie powiedział nic więcej. Siedział tylko, wpatrzony w drewniane nogi krzesła dla gości szefa. Nogi rzeźbione w dziwne wiry, wyglądające tak, jakby miały się załamać pod najmniejszym ciężarem.

- Teraz już znasz najmroczniejszą część mnie. Otworzyłam się przed tobą i chcę, żebyś zrobił to samo.

Rozpaliła jego pożądanie. Na jego ustach pojawił się szelmowski uśmiešek. Odstawił butelkę. Wyciągnął do niej rękę.

- Nie - powiedziała. - Powiedz mi coś. Powiedz mi, co wydarzyło się między tobą, Cramerem a Evą. Powiedz mi, co się działo, gdy pisałeś *Wizję*.

Świt zastał Grace siedzącą w pokoju Feliksa i przyglądającą się, jak śpi. Leżał na plecach, z rękami nad głową. Zbudził się, gdy wchodziła.

Przerażony, otworzył szeroko

oczy i zaczął łkać. Ale wystarczyło, że położyła rękę na jego klatce piersiowej i powiedziała mu, by spał dalej, a jego delikatne powieki znów się zamknęły, a oddech uspokoił.

Jak cudownie ufać komuś aż tak bardzo, czuć się całkowicie bezpiecznie w czyjejś obecności.

Grace miała mętlik w głowie. Wiedziała, że nie ma już sensu iść do łóżka. Zachowała się samolubnie, przychodząc tutaj - mogła przecież obudzić Feliksa - ale nie chciała być sama. Może koniec końców ona też czuła się najbezpieczniej w obecności tego maleństwa.

Co powiedziała O'Connellowi po tym, jak opowiedział jej swoją historię? Nie mogła sobie przypomnieć. Czy w ogóle cokolwiek powiedziała?

- Chcesz wiedzieć, czemu wciąż jestem w Anglii? - spytał, jeszcze zanim wyszli z biura. - Z twojego powodu, Grace. Żeby być blisko ciebie.

Niczego więcej tu nie mam.

Sięgnął jej dłoni, ale odsunęła się od niego, pośród bałaganu szukając swojej biżuterii i pończoch.

- Nie musiałem ci tego mówić - zauważył. - Sama spytałaś. Mówiłaś, że nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic.

- Wiem. - Zapięła sukienkę na karku. Wcześniej rozpiął ten guzik, by móc ją pocałować w to dokładnie miejsce. - Po prostu jestem zmęczona.

- Więc prześpijmy się.

- Chcę dziś spać w domu.

- Kocham cię, Grace.

Znów słowo na „K”. Powtarzał je raz po raz. Naprawdę sądził, że to słowo wystarczy, by wszystko było w porządku?

Felix westchnął przez sen. Uroczo melancholijne westchnienie. Chciała pogłaskać tę słodką, pokrytą meszkiem skórę tuż poniżej jego ucha, ale oparła się tej pokusie, bojąc się, że znów go obudzi. A dlaczegoż to on miałby wzdychać?

Gdy wychodzili z biura Pearsona, ubrani, lecz rozczochrani, w korytarzu rozległ się stukot. Odgłos miotły uderzającej o wiadro.

- Ciiii... - syknęła na niego, widząc, że chce coś powiedzieć, a później odciągnęła go wyjściem przeciwpożarowym na klatkę schodową.

Kiedy byli już na ulicy, położył dłoń na jej twarzy.

- Wiem, co sobie myślisz, Grace. Ale spróbuj zrozumieć. Dla nas. Bo przecież też nie chcesz, by to się skończyło. Postaraj się więc, choć odrobinę.

Poranne słońce przebijało się przez zasłony, rozświetlając pokój na pomarańczowo.

„Dobrze zatem, Diable - pomyślała Grace, gdy Felix znów zaczął chrapać. - Przemyślę to wszystko i postaram się zrozumieć, co zrobiłeś. Tylko odrobinę”.

Dwóch charyzmatycznych młodzieńców. Jeden blondyn, drugi ciemnowłosy. Diabeł i Ciemnooki. Studenci. Współlokatorzy. Najlepsi kumple. Rywalizacja pomiędzy nimi tylko intensyfikuje ich przyjaźń. Są sobie najbliżsi. Kroczą po cienkiej granicy dzielącej miłość od nienawiści.

Ci chłopcy znają swoje nastroje, puenty opowiadanych przez siebie dowcipów, wnętrza swoich umysłów. Każdy z nich obawia się, że bez tego drugiego byłby ledwie połową mężczyzny. Jednocześnie każdy desperacko pragnie być wolny, niezależny od drugiego. Skrycie marzy o dniu, gdy ujrzy swojego rywala w opałach.

Ich rywalizacja ciągnie się przez całe studia. Walczą ze sobą w zawodach sportowych i podczas egzaminów. Współzawodniczą też o względy dziewczyny, w której obaj są zakochani. To jasne, że kochają tę samą osobę - dawno już zdążyli poznać swoje gusta: artystyczne, estetyczne i osobowe.

To jasne, że tej akurat dziewczyny pożąda każdy. Jest piękna i bystra, gorąca i lodowata, sprawia kłopoty, tańczy jak marzenie i całuje jak żadna inna. Obaj ją całowali, więc dobrze wiedzą.

Często zabierają ją gdzieś razem. Idą do kina, siadają w ostatnim rzędzie, a ona zajmuje miejsce pomiędzy nimi. Wybierają się na tańce i są tak zajęci zabawą w odbijanego, że nikt inny nie może się zbliżyć ani do niej, ani do nich. Biesiadują głównie we własnym towarzystwie - trio, do którego wszyscy pozostali nie mają dostępu. Niekiedy spacerują razem ulicami, cała trójka, ciesząc się tym, że przykuwają uwagę. Skoro mają siebie, nie potrzebują nikogo więcej.

Dziewczynę bardzo bawi fakt, że zabiega o nią dwóch mężczyzn, ale nie chce, by ten trójkąt stał się dla nich zbyt wygodny, zbyt przytulny. Lubi, gdy w jej życiu pojawia się odrobina ryzyka. Lubi myśl o tym, że mężczyźni się o nią biją. Lubi, gdy trochę boli - tak ją, jak i pozostałych. Pewnego dnia, podczas letniego pikniku z dwoma chłopcami, chwytając Diabła za rękę, prowadzi w miejsce, gdzie drzewa rosną najgęściej, a potem pozwala mu na więcej niż kiedykolwiek wcześniej - opierając się tylko trochę. On szaleje z pożądania, a ona wstaje, otrzepując ubranie. Gdy wracają, Ciemnooki aż kipi od urazy i zazdrości, sam jeden przy niedojedzonym pikniku.

- Głowa do góry - mówi dziewczyna. - Teraz twoja kolej.

Diabeł nie może uwierzyć w to, co się dzieje, gdy ten drugi idzie z nią w zarośla. Ona po prostu to kocha, mocniej niż cokolwiek innego. Być może pojmuje, że siła ich emocji leży nie tylko w stosunku do niej, ale też w ich wzajemnej relacji. Tak czy inaczej, pragnie to powtórzyć.

Dziewczyna nie przejmuje się konwenansami. Kierują nią moce, od których inne dziewczęta trzymają się z daleka. Może jest już w połowie drogi wiodącej do szaleństwa

(drogi, którą znacznie lepiej pozna w kolejnych latach). Już wkrótce chłopcy będą regularnie przemycać ją do swojego pokoju. Każdy ma swoją kolej, gdy tymczasem drugi czeka pod drzwiami. Ale jej to wciąż nie wystarcza, chce jeszcze dalej przesunąć granice, podjąć większe ryzyko, szukając mocniejszych doznań. Pewnego dnia żąda, by zostali obydwaj. Jeden się przygląda, później się zamieniają...

Rozchodzą się plotki i dawni znajomi chłopców zaczynają ich unikać. Tak samo jest z przyjaciółmi dziewczyny, ale choć ona ma to gdzieś, chłopcy nie są zbyt szczęśliwi. Obaj ją kochają, lecz zaczynają jej też nienawidzić. Jak na ironię, właśnie w momencie gdy przypuszczają, że z ich przyjaźnią koniec, rywalizacja wygasa i jeszcze bardziej zbliżają się do siebie. Obaj są jej ofiarami. Jeśli będą trzymać się razem, może zdołają to przetrwać.

Chłopcy mają aspiracje literackie. Planują napisać powieść o dziewczynie (jaka z niej będzie wspaniała bohaterka!) i zaczynają sporządzać notatki. Współpraca absorbuje ich zupełnie, przynosząc spełnienie. Tyle czasu spędzają nad książką, że coraz rzadziej widują dziewczynę. Ich fikcyjna bohaterka jest jedyną kobietą, która może konkurować z tamtą.

Dziewczyna nie wie, co zamierzają, ale czuje, że wymykają jej się z rąk i wcale jej się to nie podoba. Nie oddała im się po to, by mieli się nią znudzić. Nie tak miało być. Musi odzyskać kontrolę nad sytuacją - raz jeszcze ustawić ich przeciwko sobie.

Pewnego dnia wzywa do siebie obydwu chłopców i mówi im, że nie mogą dłużej być we trójkę. W życiu chodzi o tworzenie par i chyba nadeszła pora, by wrócili do rzeczywistości. Oświadcza, że dokona między nimi wyboru i że jej decyzja będzie ostateczna. Potrzebuje tygodnia, by się zastanowić, po czym przywoła ich do siebie i powie, co zdecydowała.

Chłopcy nie są zadowoleni z takiego obrotu spraw. Jeśli wybierze między nimi, będzie to nie tylko koniec ich przyjaźni, ale też koniec wspólnego tworzenia powieści.

Walczą z przygnębieniem, wspomagając się w swoim pokoju butelką burbona. Jak mogą pozwalać tej wiedźmie decydować o swoim losie? Myli się, jeśli uważa, że to ona tu rządzi. W pierwszej chwili dochodzą do wniosku, że obaj powinni z niej zrezygnować. Ale szybko porzucają ten pomysł -przecież wciąż ją kochają i nie znieśliby, gdyby zaczęła się prowadzić z jakimś idiotą, który na nią nie zasługuje. Muszą podjąć decyzję samodzielnie, a potem wymusić na niej zgodę. Tylko jeden z nich może ją mieć. Drugi dokończy powieść pod swoim nazwiskiem, a bodźcem do pracy będą zazdrość i złamane serce. Ale jak podjąć taką decyzję?

Koniec końców rzucają monetą. To najbardziej sprawiedliwy sposób. Diabeł rzuca, Ciemnooki ogłasza werdykt. Jeśli zgadnie, dziewczyna jest jego.

Moneta jest w powietrzu, obraca się, a w końcu ląduje na dłoni Diabła. Ciemnooki mówi: reszka. Na monecie widnieje orzeł.

Do trzech razy sztuka? - pyta Ciemnooki.

Niech będzie.

Tym razem mówi orzeł. Moneta ląduje na odwrót. Dziewczyna należy do Diabła.

Zapada ciężka, niezręczna cisza, a chłopcy wracają do picia. Każdy z osobna wmawia sobie, że będzie szczęśliwy. Dokonali wyboru. To koniec. Wystarczy tylko, by odnaleźli się w nowych rolach: Diabeł będzie kochankiem, Ciemnooki pisarzem. Czemu nie mogą się tym cieszyć? Przez chwilę w ciszy popijają burbona, niemal się nie odzywając, nie mogąc na siebie spojrzeć. Później w końcu podnoszą wzrok. Obaj widzą, co kryje się za oczyma przyjaciela. I wreszcie zaczynają się uśmiechać.



Minęła siódma. Felix nie spał już tak mocno, wiercił się w swoim łóżeczku, pomrukując cichutko. Za drzwiami ktoś przeszedł przez półpiętro, a potem zszedł po skrzypiących schodach. Nancy czy matka? O'Connell oddał Ewę Cramerowi i odszedł, zabierając ze sobą początek powieści *Wizja*. Przehandlował dziewczynę, którą kochał, jakby była krową kupioną na targu. Zebrał wszystkie pieniądze i całą sławę za powieść, która nie była nawet w całości jego dziełem.

- Grace? - Głos Nancy dobiegał z półpiętra. To zabawne, jak spostrzegawcza okazała się Nancy podczas lektury tej powieści. Grace chciałyby przedyskutować to z siostrą, ale jak mogłyby zawieść zaufanie O'Connella w tak istotnej kwestii?

- Grace?

A co z Cramerem? Można się spierać, czy ta historia skończyła się z korzyścią dla niego. W końcu wybrał miłość. A tak naprawdę był przegrany, budził więc większą sympatię. W wyniku podjętej decyzji musiał patrzeć, jak jego przyjaciel staje się sławny i bogaty, gdy on tymczasem przez kolejne lata jest zmuszony opiekować się chorą psychicznie małżonką, która koniec końców popełnia samobójstwo, zostawiając go samego z ich córką. Wystarczająco się nacierpiał. Ale patrząc na to z innej strony, był w to wszystko zamieszany równie mocno co O'Connell. Po prostu miał mniej szczęścia. Gdyby los zdecydował inaczej, O'Connell mógłby skończyć, zapijając własne nieszczęście i utraconą miłość, gdy tymczasem niewydana powieść obrastałaby kurzem w szufladzie.

Ależ bajzel. Nawet gorszy od tego, jaki stał się udziałem sióstr Rutherford i braci Wilkins.

I wtedy Grace przypomniała sobie coś, co wydarzyło się dawno temu. Dwa walety - pik i karo. Czy wobec tego ona i Nancy naprawdę były lepsze niż O'Connell i Cramer? Szczerze, kimże była, by kogokolwiek osądzać?

Nie, to była głupia myśl. To przecież nie to samo. Były tylko parą uczennic grających w karty. Nie miało to wpływu na ich dalsze życie. Drzwi otworzyły się. Nancy stanęła w progu, ubrana w niebieską koszulę nocną, trzymając dłoń na klamce. - Mogłam zgadnąć, że cię tu zastanę. Felix zatrzepotał powiekami. Zaskoczony, patrzył to na matkę, to na ciotkę, a po chwili na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech.

## ROZDZIAŁ 9

- Wystawcie języki, chłopcy.

Topping i Humphries, dwóch chłystków z „Heralda”, posłusznie wystawiło języki.

Grace wydmuchnęła kółko dymu i patrzyła, jak Dodo Lawrence, główna autorka „Heralda” zajmująca się kwestiami, które Dickie określał mianem „babskich fatalaszków”, egzaminuje dwóch wyżej wymienionych. Język Toppinga był długi i różowy, jak u psa, zaś Humphriesa szary, wyglądający niezdrowo.

- Wygrywa zdecydowanie Dum. - Dodo przez cały wieczór określała chłopców mianem Tweedledum i Tweedledee<sup>1</sup>, w skrócie Dum i Dee. Obydwaj byli zbyt zauroczeni Dodo, a może zbyt się jej bali, by wyrazić jakikolwiek sprzeciw.

- Jaki wynik, Grace?

- Trzy do dwóch dla Duma. Co dalej?

Dodo udawała, że się namyśla, a potem obróciła się w fotelu, szukając wokół siebie inspiracji.

---

<sup>1</sup>Bohaterowie powieści Lewisa Carrolla *Alicja po drugiej stronie lustra*.

W klubie Salamander było dziś wyjątkowo przyjemnie: koktajle podawano dłużej niż zazwyczaj, mnóstwo chichoczących dziewcząt w jedwabnych apaszkach (zarówno apaszki, jak i chichoty zgodne z wymogami mody), sporo atrakcyjnych mężczyzn - wielu z tego cichego, refleksyjnego gatunku, który na spojrzenie reaguje łagodnym uśmiechem spowitym przez kłęby papierosowego dymu, ale nie żąda więcej uwagi. Co lepsze, było nawet kilku takich, którzy całkiem nieźle tańczyli charlestona. Grace dobrze zrobiła, przychodząc tu z Dodo tego wieczora. Dodo należała do kobiet, które Grace określała mianem „profesjonalnych blondynek”. Pełno ich było w londyńskich gazetach i czasopismach, całkiem sporo prowadziło także galerie sztuki. Platynowe włosy, wygląd nowoczesnej kobiety, donośny głos i całe mnóstwo pewności siebie oraz krótkie sukienki w odważne wzory. Jak i w przypadku pozostałych z jej rodzaju, można było liczyć na to, że Dodo będzie rozrywkowa i bezduszna. Gdzieś głęboko musiała kryć się i poważna strona jej osobowości - była zbyt inteligentna, by mogło być inaczej. Jednak nie ujawniała tej strony swojego „ja” zbyt często. W obecnym nastroju Grace bardzo to pasowało.

Minęło już niemal czterdzieści osiem godzin od chwili, gdy O'Connell opowiedział jej o kompromisie. Od tamtej pory trzymała się od niego z daleka, starając się to wszystko przemyśleć. Wiedziała, że źle robi, osądzając go za to, co uczynił. Przecież on jej nie osądzał. Ale nakłoniwszy go do wyjawienia sekretów, nie mogła przecież zignorować tego, czego się dowiedziała. Przez ostatnie dni milczał. Żadnych telefonów, kwiatów, namiętnych liścików. To było nie w jego stylu. Nie należał do tych, którzy zwykli błagać. Mógł oczywiście zdawać sobie sprawę, że Grace nie jest jeszcze gotowa na rozmowę. A może nie zależało mu na tyle, by za nią gonić. .. Zaczęła rozmyślać o wszystkich tych opowieściach na temat O'Connella łajdaka, O'Connella playboya. Myślała też

o tym, że przecież Nancy ostrzegła ją przed nim. Nie był mężczyzną, za którego brała go wcześniej. I wcale nie była pewna, co powinna teraz zrobić.

Jednak dobrze było rozerwać się nieco za pomocą koktajli.

- Buty - ogłosiła Dodo. Ona i Grace schyliły się, by zajrzeć pod stolik. Humpries nosił buty czarne, lśniące i wyglądające jak nowe. Topping z kolei brązowe i lekko podniszczone. Co więcej...

- Dum, wygląda na to, że nie masz skarpetek! Czy to prawda? - Grace wyprostowała się, by spojrzeć na zaczerwienioną twarz Toppinga.

- Jakieś opóźnienie w pralni - wymamrotał Topping.

- Zatem punkt dla Dee - odparła Dodo. - Macie po trzy. Uwielbiam wyrównaną walkę.

Grace schyliła się raz jeszcze, by rzucić okiem na gołe kostki Toppinga. Było w nich coś dziwnie ujmującego. Gdy znów się wyprostowała, przy ich stoliku siedział nie kto inny jak sam Ciemnooki - Cramer.

- Skądżeś się tu wziął?

- Mi również miło cię widzieć, Grace - Wydawał się dziś wyjątkowo wysoki. Zawsze taki był? Uśmiechał się do niej ciepło. Potem odwrócił się do towarzyszki Grace. - Dodo! Jak wspaniale. Ileż to czasu minęło?

- John, kochany. Och, cudownie! - Dodo wstała i zaczęli się obściskować: był to jeden z tych uścisków, który może wprawdzie mieć charakter platoniczny, lecz wcale nie musi. -Ile minęło? Zdecydowanie zbyt długo. Usiedli, nie przestając gadać.

- Pamiętasz jeszcze ten cudowny wieczór w Ritzu?

- Och, oczywiście. Był po prostu wspaniały. Przypomniało to Grace tamten wieczór w Tutankhamunie,

gdy Cramer okazał się starym kumplem Sherida-na. Czy naprawdę wszyscy mieli z nim w przeszłości

jakieś kontakty? Wydawało się to nieuniknione. Pojawiał się w każdym możliwym miejscu i ze wszystkimi coś go łączyło. Spojrzała na naburmuszonych Duma i Dee.

- Zatańczycie ze mną, chłopcy? Są kolejne punkty do zdobycia.

Orkiestra grała w szybkim tempie. Grace próbowała tańczyć z nimi dwoma równocześnie, ale oni raz po raz próbowali ją sobie odbić. Nie byli złymi tancerzami, jednak ich starania udaremniał fakt, że jeden próbował być lepszy od drugiego. Gdy zeszła z parkietu, stopy miała doszczętnie zdeptane.

Wróciła na salę, gdzie Dodo i Cramer śmiali się, siedząc teraz tuż obok siebie. Mówiąc, Dodo wciąż dotykała jego ramienia. Potem jego dłoni. Nerwowo ruszała rękami, jakby po prostu musiała je na nim położyć.

- Kto wygrał? - spytał Humphries.

- Żaden z was. Obydwaj tracicie po punkcie. Teraz idźcie poszukać do tańca kogoś w swoim wieku. Bo to pomału robi się nudne.

Gdy dotarła do stolika, rozmowa nagle ucichła.

- Mówiliście o mnie? - Grace starała się brzmieć lekko. -Czyżbym była jedynym ciekawym tematem do rozmów w tym lokalu?

- No już, już, Grace - powiedziała Dodo dość oschle. -Nie pozwól, by próżność tobą zawładnęła. John opowiadał mi właśnie o tym młodzieńcu, który ma zamiar przefrunąć nad Atlantykiem. Jest przekonany, że tamtemu się to uda i ma zamiar zobaczyć jego lądowanie.

- Wiem - odparła Grace, odwracając się do Cramera. -A jeśli mu się nie powiedzie? Mówiłeś przecież, że nazywają go Latającym Głupcem.

- Da radę, Grace. Po prostu to wiem. Czasami trzeba uwierzyć. Musisz postarać się uwierzyć.

- To brzmi niemal jak kazanie, John. Nie wiedziałam, że jesteś z gatunku bogobojnych.

Uśmiech nie schodził z jego twarzy.

- Sama się przekonasz.

Cramer zamówił kolejne koktajle. Gin Fizz dla Grace, Singapore Sling dla Dodo i po Monkey Glands dla Duma i Dee. Sam pił coś z lodem i cytryną. Okazało się, że była to zwykła woda. Grace zupełnie zapomniała o tym, że on przecież nie pije, a teraz było już za późno, by zwracała uwagę na to, w jakim sama jest stanie. Gdy popatrzyła na Dodo, poczuła się tak, jakby spojrzała we własne odbicie. To zauroczenie swoją przebiegłością. Te niezdarne gesty. I głośny śmiech.

Cramer przyszedł tu tego wieczoru z parą znajomych z Nowego Jorku.

- Nie wiem, o co chodzi - oświadczył, potrząsając głową. - W jednej chwili dobrze się bawimy, a on opowiada historię o wycieczce na Coney Island, i nagle zauważam, że ona wstaje i patrzy na niego tak, jakby miała zamiar go zabić. On jeszcze tego nie dostrzegł, ciągnie swoją opowieść, coś o strzelaniu do królików podczas jakiejś gry, a ona podnosi się, wyglądając jak kobra tuż przed atakiem. No wiecie, te żmije z kapturami, jak w opowieściach Kiplinga. I mogę przysiąc, przysiąc, że zaczyna syczeć i szczyrzyć zęby, a on nadal tego nie widzi i wciąż gada o Coney Island, i o tym, jak wracali z powrotem łodzią pod koniec wieczoru. I wtedy ona mówi „Cecil!” Tylko jedno słowo, jego imię. On wreszcie spogląda na nią i w jednej chwili całe szczęście zostaje z niego wyssane, po prostu wyssane. A ja tam siedzę, przy jednym stoliku z tą jadłowitą żmiją, obok mając pustą łupinę, która jeszcze przed sekundą była moim starym przyjacielem. - Potrząsnął głową i napił się wody.

- Co było dalej? - spytała Grace.

- Cóż, wtedy właśnie zauważyłem was - odparł Cramer. Potem odwrócił się do Dodo i znowu zaczęli swoje. - Naprawdę Dodo, jak miło znów na ciebie wpaść! - Dodo stroi piórka, a Grace myśli: „Błagam, tylko nie to, już robiło się tak miło”. Dodo zawsze była jedną z tych, co to siedzą spokojnie, ciesząc się towarzystwem mężczyzn, dysząc w nich dymem i pozwalając im przyciągać swoją uwagę. Ale spójrzcie tylko, jak zachowywała się w towarzystwie Cramera! Traktowała go jak coś rzadkiego i egzotycznego, co po prostu musiała mieć dla siebie.

- Tęskno ci za czymś, co zostawiłeś w Nowym Jorku? -pytała. - Może za jedzeniem? W tym względzie Londyn został naprawdę w tyle. A może za kawą?

- Za ogrodami na dachach. - Cramer wydawał się zamyślony. - Teraz, gdy mamy maj, wszystkie najlepsze kluby taneczne będą miały dachy otwarte o każdej porze. Uwielbiam te długie letnie noce. Kłopot w tym, że często, gdy jesteś umówiony z przyjaciółmi w takim miejscu, zastajesz tam kłódkę na drzwiach i wywieszkę obwieszczającą zamknięcie lokalu. Same problemy przez tę prohibicję.

- Mamy kilka pięknych ogrodów w Londynie. - Grace zaczęła składać papierową podkładkę na coraz mniejsze trójkąty. Każde zagięcie było bardziej zdecydowane od poprzedniego. - Choć nie aż tak często znajdują się na dachach. Kiedyś wezmę cię do któregoś z nich. - Uśmiechnęła się do niego, trochę za późno uświadamiając sobie, że z nim flirtuje. Dał o sobie znać przymus konkurowania z Dodo, niezgoda na to, by tamta okazała się lepsza. Naprawdę n i e p o w i n n a flirtować z Cramerem.

- Tęsknię też za Betsy - dodał Cramer. - Moją córką.

- Oczywiście. - Grace szybko pozbyła się zalotnego uśmiechu. - Ile ona ma lat?



- Piętnaście. Jest teraz w szkole. Później jedzie spędzić lato u mojej matki.  
- Musi być urocza - wtrąciła Dodo. - Bardzo bym chciała mieć córkę. To musi być dla ciebie okropne, że jesteś od niej tak daleko.

- Owszem. - Cramer ze smutkiem patrzył na szklanę z wodą.

Skoro tak bardzo tęsknił za Betsy, czemu wybrał pracę za granicą i powierzył komuś opiekę nad nią? Czemu z nią nie został? I dopiero wtedy to do Grace dotarło: może teraz, po śmierci Evy, nie był w stanie się nią opiekować. Może za bardzo przypominała mu swoją matkę. Może nawet obwiniała go o jej śmierć.

Gdy rozmyślała nad tym, Cramer podniósł wzrok, tylko po to, by zaraz go odwrócić.

On wie, że ja wiem, pomyślała Grace. Znow przyciągnęła jego spojrzenie i tym razem nie odwrócił wzroku. Wszystko wokół zamarło. Dym, muzyka i śmiechy. Głos Dodo pobrzmiwał gdzieś w tle (kazała Humphriesowi i Toppingowi wypowiadać słowa od tyłu). Grace wciąż nie potrafiła odkleić oczu od Cramera. Coś zatrzepotało jej w piersi i złapało za gardło.

Cramer pierwszy to przerwał.

- Co masz zamiar zrobić ze swoim pisaniem, Grace?

- Zrobić? - Grace zaniepokoiła się tym pytaniem.

- Twoje felietony są świetne. Naprawdę mi się podobają. Ale to dla ciebie pewnie dopiero początek?

- Ach, rozumiem. - Pomyślała o niedawnej rozmowie z Dickiem. O tym, jak naciskała, by dał jej więcej pracy, a on subtelnie wskazał, gdzie jest jej miejsce. - Nie jestem pewna, czy naprawdę jestem pisarką. To hobby, które tak jakby wymknęło się spod kontroli. To wszystko.

- To wcale nie musi być wszystko. Nie, jeśli pragniesz czegoś więcej. Z pozoru twoje felietony to po prostu zabawa i kpina z pewnego stylu życia, ale pod spodem tkwi coś więcej. Prawdziwy talent.

- Tak uważasz?

- Twoją siłą jako pisarki jest komediowe podejście do tematu. To sprytny sposób przekazywania wiadomości. Zupełnie jakbyś ozdobnie opakowywała prezenty. Pytanie brzmi, co chcesz umieścić wewnątrz paczki.

Przez te wszystkie przeklęte drinki nie potrafiła teraz jasno myśleć.

- Chciałabym wierzyć, że czeka na mnie coś więcej. -Przesunęła palcem po krawędzi kieliszka, próbując się uspokoić. - A ty czego pragniesz od przyszłości, John? Co jeszcze na ciebie czeka?

Dumowi i Dee plątały się języki, tak jak wcześniej plątały im się nogi w tańcu.

- Teraz powiedzcie wspak „dziobak” - powiedziała Dodo. - Szybko! A teraz „niekonsekwentny”.

Coś zaiskrzyło między Grace a Cramerem. Jakby znali się od dawna.

- Teraz powiedzcie „zdrada”.

W toalecie Grace stanęła przed umywalkami i zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna ochlapać się wodą. Nie, lepiej nie. Nie, kiedy ma na twarzy makijaż. Skończy rozmyta jak obrazki Tilly i całe wieki zajmie jej doprowadzenie się do porządku.

Chwytając się skraju porcelanowej umywalki, przyglądała się sobie w lustrze. Kurze łapki w kącikach oczu, zmarszczki na czole - czy były nowe? Musi pamiętać, by więcej nie marszczyć brwi. To było niebezpieczne.

„Zbyt wąskie usta - mówiła sobie, jak wiele razy w przeszłości. - Ale nie próbuj poprawiać ich kształtu szminką. -A potem: -Czy te usta są niemiłe?"

Gdy jeszcze były dziewczynkami, Nancy i ona porównywały czasem swoje twarze w lustrze, starając się zdecydować, która jest ładniejsza. Grace miała ostrzejsze rysy. Twarz Nancy za to miała w sobie pociągającą subtelność. Nancy mówiła, że zazdrości siostrze jej wyrazistości, inteligentnego wyglądu. Z kolei Grace zazdrościła Nancy pełnych ust i miłego uśmiechu.

Czy Cramer porównywał obie siostry ze sobą? Nie byłby pierwszym, który tak robił. Czy całował już piękne usta jej siostry? Nancy zaprzeczała, że cokolwiek między nimi zaszło, ale Grace wiedziała, że należy patrzeć poza słowa. Cóż jeśli nie miłość było w stanie tak rozświetlić Nancy po tylu posepnych latach?

Przymknęła oczy i momentalnie je otworzyła. Wszystko tu wirowało: O'Connell mówi, że ją kocha, a potem opowiada te okropne rzeczy...

Cramer patrzy na nią, jakby znał ją od podszewki, i przekonuje, kim może się stać, jeśli tylko tego zapragnie. Była zbyt pijana, by to pojąć. Powinna wrócić prosto do domu i się przespać.

- Adardz - powiedziała do swojego odbicia.

- Co proszę? - spytała kobieta stojąca przy umywalce obok. Kolejna blondynka. Mały nosek, łukowate brwi, w sukience, która była istną kaskadą delikatnych różowych płatków (to musiała być suknia od Madeleine Vionnet).

- Adardz to „zdrada" od tyłu.

- Och, cukiereczku, o tym słowie wiem już akurat wszystko. - Kobieta przyklepała swoje niesforne włosy. -Poznałam to szczególne słowo tak z jednej, jak z drugiej strony i jedno ci powiem: żadna nie jest specjalnie przyjemna. Posłuchaj mojej rady: lepiej zostać w domu z książką.

Gdy Grace wychodziła z damskiej toalety, Cramer akurat wychodził z męskiej.

- Chcę, żebyś o czymś wiedział - powiedziała.

- O czym?

- Chodź ze mną. Muszę z tobą pogadać, ale nie w obecności Dodo.

Złapała go za rękę i poprowadziła za róg, a potem dalej, w korytarz, który kończył się podwójnymi drzwiami, zza których czuć było kuchenne zapachy.

- Więc pytaj. - A widząc, że ona nie może wydusić z siebie słowa. - Co teraz, Grace?

Uniósł jej podbródek i pocałował ją. Pocałunek był taki sam, jak spojrzenie, które wcześniej dzielili: stanowił kontynuację tamtej chwili. Całowali się, jakby próbowali uwolnić się od samych siebie. By utrzymać równowagę, oparła się o ścianę, dzięki czemu miała jakieś zakotwiczenie w świecie, gdy wszystko wokół zaczęło nagle odpływać.

- Stop. - Odepchnęła go.

- Czemu? - Wciąż nachylał się ku niej, zapewne chcąc znów ją pocałować. - Wcale nie chcę przestać.

- A co z Nancy?

- Nie ma niczego między mną a Nancy.

Pocałował ją raz jeszcze, a ona przycisnęła go do siebie, obejmując za szyję. Zamknęła oczy i ujrzała Nancy. Nancy, w jej ciemnozielonej sukience, którą miała na sobie tamtego wieczoru, gdy na kolację był sznycel wiedeński. Twarz siostry: upaprana mąką, roześmiana. Grace znowu wyrwała się z objęć Johna.

- To moja siostra. Nie mogę jej tego zrobić.

Pokręcił głową, na jego twarzy zagościł wyraz konsternacji.

- Nancy i ja jesteśmy przyjaciółmi. Nic więcej.

- Moja siostra jest w tobie zakochana. Ona cię kocha, John!  
Zrobił krok w tył. Podrapał się w czoło. Z kuchni unosiła się ostra woń.  
Coś się właśnie przypalało.

- Ale ja nigdy nie zrobiłem niczego... Nie miałem pojęcia, że ona...

- O Boże! Albo jesteś całkiem naiwny albo bezduszny. Nie wiem, co gorsze! - Próbowała go wyminąć, lecz chwycił ją za ramię.

- Czekaj, Grace!

- Spędziłeś z nią tyle czasu, tylko z nią i dziećmi. Spaceruje, kawiarnie, obiady...

- Obydwoje jesteście samotni. Polubiłem te dzieciaki. Ją też. Ale to wszystko.

Był wyższy i szczuplejszy niż O'Connell, lecz i tak byli do siebie podobni. To tkwiło w ich oczach, uświadomiła sobie Grace. Oczy Cramera były ciemnobrązowe, ale ich wyraz bardzo przypominał wyraz jasnych oczu jej kochanka.

- Chyba wiesz, co do ciebie czuję, Grace. Nie czułem tego od bardzo dawna. I myślę, że ty czujesz dokładnie to samo.

- Nie masz pojęcia, co czuję. Jeśli już, jestem zagubiona. Kompletnie zagubiona.

- Dlaczego? Co się stało?

. - O'Connell opowiedział mi o kompromisie. Cramer wyglądał na zakłopotanego.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Powiedział mi o wszystkim.

- O'Connell wygaduje różne bzdury, Grace. Niewiele z tego jest prawdą. Tupnęła nogą zniecierpliwiona.

- Mówił, że nad *Wizją* pracowaliście razem. Że zawarliście układ: ty dostałaś dziewczynę, a on powieść. Czemu miałby wymyślać coś takiego?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć.
- To nie miałyby sensu, John. Cramer przesunął dłonią po włosach.
- Ta książka jest wyłącznie jego dziełem. Nie było żadnego „układu”. Naprawdę nie mam pojęcia, czemu powiedział, co powiedział, ale u O'Connella ważniejsze jest to, czego nie mówi.
- Co masz na myśli?
- No dobra. - Gdy znów się odezwał, na jego twarzy pojawiło się nerwowe napięcie. - Chcesz wiedzieć, czemu się poróżniliśmy? Więc ci powiem. - Oparł się o ścianę. Odpalił papierosa i podał go Grace. Zapalił też drugiego, dla siebie. - Nie było żadnego „układu”. Eva dokonała wyboru i wybrała mnie. Wzięliśmy ślub, a potem straciliśmy kontakt z O'Connellem. Byliśmy szczęśliwi. Aż do chwili, gdy ukazała się książka. Eva przeczytała ją i uwierzyła, że zawiera przekaz dla niej. Zaczęła oskarżać mnie, że wyssałem z niej życie, tak jak ten palant Stanley próbował zrobić z Véronique. Czytała ją ciągle od nowa. Zaciągnął się głęboko dymem z papierosa. Po chwili go wypuścił.
- Zaczęła pisać do O'Connella listy miłosne. Znalazłem kalki. Ale nigdy nie znalazłem żadnych odpowiedzi, choć przecież musiał jej odpisywać.
- Pytałeś ją?
- Oczywiście. Zaczęły się awantury. Później błagała mnie o wybaczenie, twierdząc, że to nic nie znaczyło. Że to było tylko szaleństwo, które tkwiło w niej. Ale później wariowała coraz bardziej i nie mogłem tego zignorować. Goniła gdzieś, załatwiając jakieś sprawy, zostawiając Betsy samą, i nie wracała przez całe dni. Po powrocie do domu kładła się na tydzień do łóżka, płakała i nie chciała z nikim rozmawiać. Nie wiedziałem, dokąd chodziła.

- Była z nim?

- Nie mam pojęcia, do tej pory się tego nie dowiedziałem. To mnie męczyło. Zdecydowałem, że się z nim spotkam. Napisałem do niego, na adres wydawcy. Spotkaliśmy się i było tak źle, jak przypuszczałem. Siedzieliśmy w modnej nowojorskiej restauracji, patrzyłem, jak zajada się ostrygami. Jak wysysa je jedną po drugiej. Było w nim coś takiego... Ta jego aura protekcjonalności, lśniący szary garnitur, sposób, w jaki jadł te przekłete ostrygi... Nie mogłem z nim rozmawiać o Evie. W jego towarzystwie nie potrafiłem nawet wymówić jej imienia. Czekał, aż to zrobię. Był gotowy popatrzeć na mnie ze współczuciem, być dla mnie miły, a ja nie mogłem tego znieść. Rozumiesz?

- Tak mi się wydaje.

- Do tego czasu Eva opuściła już z klinikę. Nigdy nie kazałem jej tam zamykać. Zawsze szła z własnej woli. I to było miłe miejsce. Kosztowało majątek. Gdy tam była, między nami zaczynało układać się lepiej: krótkie godziny wizyt i szpitalne zasady bardzo nam pasowały. Za kłótnie odpowiadałem w takim samym stopniu, co ona. Sporo wtedy piłem. Biedna mała Betsy w środku nocy schodziła na dół, by zobaczyć, jak ojciec się zatacza, a matka rozmawia z Marią Dziewicą. W końcu oddaliśmy ją pod opiekę rodzicom.

- Dzieciaki zawsze znoszą to najgorszej - Grace miała na myśli nie tylko Betsy. - Zamieszane w coś, czego nie mogą pojąć.

- Masz rację. Dla Betsy lepiej, że później już ją to ominęło. Nadal tak jest... Tak czy owak, zaczęło robić się coraz gorzej. Eva częściej była w klinice niż poza nią. Ja zaś byłem... nieobecny. I wtedy, trzynastego maja 1922 roku, nieco ponad dziesięć lat po naszym ślubie, wróciłem do domu z trzydniowej popijawy i znalazłem wiadomości od rodziców, od policji i z kliniki. Eva bez czyjejkolwiek zgody

opuściła szpital, przemierzyła pół stanu i... zginęła po upadku z hotelowego balkonu. Na początku mówili o upadku, ale później zmienili to na „skok”.

Dziewczyna leżąca na ziemi. Pęknięty naszyjnik i pęknięty kark...

- To był balkon pokoju O'Connella, Grace.

- Co?!

Zgasił papierosa na podłodze.

- Wygląda na to, że go odnalazła. Dawał gdzieś jakiś wykład, a ona szukała go w najmodniejszym hotelu w mieście. Gdy on prowadził ten wykład, włamała się do jego pokoju, tak przynajmniej powiedziała mi policja. Twierdził, że nie miał pojęcia, że ona jest w mieście i że jej nie widział. Jego kumple też pojawili się na komisariacie, wydawca i agent. Zjawili się jeszcze przede mną. Gdy wciąż starałem się zrozumieć, co się wydarzyło, ci dwaj zaczęli naciskać, że najważniejsze, by nazwisko O'Connella nie wyciekło do gazet. Zastosowałem się do ich prośby. Nie miałem ochoty tego rozgłaszać.

- O Boże. - Oparła się, patrząc na Cramera. Jego twarz była zupełnie ponura.

- Nie wierzę, że ta historia tak się skończyła, Grace. Znam przecież O'Connella i to wszystko jakoś się nie trzyma kupy. Przez kolejne lata śledziłem jego poczynania i wpadałem na niego. Za każdym razem, gdy się widzimy, staram się wyciągnąć z niego prawdę. Ale minęło pięć lat, a ja wciąż nie wiem, co się wydarzyło, on do dziś niczego mi nie wyjaśnił, nie powiedział niczego, co miałoby jakikolwiek sens.

- Nie twierdzisz chyba... On nie jest mordercą, John. Kimkolwiek by był, na pewno nie jest mordercą.

Wzruszenie ramion.

- Jak już mówiłem, u O'Connella najważniejsze jest to, czego nie wyjawia.

- Wyciągnął ręką i położył dłoń na jej twarzy. - Pojedź ze mną do Paryża, Grace.



-Co?

- Pojedźmy razem do Paryża. Zobaczymy Lindbergha. Razem.

- Och, John... - Odsunęła się od niego i ruszyła korytarzem. Ta dłoń na jej twarzy. To był gest, który znała aż za dobrze. O'Connell w takim momencie zrobiłby dokładnie to samo: położył delikatnie dłoń na jej twarzy.

- Chciałaś wiedzieć, więc ci powiedziałam. Nie zostawię cię jem u. Znów byli przed damską toaletą. Cramer stał tuż za nią.

- Nie jestem w stanie myśleć logicznie. Tego wszystkiego jest zbyt wiele.

- John, cukiereczku! - To była ta blondynka, z którą Grace rozmawiała wcześniej. Ta, która wiedziała wszystko na temat zdrady.

- Och. Barbaro.

- Gdzieś ty się podziewał? Wszędzie cię szukałam. Cecil sądził, że poszedłeś już do domu, ale powiedziałam mu, żeby nie był śmieszny. John nie zostawiłby nas bez pożegnania.

Cramer bezradnie patrzył na Grace, a ona dostrzegła szansę, by uciec.

Opuścić ten korytarz, wrócić do tańca, jazzu i koktajli. Z powrotem do

Dodo, która tymczasem zabrała stertę plasterków cytryny z baru i karmiła Humphriesa i Toppinga, wsuwając je w ich rozdziawione usta.

Gdy Grace wyszła z klubu, spodziewała się, że spotka Cramera

czekającego na nią na ulicy. Nigdzie jednak nie było go widać. Niepewna, czy czuje ulgę, czy rozczarowanie, czy też jedno i drugie, wystawiła rękę, by zatrzymać taksówkę, a potem do niej wsiadła, sama.

Ruszyli na północ. Kierowca starał się nawiązać rozmowę, ale ona pragnęła, by dał sobie spokój. Z jakiegoś powodu

nawijał bez końca o budowanych w White City i Harringay stadionach na wyścigi hartów. Grace nie interesowały wyścigi psów i nawet będąc w lepszej formie, nie miałyby na ten temat nic do powiedzenia. Gadał jeszcze przez chwilę, gdy tymczasem ona to zaciskała, to znów rozluźniała pięści.

Działo się z nią coś przerażającego, coś potężnego. Czowała to w każdym skrawku swego ciała. Pulsowało w głowie, trzepotało w żołądku. Gdy wyrzwała przez szybę, zobaczyła odbicie swoich emocji nawet na niebie: w blasku dnia przeciskającym się przez nocne niebo, w eksplozji kolorów, którą przynosił świt.

Gdzieś w tle mrucał silnik taksówki.

- Wysadzę panią, a potem wracam do Cricklewood. Prosto do żonki.

Wleżę pod pierzynę i zaraz uderzam w kimę. Cudnie...

- Adardz - mruknęła pod nosem Grace.

# **CZĘŚĆ III**

## **LOT**

## PICCADILLY HERALD

23 maja 1927

### Z życia West Endu

*Dwie nowe restauracje na Beak Street wywiesiły właśnie po sąsiedzku swoje menu, a każda z nich zrobiła się ciekawa właśnie dlatego, że jest tak blisko swojej konkurentki. Pozwólcie mi wyjaśnić.*

*Low Pat Feast jest miejscem, które zapewnia to, co obiecuje jego nazwa. Naprawdę. Porcje są maciupeńkie, jedzenie zaś pozbawione tłuszczu (i smaku). Chleb (mączny) posmarowany jest cienko czymś żółtym, co wcale nie przypomina masła. Majonez... Cóż, dość powiedzieć, że go po prostu nie ma. Mimo to lokal w porze lunchu wprost wypchany jest ludźmi i do stolików ciągnie się kolejka sięgająca aż na ulicę. Rany, ależ zaczęliśmy się przejmować naszymi figurami. Przewiduję, że ta gorączka potrwa co najmniej do końca sierpnia, gdy Selfridges wysprzeda resztki swojej kolekcji strojów kąpielowych, a wtedy znów zaczniemy się obżerać.*

*Tuż obok tego dietetycznego lokalu znajduje się restauracja La Ronde. W oknie wisi artykuł ostrzegający przed niebezpieczeństwami odchudzania. Oferowane jedzenie wspomogę każdego, kto padł ofiarą diety. Poszłam tam wczoraj na przepyszną rybę, do której dodawali jeden z najlepszych sosów,*

*jakie kiedykolwiek jadłam. Trzeba jednak zauważyć, że ta sama ryba (konkretnie łupacz) serwowana w Low Fat Feast -choć suchuteńka i o połowę mniejsza - jest dziwnie podobna. Naprawdę, jeżeli porównacie zawartość kart, zaczniecie dostrzegać pewną prawidłowość. Zdaje mi się, że muszę wdrzeć się kiedyś na zaplecze i przyjrzeć kuchniom tych dwóch restauracji. W końcu, czy zdziwi was fakt, że klientelę Low Fat Feast stanowią ludzie pulchniejsi, gdy tymczasem ci, którzy stołują się w La Ronde, wyglądają raczej smukło?*

*Dosyć w tematyce lunchów. Proszę was, w najbliższy wolny piątek bądź sobotę odwiedźcie klub Tivoli na Coventry Street i wejdźcie na moment na dach. Tak, z okazji letniego sezonu postanowili wyjść na świeże powietrze. Grają tam bardzo dobry jazz, do którego tańczy się też nienajgorzej. Muszę docenić Tivoli za podjęcie ryzyka. Przed nami wiele deszczowych nocy, nie ma co do tego wątpliwości, ale i na to są przygotowani. Mają coś w rodzaju markizy, zauważyłam też wiele parasolek wiszących przy schodach. Teraz więc mam już gdzie zabrać pewnego szczególnego amerykańskiego dżentelmena, gdy znów zacznę opowiadać o letnich ogródkach dachowych w Nowym Jorku. Jednakże muszę was ostrzec: nie zabierajcie tam swoich chłopaków, jeśli są z tych, którzy z charlestonem raczej sobie nie radzą, bo możecie się nieopatrznie stańczyć z tego dachu razem z nimi!*

*Pan Runcett z Camberwell napisał do mnie, oferując swoje usługi jako towarzysz podczas wieczornego wałęsania się tam i siam. Pisze, że jest „poruszony i zasmucony” moim felietonem z osiemnastego kwietnia, w którym lamentowałam na temat niedoli inteligentnych kobiet, które nie mają odpowiedniego męskiego towarzystwa, wspominając także o Dobrych Dziewczynach, Złych Dziewczynach i diabelskim kompanie, z którym się ostatnio prowadzam. Pan Runcett zapewnia mnie, że wciąż ma własne zęby i większość włosów, a jego cena należy do rozsądnych.*

*Wdzięczna za tę propozycję, z radością donoszę, że jego usługi nie są mi w tym momencie potrzebne. Dziewczeta, jak pewnie same już wiecie: czeka nas uczta albo klęska głodu. Lecz w tej chwili mam wrażenie, jakbym jadła w La Ronde, a nie w Low Fot Feast (choć, jak wspominałam, muszę jeszcze zajrzeć na ich zaplecze...).*

*Teraz, czytelniczki, czeka mnie mała eskapada, więc w przyszłym tygodniu nie będę nic pisać. Możecie tęsknić, ale nie płaczcie, bo rozmaże się wam makijaż. Jeśli będziecie grzeczne, wyślę wam pocztówkę.*

*Diamond Sharp*

*Od redaktora: Panna Sharp, obecnie na wspomnianej eskapadzie, poprosiła mnie bym przekazał w jej imieniu następującą wiadomość dla Charlesa A. Lindbergha: „Brawo, Lindy! Wiedziałam, że dasz radę”.*

## ROZDZIAŁ 1

- Zmienić? Ciebie? - Marcus Rino przeczesał wąsy, bacznie przyglądając się Grace.

- Noszę tę fryzurę od lat. Myślałam, że może... - Siedząca w fotelu Graca patrzyła na siebie w lustrze. Jej paż wciąż był jednym z najostrzej przyciętych w Londynie. Wiedziała o tym. Wiedziała, że Marcus też zdawał sobie z tego sprawę.

- No to czego w końcu chcesz? - Fryzjer z furią nacisnął na dźwignię i fotel zaczął się powoli unosić.

- Sama nie wiem. Czegoś innego. Może trwała? Mam tam parę ładnych loczków.

Marcus wyjął z kieszeni białą chusteczkę i przetarł nią czoło.

- Twoje włosy, najśłodsza, są wręcz niesamowicie proste. Nie masz choćby jednego zakręconego kosmyka. Jeśli dobrze je podetnę, tworzy się przepiękna linia... i te kąty... Czemu więc każesz mi je kręcić, co? Chcesz zniszczyć swój naturalny atut? - Skinął głową w stronę, gdzie jego brat Piętro właśnie kończył wkręcać wałki w nijakie brązowe włosy obwieszanej biżuterią kobiety. Mieszał coś w naczyniu. Coś, co wydzielalo ostry, chemiczny zapach.

- Wolę myśleć, że proste włosy nie są moim jedynym naturalnym atutem, Marcus. A co powiesz na to, żeby zostały proste, ale zmienimy ich kolor? Może blond?

Fryzjer przygryzł mały palec.

- Chcesz, żebym nałożył wodę utlenioną na tę cudowną, ciemną główkę i pozbawił cię resztek naturalnego koloru?

- Wiem, że robisz też włosy Dodo Lawrence. Gdy jej robisz blond, to wszystko jest w porządku, ale gdy idzie o mnie...

- Dodo Lawrence jest naturalną blondynką. Ty nie, cukiereczku. Gdybym tylko mógł, machnąłbym magiczną różdżką, żeby pokazać ci, jak będziesz wyglądać z trwałą albo jasnymi włosami. Nieźle byśmy się uśmiali, a potem znów bym cię odczarował. Całkiem dobry ze mnie czarodziej, ale tej jednej sztuczki nie potrafię wykonać. Wujek Marcus wie najlepiej. I nie mogę dopuścić, żebyś biegała po mieście z koszmarną fryzurą i rozpowiadała wszystkim, kto cię tak urządził.

Grace zrobiła nadąsaną minę. Zobaczyła, jak to wygląda w lustrze i szybko przestała.

- Dobrze zatem. Ale przytnij je krócej niż zazwyczaj. Krócej niż krótko. Pazie są teraz wyjątkowo tanie, a ja muszę być na czele defilady.

- To chciałem usłyszeć. - Uśmiech Markusa był nieco złowieszczy, szczególnie, gdy zaczął wywijać nożyczkami. Grace mogła sobie tylko wyobrazić, jak mrożące krew w żyłach musi być patrzenie, kiedy na scenie przepiłowuje kobietę na pół. Rozglądając się za praktykantką, zawołał: - Penelope, szampon dla panny Rutherford. - Położył jej dłoń na ramieniu. - Najśłodsza, on będzie uwielbiał cię taką, jaka jesteś.

- Kto?



Marcus wzruszył ramionami.

- To oczywiste, że robisz to dla faceta. Nie ma sensu zaprzeczać.

- Jadę na wycieczkę. - Grace bawiła się leżącymi na kolanach dłońmi. - Taki mały wypad, ale chcę wyglądać jak najlepiej. Wyjeżdżam już dziś po południu.

Klepięcie w ramię.

- Nie musisz się zmieniać dla nikogo, moja słodkości. Wujek Marcus naprawdę wie najlepiej.

W leżącej na podłodze torebce Grace były dwa listy. Jeden biały, zaadresowany do panny Grace Rutherford niebieskim atramentem, lekko pochyłym pismem. Ładny i atrakcyjny, jednak trudny do odszyfrowania. Drugi: na bladoniebieskim papierze, napisany czarnym atramentem, pełen był kleksów. Bałaganiarski i emanujący wściekłością, jednak łatwiejszy do zrozumienia niż poprzedni.

- Kim zatem jest ten twój przyjaciel? - Marcus, unosząc grzebieniem jej gęste włosy, zgrabnie operował nożyczkami. Za każdym razem kiedy tu przychodziła, zastanawiała się, jak on to robi w aż tak szybkim tempie. Z aż tak oszałamiającą precyzją.

- Czemu jesteś przekonany, że wyjeżdżam z mężczyzną?

- Och, Grace. Wujek Marcus nie ma zamiaru cię osądzać. - Znaczący uśmiech. Głowa przechylona na bok.

Jego przybory fryzjerskie leżały w równym rzędzie na toalecie. Nożyczki, grzebienie, brzytwy, dziwne małe nożyki. Wypolerowane na wysoki połysk, z rączkami inkrustowanymi żółwimi skorupami. Gdy pod koniec dnia kończył pracę - albo po prostu wychodził na lunch bądź na

kawę - odkładał je do specjalnego futerału z cielej skóry. Chował futerał do wewnętrznej kieszeni, po tej stronie, gdzie znajduje się serce. Widziała, jak to robił. Jego bezcenne fryzjerskie narzędzia.

- Może osądzam sama siebie.

*19 maja 1927*

*Droga Grace*

*Chciałem napisać liścik, aby powiedzieć, że jest mi przykro.*

*Jest mi przykro, że rozczochrałem Ci piórka i aż tak na-mieszałem. Ale nie jest mi przykro, że Cię pocałowałem. Jeśli się zgodzisz, chętnie zrobię to znowu.*

*Nie pozwól, by to ostatnie Cię zniesmaczyło. Prawdziwy ze mnie dżentelmen. A przynajmniej mogę nim być, jeśli tego zechcesz. Naprawdę, przyrzekam.*

*Pojedź ze mną do Paryża. Wyruszam jutro, obojętne, czy Lindbergh wystartuje planowo. Nie będziesz tego żałowała, tak samo jak i ja.*

*Będę w domu cały dzień, czekając na Twoją odpowiedź.*

*Twój, jak zawsze John*

- Jestem katolikiem. - Marcus przycinał pazia coraz krócej. - My od czasu do czasu wchodzimy do takiej niewielkiej budki, by wyznać nasze grzechy. Zazwyczaj spowiednikiem jest starzec o skórze pokrytej plamami wątrobowymi, w którego oddechu czuć alkohol. Ktoś, z kim nie chciałabyś raczej zjeść lunchu. Ale z jakiegoś powodu wracamy do tego staruszka raz za razem, mówiąc mu wszystko, co mamy do powiedzenia. To jest naprawdę cudowne. Sprawia, że człowiek czuje się wyzwolony.

Grace uśmiechnęła się.

- Nie jestem katoliczką.

- Tym bardziej masz powód, by zwierzyć się Wujkowi Marcusowi. Komu innemu mogłabyś niby powierzyć swoje sekrety?

19 maja 1927

*Kochana Gracie*

*Ty i ja potrzebujemy uciec od tego wszystkiego, przynajmniej na parę dni. Gdzieś daleko od biurka Aubreya Pearsona, od mojego skotłowanego łóżka w Savoyu, dusznego parkietu klubu Salamander, kuglarskich sztuczek Środowego Wista w Sihestrze, pokrytej autografami TourEiffel, zatęchłego powietrza biblioteki Marylebone, codziennych utyskiwań ze strony mojego wydawcy (który zapłacił mi mnóstwo pieniędzy za obietnicę Wielkiej Powieści, o czym mi codziennie przypomina podczas wywołujących wrzody rozmów telefonicznych), ciągłych wyrzutów i złowieszczej obecności (niemal wykasowałem „złowieszczej”, ale to JEST właściwe słowo) mojego dawnego przyjaciela, Johna Cramera, i nieznacznego ciężaru (kochanego, oczywiście, ale jednak ciężaru) Twojej rodziny. Och, i na litość boską ucieknijmy od gumowych steków, które serwują w tych okropnych grill barach West Endu. Jak najdalej od trzaskającego, pulsującego, pośpiesznego, wywracającego żołądek na lewą stronę, rozrywającego bębenki w uszach, rozsadzającego głowę, zapierającego dech i łamiącego serce (wystarczy już?), elektryzującego miasta zwanego Londynem, którego nie mogę porzucić i od którego nie potrafię się oderwać; które kocham i którego nienawidzę, potem nienawidzę nawet bardziej i kocham jeszcze mocniej.*

*Krótkie wakacje, mój skarbie. Urlop od Diamond i Diabła i ich salonowych gier.*

*Zobaczmy, jak to jest, gdy jesteśmy sami. Tylko my dwoje i nikt wreszcie nie wchodzi nam w paradę. Co Ty na to, Gracie? Damy sobie szansę? Prześlij mi swoją decyzję jeszcze dziś do Savoy a.  
Z miłością Twój D. O'C.*

- Może należę do tych, co wolą zostawiać pewne niedopowiedzenia - zastanawiała się Grace. - Może wolę zatrzymać swoje sekrety dla siebie.

- Jakże to nudno z twojej strony, słodka. Liczyłem, że trochę ożywisz mi ten w przeciwnym razie nudny dzień przycinania, zaczesywania i podkręcania. Zazwyczaj niezła z ciebie plotkara. - Uniósł oprawione w ramę ze skorupy żółwia lustro, by pokazać Grace absolutnie prostą linię włosów z tyłu jej głowy.

- Owszem, ale plotkuję zawsze o kimś innym. I o sprawach, które nie mają znaczenia. - Grace odwracała głowę raz w tę, raz w tamtą stronę, bacznie przyglądając się, co to znaczy mieć włosy krótsze niż krótkie.

- Zatem ta sprawa ma znaczenie, co? - Marcus zaczął ' chować swoje przybory do futerału. - Czy jakiś mężczyzna może być taki ważny?

- Nad tym właśnie muszę się zastanowić. - Nowy styl uczesania sprawiał, że jej szyja optycznie wydłużyła się, a oczy powiększyły. Z taką fryzurą sprawiała wrażenie młodszej. Jej twarz przypominała teraz niemal twarz dziecka. - Dlatego właśnie z nim wyjeżdżam.

## **ROZDZIAŁ 2**

Zmierzch. Nad lotniskiem wisi wielki, okrągły księżyc, wokół którego kłębią się zwały purpurowych chmur. Na ziemi ustawiono ogrodzenia, by powstrzymać napór tłumu, a policja dodatkowo utworzyła kordon. Odkąd Lindbergh minął Nową Fundlandię i przeleciał nad Atlantykiem, telegramem docierały coraz to nowe doniesienia. Widziano go w Goleen, w Irlandii, a później znowu w Cornwall. Gdy nad Cherbourgiem dostrzeżono nisko lecący samolot, ludzie zaczęli wsiadać w samochody i ruszyli na Route de Flandre, kierując się na północ od Paryża, do le Bourget. Zapanowała istna gorączka „Lindiego”.

Grace stała na samym przedzie. Wokół niej szalał dziki tłum, przesuwał ją raz w tę, raz w drugą stronę. Popychana ze wszystkich stron jednocześnie, wpadła w końcu na brzuch grubego żandarma. Wraz z pozostałymi zamarła w oczekiwaniu, spoglądając w niebo. Od czasu do czasu rzucała okiem na wieżę kontrolną, gdzie amerykański ambasador Myron T. Herrick spoufalął się z francuskimi oficjalami.

Coraz bardziej męczył ją pewien problem.

- Muszę się wysikać. Gdzie i jak mam to zrobić? Nagle rozległ się krzyk. Ktoś zauważył samolot. Wszyscy w euforii zaczęli go wyglądać. Chmury jednak

zgęstniały i wciąż nigdzie nie było śladu Lindbergha. Ale... moment... tak: ten dźwięk! Brzęczenie, coraz głośniejsze brzęczenie.

— *Cest lui! Cest Lindy!*

Oświetlony srebrnym blaskiem księżyca jednopłatowiec widoczny był zaledwie przez kilka sekund. Później znów zniknął za chmurami.

Ludzie czekali na to cały dzień. Oczekiwanie stało się już niemal nie do zniesienia. Przepychali się jeden przez drugiego, chcąc zobaczyć cokolwiek. Stojąca tuż obok Grace kobieta zaczęła omdlewać i żandarmi musieli przerwać kordon, by wynieść ją w bezpieczne miejsce.

Oto i on: samolot! Wyleciał spomiędzy chmur, kołując nad głowami zebranych. Tłum zaczął wiwatować.

Lotnisko rozświetlały rozstawione wzdłuż pasa startowego reflektory i flary. Mimo że pilot nie spał od czterdziestu ośmiu godzin, precyzyjnie sprowadzał samolot na pas.

Tłum skandował: „Lin-dii! Lin-dii!”. Policyjny kordon z trudem wytrzymał napór ludzkiej masy. W końcu został przerwany i Grace porwała istna powódź. Nie mogła już się wycofać. Przesadzili zdeptane przez szalejący tłum ogrodzenie i wdarli się na lotnisko. Czuła własny śmiech dudniący w klatce piersiowej i gardle, zgiełk jednak sprawiał, że nie mogła go usłyszeć. Nie była już dłużej biernie niesiona przez tłum, teraz sama parła naprzód, gnając co sił, by wyprzedzić pozostałych. Nagle zderzyła się z niemożliwą do ruszenia metalową przeszkodą i wyciągnęła ręce by się o nią oprzeć. Uniosła głowę i dostrzegła nad sobą drewniane skrzydło. Na metalowym poszyciu wypisane

były słowa: *The Spirit of St Louis*. Śledziła wzrokiem kolejne litery. Mężczyzna w kokpicie zdjął czapkę i gogle. Miał gęstą rudą czuprynę i przystojną twarz. Spojrzał na Grace, uśmiechnął się i powiedział:  
- Witaj, Grace. Wiedziałem, że przyjdiesz.

### ROZDZIAŁ 3

- Jak ty możesz wciąż spać? Irytujący odgłos rozsuwanych zasłon. Grace z trudem zdołała otworzyć oczy. Kilka razy mrugnęła, oślepiona blaskiem. Przeciągnęła się. O'Connell stał przy oknie, ubrany od stóp do głów.

- Popatrz. Przyniosłem ci herbatę. - Wskazał filiżankę i spodek stojące na nocnym stoliku. - Nawet zaparzyłem ją, tak jak lubisz, choć sama myśl o tej słabo zaparzonej, mlecznej lurze wywołuje u mnie dreszcze.

Naprawdę powinnaś zacząć pić herbatę z cytryną. Tak właśnie robią kulturalni ludzie, czyżbyś o tym nie słyszała? - Widziała ledwie jego zarys w oknie, ale wiedziała, że się teraz uśmiecha. Słyszała ten uśmiech w brzmieniu jego głosu.

- Śniłam. Rany, cóż to był za sen. Która godzina?

- Pora przejść się po plaży, zanurzyć w promieniach słońca. Nie wiem nawet, ile czasu upłynęło, odkąd ostatni raz byłem nad morzem.

Powinniśmy pływać, budować zamki z piasku. Powinnaś zakopać mnie po samą szyję i najlepiej tam zostawić.

- Oj nie kuś, nie kuś.



- Hej, a może zakradniemy się w nocy na plażę i popływamy nago? Nie robiłem tego już całe wieki! - Podszedł bliżej i przysiadł na krawędzi łóżka. Pochylił się i pocałował Grace w usta. Jego oddech był ciepły i miał łagodny, maślany zapach.

- Śniłam, że byłam w Paryżu, żeby zobaczyć lądowanie Lindbergha. -

Grace usiadła, opierając się o poduszki. - Jak myślisz, zdołał wylądować?

- Nie wiem. Może na dole mają gazetę. Pójdę i sprawdzę. Już miała mu powiedzieć, że na dole będzie oczywiście

gazeta, pod warunkiem że wcześniej ją kupił, ale on już zniknął, zostawiając ją samą nad herbatą i rozmyślaniami. Zastanawiała się nad swoim snem. Był bardzo wyraźny i niezmiernie intensywny. Śniąc, czuła prawdziwą euforię.

Grace i O'Connell zjechali do Dorset pociągiem, wyruszając poprzedniego wieczoru z Weymouth. Mężczyzna w czapce z daszkiem zabrał ich z dworca i wywiózł za miasto, krętymi drogami zmierzając do położonego na szczycie klifu domu, który wynajął dla nich angielski wydawca O'Connella.

- Wszystko wskazuje na to, że to będzie dość surowa stara buda - stwierdził O'Connell. - Ale jest tam ponoć przepiękny widok na zatokę.

Lecz i tak nie mieli jak docenić widoków. Gdy dojechali, było już ciemno. Wiał porywisty wiatr, a rozbijające się o brzeg fale brzmiały naprawdę groźnie. Horace, mężczyzna w czapce, oprowadził ich po domu, a w kuchni pokazał zapieczone w cieście mięso z gotowanymi ziemniakami, które jego żona przygotowała dla nich na kolację.

Zostawiła im też w spiżarni bochenek chleba razem z masłem, jajkami i dzbankiem mleka.

- Jutro w południe przyniosę więcej zapasów.

- Jest tu jakieś wino? - spytała Grace.

- W piwnicy znajdziecie pokazną kolekcję. - Horace zmarszczył nos. - On to pije całymi litrami. Ale moim zdaniem te butelki leżą tam już zbyt długo. Są całkiem zakurzone. Na waszym miejscu raczej bym ich nie tykał.

Wy tłumaczył im jeszcze, jak uruchomić bojler, a potem zostawił samych, by mogli wreszcie wybuchnąć tłumionym wcześniej śmiechem i ruszyć prosto do piwnicy w poszukiwaniu dobrej butelki. A nawet, jak się okazało, dwóch. I pół.

W salonie stał gramofon, było też kilka płyt jazzowych. Porozsuwali krzesła, wyskoczyli z butów i zaczęli tańczyć na dywanie, kręcąc piruety i tuląc się do siebie, przerywając tylko po to, by łyknąć więcej wina, a potem znów wrócić do tańca. W końcu, wygłodniali, postanowili spróbować ciasta. Oderwali skórę, by w środku znaleźć kilka kawałków szarego mięsa niezidentyfikowanego gatunku, wymieszanego z groszkiem i marchewką w coś w rodzaju mamałygi. Zjedli to na zimno, stojąc boso przy kredensie. Okazało się zaskakująco smaczne. Ziemniaki już mniej, więc toczyli je do siebie niczym śnieżne kule, chichocząc, a potem pobiegli prędko po schodach na górę.

Seks zadecydowanie należał do tych pijanych i zabawnych. Dużo turlania się i jeszcze więcej śmiechu, a potem dogrywka, która, jak na nich, była niezwykle cicha i cicha. Gdy leżeli razem, położyła głowę na jego piersi. Znów zaczęła dręczyć ją myśl, że chciałaby spróbować porozmawiać z nim o tym, co wie na temat śmierci Evy. Cramer założył, że będzie z nim dzielić podejrzenia względem O'Connella. Szczerze mówiąc, im dłużej się nad tym zastanawiała, tym więcej miała dla swojego kochanka sympatii. Został wciągnięty z wir czyjegoś szaleństwa, czyjejś tragedii. I od tamtego dnia ta tragedia podążała za nim, przyjmując formę pogrążonego w rozpacz Cramera. Nie mogła nawet dłużej

gniewać się na niego, że skłamał na temat zawartego z Cramerem kompromisu, mimo że ona wcześniej zwierzyła mu się z sekretu dotyczącego jej romansu z Georgeem. Wolałby pewnie powiedzieć cokolwiek, byle nie wspominać o tym, co miało miejsce w tamtym pokoju hotelowym. To prawdopodobne, że właśnie z powodu samobójstwa Evy O'Connell spędził kolejne pięć lat w osamotnieniu. Bardzo chciała teraz wziąć go za rękę i opowiedzieć to, co wiedziała, szepcząc do niego w ciemności. Wyznać mu, że nie powinno być między nimi żadnych granic, że powinien jej zaufać, nawet jeśli chodzi o te najbardziej drażliwe, najbardziej prywatne tematy. Ale wtedy musiałyby mu też wyznać, jak się o tym wszystkim dowiedziała - a było to podczas intymnej rozmowy z jego wrogiem, Cramerem.

W końcu zmęczenie ją pokonało. Wciąż leżeli wtuleni w siebie, odpływając powoli w sen. Ostatnią świadomą myślą była ta, że Grace postąpiła właściwie, przyjeżdżając tutaj z O'Connellem. To była słuszna decyzja.

Schodząc po schodach w szlafroku, Grace podśpiewywała sobie. Z radością wyczekiwała wspólnego spaceru po plaży, pragnęła, by był jednym z takich, podczas których przeszukuje się zatoczki, zbierając do kolekcji cenne kamienie i muszelki, o których istnieniu szybko się zapomni. Potem odkrywa się je nagle, wiele tygodni później, może w foyer dobrej restauracji, przy wyjmowaniu czegoś z kieszeni, wraz z piaskiem sypiącym się na dywan.

Potrzebujemy psa, pomyślała Grace, zmierzając w stronę jadalni.

Biegałby za nami, pływał i opryskiwał nas wodą. Moglibyśmy rzucać mu patyki, żeby aportował. Ciekawe czy można tutaj takiego psa gdzieś wypożyczyć.

Ale wtedy...

- Och! - i po chwili - Cóż...

Wraz z O'Connellem przy stoliku siedziały jeszcze cztery osoby. Jedli

gotowane jajka i posmarowane masłem tosty, popijając je herbatą.

- To Grace - przedstawił ją O'Connell. - Kochanie, znasz już chyba Sama?

- Chodziło mu o ich gospodarza, Samuela Wooltona, który pocierał kozią bródkę i patrzył zamglonym wzrokiem przed siebie.

- Niezupełnie. Oczywiście bardzo mi miło. - To było po prostu okropne.

A przecież mogła się ubrać przed zejściem na dół.

Obok Wooltona siedziała wątła kobieta. Miała niemal przeźroczystą bladą skórę i okrągłe oczy. Po przeciwnej stronie siedział krępy łyśy mężczyzna w okularach oraz kobieta z kręconymi blond włosami, wysoko osadzonymi brwiami i malutkim nosem.

- Och, z pewnością się poznaliśmy. Czy nie byłaś przypadkiem na naszej beznadziejnej imprezie w Cirósie, panno Rutherford? - Woolton nie mógł oderwać palców od swojej brody.

- Rzeczywiście, przypominam sobie. - Grace poczuła, że jej twarz oblewa się rumieńcem. Odwróciła się do O'Connella. „Beznadziejne” to było przecież określenie, jakiego użyła, pisząc felieton o tamtym przyjęciu. Co jeszcze wtedy napisała? - To właśnie tamtej nocy się poznaliśmy, czy nie, skarbie?

- Prawdziwy z ciebie kupidyn, Sammy - powiedziała blada kobieta. -

Jestem Verity. A to moja siostra Babs i jej mąż Cecil. Och i przepraszam za to wszystko, to moja wina. Gdy Sam wspomniał, że wynajmuje wam dom, powiedziałam, że musimy do was dołączyć. Po prostu musieliśmy cię poznać. Pat strasznie nudził, starając się nas powstrzymać. Mogę nazywać cię Grace? Czy wolisz Diamond?

- Verity! - Siostra uniosła brwi tak wysoko, że aż zniknęły pod linią włosów. - Przecież okropnie ją zawstydzasz. Wybacz nam, Grace. Jesteśmy dość nieokrzesane i nieludzko zazdrosne, że zdołałaś usidlić Pata. Straszny z niego drań, ale jest przystojny i kochamy go.

- Nie słuchaj ich. - O'Connell upajał się tym, że był w centrum uwagi. - Moje draństwo skończyło się już dawno, i to na dobre.

- Naprawdę, „Pat”? - Grace miała ochotę go zabić. Powoli i boleśnie. - Jesteś tego pewien?

- Najdroższa, jakże możesz powątpiewać o mojej szczerości? - O'Connell położył dłonie w okolicach serca.

- Możemy za Pata ręczyć, co nie, Sam? - Verity szturchnęła męża. - Jest całkiem odmieniony. Odkąd go znamy, nie był nikim aż tak oczarowany. Woolton przeczesał bródkę.

- To prawda. Przynajmniej nie od czasu... - W ostatniej chwili ugryzł się w język. - Witamy w naszym małym kręgu, Grace. Przyjacielska z nas paczka, jak zresztą sama się przekonasz. Może i brakuje nam blasku, ale nadrabiamy ciepłem i dowcipem.

Och. „Bez odrobiny blasku”. To była ta druga rzecz, jaką napisała w tamtym felietonie. Że światu książek brakuje blasku...

- Wiesz co, odnoszę silne wrażenie, że spotkałyśmy się już wcześniej - powiedziała Babs, marszcząc brwi. - I to całkiem niedawno.

Po śniadaniu Grace wróciła do sypialni, żeby się wreszcie ubrać. Patrząc przez okno, na dwa spaniele Wooltona ujadające w ogrodzie, powiedziała sobie: no, przynajmniej mamy psy.

O'Connell wszedł do pokoju, chichocząc.

- Gracie, żałuj, że nie widziałaś swojej miny!
- Jak wyglądałam? Na przerażoną? Wściekłą? A może zawstydzoną?
- Wszystko to naraz. - Mrugnął do niej, a ona zapragnęła walnąć go w twarz. Zam iast tego postarała się odzyskać spokój.
- To miał być nasz weekend sam na sam. Pamiętasz?
- Przepraszam, kochanie. - Wreszcie zaczął wyglądać na nieco bardziej skruszonego. - Ale z nimi też jest świetna zabawa. Obiecuję, że ich polubisz.

Usiadła na łóżku, wciągając pończochę.

- To jego dom. Nie mogę mu przecież zabronić tu przyjeżdżać. - Sięgnęła po drugą pończochę, a O'Connell patrzył na jej nogi.
- Cóż, może trzeba było pojechać gdzie indziej. Usiadł koło niej.
- Oczywiście masz rację. Następnym razem upewnię się, że będziemy tylko we dwoje. Ale tymczasem bardzo bym chciał, żebyś poznała lepiej moich starych dobrych przyjaciół. Wybaczysz mi, skarbie?
- Od jak dawna wiedziałeś, że tu przyjdą? Czemu nie powiedziałeś mi wcześniej, zamiast czekać, aż sama na nich wpadnę? Pozwoliłeś, bym zrobiła z siebie idiotkę i weszła tam w szlafroku.
- Och, skarbie, to był tylko taki mały żarcik. - Kolejne wkurzające puszczenie oka. - Ale wynagrodzę ci to.

Przypięła pończochę do podwiązki.

- A tak swoją drogą, to czemu oni wszyscy mówią na ciebie Pat?
- Co? To moje drugie imię. Patrick.
- Dziwne. Wydaje ci się, że świetnie kogoś znasz, a potem okazuje się, że nie znasz go prawie wcale.

- Wiesz o mnie wszystko, co ważne. - Objął ją ramieniem.

Odsunęła jego rękę, koncentrując się na podwiązkach.

- Mogłam spędzić ten weekend w Paryżu. Z Johnem Cramerem.

Wspominałam już o tym?

-Co?!

Jej słowa wywarły pożądaną efekt. Po upięciu pończoch wstała i wygładziła spódniczkę.

- To prawda. I mogę się założyć, że on nie pozwoliłby, by cała zgraja ludzi nachodziła nas bez zaproszenia.

- Grace...

- Nie przejmuj się. To ciebie pragnę. - A potem, wychodząc, dodała jeszcze. - Przynajmniej na razie.

Wczesnym popołudniem na plaży słońce grzało naprawdę mocno.

Zupełnie jakby był sierpień, a nie maj. Ludzie, rozsiani tu i tam, siedzieli na leżakach albo leżeli na piasku, jednak nie było ich zbyt wielu. Na skraju wody stało trzech mężczyzn w kostiumach kąpielowych. Ciskali kamienie w fale, licytując się, kto rzuci dalej. Psy biegały i rozchlapwały wodę, pędząc za kamieniami.

Kawałek dalej można było zobaczyć trzy kobiety -wszystkie w wychwalanych strojach Selfridges, wyglądały więc jak z reklamy - siedziały w cieniu wielkiego parasola, obserwując mężczyzn rzucających kamieniami. Babs i Grace paliły wetknięte w cygarniczki papierosy, Verity tymczasem podgryzała herbatniki.

- Już sobie przypomniałam, gdzie widziałam cię wcześniej - oświadczyła Babs. - To było kilka dni temu w klubie Salamander. Przypomniałabym sobie wcześniej, ale tamtej nocy byłam strasznie wstawiona. To cud, że w ogóle cokolwiek pamiętam. Rozmawialiśmy ze sobą w damskiej toalecie,

pamiętasz? A później zobaczyłam, jak rozmawiasz z Johnem Cramerem. To zaskakujące, że się z nim przyjaźnisz.

- Naprawdę?

- No raczej. Wiesz o nim i o Pacie, no nie?

- Cóż... tak.

- Cecil był z nimi na Yale. Zawsze szczyli się tym, że on jako jedyny wciąż jest przyjacielem ich obydwu.

Bacznie obserwowały mężczyzn bawiących się nad wodą. Włochaty Woolton wciąż gładził brodę, Cecil - rumiany i okrągłutki — miał na łysinie przewiazaną chustkę, by nie doznać oparzeń, z kolei O'Connell był wysoki, szeroki i mocno umięśniony. Ciskał w stronę morza patyk, a psy przynosiły go z powrotem. Zdawał sobie sprawę, że kobiety patrzą głównie na niego, więc odwrócił się, by im zaszalutować. Wszystkie trzy pomachały mu.

- To wina tamtej dziewczyny - odparła Verity. - Wszystko byłoby dobrze między nimi, gdyby nie ona.

Grace spoglądała to na jedną, to znów na drugą: Barbara ze swoją cygarniczką przyjęła elegancką pozę, zaś niespokojna i ruchliwa Verity przeżuwała herbatnika.

O'Connell brodził chwilę w wodzie, oddalając się od brzegu. Potem nagle skoczył, zanurkował i popłynął przed siebie. Obserwowały, jak młóci fale rękoma, to chowając głowę pod wodą, to znów ją wynurzając. Oddalał się od nich coraz bardziej.

Pozostała dwójka wracała na plażę w towarzystwie przemoczonych psów.

- Nie wiem, jak on tak może - powiedział Cecil. - W wodzie jest przecież diabelnie zimno.

- Och, znasz Pata - odparł Woolton. - Zrobiłby wszystko, byle zaimponować dziewczynom.

Verity westchnęła i wyciągnęła z puszkii kolejnego herbatnika.



Niedaleko od nich leżał mężczyzna na plecach z gazetą na twarzy. Na okładce widniało zdjęcie samolotu na tle zachmurzonego, wieczornego nieba.

Wieczór zaczął się od koktajli na werandzie, potem przyszedł czas na halibuta z fasolką szparagową, następnie pudding ryżowy, przygotowany przez państwo Horace, a w końcu na zabawę. Najpierw zagrali w grę słowną, w której na zmianę wyciągali książki z półek Wooltona. Każdy musiał napisać fałszywy początek tekstu, a następnie zgadywano, jak brzmiał ten prawdziwy. Protesty, że O'Connell ma wobec nich przewagę, okazały się bezpodstawne, gdy wyszło na jaw, że nie potrafi się pozbyć swojego charakterystycznego stylu.

Później była zabawa w identyfikowanie smaków, podczas której Woolton dawał im do spróbowania rozmaite alkohole, a oni starali się odgadnąć ich nazwy. Nie dość, że nikomu nie szło zbyt dobrze, to jeszcze wszyscy strasznie się spili.

Zabawa w szarady szybko przerodziła się w jeden wielki wybuch śmiechu, gdy Cecil odegrał całą fabułę *Wichrowych wzgórz*, z taką werwą i powagą, że nikt nie zdołał tego ani przebić, ani znieść. Szybko porzucili tę grę na rzecz zabawy w chowanego na zewnątrz, z morzem szumiącym w oddali.

Ogród był rozległy i dość dziki. Porośnięty trawą, powojem, dziką różą i wrzoścem opadał stromo, a kończył się drewnianym płotem, stojącym ledwie trzy metry od krawędzi klifu. Poszarpane drzewa, obwieszane wyblakłymi chińskimi lampionami z jakiegoś dawnego przyjęcia, nachylały się pod dziwnymi kątami. Bliżej domu ziemia była bardziej płaska, a trawa ładnie przystrzyżona. Na środku stała niesprawna kamienna fontanna. Tuż obok widać było wypaloną powierzchnię, gdzie nie tak dawno płonęło ognisko.

Piszcząc, biegali po ogrodzie tam i z powrotem, ukrywając się pośród drzew, w trawie i za krzewami. Zatrzymywali się tylko po to, by się napić, i może jeszcze by spojrzeć w pięknie rozgwieżdżone niebo.

Przykucnąwszy za starą komórką na narzędzia, Grace zderzyła się z O'Connelllem, który pochwycił ją i mocno pocałował.

- Cały dzień czekałem, by pobyć z tobą sam na sam -szepnął.

- Serio? - Grace zrobiła nadąsaną minę.

- Dobrze wiesz, że tak. Oni wszyscy... to przecież takie dzieciaki.

Doprowadzają mnie do szaleństwa.

- Naprawdę? Myślałam, że to twoich starzy dobrzy znajomi...

- Miałaś rację, Grace. Powinniśmy być tu tylko we dwoje. Tylko tego teraz pragnę.

- Pragniesz?

Pocałował ją znowu, tym razem bardziej delikatnie. Gdy się rozdzielili, uśmiechnęła się.

- Nie musisz się aż tak przejmować. Całkiem nieźle się bawię. Choć z początku Woolton i reszta towarzystwa wydawali mi się nieco podstępni. Ale teraz, gdy wszystko już zrozumiałam, nawet ich lubię.

- Wszystko rozumiałaś?

- Oni cię kochają. Nie tylko kobiety. Sam i Cecil również. Są w tobie zadowoleni.

O'Connell pokręcił głową i wybuchnął śmiechem.

- Są podejrzliwi względem mnie, bo jestem z zewnątrz -ciągnęła dalej. - Jestem dla nich intruzem. Nie mają ochoty dopuszczać mnie do swojego klubu, ale wiedzą, że jeśli nie chcą stracić ciebie, będą musieli to zrobić. To całkowicie rozsądne i zrozumiałe, gdy się nad tym zastanowić.

Pocałował ją w szyję.

- To prawda, że Cramer prosił, byś z nim wyjechała? To nie był tylko żart?

Odczekała chwilę, zanim zdecydowała się odpowiedzieć. Rano powiedziała to impulsywnie, w gniewie. Zaczęła tego żałować niemal w tej samej chwili, gdy tylko powiedziała O'Connellowi o Cramerze. Ale mogło być i tak, że O'Connell nie był do końca pewny, czy nie zmyślała. Nie zaszkodziłoby mu, gdyby przekonał się na własnej skórze, jak to jest tracić grunt pod nogami.

- A jak myślisz? - spytała.

Przez chwilę stali w ciszy, oparci o ścianę bujnie porośniętej bluszczem komórki na narzędzia. Wsłuchani w swoje oddechy, w bicie swoich serc. Wyobraziła sobie, jak zostają tu już na wieki, niczym posągi, a tymczasem bluszcz zarósłby ich już zupełnie.

Ale to Grace w końcu przerwała ten sen.

- Zrobiło się dość cicho, nie sądzisz?

- Też mi się tak wydaje. - Poglądził jej włosy. - Może przejdziemy się gdzieś razem? Możemy wybrać się na plażę, tak jak rano planowaliśmy.

- Dobrze, chodźmy. Tylko przyniosę szal. Wiedziała, gdzie go zostawiła - orientalny, jedwabny

szal, różowożłoty z długimi frędzlami - przewiesiła go przez krzesło po kolacji. Gdy jednak wróciła, już go tam nie było. Podobnie jak i w sypialni. Poszła do salonu, by jeszcze raz go tu poszukać, i zastała tam Babs, nalewającą sobie dzinu do szklanki z wodą sodową. I sięgającą już po kolejną szklankę.

- Napijesz się ze mną Gin Fizzu, Grace?

- Wybierałam się na spacer z O'Connellem.

- Zabawne, że tak go nazywasz. - Babs wycisnęła cytrynę do szklanek i dosypała trochę cukru. - Myślałem, że wszyscy mówią na niego Pat. No, proszę cię. On może poczekać parę

minut. Zresztą już i tak ci nalałam. - Do obydwu drinków dołała jeszcze trochę wody z syfonu.

- Cóż... - Ale Grace już brała szklankę do ręki. Czyż nie postanowiła wcześniej, żeby potrzymać O'Connella w niepewności?

- Zdrówko! - Stuknęły się szklankami. Potem Babs usiadła na sofie i poklepała puste miejsce obok siebie. - Uwielbiam twoje felietony, Grace. Och, czy coś się stało? Czy to było *faux pas*<sup>7</sup>

Grace skrzywiła się.

- Chodzi o to, że nie powinnaś wiedzieć, że to ja je piszę. Nie rozpowiadaj o tym.

- Och, ten okropny Pat! - Babs potrząsnęła głową. - Chciał zrobić na nas wrażenie. Ale nie przejmuj się, skarbie. Twój sekret jest u mnie bezpieczny. I u Cecila.

- I u Verity, i Sama... - Pomyślała o wszystkich tych ludziach, którzy dowiedzieli się, kim jest Diamond Sharp. Sheridan, Cramer, Margaret, Henry Pearson...

Obie się napiły. Drinki były wyjątkowo mocne.

- Znasz Pata od dawna, prawda? - spytała Grace.

- Och, pewnie. Od wielu, wielu lat. Praktycznie tyle samo, ile znam Cecila. Między nami jest... trwałe porozumienie.

Wyglądało na to, że Barbara i Pat byli kiedyś kochankami albo przynajmniej rozważali taką możliwość. Kiedy to mogło mieć miejsce? Wyobraziła sobie O'Connella wciąż niecierpliwie czekającego na nią w ogrodzie. Ogarniętego niepewnością...

- A Johna Cramera?

- Tak jak mówiłam wcześniej. Obydwaj byli na Yale, razem z Cecilem. Poznałam wszystkich, gdy byli jeszcze gówniarzami. - Zmarszczyła czoło. - Chyba źle to ujęłam.

- Może bardziej pasowałoby określenie smarkacze - zauważyła Grace.

Subtelny uśmiech.

- Skąd tak naprawdę znasz Johna? Grace pociągnęła duży łyk drinka.

- To przyjaciel mojej siostry.

- Niezły numer z tymi dwoma. Obaj naprawdę wyjątkowi. Ona nie mogła się zdecydować, którego woli. Wiesz, o kim mówię. Nie lubię wymawiać jej imienia. I później, gdy już było postanowione i została żoną Johna, wciąż nie dawała Patowi spokoju.

Obydwie spojrzały na odbicie Barbary we francuskich oknach. Była jedną z tych kobiet, które nie potrafią tak po prostu „siedzieć”.

Nieustannie muszą przyjmować jakieś pozy.

- Dobrzeją znałaś? - spytała Grace.

- Niezbyt. Zupełnie nie była w moim typie. Kompletne kuku na muniu.

Nie sądzisz, że mężczyźni są głupi, że zakochują się w kimś takim?

Oczywiście była piękna. I bardzo rozrywkowa. Chłopcom szczególnie przypadła do gustu ta jej nieprzewidywalność. To, że była odrobinę

niebezpieczna. - Spojrzała na Grace znad szklanki. - Zupełny brak zdrowego rozsądku czy ostrożności. Nie troszczyła się o to, co stanie się z nią czy z innymi. Zawsze posuwała się za daleko. Właśnie dlatego większość czasu spędziła pod kluczem. Przez to i przez te jej złe humory, te różne idiotyczne wyobrażenia. - Babs dopiła drinka. - Jeszcze po jednym?

Grace przytaknęła i podała tamtej szklankę. Babs nalała im džinu.

- Naprawdę, Grace, gdybyś знаła choć połowę tej historii. Z mojego punktu widzenia wygląda to tak, że ona planowała wykorzystać swoje samobójstwo, by wywołać jak największe zamieszanie. Dla nich obu. Gdy tylko pomyśle, że siedziała w klinice i nieustannie knuła... aż zaczyna się we mnie gotować.

Grace na końcu języka miała zdanie, że Eva musiała też myśleć o czymś jeszcze, ale jaki był sens, by to mówić? W końcu jej nie poznała. Czemu miałyby występować w jej obronie? Lepiej wypytać Barbarę o szczegóły. Najwyraźniej była w nastroju na plotkowanie...

- Skoro tyle czasu byłaś blisko Pata i Johna, to musiałaś widzieć całe mnóstwo różnych kobiet...

Chichot.

- No, niewątpliwie. Było ich tyle, że chyba wypełniłyby stadion Wembley. - Spojrzała znacząco na Grace. - Pat traktował kobiety czysto rekreacyjnie. Od czasu tamtej nie był z nikim na poważnie.

Przynajmniej dopóki nie poznał ciebie...

Grace zaczerwieniła się i utkwiała wzrok w trzymanej szklance. Gdzieś w oddali zaczęła rozbrzmiewać dziwna, pozbawiona słów melodia.

- ... Jeśli zaś idzie o kobiety Johna, to dla niego był to bardziej swego rodzaju eskapizm. Podobnie jak picie.

- Kobieciarz, co?

Uśmiech. Jeden z tych wywołanych jakimś drogim wspomnieniem.

- Kobieciarz to takie niemiłe słowo. Czemu zresztą się tym interesujesz? Czyżby wpadł twojej siostrze w oko?

.- Całkiem możliwe. Powinnam ją przed nim ostrzec?

- Och, nie sądzę, by to było konieczne. Nasz John może i żył na krawędzi, ale teraz już mu przeszło, możesz mi wierzyć. Jest już zupełnie trzeźwy i tak ułożony, że aż nudny.

- Rozumiem. - Grace poczuła, że tamta dokładnie taksuje ją wzrokiem.

Zbyt dokładnie.

Babs położyła rękę na jej ramieniu i odwróciła się, by raz jeszcze spojrzeć na swoje odbicie w szybie. Poza: elegancka kobieta daje rady młodej, niedoświadczonej przyjaciółce.

- Przynajmniej teraz jest tak, że ich jest dwóch i wy też jesteście dwie.

- Proszę?

- Nie ma miejsca na żadne komplikacje, prawda? Melodia dzwoniąca Grace w uszach stawała się coraz głośniejsza. Jakby ktoś wędrował po ogrodzie, grając na dudach. Przez moment wydawało jej się, że to O'Connell: łązi dumnie po ogrodzie, skąpany blaskiem księżyca i gra na duchach, jak przerośnięty bożek Pan... Twarz Barbary wyrażała coś pomiędzy niepokojem a drwiącym rozbawieniem.

- Co Pat mówił ci o mnie i o mojej siostrze?

Ale Babs zerwała się nagle z miejsca i podeszła do okna.

- O Boże! - Wyjrzała do ogrodu. - Słyszysz to? Sam znów zaczyna. I to po tych wszystkich obietnicach. Lepiej szybko tam idźmy.

W następnej sekundzie złapała Grace i zaciągnęła do ogrodu, gdzie ich oczom ukazał się dziwaczny widok.

Samuel Woolton, kompletnie nagi, leżał na konarze kasztanowca i grał na dudach. Jego szpiczasta bródka, ciemne włosy na jego ciele, blada skóra odbijająca światło księżyca i wzwiedziony członek (od którego kobiety natychmiast odwróciły wzrok) sprawiły, że wyglądał jak jakiś mityczny bóg albo inna bestia. Połączenie boga płodności z faunem.

A w pustej fontannie tańczyła Verity Woolton. Miała na sobie tylko bieliznę i była owinięta orientalnym szalem Grace. Jej piruety byłyby godne baletu, gdyby tak się nie chwiała i tyle nie podskakiwała. Nawet w mroku ogrodu można było dostrzec jej wytrzeszczone oczy.

- Nawet by mi to nie przeszkadzało, gdybyś tylko zagrał jakąś przyzwoitą melodię - powiedziała zgryźliwie Barbara. - Albo gdyby ona choć trochę umiała tańczyć. Może gdy sama spróbuję specyfiku, w którym zasmakowaliście, ta melodia nagle zacznie brzmieć dobrze, a jej taniec będzie pełen gracji - podniosła głos aż do ochrypłego krzyku. - Sam, natychmiast złaż na dół! Verity, błagam... - Potem jakby nagle coś sobie

uświadomiła i zaczęła rozglądać się na wszystkie strony. - Cecil? Gdzie do diabła... Cecil!

Przerwało jej donośne „Tally-ho!” i w oddali mignęły małe nóżki oraz różowe ciało. Cecil, świecąc łysiną, biegał tam i z powrotem pomiędzy drzewami, również nagi.

- O niebios! - Babs się zaczerwieniła. - Cecil, na litość boską, przestań wreszcie i załóż coś na siebie. My już to wszystko znamy i wcale nie chcemy więcej.

Krzyk.

- Odwal się, stara wiedźmo!

Na kilka sekund zamarł pomiędzy drzewami, stojąc nieruchomo w blasku księżyca: przycupnięty Bachus z różową, bezwłosą klatką piersiową i wiszącym brzuszyskiem. Po czym puścił się biegiem ze zbocza, przesadził ogrodzenie i zniknął im z widoku.

- O Boże - powiedziała Grace. - Klif...

Dźwięk dud momentalnie ucichł. Babs uniosła skraj sukienki i pobiegła za Cecilem, niemal zderzając się ze swoją siostrą. Grace podążyła jej śladem, a zwiotczały Sam zaczął złazić z drzewa. Verity tymczasem owinęła się szczelniej szalem Grace, patrząc z niepokojem, co się dzieje. Przedostawszy się przez ogrodzenie, Grace zauważyła, że Babs stoi sama, spoglądając poza krawędź klifu.

- O nie... czy on...?

Babs nie odpowiedziała. Położyła ręce na biodrach i krzyknęła.

- Ty idioto! Co ty w ogóle wyprawiasz?

Grace dołączyła do niej i spojrzała w dół. Nie wyglądało to aż tak dramatycznie, jak można się było obawiać. Morze



było czarne i spienione, rozbijało się o ostre skały, ale sam klif miał nie więcej niż trzy metry wysokości, pod nim zaś znajdował się porośnięty trawą uskok. Cecil siedział właśnie tam, masując swoją kostkę.

- Przepraszam, skarbenku. - Podniósł wzrok. Miał żałosny wyraz twarzy.

- Piękna noc, nieprawdaż? Choć zrobiło się nieco chłodno...

Babs odwróciła się do Grace.

- Ale wstyd.

- Nie przesadzaj. Wszystko z nim w porządku. I to jest najważniejsze.

- Nie będzie w porządku, jak tylko wezmę go w obroty. Cecil, masz tu natychmiast przyjść.

Twarz na dole przeszły grymas bólu.

- Nie wiem, czy dam radę, najśłodsza. Chyba pękła mi kostka.

- Ty skończony kretynie! - Babs znów popatrzyła na Grace, w jej oczach widać było autentyczne zmartwienie. - I co teraz zrobimy?

Woolton, odziany w kraciasty szlafrok, zaczął przechodzić przez płot.

Niósł też drugi, identyczny strój, który rzucił Cecilowi.

- Trzymaj, kolego. Nakryj się. - Potem odwrócił się do pań i oświadczył. - Zejdę tam i wniosę go na górę!

- W żadnym wypadku. - Obok pojawiła się Verity. Miała na głowie szal Grace i mocno przyciskała go do siebie, jakby była wdową w złoto-różowej żałobie. - Bo potem będzie trzeba ratować was obydwu.

- Może powinniśmy zadzwonić po straż? - zasugerowała Grace. - Albo po policję?

- Policja? Tutaj? - Woolton niemal zapiszczał. - Po moim trupie!

- Na litość boską! - Wyglądało na to, że Verity momentalnie wytrzeźwiała. - Po prostu idź po drabinę, Sam. Idź i przynieś drabinę.

Woolton poszedł więc. Minęło kilka minut i Grace już zaczęła się zastanawiać, co się mogło stać z O'Connelllem, ale wtedy ich uszu dobiegło wesołe pogwizdywanie. To był właśnie O'Connell, z drabiną na ramieniu.

- Ktoś chce mieć umyte okna? - krzyczał. Sam maszerował tuż obok niego.

Razem, bełkocząc coś do siebie, spuścili drabinę z klifu. Sam i Grace przykucnęli i złapali jej szczyt, żeby się nie chwiała, a tymczasem O'Connell zszedł na dół, do Cecila.

- Nie jest pęknięta - oświadczył O'Connell, dotykając kostki. - W najgorszym razie zwichnięta.

- Ale boli jak cholera. - Cecil wyglądał na zdenerwowanego, że ktoś umniejsza rozmiar jego obrażeń. - Nie wytrzyma chyba mojego ciężaru. Z wyraźnym trudem O'Connell przewiesił sobie Cecila przez ramię i bardzo powoli zaczął się wspinać po drabinie, gdy tymczasem Grace i Woolton starali się ją przytrzymać. W końcu jęczący Cecil został przeniesiony w bezpieczne miejsce. O'Connell wyprostował się i zaczął otrzepywać ubranie.

- To zupełnie jak wnoszenie ciężkiej panny młodej przez bardzo wysoki próg.

- Och, Pat, nasz bohaterze. - Verity klasnęła w dłoń. O'Connell popatrzył dziwnie na Grace.

- Ile pani waży, panno Rutherford? Może spróbujemy, co? Upewnijmy się, że podołam wyzwaniu, gdy naprawdę będę musiał cię przenieść przez próg. - Nie zważając na jej protesty, złapał ją za nogi i przerzucił sobie przez ramię. - Och, po tamtym grubasie, ona waży nie więcej niż piórko!

Krew uderzyła Grace do głowy i zaczęła okładać O'Connella pięściami po plecach.

- Natychmiast postaw mnie na...

- Ziemi? Ależ oczywiście.

Parę sekund później jej stopy dotknęły stałego gruntu, a O'Connell pomagał już Wooltonowi przenieść Cecila przez płot i doprowadzić go do domu. Verity szła tuż obok.

- Wszystko w porządku? - Grace zwróciła się do otrzępującej swoje ubranie Babs.

- Tak. Cieszę się, że z tego wszystkiego wynikło jednak coś sensownego.

- Co masz na myśli? Babs zmarszczyła brwi.

- Nie sądziłam, że jesteś aż tak niekumata. Grace, Pat właśnie ci się oświadczył.

## ROZDZIAŁ 4

- Co za noc! - O'Connell siedział na skraju łóżka i zdejmował buty. - Chyba lepiej powiem agentowi, żeby znalazł dla mnie nowego angielskiego wydawcę. Nie jestem pewien, czy będę mógł jeszcze spojrzeć Samowi Wooltonowi w oczy!

- Faktycznie, to było kompletne szaleństwo. - Grace usiadła przy toalecie i zaczęła obmywać twarz, patrząc na O'Connella w lustrze.

- No i nici z naszego wspólnego spaceru. - Teraz zaczął zdejmować skarpetki.

- Wpadłam na Babs. Wypiłyśmy razem kilka drinków.

- Och, czyżby?

- Lubi sobie poplotkować, nie sądzisz? Chichot O'Connella.

- Stara dobra Babs. Znamy się już kopę lat.

- Wiem, mówiła mi. - Przetarła powiekę wacikiem. - Widać, że zna cię na wylot. Zna cię nawet lepiej, niż przypuszczałam.

- Naprawdę? - Zaczął rozpinać koszulę.

- Uważa, że poważnie traktujesz nasz związek.

- Przecież to prawda. - Czy w jego głosie pobrzmiwało napięcie?
- Myśli nawet, że wtedy, w ogrodzie, oświadczyłeś mi się.
- Serio? - Zachichotał. Położył spinki do mankietów na stoliku przy łóżku. - Rany, ależ ta kobieta ma wyobraźnię!
- A więc tak nie było? To znaczy, nie oświadczyłeś się? -Odwróciła się do niego na taborecie. - Nie myślałam wcale, że to zrobiłeś, ale jeśli chodzi o ciebie, nie zawsze wszystko pojmuję. Pozostali chyba znają cię lepiej niż ja, Pat.

Podszedł do niej. Kucnął przed nią i chwycił za dłonie. -Skarbie, tam w ogrodzie tylko się wygłupiałem. Babs to niepoprawna mąciicielka, naprawdę. Wolę myśleć, że kiedy będę chciał ci się oświadczyć, wykażę trochę więcej finezji i klasy. - Poglaskał ją po włosach, jakby była dzieckiem. Później wyprostował się i zdjął koszulę, rzucając ją na podłogę.

- Więc to możliwe, że pewnego dnia naprawdę mi się oświadczysz? - Starła się, by ton jej głosu brzmiał równie lekko i żartobliwie jak jego.
- To zależy. A czy ty zamierzasz pójść w tany z Johnem Cramerem?
- Nie zamierzam iść w tany z Cramerem. Uśmiechnął się szeroko.
- W takim razie zobaczymy, co da się zrobić, kochanie. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie będę ciebie wart? Obawiam się, że mam nieciekawą przeszłość. Miałem więcej romansów, niż mogę spamiętać. Skakałem nago do miejskich fontann, bywałem na imprezach, gdzie każdy idzie z kimś do łóżka i potem kradnie mu biżuterię, byłem z kobietami, które niszczyły pokoje hotelowe, brałem udział w bitwach na jedzenie, które dewastowały całe restauracje, raz przegrałem w pokera konia wyścigowego, wjechałem bentleyem do foyer hotelu w Alabamie... Mam mówić dalej?
- Nie ma takiej potrzeby.

Rozluźnił ramiona.

- Czy uważasz, że popatrzyłabyś przychylnym okiem na oświadczyzny takiego niecnego i beczelnego typka jak ja?

- Twoja przeszłość zupełnie mi nie przeszkadza, Diabło. Tak samo jak twoja nieciekawa reputacja. Pod moją brawurą kryje się zwyczajna dziewczyna, która pragnie zwyczajnych rzeczy. Chcę kochać kogoś, kto i mnie będzie kochał. Chcę poślubić mężczyznę, któremu będę mogła powierzyć swoje życie.

- Grace, aleś ty urocza.

- Niespecjalnie. - Odwróciła się do lustra, by spojrzeć najpierw na jego odbicie, a potem na własne. I przez chwilę obydwaj wydawały jej się zupełnie obce.

Długa i niespokojna noc. Lekko rozsunięte zasłony wpuszczały do sypialni nieco księżycowej poświaty - padała na leżącą na poduszce twarz O'Connella, akcentując jego rysy, dołeczki w policzkach, i sprawiając, że wyglądał zupełnie inaczej niż za dnia. Jego twarz miała teraz bardziej srogi wyraz, skóra zaś była szara niczym wosk.

To zapowiedź tego, jak będzie wyglądał, gdy się zestarzeje, pomyślała Grace. Tak właśnie będzie wyglądał, leżąc w trumnie.

Nie mogąc zasnąć, leżała wsparta na łokciu, obserwując O'Connella.

Patrzyła na niego już od dłuższego czasu. Jego twarz ulegnie postępującej dekompozycji i w końcu zacznie przypominać czaszkę, z której stopniowo odpadnie mięso. Spróbowała znów zamknąć oczy i osunąć się w błogą nieprzytomność, ale nie potrafiła uciec od tego obrazu.

Czemu poszedł i wygadał wszystko Barbarze. Czemu? Czy to ją wybrał na swoją powierniczkę? Wyjawiał jej wszystkie swoje wątpliwości dotyczące nowego związku? Czy po

prostu obrócił to wszystko w żart? Czy w grę wchodziła tylko Barbara, czy wygadał też pozostałym? A może wspomniał o tym niezobowiązująco, popijając z kumplami brandy i paląc cygara? Boże, już sobie wyobraża, jak to musiało wyglądać: „Ta moja nowa dziewczyna - cóż, może i wygląda na zwykłą miłą Angielkę, ale pod tym nienagannie przystrzyżonym pazim i lśniącym uśmiechem kryje się istna puszcza Pandory. Zupełnie mi to jednak nie przeszkadza - świetnie się bawię, próbując ją otworzyć. Takie nieprzyzwoitości zawsze budzą moje zaciekawienie”.

Pomału zaczął ją morzyć sen, ale chyba tylko po to, by jej udowodnić, jaki jest nieuchwytny tej nocy. Grace już staczała się w nieświadomość, gdy znów niespodziewanie wracała do sypialni, z jej grubymi brązowymi zasłonami, wyblakłym dywanem i splekanym sufitem (pęknięcia zdawały się rozszerzać coraz bardziej), z ciężkim równym oddechem obcego człowieka, który spał u jej boku (bo wciąż był dla niej obcy, teraz to pojęła), z tykaniem jej budzika zmieniającym się w wyobrazone, lecz bezwzględne szyderstwo. Odnosiła wrażenie, że z każdą godziną cisza pomiędzy tyknięciami staje się coraz dłuższa, niemal nie do wytrzymania, gdy nagle następowało kolejne tyknięcie.

Jak to możliwe, że spał tak głęboko, gdy ona tymczasem nieustannie wierciła się obok niego? Jak mógł być tak kompletnie nieświadomy jej furii? Jego sen stanowił zniewagę. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej się w niej gotowało.

Po co w ogóle przywoził ją do tej małpiarni i kłamał na ten temat? To miał być weekend dla dwojga, żeby mogli się nawzajem lepiej poznać. Co za ironia, że przy okazji faktycznie zaczęła go lepiej poznawać.

W końcu - budzik pokazywał już piątą rano - wstała z łóżka, włożyła na siebie to co wczoraj i wrzuciła swoje rzeczy do walizeczki, którą tu ze sobą przywiozła. Mimo że pakowała się pośpiesznie i nie do końca cicho, on wciąż spał jak kamień. Jego sen był wręcz nieprzyzwoity.

Stojąc w progu, jeszcze raz na niego zerknęła. W promieniach wstającego słońca jego twarz znów się wygładziła. Przez ułamek sekundy miała ochotę upuścić walizkę i wrócić do łóżka. Mogłaby poczekać, aż się obudzi, mogłaby dać mu szansę, by się wytłumaczył... Mocniej ścisnęła uchwyt walizki. Poruszył się przez sen i z jego gardła wydobył się odgłos przypominający nieco śmiech. Ten jego śmiech. Odwróciła się i wyszła z sypialni.

Spacerując alejką, Grace wsłuchiwała się w uspokajający śpiew ptaków, wpatrując się w ozłoczone porannym słońcem morze. Myślała, że będzie potrzebowała aż godziny by dotrzeć do wiejskiego domku państwa Horace, ale okazało się, że wystarczył ledwie dwudziestominutowy spacer. To samochody sprawiały, że odległości wydawały się nam większe, niż w rzeczywistości były.

Minęła chwila, zanim poruszyły się zasłony na piętrze. Zaraz potem pojawił się pan Horace. Był w beżowym szlafroku.

- Do licha. Co się stało, panienko? Ktoś się pochorował czy co?

- Przepraszam, że niepokoję o tak wczesnej porze. Nic się nie stało. Ale będę wdzięczna, jeśli odwiezie mnie pan na dworzec. - Pokazując mu kilka monet, Grace nie potrafiła spojrzeć mu w twarz.

- Dobrze zatem. Wrócę za momencik. Może chciałaby panienka na chwilę wejść? Cóż, jak sobie panienka życzy. Proszę poczekać tutaj, za sekundę jestem z powrotem.

Gdzieś w pobliżu zaczął pisać kogut. Grace przysiadła na progu, stawiając obok walizkę, i czekała, by za chwilę pojechać na dworzec. Gdy już tam dotrze, złapie pierwszy poranny pociąg do Londynu. Siedząc samotnie w przedziale,



natknie się na wczorajszy numer „Telegraphu”, a na okładce ujrzy fotografię zniżającego się nad oświetlonym lotniskiem jednopłatowca. Spędzi podróż, czytając historię lotu Charlesa A. Lindbergha. Gdy już przeczyta artykuł, zacznie rozmyślać o mężczyźnie, który go napisał. Wciąż w myślach mając jego słowa. Myśląc też o tym, jak ją całował. On. John Cramer.

## **ROZDZIAŁ 5**

- Nancy? - Obcasy Grace stukały o wykafelkowaną podłogę hallu, a dźwięk niósł się echem po pustym domu. Wydawał się większy niż wcześniej.

- Nancy? - zawołała raz jeszcze, choć była już pewna, że siostry nie ma w domu, i sama nie wiedziała, po cóż kolejny raz wykrzykuje jej imię. Jakby chciała ją wezwać, niczym dzina.

W powietrzu unosił się delikatny zapach pieczenia. W kuchni na drucianej podstawie leżały dwie połówki ciasta biszkoptowego, wciąż jeszcze ciepłe, czekające na to, by napełnić je nadzieniem i wsunąć w blachę. To mogło znaczyć, że Nancy mimo wszystko jest gdzieś w okolicy. Tak bardzo chciała usiąść z siostrą i dowiedzieć się wreszcie, ostatecznie i definitywnie, czy ta czuje coś do Johna Cramera. To była najważniejsza kwestia. Musiała przekonać się, czy siostra jest w tamtym zakochana, czy nie.

Zrobiła krok na przód i dotknęła ciasta. Było ciepłe.

Z salonu dobiegał jakiś hałas. Skrzypienie desek podłogi.

- Nancy? - Grace ruszyła w tamtą stronę, czując lekki niepokój.

- To ja, skarbie. - To była mama. Siedziała na kanapie i pakowała coś do pudełka. Wydawała się skołowana. - Fajnie się bawiłaś?

- Co tam masz?

- Nic ciekawego. Swoją drogą, myślałam, że wracasz jutro. Wszystko w porządku?

- Tak. Stwierdziłam, że pora już wracać.

- Zaparzyć nam herbaty? Upiekłam ciasto. - Nie czekając na odpowiedź, Catherine wstała, włożyła pudełko do kredensu i pomaszerowała do kuchni.

Siedząc na kanapie, czekając i nasłuchując odgłosów dobiegających z kuchni, Grace zastanawiała się, o co może chodzić. Kusilo ją, by otworzyć kredens i zobaczyć, co znajduje się w pudełku, ale wiedziała, że to byłoby wbrew zasadom.

- Co robiłaś? - spytała, gdy Catherine wreszcie wróciła do salonu.

- Niewiele. - Postawiła tacę na stoliku i usiadła na krawędzi krzesła.

Kawałek ciasta, który dostała Grace, był zdecydowanie zbyt duży. - Ale cieszę się, że już wróciłaś. Będziemy mogły porozmawiać. - Zajęła się sitkiem do herbaty i szczypczykami.

- O czym? - Grace przelała rozlaną herbatę ze spodeczka do filiżanki. Tak naprawdę wiedziała, o co może chodzić. Nancy kiedyś ją przed tym ostrzegła.

- Cóż, chodzi o twoje felietony, kochanie. To przecież taka wspaniała szansa. Każdego tygodnia czyta je tyle osób. Cóż ja bym zrobiła, żeby być na twoim miejscu, i to jeszcze będąc w twoim wieku...

- Ale?

- Tydzień po tygodniu poświęcać tyle słów wyłącznie najmodniejszym fryzynom i tańcom... Czemu w takim a takim miejscu nie warto zamawiać ryby, jak powstrzymać futro ze srebrnych lisów przed wylinieniem...

Szczerze

mówiąc, myślałam że będziesz miała do powiedzenia coś bardziej istotnego.

Grace gapiała się na swój kawałek ciasta. Ciągle to samo, odkąd rzuciła studia i potem, gdy poszła do agencji Pearson & Pearson, w czasach gdy Catherine praktycznie żyła dla WPS, maszerując przez Hampstead w tym idiotycznym mundurze, krzycząc na pijaków i wyganiając pary z Heath. Cokolwiek zrobiła Grace, zawsze było za mało.

- To felietony na temat rozrywkowego życia na West Endzie. A ty chciałabyś, żebym o czym w nich pisała? - Czemu w ogóle zadała to pytanie, skoro odpowiedź wydawała się oczywista.

Catherine odstawiła filiżankę i spodek na tacę.

- W całym kraju są niezliczone rzesze kobiet, których głos nie jest słyszany, a powinien być. Twoja siostra wciąż jest jedną z nich.

- Mamusiu, to nie moja wina, że nie udało ci się wygrać tej twojej bitwy. Muszę żyć własnym życiem. Czyżbym musiała żyć także twoim?

- Bitwa jeszcze nie została przegrana! Odniosłyśmy częściowe zwycięstwo i wciąż walczymy.

- Przepraszam - odparła Grace. - Nie miałam zamiaru umniejszać twoich osiągnięć. Wiem, że ciągle o tym żartujemy, ja i Nancy, ale uważamy, że jesteś absolutnie cudowna. -Spojrzała na matkę. Zmarszczone brwi. W tym wszystkim coś wyraźnie nie grało. Oczekiwała takiej pogadanki, ale teraz miała wrażenie, jakby Catherine sama nie przywiązywała wagi do swoich słów. - Mamusiu, co ty knujesz? Wiem, że martwisz się moimi felietonami, ale chodzi o coś jeszcze.

Catherine potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Mamusiu, co jest w tym pudełku?

- Tylko parę zdjęć.

- Mogę rzucić okiem? - Zanim Catherine zdołała odpowiedzieć, Grace była już po drugiej stronie pokoju, wyjmując pudełko z kredensu i otwierając je.

- Widzisz - powiedziała Catherine. - To tylko zdjęcia.

W pudełku znajdowały się zaledwie trzy fotografie: grupowe, robione w studio, każde oprawione w ramkę. Na jednym z nich były Grace i Nancy w wieku odpowiednio sześciu i pięciu lat, w identycznych sukienkach bez rękawów, obejmujące malutkiego chłopca, który stał między nimi: chudego, z długimi blond włosami, absurdalnym koronkowym kołnierzykiem i w pumpach.

- Sheridan - powiedziała Grace.

Na drugim zdjęciu byli rodzice. Kobiety siedziały na krzesłach: młoda, okrągła twarz Catherine miała inteligentny wygląd, natomiast Amelia, z jej gęstymi czarnymi włosami i kocimi oczami, wyglądała bardziej egzotycznie. Za nimi stał tatuś z gęstą, niemożliwą do ogarnięcia czupryną, przedwcześnie posiwiały, w okrągłych okularach - szalony profesor w każdym calu. Obok niego Edward Shapcott, o dobre sześć cali wyższy, z szerokimi barkami i dzikością w oczach.

Na trzeciej fotografii cała grupa była razem. To zdjęcie ewidentnie zrobiono już pod koniec jakiejś przeciągającej się sesji. Dzieci wyglądały na znudzone i zniecierpliwione, jakby nie mogły się doczekać, kiedy wreszcie będą mogły się pobawić. Postawa dorosłych wydawała się z kolei przesadnie sztywna.

- Nigdy wcześniej ich nie widziałam - stwierdziła Grace.

- Okropne, prawda? Fotograf był naprawdę beznadziejny.

- Nie powiedziałabym, że są aż tak złe. Ale nie weszły w skład naszej kolekcji, prawda? Skąd się wzięły?

Catherine była jednak zajęta przecieraniem okularów.

- Należą do Sheridana? - Natychmiast po wymówieniu tych słów wiedziała już, że to prawda. - Przyniósł je nam?

- Owszem, przyniósł - Mama założyła okulary z powrotem. Później, niezadowolona, zdjęła je znowu, chuchnęła na soczewki i polerowała je dalej. - Minęliście się. Miły chłopak. Mówił, że bardzo się przyjaźnicie.

- To prawda. Mamusiu... ?

- Chciał ze mną porozmawiać o swoich rodzicach, a szczególnie o matce. Chciał pokopać we wspomnieniach. Wydaje mi się, że jest raczej samotny.

Grace gapiała się na matkę. Jej słowa miały sens, głos brzmiał lekko i normalnie, ale Catherine nie była teraz do końca sobą. W jej oczach dało się dostrzec udrekę, a w jej ciele widoczne napięcie - jakby próbowała powstrzymać swoje emocje przed erupcją.

- Mamusiu...?

- Ostatnio widziałam go, gdy był jeszcze dzieckiem. Tak bardzo przypomina teraz ojca! Trochę odebrało mi to siły.

- Najwyraźniej. - Biedna Catherine, teraz po jej policzku zaczęła spływać łza. Grace delikatnie dotknęła jej dłoni. Ona i Nancy obiecywały sobie, że nigdy jej nie powiedzą. Zawarły pakt. - Mamusiu... - Wciąż się wahała, ale jeśli kiedyś miał nadejść dogodny moment, by to powiedzieć, to właśnie w tej chwili. - Mamo, rozumiem. To znaczy: ja wiem.

Catherine spojrzała na nią z przerażeniem w oczach.

- Co wiesz?

- O tobie i Edwardzie Shapcotcie.

- Ach tak. - Wstała. Podeszła do kominka, niby tylko po to, by odłożyć okulary do futerału - Jak... ?

- Wiedziałyśmy już od dawna, Nancy i ja. Widziałyśmy was, gdy byliście razem na Parliament Hill. Całowaliście się. Nie byłyśmy aż tak młode. Miałam już trzynaście lat. Już wcześniej się domyślałyśmy. To tylko potwierdziło nasze przypuszczenia. To się ciągnęło latami, prawda?

Tajemnica została wypowiedziana i była teraz między nimi, nabierając realnych kształtów. Nie było odwrotu.

- Ojej. - Catherine nachyliła się nad kominkiem, tyłem do Grace. - Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

- Musiało być ci ciężko. - Grace chciała podejść i położyć jej dłoń na ramieniu, ale jakoś nie mogła. - Rozumiem, mamusiu.

- Nie bądź śmieszna! - Gdy Catherine odwróciła głowę, jej oczy błyszczały z emocji. - Niby jak miałybyś to zrozumieć?

Mocno kusilo ją, by powiedzieć matce o Georgeu. Ale nie. Lepiej nie.

- Mamusiu, zboczyłaś ze ścieżki, ale koniec końców postąpiłaś dobrze. Obydwoje postąpiliście słusznie. Zakończyliście romans, zostając przy swoich rodzinach.

- Tak. Zostaliśmy. - Wierzchem dłoni otarła oczy. - I to była najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Wiesz, że bardzo kochałam waszego ojca. Wiesz o tym, prawda, Grace?

- Oczywiście, że tak.

- Ale Edward... Edward Shapcott był miłością mojego życia i musiałam z niego zrezygnować. - Catherine była silną kobietą, lecz w tamtej chwili wydawała się taka słaba, taka krucha.

Grace przełknęła ślinę.

- Tatuś się o tym dowiedział? Niemal niezauważalne kiwnięcie głową.

- Nie chcę już o tym rozmawiać. Nigdy. Nie chcę, żeby Nancy dowiedziała się o tej rozmowie. - I po chwili dodała. - Ani Sheridan. Sheridan nic na ten temat nie wie.

- Jak chcesz, mamusiu.

Między dwiema kobietami zapadła głucha cisza. Catherine odstawiła filiżanki na tacę, stukając jedną o drugą.

Grace przyglądała się jej, czując smutek, i mając wrażenie, że nieodwołalnie coś utraciła. Zdarza się niekiedy, że dzielenie się sekretami zbliża ludzi do siebie. Tajemnice wzmacniają niewidzialną więź doświadczenia, przyjaźni, wspólnych lat. Zacieśniają więzy. Lecz nie tym razem.

- Gdzie jest Nancy? - spytała Grace, nie mogąc dłużej znieść milczenia.

- Pojechała z Johnem do Paryża. - Co?!

- Dzwoniła wczoraj, opowiadając o lądowaniu Lindbergha. Siedzieli obok amerykańskiego ambasadora. Świetnie się bawi, poznając tych wszystkich ludzi.

- Rozumiem. Tak, wcale się nie dziwię. - Poczwała się tak, jakby żołądek wywrócił jej się na lewą stronę. Wszystko przesłoniły czarne chmury. Usłyszała odległe brzęczenie samolotu.

Głos mamy stał się bardziej pogodny. Ulga z powodu zmiany tematu rozmowy była łatwo słyszalna.

- Edna wyszła z dziećmi. Wrócą jakoś za godzinę.

- Dobrze. Więc pójdę rozpakować walizkę. - Grace chwiejnie stanęła na nogi.

- Grace. - Catherine położyła dłoń na ramieniu córki. - John to sympatia twojej siostry.

- Oczywiście. - Grace stała się mówić lekkim tonem. - I tworzą wspaniałą parę.

- Moja droga. - Dłoń wciąż spoczywała na ramieniu Grace. - Ona jest zbyt młoda, by spędzać życie w samotności.

- Czy to znaczy, że jej się oświadczył? - Nie powinna była zadawać tego pytania, powinna pójść ze swoją walizką na górę. Ale musiała wiedzieć.

- Całkiem możliwe, że się oświadczy. Jeśli zostawisz ich w spokoju.



- Jeśli zo... Coś sugerujesz?
- Wybrałaś tego drugiego. I postąpiłaś słusznie.
- Wcale nie. Nie chcę O'Connella. Uścisk zrobił się mocniejszy.
- Ona jest za młoda, by resztę życia spędzić w samotności. Ma też dzieci, które musi wychować. Teraz twoja kolej, by zrobić, co słuszne. Musisz zostać z rodziną.
- Zawsze zostaję z rodziną! I zawsze musi chodzić o Nancy, prawda? Ja też jestem twoją córką. I to ja jestem za młoda, by być zawsze sama.
- W twoim przypadku to co innego. - Catherine zwolniła uchwyt. - Moja droga, jesteś zupełnie jak twoja matka. Zawsze będziesz opiekować się innymi. Tak właśnie z nami jest.

W Grace coś zaczęło się burzyć. Coś ciemnego. To było jak gapienie się w głębinę Tamizy, na przedmioty leżące na jej dnie w mule i szlamie. Rzeczy, które leżały tam zagrzebane od bardzo długiego czasu.

Tajemnicze kształty. Cienie.

- Nie musisz się martwić. John Cramer to ostatni facet na Ziemi, z którym chciałabym być. Nancy może go sobie wciąć.

Dwa wielkie kawałki ciasta wciąż leżały na talerzykach, nietknięte.

## **PICCADILLY HERALD**

*30 maja 1927*

### **Z życia West Endu**

*Nadeszło lato i wszystkie zbzikowałyśmy. Ten stary kawalarz, ten rozrywkowy błazen. Gdy poczułyśmy na sobie najłżejszy dotyk promieni słońca, wszystkie zaczęłyśmy biegać po West Endzie w sandałach, eksponując nieładne palce u stóp, pokazując liliowobiałe nogi i zwiotczałe ramiona. Mówię wam, my Londyńczycy jesteśmy jak nieporęczny worek kartofli. Całą zimę tacy szykowni, w naszych futrach ze srebrnych lisów, kapeluszach z piórami i ładnie skrojonych tweedach. Zupełnie jakbyśmy podpisali pakt, żeby nie przejmować się naszym wyglądem przez następne trzy miesiące.*

*Całe to radosne lekceważenie zasad po prostu do mnie nie pasuje. Nie należę do tych, co pozwalają sobie na rumianą cerę, wypłowiałe włosy i wylewający się tłuszcz. Mój czerwonousty, ciemnowłosy, jasnoskóry wygląd ładnie podkreśla zarówno lód i ciemność, jak i strzelający ogniem kominek. Dzisiaj, rozbijając się po Dickens & Jones (dla tych z was, które preferują pastele, znajdzie się tam parę letnich sukienek), podziwiałam swoje odbicie w podłużnym lustrze przymie-rzalni i byłam przerażona swoim demonicznym wyglądem. Przypominam wywleczoną na światło dnia wampirzycę i nie*

*mam pojęcia, co z tym fantem zrobić. Unikać luster przez resztę sezonu? Okrutna prawda brzmi: nieważne, jak świetnie jesteś ubrana ani jak świetnie przycięty jest twój paż, nie unikniesz spustoszenia poczynionego przez upływ lat. Lato jest bardziej przyjazne dla młodych, z ich złocistą skórą i czystymi duszami, niż dla takich jak ja. Wciąż myślę o sobie jako o Kobiecie Nowoczesnej, jednej z pionierek, jako pierwsze tańczących tańce, których teraz próbuje byle chłystek, potykający się na parkietach klubów takich jak Cirós, Salamander czy Kit-Cat. Spójrzmy w oczy faktom: jestem była Kobieta Nowoczesna, dawną Kobieta Nowoczesną, kobietą dojrzałą, by nie powiedzieć starą. Gdy młodzi dżentelmeni w cylindrach i frakach patrzą w moim kierunku, nie mają zamiaru, jak sądzę, podziwiać mojego dekoltu czy kształtnych tydek. Zastanawiają się raczej, czemu nie jestem w domu, w podomce, bawiąc się z dziećmi albo robiąc na drutach, albo nie leżę już w łóżku z mężusiem. Powinnam zastrzec: droga czytelniczko, to nie jest próba wywołania współczucia. Po prostu mówię o faktach, które do mnie dotarły i wprawiły w stan szoku. Ale z pewnością nie tylko widok zobaczony w lustrze Dickensa & Jonesa podsunął mi tę myśl. Nie, dziewczęta. Byłam w Dorset, parując w moim kostiumie kąpielowym z ludźmi starszymi ode mnie, którzy naprawdę Powinni Wiedzieć Lepiej: rozwiązłe typki, w swoich kostiumach wyglądający fatalnie, którzy lubią sobie folgować, bawiąc się jak dzieci biegają nago po ogrodzie, grają na dudach i skaczą z klifów. Tacy właśnie ludzie nie potrafią zaakceptować tego, że się starzeją. Po prostu chcę powiedzieć, że nie zamierzam stać się jedną z nich, nie bardziej niż dołączyć do tych, co mają dzieci, łażą do kościoła i tworzą kompozycje kwiatowe. Musi być jakaś inna droga, nie sądzicie? I błagam, nie mówcie mi, że jestem jedyną nowoczesną dziewczyną z takimi dylematami.*

*Dlatego dobrze jest rozweselić się czasem, jedząc lody! Cóż to za niebiańska substancja! Jankesi oczywiście siedzą w temacie już od lat i sprzedają je na każdym rogu. Teraz wreszcie dotarły do nas. Sugeruję, byście jeszcze dzisiaj poszły do najbliższego Lyons Corner House [z pewnością są serwowane w ich największych lokalach), przemierzając miasto autobusem, tramwajem, a jeśli to konieczne nawet pociągiem (obiecuje, że warto) - i zamówcie sobie półmisek cudownie odświeżających i luksusowych lodów waniliowych, czekoladowych, truskawkowych bądź cytrynowych (niemożliwe, żeby ten topiący się deser bogów mógł być tuczący). Wracając na West End: zauważyłam, że liczne kawiarenki wystawiają na chodnikach stoliki i krzesła, na wzór francuski. Zatem, gdziekolwiek to możliwe, jedzcie swoje lody na świeżym powietrzu.*

*Gdy przemierzałam wczoraj Trafalgar Square, zatrzymał mnie mężczyzna chcący mi sprzedać półkoronówki po szylingu za sztukę. Jako że należę do osób podejrzliwych, posłałam mu krzywy uśmiech i pokręciłam głową, a delikwent podskoczył radośnie i pognął szukać kogoś innego. Zbyt późno uświadomiłam sobie, że zamiast uniknąć jego zasadzki, wdepnęłam prosto w nią. Drażni mnie, że ten koleś mógł w ten sposób wygrać jakiś zakład albo tanim kosztem udowodnić swoją teorię. Jeśli więc na niego wpadniecie, czytelniczki, wiecie, co robić, byśmy mogły śmiać się jako ostatnie.*

*Takie rzeczy tylko w Londynie...*

*Diamond Sharp*

## ROZDZIAŁ 6

- Powiedz kierowcy, żeby się ruszył, dobra? - Grace oparła głowę o skórzane obicie i zamknęła oczy. - Jestem okropnie spragniona. Dickie, siedzący obok niej na tylnym siedzeniu taksówki, poklepał jej dłoń.

- Odpocznij trochę, staruszko. Zrobił się jakiś korek. Był wypadek czy coś. Musimy czekać.

Otworzył oczy, Grace wyjrzała na Oxford Street: zamknięte sklepy i pełno przybłądów. Gdy było zamknięte, Self-ridges miało w sobie coś melancholijnego, jak piękna dziewczyna wystrojona na potańcówkę, ale podpierająca ściany.

- Och, Dickie, nie jest dobrze. Znam taki miły lokalik tuż za rogiem. Może zatrzymalibyśmy się na koktajl, a na przyjęcie ruszyli za jakieś pół godziny?

- Nie ma mowy. Muszę być tam wcześniej, żeby powitać gości. - Wiercił się w swoim smokingu. Wyglądał włosy raz za razem, choć było na nich tyle brylantyny, że nawet jeden kosmyk nie odstawał.

- Skarbie, jesteś kłębkim nerwów. Uwierz mi, miły koktajl zaraz cię uspokoi. To miejsce, o którym wspominałam...

- Nie. - Głos Dickiego był ostry i przyciągnął uwagę kierowcy. Kontynuował już nieco ciszej. - Nie musisz się przejmować, Grace. Na imprezie będzie mnóstwo drinków, nawet jak na twoje potrzeby, jak sądzę.

- Dickie! - Była zadowolona, gdy poprosił ją, by na imprezie „Heralda” była jego towarzyszką. Urządzali przyjęcie każdego lata, a na dodatek w tym roku gazeta świętowała piętnastolecie istnienia. Odkąd w 1925 roku Dickie został redaktorem naczelnym, nakład poszedł w górę, więc dzisiaj to był właściwie jego wieczór. Poruszyło ją, że chce, by mu towarzyszyła. Pasowało jej to: być przy boku kogoś, przy kim czuje się absolutnie bezpieczna. Teraz jednak, gdy zrobił się taki nieprzyjemny, zaczęła myśleć, że popełniła błąd.

- Przepraszam. - Poklepał jej kolano i zatrzymał dłoń na jej czerwonej aksamitnej sukni. - Chodzi o to, że dziś odwiedziła mnie Nancy...

- Mogłam się domyślić, że się z nią zmówiłeś.

- Nie bądź niemądra. Nikt się z nikim nie zmałwał. Nancy się o ciebie martwi. Mówi, że już od ponad tygodnia nie chodzisz do pracy.

- To nie jej interes. Ani twój.

- Mówiła, że każdej nocy wychodzisz z Dodo i jej kumplami. I że po powrocie chowasz się przez cały dzień w swoim pokoju.

- Dziewczyna musi się w końcu wyspać.

- Mówiła, że prawie z nią nie rozmawiasz. Obwinia siebie. Myśli, że zrobiła coś nie tak. Co musiałyby zrobić Nancy, żeby zasłużyć na takie traktowanie? Nancy? Przecież jest jedną z najbardziej uroczych...

- Och, przestań wreszcie mówić o Nancy. - Grace zatrzymała wzrok na kolumnach Selfridges. - Kiedy ta cholerna taksówka wreszcie ruszy?

Mówiła, że opróżniłaś już wszystkie butelki w waszym barku.

- Jestem w małym dołku, Dickie. To wszystko. Z pewnością też kiedyś tam byłeś. Nancy także, choć chyba wypadło jej to z głowy. Będzie dobrze, jeśli tylko dacie mi spokój i pozwolicie wyjść na prostą.

Dickie. Ta jego och-taka-znajoma twarz: blada, ożywiona i podenerwowana. Nie był przystojny - ani w sensie klasycznym, ani w niekonwencjonalnym. Lecz wprost tryskał inteligencją i humorem - praktycznie wydzielał je każdym porem. Za to właśnie kobiety go ubóstwiały. Oczywiście w odwrotnej sytuacji byłoby to nie do pomyślenia. Nieciekawa, ale bystra dziewczyna nie miałyby szans u dżentelmena z wyższej półki. Chyba że byłaby obrzydliwie bogata. Może, uświadomiła sobie Grace, to właśnie strach przed odkryciem, że sama jest bystra, ale nieciekawa, sprawiał, że trzymała się od takich dziewczyn z daleka, starając się walczyć o aparycję i styl...

- Grace, to coś więcej niż mały dołek. Co się dzieje? Chyba nie chodzi tylko o Dextera O'Connella, prawda?

Przewróciła oczami.

- Zazdrość nie jest atrakcyjna, Dickie. Ani trochę. Parsknął.

- Chryste, ty chyba myślisz, że ja cię wciąż kocham! „Cóż, a nie jest tak?”

Mało brakowało, a wypowiedziałyby

te słowa na głos. Musiała z tym walczyć. Wstyd rozpałił jej ciało, zarumienił policzki. I tak otwierająca się wewnątrz niej pusta przestrzeń nagle powiększyła się jeszcze odrobinę.

- Chyba powinnam wracać do domu. - Jednak w chwili, gdy to powiedziała, korek zaczął się rozrzedzać i taksówka włączyła się do ruchu.

- Martwy koń na drodze - stwierdził przez ramię kierowca. - Możecie uwierzyć, że w tych czasach jeszcze zdarzają się takie rzeczy?

Kiedy przejeżdżali obok, Grace wyjrzała przez okno. Trzech policjantów i paru robotników próbowało przenieść konia poza drogę. Byli

obserwowani przez kilku gapiów. Pięciu mężczyzn ledwie było w stanie ruszyć jednego padłego konia.

- Grace, chodź ze mną na to przyjęcie. - Dickie szukał jej dłoni. -

Przestanę zrzędzić, obiecuję. Mimo wszystko, a może właśnie przez to, wciąż jesteś moją najlepszą koleżanką i chcę iść tam z tobą.

Impreza na dachu klubu Tivoli zdążyła się już rozkręcić. Zespół Chaza Rowneya grał głośno, gdy tymczasem kilku czarnych tancerzy z Harlemu, w błyszczących kostiumach, tańczyło coś zupełnie nowego. Zaczęli to jak zwykłego charlestona, ale gdy Rowney zaimprovizował szalone solo na puzonie, oderwali się od partnerów, by zaimprovizować nowe, solowe kroki. Jak parkiet długi i szeroki młodzi przyglądali się bacznie. Niektórzy starali się to naśladować, zdeterminowani, by być pierwszymi, którzy wprowadzą ów taniec do londyńskich klubów.

- To breakaway. - Dodo miała na sobie złotą sukienkę, a we włosy wpięła pomalowaną na złoto różę. - Całkiem niezłe, co? - Stała pod ramię z Toppingiem i Humphriesem. Ostatnimi czasy Grace myślała o nich jako jej psach strażnikach. Zawsze byli przy niej, ale nie trzeba było już nawet z nimi rozmawiać. Wystarczyło rzucić im biszkopta.

- Wygląda trochę jak charleston ze szczyptą popisywania się - odparła Grace. - Może od tej pory każdy taniec będzie po prostu wariacją charlestona. To taniec ostateczny, nie uważasz?

- No i już masz kolejny felieton - powiedziała Dodo. - Szkoda, że moja praca nie jest taka prosta.

Grace rozglądała się za Dickiem, ale ten wciąż stał na szczycie schodów, ściskając dłonie kolejnych gości.



Potrzebuję drinka. - W chwili, gdy to powiedziała, kelner wsunął jej w dłoń kieliszek szampana.

- No pewnie, że potrzebujesz. - Dodo też sobie wzięła jednego. - To on, prawda? - spytała, wskazując gestem na drugi koniec dachu.

Grace nie widziała O'Connella od czasu swojej rejterady z domu Sama Wooltona. W śnieżnobiałym garniturze, z czerwoną różą wetkniętą w butonierkę, wyglądał po prostu niezmiernie. Rozmawiał z jakąś dziewczyną, stojąc tuż obok pomalowanego na biało płotu, oplecionego plastikowymi pnączami, liliami i choinkowymi lampkami. Gdy Grace tak na niego patrzyła, spojrzał na nią i uśmiechnął się - to był jeden z tych uśmiechów, jakimi obdarzasz znajomych. Jego czarnowłosa towarzyszka, ubrana w niebieską satynową suknię połyskującą w blasku światła, wyglądała dziwnie znajomo.

- Tak, to faktycznie on. To jeszcze nie wszystko. Znam też dziewczynę. Dziewczyną była Margaret, maszynistka z ich agencji. Jej twarz rozjaśniało ekstatyczne szczęście. Mina zrzędła jej dopiero, gdy zobaczyła Grace. Nie miała okularów, a włosy obcięła na pazia. Biedny babsztyl chodził na ślepo po całym lokalu, tylko po to, by nikt jej nie oglądał w tych paskudnych okularach. Mimo to jej przemiana robiła wrażenie. W paziu było czuć wpływy Marcusa Rino. Podkreślona suknią figura była znacznie lepsza niż Grace kiedykolwiek przypuszczała. Margaret wcale nie przypominała Margaret, w dobrym znaczeniu tych słów. Ale cóż ona tu w ogóle robiła?

- Głace! - Koło niej pojawił się nagle Sheridan, w egipskim makijażu przyciągającym spojrzenia. - Nie jestem pewien, czy za felieton sprzed dwóch tygodni mam ci dziękować, czy łaczej cię przeklinać. Twój styl jest tak słodko-gorzki, że nie wiem, czy jesteś mi przyjacielem, czy wrogiem.

- Żrący, taki właśnie jest jej styl - zauważyła Dodo. - Żrący jak kwas. Grace wciąż przyglądała się CConnellowi i Margaret, doznając dziwnego wrażenia powolnego upadania. Czy to ona spadała, czy raczej ogród na dachu się podnosił? Nie dało się stwierdzić jednoznacznie.
- Podobał ci się mój klub? - W głosie Sheridana dało się wyczuć niepokój.
- Muszę wiedzieć, co naprawdę myślisz, skałbie, tak między nami. Zmusiła się, by odwrócić wzrok od tamtej dwójki i skupić się na Sheridanie.
- Dokładnie tak jak napisałam: najbardziej wyróżniający się klub w Londynie.
- Głace, jesteś niepopławna - mówiąc to, wyglądał zupełnie jak ten chłopiec, którym kiedyś był. Widziała go w ich ogrodzie, piszczącego z przerażenia, gdy ona i Nancy torturowały na jego oczach robaki. To wspomnienie pociągnęło za sobą kolejne, cały wodospad wspomnień.
- Co ty knułeś, przychodząc wtedy do mojej matki? Nie chodziło przecież tylko o tamte zdjęcia, prawda? Gdybym cierpiała na paranoję, powiedziałabym, że miałeś nadzieję, że ja i Nancy dokądś wyjedziemy, byś mógł z nią pogadać w. cztery oczy...
- Wcale nie. Nie bądź niemądła. - Odczekał, aż Dodo sobie pójdzie, zanim będzie mógł kontynuować. - Chciałem porozmawiać z Catheline o mojej matce. To wszystko. Stłasznie za nią tęsknię, a mimo to nigdy jej nie łożumiałem. Ne miała wielu bliskich. Amelia nie dopuszczała ludzi do siebie. - Mówiąc to, bawił się swoim sygnetem.
- Ale przecież dobrze wiesz, że nasze matki nie widziały się od lat. Ciężko mi uwierzyć, by Catherine miała na ten temat cokolwiek do powiedzenia.

- Cóż... - Wciąż obracał ten pierścień na palcu. Jego twarz wyglądała tak samo, jak wtedy, gdy jako mały chłopiec zmyślał.

- O co tak naprawdę chodzi, Sheridan? - Zapaliło się w niej kolejne wspomnienie. - Ostatnio, gdy cię widziałam, chciałeś o czymś ze mną pogadać. Na jaki temat?

Odwrócił od niej wzrok.

- To nie czas ani miejsce, skałbie.

- Więc widzimy się jutro. Wpadnę do ciebie do domu.

- Dobła.

Grace śledziła go wzrokiem, gdy przedzierał się przez tłum. Może Catherine myliła się, twierdząc, że on nie zrozumiał tego, co wydarzyło się przed laty...

Tancerze w połyskliwych strojach zeszli ze sceny, ustępując miejsca ludziom chodzącym na szczydkach, wyglądającym jak ogromne koktajle. Potem pojawił się magik, prezentujący sztuczki z gazetą: nalewanie wody do egzemplarza „Heralda”, a następnie strząśnięcie go całkiem suchego.

Darcie go na małe kawałki i zmienianie ich w papierowe laleczki.

Odkładanie laleczek na półmisek, podpalanie ich, gaszenie, a potem prezentowanie zebranych wielkiego, nienaruszonego egzemplarza „Heralda” ze zdjęciem Dickiego na okładce.

W tym momencie muzyka ucichła, a światło reflektora wyłowiło z tłumu rozradowanego Dickiego.

- Dobry wieczór wszystkim. I dziękuję. - Jego głos niósł się jak dach długi i szeroki. - Witam was na imprezie z okazji piętnastolecia „Heralda”... -

Jego przemowa była zwyczajnym, choć elokwentnym laniem wody, niczym więcej. Raz czy dwa rzucił okiem na Grace; jego spojrzenie było rozbawione, pełne ekscytacji. Jakby miał zaraz unieść się w przestworza. Grace opróżniła kieliszek. Nie mogła już dostrzec O’Connella w tłumie.

- To twoja siostra? - Dodo znów stała u jej boku. Czy nie miała nic lepszego do roboty, jak tylko rozdrapywanie życia Grace swoimi złotymi pazurami? - Bosko wygląda w tej różowej sukni. Patrz tylko, jak błądzi między tymi ludźmi. Wyraźnie kogoś szuka. Może ciebie?

- Szczerze wątpię. - Grace nawet nie odwróciła wzroku.

Dickie skończył przemowę i na scenę wskoczył chiński akrobata, który tak wyginał swoje ciało, że można było dostać mdłości. Ruszając do baru po szklankę wody, Grace zerknęła w wiszące na tylnej ścianie lustro i dostrzegła w nim odbicie Johna Cramera. Siedział na wysokim stołku przy drugim końcu baru, nie patrząc na nic szczególnego i bawiąc się kieliszkiem. Tego było dla Grace zbyt wiele. Chciała się odwrócić i odejść, ale wcześniej on dostrzegł ją w lustrze. Widzieli się nawzajem.

- Spędziliście z Nancy miły weekend, co? - Próbowwała brzmieć chłodno. Nie chciała, by dało się po niej poznać jakiegokolwiek emocje.

Pokiwał głową, jakby był pozbawiony resztek nadziei. Zaklął pod nosem.

- Grace, wystawiłaś mnie, a potem ruszyłaś prosto na wycieczkę z O'Connelllem. Czemu, do diabła, miałbym ci opowiadać, jak spędziłem weekend?

Brzmienie jego bełkotliwego głosu sprawiło, że Grace uświadomiła sobie coś oczywistego. Szkliste spojrzenie, dziwnie ponury wyraz twarzy...

Nasz abstynent był dziś pijany! Zbyt pijany, by robić cokolwiek poza ślęczeniem przy barze.

- Co ty wyprawiasz, John?

- Sam chciałbym wiedzieć. - Odwrócił wzrok, spojrzął do kieliszka i Grace została wciągnięta w to wszystko jeszcze mocniej. Gdzieś niedaleko Nancy szukała go, Grace była tego pewna. Przedzierając się przez tłum, szukała swojego kochanka.

Idź do domu. Z szacunku dla mojej siostry, jeśli nie / . szacunku dla siebie.  
- Grace...

Odwróciła się do niego plecami i natychmiast została otoczona przez tłum roześmianych kolegów z branży. Zgraja recenzentów, redaktorów, dziennikarzy... Rozradowany tłum, uśmiechnięte twarze, pragnące zapewnić ją, że jest jedną z nich. Że właśnie tu jest jej miejsce. Normalnie czułaby satysfakcję, ale dziś była skupiona na innych sprawach. Była tutaj, wśród nich, pławiąc się w ich uprzejmości, i zdawało jej się, jakby to trwało całe wieki. Gdy w końcu ruszyli dalej, miejsce, gdzie siedział Cramer było puste. Nie mogła nigdzie dostrzec ani jego, ani O'Connella, a na dodatek niemal wpadła na Sama Wooltona i Verity, którzy dyskutowali nad tacą francuskich przekąsek (to nagie owłosione ciało i ta rzecz były wciąż żywe w jej wyobraźni... Te wytrzeszczone oczy i orientalny szal...) - i wtedy ktoś boleśnie nadepnął na jej stopę.

- Przepraszam, Grace. - Margaret, zarumieniona od wypitego alkoholu i ze wstydu. - Nie zauważyłam cię.

- Pewnie niewiele widzisz bez okularów. Co ty tu robisz?

- Ach... - Kolor jej twarzy zmienił się z różowego na purpurowy. - Ty przecież nie wiesz. Chodzi o to, że przysłali twoje zaproszenie do biura i...

- Rozumiem. Postanowiłaś tego wieczoru być mną.

- Proszę, nie gniewaj się! Nie mogę dłużej żyć, jak żyłam dotąd. Może życie było jak wydrażone. Zupełnie jak... Czy to prawda, że Francuzi jedzą ślimaki? No więc jestem jak muszla, z której wyjedzono ślimaka. Tak to właśnie wygląda, gdy jest się mną.

- Na litość boską, Margaret. Zupełnie mi nie przeszkadza, że użyłaś mojego zaproszenia. Mam teraz zupełnie inne sprawy na głowie.

- Och... A więc wiesz? - W krótkowzrocznych oczach Margaret zarzyła się inteligencja. I głód. Nienasycony głód. -Przepraszam, Grace.

- Co wiem? O czym ty gadasz?

- Ach... - Zażenowany wzrok. Lekkie zdenerwowanie. -Będę sekretarką Dextera O'Connella. Będę dla niego rezerwować stoliki w restauracjach, oddawać jego garnitury do czyszczenia i przepisywać jego listy, ale także jego powieści! Przeczytam nową książkę jako pierwsza!

Grace poczuła, że cała sztywnieje.

- Popłynę z nim do Nowego Jorku. Będę tam, gdzie on. Będę z nim jeździć po całym świecie! Wyobrażasz to sobie?

- Wraca do Nowego Jorku?

- Napisałam do niego, do Savoya. Wiem, że powinnam była ci powiedzieć, ale... To była delikatna sprawa, bo przecież ty i on...

Spotkałam go, pamiętasz? I on pomyślał, że jestem bystra. Więc usiadłam i napisałam do niego, o jego książkach, i wspomniałam też, że jeśli jest szansa, byśmy się jeszcze spotkali, albo jeśli mogę coś dla niego zrobić...

- Niewiarygodne! Kręcenie głową.

- To nie tak. Nie staram się z tobą konkurować. Ale przecież między tobą a nim już koniec, no nie? I chyba zdawałaś sobie sprawę, że to i tak nie przetrwa? On jest raczej z takich, co mogą należeć wyłącznie do siebie.

- A skąd ty niby o tym wszystkim wiesz? Jakim to sposobem znasz go lepiej niż ja?

Wzruszenie ramion.

- Przeczytałam wszystkie jego książki. A ty?

To było jak okropny sen: Margaret wyglądająca tak pięknie i wiedząca po prostu wszystko. I z tego snu nie dało się wybudzić, choćby się nie wiem jak mocno próbowało. A robiło się coraz gorzej.

- Grace! - To była Nancy, w różu i stokrotkach wpiętych we włosy. Złapała Grace za ramię. W jej oczach lśniły dzikość i panika. - Chodź ze mną. Szybko. Proszę.

Jeszcze zanim Grace pojęła, co się dzieje, rozległy się okrzyki. Dało się je słyszeć nawet mimo muzyki. Portier puścił się biegiem, przecinając tłum. Za nim podążał Dickie. Słysząc było odgłosy ludzi zderzających się ze sobą na schodach. Krzyki mężczyzn. Piski kobiet.

Nancy wydzieriała się na zebranych, starając się między nimi przepchnąć. - Z drogi! Zróbcie przejście! - podążająca za nią Grace nie odezwała się nawet słowem.

Dwóch portierów przytrzymało Cramera. Szarpał się, wrzeszcząc, że zabije „tego skurwiela”. Twarz dzika i pełna nienawiści, koszula rozdarta, zakrwawiona. Dopiero teraz, widząc, jak Cramer stracił nad sobą panowanie, jak nie był sobą, Grace uświadomiła sobie, jak łagodny był zazwyczaj - łagodność była jego podstawową cechą. Patrzył na nią, lecz jej nie widział, był zbyt zaślepiiony przez gniew. Nancy pośpieszyła do niego. Do oczu Grace napłynęły łzy.

Na najwyższym stopniu schodów siedział O'Connell. Jego biały garnitur był cały zakrwawiony. W spokoju przypatrywał się Cramerowi. Z nosa i wargi płynęła mu krew. Gdy dostrzegł Grace, przywołał na twarz grymas, który mógł być uśmiechem. Odezwał się, ale jego słowa były niewyraźne.

- Można by powiedzieć, że sobie zasłużyłem. A ty jak uważasz?

- Nie wiem.

Nancy rozmawiała z Cramerem. Grace nie słyszała, co jej siostra mu powiedziała, ale cokolwiek to było, działało cuda. Z Cramera momentalnie wyparowała cała wściekłość. Potem Nancy odwróciła się ze złością do O'Connella.

- Coś ty zrobił?

- Ach, ty musisz być tą uroczą Nancy.

Dickie rozmawiał z portierami, nakłaniając ich, by dali już Cramerowi spokój. Gdy tak się stało, Nancy wzięła go za rękę. Dickie, mówiąc coś do Nancy, ujął go pod drugie ramię. Odwracając się do zebranych na dachu ludzi, powiedział głośno:

- W porządku. Koniec przedstawienia. Słyszycie? A teraz wybaczenie, proszę.

I wspólnymi siłami ni to wynieśli, ni to wywlekli Cramera z klubu, po drodze mijając Grace i O'Connella.

- Wiesz, Grace, bywałem już w różnych miejscach, widziałem różne rzeczy, ale pierwszy raz jestem w damskiej toalecie. Szkoda, że nie mam ze sobą swojego notesu. -O'Connell przysiadł na skraju marmurowego kontuaru, przy umywalkach. Obok niego leżał stos zakrwawionych chusteczek. Grace miała w dłoni wateę, którą przytykała mu do wargi i nosa. Był spokojny, ale od czasu do czasu krzywił się i pojękiwał.

- Wydaje mi się, że wargę należałoby zszyć - powiedziała. - Powinniśmy jechać do szpitala.

- Nie ma takiej potrzeby. Nic mi nie będzie. - Warga była tak spuchnięta, że mówił niewyraźnie. - Hej, damulko -skierował te słowa do kobiety strojącej się przed sąsiednim lustrem. - Ta szminka jest dla ciebie zbyt różowa. Z rudymi włosami współgrałby jakiś ciemniejszy odcień.

- Nie powinno cię tu być - rzuciła kobieta. - Jego nie powinno tu być. Grace cicho wymamrotała „przepraszam”, a kobieta wyszła i wróciła na imprezę.

- Więc teraz jesteś ekspertem od makijażu?

- Staram się być pomocny. To zawsze była moja słabość.



Dobrze, powinno wystarczyć. - Zebrała stertę zakrwawionych chusteczek i wrzuciła je do kubła. Potem otworzyła szafkę i wyjęła ręcznik. - Przyłóż to do twarzy.

- O, pod kolor twojej sukni. - Wziął ręcznik i zrobił, jak mu kazała.

Grace przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Wyglądała na przemęczoną i przygnębioną. O'Connell jednak, mimo całej tej krwi i opuchlizny, wyglądał rześko i radośnie.

- Ciebie to cieszy, prawda? - spytała.

- Cóż, w końcu jesteśmy na imprezie. Czy nie po to się je organizuje, żeby ludzie się dobrze bawili?

- Co powiedziałeś Johnowi?

- Ach, więc teraz on już jest „Johnem”? Facet jest zwykłym pijakiem. Jednoosobowym usprawiedliwieniem dla prohibicji.

- Więc twierdzisz, że go nie sprowokowałeś? Że uderzył cię ot tak, bez powodu?

Westchnienie. Pod opuchlizną jego twarzy przybrała poważny wyraz.

- To sprawa między mną a nim i ma związek z naszą wspólną przeszłością. To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Więc czemu mu nie powiesz, co się wydarzyło tamtej nocy, gdy umarła Eva? On od pięciu lat zadręcza się, wyciągając z tego wszystkiego najgorsze możliwe wnioski. Powiedz mu prawdę, jakakolwiek by ona była. Tak, wybrała ciebie zamiast niego, ale czy nie cierpiał już z tego powodu wystarczająco?

O'Connell odsunął od twarzy zalany krwią ręcznik i ostrożnie przyłożył sobie dłoń do wargi i rozbitego nosa.

- Moja droga, czy muszę ci przypominać, że całkiem niedawno zwyczajnie mnie porzuciłaś? Że pognałaś z powrotem do Londynu, kiedy ja jeszcze spałem? Nie zostawiając mi nawet żadnego pożegnalnego liściku? Czuję się...

„dotknięty”, tak to ujmijmy, dotknięty tym, że interesujesz się moim życiem prywatnym, a szczerze mówiąc, to nie powinno być twoje zmartwienie, a już szczególnie nie w tej chwili. Grace z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- A nie zastanawiałeś się, czemu odeszłam? Czy nie zaniepokoiłeś się, gdy otworzyłeś oczy, a mnie już nie było?

Wydał odgłos, który mógł być śmiechem, ale przerodził się z skowyt bólu.

- Chcesz wiedzieć, co mnie zawsze fascynowało? Że jednego dnia czujesz do kogoś coś bardzo silnego, potężne, intensywne emocje, które sprawiają, że wszystko inne trafia na drugi plan, a następnego dnia budzisz się i ta niesamowita miłość, którą czułeś przez dzień, rok czy jakkolwiek długo, zniknęła, pff, uleciała jak dym. I nie możesz nic zrobić, by ją odzyskać. - Odłożył ręcznik i zaczął myć ręce.

- Dobrze wiem, że powiedziałaś to tylko po to, by mnie zranić - odparła Grace. - Ale teraz jest mi ciebie jeszcze bardziej żal. To okropne, być kimś tak pustym, tak samotnym jak ty. Grać w głupie i bezsensowne gry z czyimiś emocjami.

O'Connell nie przestawał szorować rąk pod strumieniem parującej wody.

- Grace, czy kochasz Johna Cramera? . Westchnęła.

- Życzę miłej drogi powrotnej do Nowego Jorku. Bądź dobry dla Margaret. Będzie odwalać naprawdę świetną robotę, więc zasługuje na wszystko, co najlepsze.

- Oczywiście, że będę dla niej dobry. A jaki niby miałbym być dla mojej nowej sekretarki? Trochę dałaś się ponieść swoim dziwacznym teoriom na mój temat. - Wciąż mył ręce, choć para unosiła się coraz wyżej, a dłonie miał już zupełnie czerwone. Gdy woda osiągnęła temperaturę tak wysoką, że aż nie do zniesienia, zakręcił kran.

- Cudownie było wreszcie zobaczyć twoją siostrę. Nie spodziewałem się, że będzie aż taka zniewalająca. Ale po tej historii z Georgeem, Stevenem i waszą dwójką mogłem się przecież domyślić. A teraz jeszcze ten biedny Cramer. Jesteście jak para klejnotów w szkatułce. - Otrzeptał dłonie z wody. Obejrzał w lustrze swoją opuchniętą twarz. - Nancy ma w sobie rzadkie i piękne dostojeństwo. Można to nawet nazwać szlachetnością. Jest wprost... fascynująca.

- Wstydz się, O'Connell. - Albo pomieszczenie było za małe, albo on był zbyt wielki. Musiała stąd wyjść.

- Znów bierzemy nogi za pas, co?

- Wychodzę. A to różnica. I sam powinieneś o tym wiedzieć najlepiej.

- Co przez to rozumiesz?

- Cóż, spójrz tylko na siebie i Cramera. Przez to, że nie porozmawiałeś z nim na temat śmierci Ewy, możesz być pewny, że już nigdy nie da ci spokoju. Uwolnij się od niego, na litość boską. - Spojrzała na niego jeszcze ten jeden, ostatni raz. - Żegnaj, Diable. I powodzenia z nową powieścią.

## ROZDZIAŁ 7

Odgłosy dobiegające z budowy obudziły Grace. Stukanie młotków, wiercenie i metaliczne trzaski wibrowały echem w jej głowie, sięgając aż po korzenie zębów. Powietrze pachniało kurzem i kotami. Gdy Grace otworzyła oczy, nie miała bladego pojęcia, gdzie się znajduje. Leżała sama w wąskim mosiężnym łóżku, mając na sobie tylko bieliznę. Wokół niczego znajomego: zagracona toaleta zasłonięta jedwabnymi apaszkami, ogromna i w jakiś sposób złowieszczo wyglądająca szafa, ściany pokryte tapetą, która kiedyś mogła być kremowa, a teraz była już tylko beżowa. Musiała się chwilę zastanowić, by sobie cokolwiek przypomnieć. Zrobiwszy to, wstała i owinęła się leżącym na łóżku żółtym szlafrokiem.

Za drzwiami sypialni znajdował się aneks kuchenny, gdzie Margaret, elegancko ubrana i w okularach, napełniała właśnie wodą podniszczony czajnik i stawiała go na jednym z palników. Wrzuciła do dzbanka kilka liści herbaty.

- Dzień dobry, Grace. I jak, głowa boli?

- Bezsprzecznie. - Grace zagłębiła się w sfatygowanym brązowym fotelu, a potem zatoneła w nim jeszcze bardziej, bo sprężyny były popękane. -  
Dzięki, że pozwoliłaś mi

zostać. Miło z twojej strony. Nie mogłabym spojrzeć w oczy siostrze, nie ostatniej nocy, po wszystkich tych drinkach. A zresztą, nie jestem nawet pewna, czy chcę ją widzieć nawet dzisiaj.

- Cóż, obawiam się, że nie możesz u mnie zostać na drugą noc z rzędu. Wolałabym nie spać więcej w tym fotelu.

- O Boże. Tak strasznie cię przepraszam. - Grace schowała twarz w dłoniach. - Nie miałam zamiaru wyciągać cię z łóżka.

- A mimo to w nocy weszłaś prosto do jedynej sypialni i rzuciłaś się na jedyne łóżko, nie pytając nawet o pozwolenie.

Grace skrzywiła się. Ale w sumie Margaret brzmiała dość wesoło. Nuciała coś pod nosem, wyciągając z kredensu dwie filiżanki na spodeczkach.

- Ale w porządku - powiedziała w końcu. - Dzięki temu mogłam ci się nieco zrewanżować.

- Co przez to rozumiesz?

- Cóż... - Margaret wzruszyła ramionami. - Ja wykorzystałam twój związek z O'Connell'em, by wyrwać się z koleiny mojego dotychczasowego życia, ty natomiast skorzystałaś mojej gościnności. Więc teraz jesteśmy kwita.

Grace nie była przekonana co do tej algebry, ale postanowiła nic nie mówić.

- Naprawdę masz zamiar z nim wyjechać?

- Oczywiście! Chyba nie sądzisz, że odrzucę pracę moich marzeń tylko dlatego, że mój przyszły pracodawca źle traktuje swoje kochanki? To przecież znany łajdak. Wiedziałam to od dawna. - Uśmiechnęła się. - Nie próbuję go w sobie rozkochać. Nie o to tutaj chodzi.

- Jeśli tak stawiasz sprawę... - Niewypowiedziane słowa zawisły ciężko między nimi. To ona była tą naiwną, ona zignorowała to, co wszyscy już na temat O'Connella wiedzieli.

Wystarczy od czasu do czasu poczytać gazety, by przekonać się, że to łajdak. Może to właśnie było sedno sprawy: Grace przegapiła to, co

wydawało się oczywiste. Zbyt wiele wiedziała na temat funkcjonowania prasy, by uwierzyć w głupoty wypisywane na czyjś temat.

- Moim przeznaczeniem jest coś większego - stwierdziła Margaret. - Nie chodzi tylko o to, że kocham jego książki. Będę podróżować po świecie, poznawać niezwykłych ludzi. W tej chwili mój świat sięga nie dalej niż przejażdżka autobusem z Battersea do pracy i z powrotem.

- Tam właśnie jesteśmy? W Battersea?

W odpowiedzi Margaret podeszła do ponurego okna i rozsunęła zasłony.

- To nie taka zła część Londynu. Gdyby nie te hałaśliwe budowy. Ciągłe tylko hałas! A będzie tylko gorzej. Chcą zbudować tutaj ogromną elektrownię, produkującą tyle energii, co wszystkie inne w Londynie razem wzięte. Możesz wyobrazić sobie te wszystkie spaliny, cały ten brud? Szkoda, naprawdę szkoda.

Grace wyjrzała za okno, omiatając wzrokiem zabudowę z żółtej cegły.

Przy końcu drogi toczyła się budowa. Mężczyźni w kombinezonach roboczych, stalowe dźwigary, liny, bloki i gruzowiska.

. - W Battersea mieszkają ludzie z wszystkich części Imperium. Tak wiele fascynujących żywotów, różnych doświadczeń i religii. No i wielu komunistów. Nasz MP2 jest komunistą, mimo że ukrywa się, udając członka Independent Labour Party. Może o nim słyszałaś, nazywa się Shapurji Saklatvala. Pochodzi z Indii. Cóż, mówię, że jest naszym MP, ale oczywiście nie miałam okazji na niego głosować, skoro mam ledwie dwadzieścia siedem lat. - Czajnik zaczął

gwizdać. - Prawdę mówiąc i ja jestem komunistką. - Wypowiedziała te słowa z zakłopotaniem, jakby była z tego dumna, ale też nie chciała się tym specjalnie przechwalać.

- Jesteś?

- Już od lat. - Nalała wrzątku do dzbanka i pomieszała wodę. - Ten kraj nie rozwija się właśnie przez obecny system klasowy, przez to, że przygłupy z klasy wyższej, tacy jak Oscar Cato-Ferguson, zajmują najlepsze stanowiska, gdy tymczasem ludzie tacy jak ja muszą przepisywać ich bełkotliwe listy. A co do samej monarchii, to cóż, jest zwyczajnie absurdalna. Jak możemy pozwolić, by to dalej trwało, jeśli chcemy stać się nowoczesnym społeczeństwem?

To była zupełnie nowa Margaret.

- Z pewnością jesteś kobietą pełną niespodzianek. Uśmiech.

- A zatem. Łazienka jest na półpiętrze. Teraz powinna być wolna. Ręcznik wisi przy drzwiach, tak jak mydło oraz papier toaletowy. Masz w biurze coś do przebrania? Mogę pożyczyć ci płaszcz, założysz go na suknię, a potem ją zmienisz.

- Co? Wcale nie mam zamiaru iść dzisiaj do biura.

- Och. - Margaret uniosła brew. - Więc kiedy masz zamiar wrócić?

Nagadałam już mnóstwo kłamstw o tym, jak zanoszę ci zupe, bo złapałaś ciężką gripę i jesteś blada jak śmierć. Pomału kończą mi się pomysły.

- Ale ja nie... - Miała już powiedzieć, że wcale nie kazała Margaret kłamać w jej obronie, ale ugryzła się w język. - Dziękuję. Prawdziwa z ciebie przyjaciółka, a ja nie umiem tego docenić. Mówiłaś, że możemy złapać stąd jakiś autobus?

Skinęła głową. Nalała herbaty i podała filiżankę Grace.

- Wszystko w porządku, Grace? To znaczy: po tym, co zaszło między tobą a O'Connellem?

- Pewnie. Wszystko poszło dokładnie tak, jak miało pójść. Od początku wiedziałam, że to się bardzo szybko wypali. To było ekscytujące, ale płytkie, powierzchowne. Bez prawdziwych uczuć. - Łyknęła herbaty i spróbowała uporządkować myśli. - Były chwile, że chciałam, by to potoczyło się inaczej. Mówił mi, że mnie kocha, więc momentami traciłam grunt pod nogami, nie wiedziałam, jak jest naprawdę.

- Myślisz, że naprawdę cię kochał?

- On żyje tylko chwilą, więc kocha też tylko przez chwilę. To najprzystojniejszy, najbardziej czarujący i najinteligentniejszy drań, jakiego w życiu spotkałam. Ale jest tylko draniem i na zawsze nim pozostanie. Wolałabym nie widzieć go nigdy więcej. Ucieszę się, gdy wyjedzie z Londynu.

- Cóż, nie będziesz musiała długo czekać. - Margaret zdjęła okulary i przetarła je brzegiem tweedowej spódnicy. Gdy z powrotem je założyła, na jej twarzy malowało się nieskrywane podekscytowanie. - Już za kilka tygodni wyruszamy do Nowego Jorku.



## ROZDZIAŁ 8

Przyjechawszy z Margaret do pracy, Grace zdążyła przebrać się w zapasowe ubranie, zanim ktokolwiek zdołał się zorientować. Szybko wbiła się w codzienny rytm i już późnym popołudniem robiła niezłe postępy z tekstem dla Bakersa. Nikt nie odezwał się nawet słowem na temat jej tygodniowej nieobecności w biurze. To uspiło jej czujność. Aż w pewnym momencie Pearson wezwał ją do siebie.

Wezwał ją wprawdzie Henry, ale gdy Grace zauważyła, że w biurze siedzi też pan Aubrey, wiedziała, że wpadła w niezłe tarapaty. To Henry przeprowadził całą rozmowę. Mający spokojny głos i zarośnięte bokobrody Henry: jego zazwyczaj błyszczące oczy dziś zupełnie pozbawione były blasku.

- Dotąd stałem za panią murem, panno Rutherford -mówił. - Ponieważ ma pani potencjał, iskrę czy jak tam woli to pani nazwać. Jest pani bystrą młodą damą i w Pearsons mogła pani zejść naprawdę daleko...

Mogła... Używał czasu przeszłego, mimo że wciąż siedziała przed nim. Przez cały czas, gdy pan Henry mówił, jego brat stał przy oknie, gapiąc się na ulicę - może był zbyt wściekły, by spojrzeć Grace w oczy?

- Świetnie się spisałaś z kampanią Bakers Lights - powiedział pan Henry.  
- A twoje pomysły dotyczące Super-lunchu Pottera były wręcz wizjonerskie.

Było tak, jakby słuchała własnego nekrologu. Musiało przecież być coś, co jeszcze mogła zrobić...

- To nie musi się kończyć w tym punkcie, sir. Mogę mieć więcej wizjonerskich pomysłów. Wiem, że mogę.

- Nie możesz, nie u nas. Nie po tym, co zrobiłaś. - Aubrey wciąż stał tyłem do niej. Słońce oświetlało jego łysinę. Stał tak, z dłońmi splecionymi na plecach, bujając się nieznacznie, gibając się z pięt na palce. Pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy, że to robi.

Szyja pana Henryego była czerwona.

- Co by się zaczęło dziać, gdyby wszyscy zachowywali się tak jak pani, panno Rutherford? Ledwie zdajesz się rozumieć, że istnieją jakieś zasady, a o przestrzeganiu ich nawet nie może być tutaj mowy. Brakuje ci po prostu zwyczajnej przyzwoitości.

- Ale co ja takiego zrobiłam? - Wzdrygnęła się, zadając to pytanie. Tak naprawdę dopuściła się tylu występków, że nie miała bladego pojęcia, który mógł przelać czarę goryczy.

- Widziano was! - Aubrey odwrócił się do Grace, waląc pięścią w biurko.

- Ciebie i twojego dżentelmena. Chociaż jaki tam z niego dżentelmen.

- Tamtej nocy w budynku pracowała sprzątaczką, panno Rutherford. -

Pan Henry zaczął się bezmyślnie bawić papierami, unikając jej spojrzenia. - Dziewczyna wyglądała na naprawdę wstrząśniętą, gdy mówiła o tym Cato--Fergusonowi. Będę wdzięczny, jeśli opróżnisz swoje biuro i znikniesz stąd najpóźniej w porze lunchu. Rozliczymy się do końca tygodnia. Biorąc pod uwagę okoliczności, nasza oferta jest wyjątkowo hojna.

- Gdybyś tylko była mężczyzną... - Pan Aubrey z wściekłości aż przygryzł kłykcie.

- Byłaś u nas pierwszą kobietą copywriterem - powiedział pan Henry. - Nie zanosz się na to, byśmy szybko zatrudnili kolejną.

Zapadło milczenie. Grace uświadomiła sobie, że czekają, aż teraz ona coś powie. W końcu zdołała to z siebie wydusić.

- Dziękuję, sir.

Wstała i już miała wyjść, ale nie mogła się powstrzymać przed dodaniem czegoś jeszcze.

- Nie wszystkie kobiety są takie same. Nie traktujcie mnie jako wymówki, by nie dawać pozostałym szansy. Jeśli nie dostrzeżecie tego, co wnoszą do tej pracy copywriterki, utkniecie już na zawsze w dziewiętnastym wieku, gdy tymczasem wasza konkurencja będzie się ścigać w nowoczesnym świecie.

- Wystarczy! - Pan Henry uniósł dłoń, jakby chciał zasłonić się nią przed widokiem Grace.

Gdy wychodziła z budynku po raz ostatni, dźwigając w pudle swoje drobiazgi, Grace dostrzegła, że drzwi biura Cato są szeroko otwarte - chyba tylko po to, by mógł widzieć, jak ona stąd odchodzi. Podnosząc wzrok, spojrzała na niego. Pomachał jej radośnie.

Położywszy pudło na podłodze, Grace weszła do biura. Cato siedział w fotelu, z nogami na biurku. Rozmawiał przez telefon. Mimo że stała obok, nie przerwał rozmowy. Tylko jego uśmiech nieco zbladł. Zbladł jeszcze bardziej, gdy Grace podniosła wazon z kwiatami, który stał na biurku.

Białe, anonimowe kwiaty z trójkątnymi płatkami. Podniosła je do twarzy i wciągnęła nosem powietrze: nie miały nawet

zapachu. Wyjęła je z wazonu, a potem przechyliła go, wylewając wodę prosto na głowę Fergusonu. Słuchawka wypadła mu z ręki.

- Ty... Ty... - Nie był w stanie powiedzieć niczego więcej.

- Nigdy nie umiałeś znaleźć odpowiednich słów, co? -Odwróciła się i wyszła z biura.

W korytarzu usłyszała aplauz maszynistek. Rozdała im kwiaty, a potem podniosła swoje pudełko i wyszła z budynku.

Na ulicy nie czuła się już tak swobodnie. Wielkie drzwi zamknęły się za nią po raz ostatni i oto była tu, oślepiąca porannym słońcem, ściskająca pudełko swoich gratów, zbłąkana i zagubiona. Cóż teraz począć?

Oczywiście, powinna iść do domu. Ale wizja picia herbaty i współczucia Nancy nie wydała jej się szczególnie pociągająca. Tak czy siak, Nancy będzie się teraz zajmować Cramerem, robiąc z jego powodu zamieszanie, pomagając mu wskoczyć na przysłowiowe siodło. Jeśli chodzi o mamę - cóż, Grace nie czuła się dość silna, by zmierzyć się z jej rozczarowaniem i brakiem aprobaty, przynajmniej nie dzisiaj.

Chcąc wymyślić lepszy plan, postanowiła posłuchać własnej rady i udać się do Lyons Corner House na Piccadilly, by poprawić sobie humor porcją lodów: jedna gałka waniliowych, jedna cytrynowych, a wszystko to w szklanej miseczce. Jadła jak dziecko, które chce nacieszyć się przysmakami tak długo, jak to tylko możliwe, biorąc do ust jak najmniejsze porcje. Później zamówiła dzbanek herbaty i tak długo siedziała ze stojącą przed nią filiżanką, aż herbata wystygła zupełnie, pokrywając się oleistym nalotem.

„Siedziałam tu z Nancy przed jej dwudziestymi czwartymi urodzinami - pomyślała. - Dokładnie przy tym stoliku. Tego dnia, gdy skończyłam z Georgeem”.

Ta świadomość wcale jej nie zdenerwowała. Niby czemu? To był po prostu zwykły stolik w kawiarni. Tak naprawdę ona i Nancy spędziły wtedy całkiem miłe popołudnie i byłoby świetnie, gdyby nie dzieląca je niewidzialna ściana. Nie, to po prostu sprawiło, że Grace zaczęła się zastanawiać, jak często wracamy wszyscy do pewnych momentów z naszej przeszłości. Znowu siedziała przy tym stoliku - i znowu starała się odgrodzić od ostatnich wydarzeń, ruszyć naprzód. Poprzednio zerwała z Georgeem, ale została w domu, z rodziną, decydując, że rodzina ma pierwszeństwo - że zawsze będzie je mieć. Tym razem zastanawiała się, czy nie lepiej by było zrobić na odwrót - wyprowadzić się, zacząć od nowa gdzieś daleko stąd.

Kusiła ją myśl o zamówieniu kolejnego dzbanka, ale krępowała się wezwać kelnerkę. Wiedziała, że na jej twarzy malowałaby się wyraz irytacji, jak zawsze, gdy klient siedzi gdzieś zbyt długo. Więc zamiast tego poprosiła o rachunek. I gdy przeszukiwała torebkę, szukając drobnych na napiwek dla kelnerki (chciała dać duży napiwek, by udowodnić, że nie należy do tych, co to przesiadują w lokalach zbyt długo), coś jej się przypomniało. Tego ranka miała się przecież gdzie wybrać.

To był jeden z tych wielkich, białych, czysto wyglądających georgiańskich domów niedaleko Victoria and Albert Museum. Grace zdawało się, że South Kensington to miejsce przepełnione słońcem i rozwijające się w ekspresowym tempie. Hampstead, z drugiej strony, było stromą, porośniętą mchem częścią Londynu, miejscem pełnym melancholii, skłaniającym do głębokich rozmyślań.

Gdy ona, Nancy oraz Sheridan byli jeszcze dziećmi, bywała w domu Hamiltonów-Shapcottów wiele razy, lecz

później, jako dorosła, już tutaj nie wracała. Od czasu jej ostatniej wizyty rodzice Sheridana zdążyli umrzeć. Odkąd on został jedynym właścicielem, dom zyskał wiele charakterystycznych egipskich dodatków. Bramę wieńczyły czarno-złote sfinksy z przymkniętymi, zmysłowymi oczami. Kołatkę stanowiła mosiężna głowa szakala. Nawet numer na drzwiach - ósemka - był zwiniętym węzem, który trzymał w pysku swój ogon i wyglądał tak, jakby pożerał sam siebie.

Drzwi otworzył krępy mężczyzna w stroju kamerdynera. Zabrał od niej pudełko i poprowadził przez korytarz, którego ściany były pokryte złotymi hieroglifami (wyglądającymi trochę jak te z wizytówek), prosto do pokoju, który bardziej przypominał wnętrze muzeum niż salon. W szklanych pojemnikach znajdowały się splekane starożytne naczynia ceramiczne, groźnie wyglądające sztylety, klejnoty tak wykwintne, że ciężko było uwierzyć, że naprawdę istnieją. Ściany były zasłonięte regałami pełnymi książek, gdzieniegdzie obwieszone zwojami i arrasami z malunkami przedstawiającymi piramidy.

- Pan Hamilton-Shapcott wkrótce do pani dołączy. - Lokaj wskazał jeden z dwóch karmazynowych szezlongów. - Proszę spocząć. Czy życzy sobie pani herbaty bądź herbatników?

- Głace, skałbie! - Sheridan miał na sobie białą koszulę i szare flanelowe spodnie. Bez swojego zwyczajowego makijażu wyglądał wreszcie niezbyt oryginalnie. - Tak się cieszę, że przyszłaś. - Stał bokiem, by przepuścić lokaja. - I przyznaję, nieco jestem zaskoczony. Myślałem, że zupełnie zapomnisz o naszym dzisiejszym spotkaniu.

- Ani trochę. Rany, ależ ten pokój się zmienił. Pamiętam poprzednie dekoracje i tamten ogromny olejny obraz. Gainsborough, tego typu rzeczy.

- Łacja. Łóżne takie. - Przewrócił oczami, zdjął kapcie i przysiadł na jednym z szezlongów.

Ona zajęła drugi, zdejmując buty i ustawiając je na dywaniku leżącym u jej stóp.

- Pomyślałem, że jeśli całkowicie przełobię ten pokój, będzie wieszcie mój, a nie mojego ojca.

- I to ci się udało. Potrząsnął głową.

- Może nie jest teraz w jego stylu, ale to jednak wciąż jego dom. Nawet bardziej niż kiedykolwiek. Wciąż jest gdzieś tu obecny, pod całym tym złotem, kłtykując moje ozdóbki i głupie pomysły. Mam na górze wielką egipską tłumnę, muszę ci ją później pokazać. Czasami śni mi się, że wyskakuje z niej mój ojciec, owinięty bandażami jak jakaś mumia. -

Grace nie mogła się nie zaśmiać. - Inny problem to Cecile. - Położył się na plecach i wbił wzrok w sufit, splatając sobie dłonie pod głową. - Poznałaś moją żonę, Cecile? To znaczy moją byłą żonę. Stłasznie chciałem żłobić na niej włazenie. Niemal wszystko, co popełniłem, było wyłącznie z myślą o niej. Teżaz, gdy jej nie ma, to stłaciło sens.

- Przykro mi.

- Nie musi ci być przykło. To tak napławdę moja wina. -Znów przyszedł lokaj, niosąc na tacy herbatę i herbatniki. -Jenkins, jesteś dopławdy wspaniały. Czyń swoją powinność. Świetny z ciebie chłop.

Jenkins, odziany w białe rękawiczki, w milczeniu nalał im herbaty, skinął głową i opuścił pokój.

- A co u ciebie, Głace? Wyglądasz dziś tłoszeczkę blado. Za dużo się wczoraj wypilo? Jakby co, Jenkins ma cudowne lemedium. Matka nauczyła go je łobić.

- Nie, dzięki. Lada moment mi się poprawi. Uniósł brwi z niedowierzaniem.

- Jeśli naprawdę musisz wiedzieć, to z powodu mężczyzny wpadłam jak śliwka w kompot. A raczej z powodu dwóch mężczyzn.

- Jej, musiałaś być niezłe zajęta!

- Jakby tego było mało, straciłam dzisiaj pracę. Fatalnie się zachowywałam. Wolałabym zresztą nie wchodzić w szczegóły. Ale tak między nami, to chciałabym się na trochę oderwać od rodziny.

Narzekania matki i jeszcze ta Nancy. .. To dla mnie teraz trochę za dużo.

- Jakie to intlygujące. Cóż, zawsze możesz zostać ze mną. Ucieszy mnie twoje towarzystwo. - Już otwierała usta, by zaprotestować, gdy dodał. - Napławdę, Głacie. Ty i ja jesteśmy jak łodzina.

- Dziękuję. - Emocje ścisnęły jej gardło i mogła wydusić z siebie niczego więcej. Siedziała więc tylko, trzymając filiżankę z herbatą, i gapiąc się na zgromadzone wokół artefakty.

Sheridan śledził jej wzrok.

- Myślisz pewnie, że moja egipska kolekcja jest idiotyczna, że to tylko kosztowne hobby zepsutego chłopca.

- Wcale nie.

- Cóż, nie miałbym ci tego za złe. - Wstał, podszedł do regału z książkami i zdjął z niego ciężki album pełen zdjęć. - Spójrz na to. - Otworzył album, przewrócił kilka stron i podał go Grace.

Na jednym ze zdjęć widać było rząd mężczyzn, nachylających nad czymś z łopatami, kilofami i innymi narzędziami. Wszyscy nosili krótkie spodenki, ciężkie buciory i kapelusze z szerokim rondem. Wyglądali na szczęśliwych. Ciężko było wyłowić jakiś sens z kolejnych fotografii. Przedstawiały ciemną przestrzeń i kilka nieokreślonych przedmiotów rozrzuconych dookoła.



- To głobowiec ałystokłaty. Podejrzewamy, że to był burmistrz miasta Luxor. To wszystko leżało tam, gdy otwałli kłyptę. Wszedłem do śłodka jako piełwszy. A popatrz tylko na to. - Przewrócił stronę. Na kolejnym zdjęciu były jakieś czarne, zwęglone obiekty. - To ołgany wewnętrzne samej kłólowej. Po śmiełci wyjmowano je z ciała. Przywiozłem je tutaj i przekazałem do Błitish Museum. W tej chwili leżą w ich skałbcu. Chyba płacownicy muzeum boją się, że przy przenoszeniu mogłyby się łozpaść. To cud, że ciągle istnieją. Mam nadzieję, że pewnego dnia będziemy mieli urządzenia, które pozwolą nam lepiej je zbadać, dowiedzieć się, co kłólowa jadła, ile miała lat i jak umaiła. Bałdzo chciałbym dowiedzieć się o niej czegoś więcej; może kiedyś będzie to możliwe. Długo czekała, byśmy ją złozumieli, może więc poczekać jeszcze łoszeczkę. Mam tylko nadzieję, że ja tego dożyję. - Grace znowu spojrzwała na mężczyzn rozkopujących grób. - Egipsy ałystokłaci zabieliłali w podłóz pozagłobową wszystkie swoje ulubione przedmioty - opowiadał Sheri-dan. - Głób tego człowieka ujawnia więcej niż inne wielkie głobowce. Na ścianach namalowano ludzi głających muzykę i ganiających się. Był też duży półtłet pięknej kobiety, bez wątpienia jego żony, ubłanej w długą, białą suknię. Wszędzie było też pełno winogłon ołaz wina.

- Myślę, że znam parę osób, które właśnie takie wspomnienia chciałyby zabrać ze sobą w podróż do Życia Wiecznego.

Odłozył album na bok.

- Moja matka zniknęła ze świata tak samo jak ci Egipcjanie. A nawet bałdziej, w pewnym sensie. Umiełając, powiedziała mi kilka rzeczy, tylko łragmenty wspomnień, ale dzięki nim dostrzegłem w niej zupełnie inną kobietę. I na siebie też spojrziałem inaczej.

- Jak to? - Grace dopiła herbatę.

- Może to zabrzmieć jak wariactwo, ale nigdy siebie nie łozumiałem. Gdyby alchemik wykopał moją łodzinę, od łazu by widział, że coś jest nie tak. Moja matka, delikatna i wyłafinowana, a ojciec: twardy przemysłowiec z Północy. Warzył słabe piwo dla ludzi, którzy nie umieli nic, tylko pić. Tak, nasz łodziny tłupek jest naprawdę kiepski, ale nie mów nikomu! Widzisz tę łozbieżność? Jak to się stało, że tacy ludzie byli łazem? I co ze mną, ich poświęconym synem?

- Jeśli tak na to spojrzeć, to żadna rodzina nie ma większego sensu - odparła Grace. - Ludzie zakochują się w sobie z najdziwniejszych powodów. A gdy chodzi o dzieci, to nikt nie zdoła odgadnąć, na kogo wyrosną.

- Może i masz łację. - Dolał im jeszcze herbaty. - Może moja osobowość jest łęacją zwłóconą przeciwko tacie.

- Cóż, tak daleko bym nie...

- Tak, ale twój ojciec, o ile dobrze pamiętam, był naprawdę wspaniałym człowiekiem. Człowiek kultury i intelektu, darwinista. To musiało być dla naszych matek dziwne: dwie szkolne koleżanki związane z mężczyznami, którzy stanowią swoje przeciwieństwa. Musiały być zaskoczone, gdy oni dwaj zaprzyjaźnili się ze sobą. Jak ułoczo, że te dwie łodziny tak długo trzymały się łazem.

- Tak, to było uroczyste - odparła Grace. Po czym, jakby badając grunt pod stopami, zapytała. - Jak myślisz, co się stało, że nagle zupełnie zerwali wszystkie kontakty? To był potężny rozłam, nie uważasz?

- Pamiętasz tę moją irlandzką nianię zmuszającą nas do jedzenia flaków? - wypalił niespodziewane Sheridan. - A ten dzień, gdy ty i Nancy kazałyście mi włożyć tę dziecięcą czapeczkę? - Spojrzał na nią smutnymi oczami. Widziała go teraz w tamtej czapeczce, twarzyczka otoczona koronką.

- Zawsze zazdrościłem tobie i Nancy.

- Naprawdę? Czemu?

Bo miałyście siebie. A ja zawsze byłem sam jeden. Po tym zełwaniu kontaktów było jeszcze gorzej. To stłaszne, że stłaciłem was obie. Grace spoważniała.

- Sheridan, czemu tamtego dnia odwiedziłeś moją matkę? Nie chodziło tylko o wspominki przy zdjęciach, prawda? Chciałeś z nią porozmawiać o jakiejś konkretnej sprawie.

Potrząśnięcie głową.

- Och, Głace, to takie tłuadne. Chciałem o tym z tobą po-łozmawiać, ale Catheline kazała mi przysiąc, że nie powiem ani słowa.

- Zabawne. Mnie kazała obiecać dokładnie to samo. -Grace przygryzła wargę.

Sheridan zmierzył ją wzrokiem.

- Chodzi o to, że moja matka... Cóż, jak sama wiesz, nigdy nie była specjalnie wylewna, ale na łożu śmiełci zaczęła mi się napławdę zwierzać.

- Czyżby?

- Mówiła o przeszłości i tym wszystkim. Coś się wydarzyło, Głace. Między naszymi łodzicami...

- Sheridan... Ja przecież wiem. I Nancy tak samo. Już w porządku. Zawsze o tym wiedziałyśmy.

Jego twarz się rozjaśniła.

- Dzięki Bogu! Jak cudownie, że możemy o tym pomówić. Catheline była przekonana, że żadna z was nie ma o tym pojęcia. - Poderwał się na równe nogi i złapał Grace za ręce. - Zostań u mnie na jakiś czas. Będziemy się świetnie bawić. Mamy to we kłwi, no nie?

- O rany. - Jego radość budziła jej zakłopotanie. - To znaczy, dziękuję, strasznie miło z twojej strony, ale...

- To, co powiedziała mi matka, no wiesz, gdy już była umielająca... Cóż, w głębi sełca zawsze to przeczuwałem. Sama łozumiesz, nigdy nie miałem wiele wspólnego z moim

ojcem. Zawsze czułem, że należę do innego gatunku, odkąd byłem jeszcze małym chłopcem. Napławdę, nie mieliśmy zupełnie n i c wspólnego. I okazało się, że był ku temu dobry powód. Nie wymyśliłem sobie tego, nie jestem jakimś dzi-wadłem. - Puścił jej ręce i wyprostował się nagle. - Zawsze czułem się taki samotny... A też okazuje się, że wcale tak nie jest. Oczywiście, że musisz tu zostać, moja kochana siostrzyczko.

Siostrzyczko? Czy to jakiś nowy rodzaj egipskiej zażyłości?

- Sheridan, też miłe wspominał nasze dzieciństwo, pewnie że tak. Ale cała ta gadka o więzach krwi i końcu samotności... Na mam pojęcia, co próbujesz mi powiedzieć.

- Och, przepłaszam! Musiałem źle zrozumieć. Myślałem, że mówiłaś, że o tym wiesz. Jestem twoim błatem, Głace. Cóż, pół-błatem. Ale i to dobrze, no nie?

Nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Czy ty kompletnie oszalałeś? Gdyby moja matka miała jeszcze jedno dziecko, chyba bym o tym wiedziała!

Teraz to Sheridan zmarszczył brwi, jakby szukając właściwych słów.

- Kochana - powiedział w końcu. - Chyba zaszło jakieś niepołożumienie. Jeśli dobrze łozumiem, twiełdzisz, że twoja matka miała łomans z moim ojcem. Nic o tym nie wiem. Ja mówię teraz o tym łomansie, któły miała moj a matka z twoim ojcem. To znaczy: naszym ojcem.

CZESC IV

PODROZE

## ROZDZIAŁ 1

### Przeszłość

Piętnastego grudnia 1925 roku Grace, Dickie i dwuletnia Tilly spacerowali w parku Heath. Przyglądali się mężczyznom przygotowującym ognisko, zbierającym na wielką stertę gałęzie, kawałki starych mebli i popękane skrzynki. Dzień był ładny i jasny, ale w powietrzu czuć już było zimę. Czuć było śmierć.

- A gdzie ogień? - zapytała Tilly.

- Rozpała go wieczorem, kochanie. - W głosie Grace pobrzmiwało znużenie. Nie pierwszy raz wyjaśniała to dziecku. - Będzie też pokaz fajerwerków, pieczone ziemniaczki i...

- Ale ja chcę, żeby ten ogień był już teraz! - Tilly zrobiła nadąsaną minę.

- Nie martw się, słoneczko. - Dickie poklepał ją po ramieniu. - Wszyscy przyjdziemy tu wieczorem, żeby zobaczyć, jak pała Guya Fawkesa. -

Tilly zanosła się płaczem i puściła biegiem przez trawę. Dickie był wstrząśnięty. - Co ja takiego powiedziałem? Mam biec za nią?

- Nie przejmuj się. - Grace objęła go ramieniem. - Nie ucieknie daleko. Mam wrażenie, że nie do końca zrozumiała

te cała historię z Guyem Fawkesem. Chyba myśli, że mają zamiar spalić żywą osobę.

- Przepraszam, Gracie. Nie wiem, jak się zachować przy dzieciach. Ależ ze mnie baran.

- Nie gadaj bzdur. Świetnie sobie z nią radzisz. Biedne maleństwo nie jest dziś sobą.

Tilly podbiegła do mężczyzn, zaciekawiona wielką stertą drewna.

Przestała płakać. Podniosła małą gałązkę i wlokła ją za sobą po ziemi.

Stos miał już dobre trzy metry wysokości. Dzisiejsze ognisko będzie naprawdę ogromne. Sama myśl o tym, samo wyobrażenie czegoś tak potężnego, żarłocznego i gorącego sprawiło, że Grace zadrżała i przysunęła się do Dickiego. Dzięki Bogu, że miała go u swego boku. Jej opokę.

- Gdy będzie po wszystkim, George chce zostać skremowany - powiedziała cicho.

- Naprawdę? Jakież to dziwne. A nie mówiłaś przypadkiem, że macie na cmentarzu Highgate rodzinne mauzoleum?

- Owszem. - Wciąż przyglądała się stertom drewna i okrażającemu je dziecku. Tilly biegła w kółko, z wyciągniętymi na bok rękami, udając, że jest samolotem. - Ale on nie chce tam trafić. Dręczą go koszmary o tym, że jest uwięziony w trumnie, zamknięty pod zimnym kamieniem.

Poprosił mnie, bym pomogła Nancy wyjaśnić to jego rodzicom.

- Biedak. Swoją drogą, rodzice też biedni.

- Dickie. - Grace walczyła z napływającymi jej do oczu łzami. - Możemy gdzieś wyjechać? To znaczy po tym wszystkim? Nie mogę zostawić Nancy na dłużej niż kilka dni, ale myślę, że będę potrzebowała chociaż tych paru dni, by odetchnąć. Muszę się jakoś pozbierać. Wrócę z nowymi siłami i będę dla niej bardziej pomocna. Może tak być?

- Oczywiście, skarbie. Jak sobie życzysz. - Przytulił ją, a ona położyła głowę na jego ramieniu.

- Lekarz mówi, że to już kwestia dni. - Wiatr rozrzucał dookoła wyschnięte liście. - Nancy znów jest w ciąży. Prawie trzeci miesiąc. Strasznie to przeżywa.

- Wiem - powiedział cicho. - Już mi o tym wspominałaś.

- Jak my sobie bez niego poradzimy. - Stała tam, w objęciach Dickiego, wiedząc, że tylko dzięki niemu jeszcze się jakoś trzyma. Gdyby ją teraz puścił, mogłaby po prostu zacząć spadać.

Później tego popołudnia, Grace jak zawsze usiadła przy łóżku Georgea. Nancy była na dole, razem z Tilly. Dzienna pielęgniarka poszła już do domu, a ta pracująca nocą jeszcze nie dotarła.

George, chudy jak szczapa i z zapadniętą twarzą, pólleżał oparty o poduszki. Nie mógł już wstawać z łóżka o własnych siłach.

- Mogę je otworzyć? - Grace podeszła do okna, nie czekając nawet na odpowiedź. Przesunęła zatrzask. Zapach w tym pokoju był nie do zniesienia. Jakby rak sprawiał, że organizm Georga zaczynał gnić. Może zresztą tak właśnie było.

Lekarze nie mieli pojęcia, gdzie i kiedy zaczął się rozwijać ten nowotwór. Rozniósł się szybko i niezauważalnie po całym organizmie. George mówił, że to jak cicha, dobrze wyszkolona i śmiertelnie niebezpieczna armia. W chwili, gdy go zdiagnozowano, były już przerzuty na cały układ limfatyczny i do płuc.

George zaczął obwiniać o to wojnę. Twierdził, że w okopach został otruty gazem. Dostawali tam wprawdzie różnego rodzaju maski, ale żadna z nich nie była tak naprawdę



skuteczna przeciw tym świństwom rozpylanym przez Niemców. Kilka razy nawet, gdy wiatr zaczął wiać w przeciwnym kierunku, tamci zagazowali się sami.

- Wyglądasz okropnie. - Głos Georgea był słaby, niewiele głośniejszy od szeptu. - Kiedy ostatnio byłaś u fryzjera?

- Aleś ty pyskаты! - Poklepała go po kolanie przez warstwę koców. Wydawał się taki drobny. Jakby się kurczył: tak wzdłuż, jak i wszerz. - Nie mam ostatnio czasu na takie rzeczy.

- No już, już. - Pokiwał na nią palcem. - Nie poddawaj mi się tu, młoda damo. Z takim podejściem nigdy nie znajdziesz męża. - Mówiąc to, sięgnął po jej dłoń. Jego była zaskakująco silna i ciepła.

- A kto mówi, że chcę męża? - Pragnęła zostać tu na zawsze, ściskając jego dłoń. Nie robili tego już od trzech lat. - Jest tylko jeden facet, za którego chciałabym wyjść. Czekałam, aż poprosi mnie o rękę, ale wybrał inną.

- Brednie. W życiu nie powiedziałaabyś mi „tak”. Należysz do tych irytujących kobiet, które chcą wyłącznie tego, czego nie mogą mieć.

- Możesz tak myśleć, jeśli masz ochotę. Nie poprosiłeś, więc nigdy się nie dowiesz.

Jego wzrok zdawał się wędrować po jej twarzy.

- Wiem o tobie już wszystko, co można wiedzieć, Grace.

Od trzech lat byli względem siebie bardzo uprzejmi i taktowni. Wyrwała w postanowieniu, że ich związek musi się skończyć i trzymała się tego.

Przez cały ten czas żadne nie poruszyło tego tematu. Ale niedawno, jakoś w ubiegłym tygodniu, oboje stali się nieco bardziej sentymentalni i zarazem bardziej skorzy do figli. Nie mając przed sobą żadnej przyszłości, George zaczął żyć przeszłością. A Grace pozwalała sobie na towarzyszenie mu w tym, choć troszeczkę.

- A co z Dickim? - Jego słowa sprawiły, że czar nagle przysł.

- Nie chcę rozmawiać o Dickim.

- Oświadczył ci się już? Wyrwała dłoń z jego uścisku.

- Oświadczył się, prawda? I jak brzmiała twoja odpowiedź?

- George, proszę. Mówiłam, że nie chcę o tym gadać.

- Ha! - Jego oczy rozbłysły. - Wiedziałem! Stara dobra Grace. Tak jak mówiłem, interesuje cię tylko to, czego nie możesz mieć.

- Jeśli już musisz wiedzieć, to powiedziałam, że teraz nie pora na to. Nie mogę rozmyślać o małżeństwie. I ty chyba powinienesz to rozumieć. Szczerze mówiąc, nie sądzę, bym kiedykolwiek wyszła za mąż.

- Rozumiem - odparł. - Może to i lepiej.

- Co to miało znaczyć? - Patrzyła na jego włosy. Wciąż gęste, miedziane z pasmami złota. Patrzyła w jego smutne, piwne oczy.

- Chcę cię o coś poprosić, Grace.

- Nie. - Spodziewała się, że to powie. - Błagam. Nie mów tego. Odpowiedź brzmi „tak”, ale nie mów tego głośno. Nie zniosę tego.

- Ty irytująca łobuzico! Skąd mogłaś wiedzieć, o co chcę spytać?

- Ja też wiem o tobie już wszystko, George. - Nieznacznym uśmiechem, który szybko zniknął. Westchnienie. - Oczywiście, że będę opiekowała się Nancy i Tilly. I dzidziusiem też. Dobrze wiesz, że będę.

Jego twarz przybrała poważny wyraz.

- Obiecuj mi, że zawsze będziesz ich stawiać na pierwszym miejscu. Tylko ty możesz to dla mnie zrobić. Tylko ciebie mogę o to prosić. Bądź przy niej, gdy urodzi się dziecko. Bądź przy niej, bo ja nie będę mógł tego zrobić.

- George, błagam, przestań. - Oczy zaszyły jej łzami.
- Nasza trójka trzymała się razem od tak dawna. Od śmierci Stevena. Ciekawe, co by było, gdyby przeżył.
- Wszystko potoczyłoby się inaczej. Czwórka to już zupełnie inna liczba.
- Podobnie jak dwójka. Zostaniecie tylko ty i Nancy. Ale dwójka to też dobra liczba.
- Nie zapominaj o mamusi.

Machnął ręką z lekceważeniem. Catherine się nie liczyła. Nie w jego rachubie. Podobnie jak Dickie, najwyraźniej.

- Obiecuj mi, Grace.
- Tak, tak. Już to mówiłam, prawda? - Trzepnęła go w rękę. Udawała radosną. - A teraz już się przymknij. Może pozwolisz mi się ogolić? Przygotujemy cię na przyjście Nancy. Chcesz?
- Och, nie teraz. - Znow zatonął w poduszkach. - Jestem zbyt zmęczony. - Gdy zamknął oczy, jego twarz była ledwie obleczoną w skórę czaszką. Ujęła jego rękę i siedzieli tak w ciszy. W końcu zasnął, więc delikatnie położyła jego dłoń na kocu i wstała, by wyjść.
- Cóż za cudowny sen. - Miał zamknięte oczy, ale na ustach błąkał mu się uśmiech.

Klepnęła go w kolano.

- Do zobaczenia, kochanie.

Wtedy rozmawiali ze sobą po raz ostatni.

## **PICCADILLY HERALD**

*13 czerwca 1927*

### **Z życia West Endu**

#### **Dexter O'Connell wraca do domu**

*Poniższy tekst jest pożegnalną wiadomością od zapracowanego gryzipiórka do jego Muzy; wiadomością, którą gryzipiórek, z nieznanymi dla niego powodów (może dlatego, że lubi wystawiać swoje prywatne życie na widok publiczny), zdecydował się zamieścić w gazecie.*

*Pozwólcie mi na tę przyjemność.*

*Moja droga damo, podczas naszego pierwszego spotkania pomyślałem, że nie możesz być już bardziej radosna, skomplikowana, elegancka czy nieprzewidywalna. Myliłem się. Z każdym kolejnym dniem stajesz się coraz bardziej ekscytująca. Widzę cię teraz, przystrojoną w czerwień. Czerwień, kolor krwi i niebezpieczeństwa, jest twoją prawdziwą barwą. Staje się tobą. Jesteś tak zmienna. Wystarczy, że mrugnę, a wszystko staje się zupełnie inne. Jesteś teraz znacznie bardziej rozgorączkowana niż kiedyś. Tętnisz nerwową, niespokojną energią, która niekiedy ociera się o szaleństwo. Z tego jesteś znana. Ale pod twoją chaotyczną powierzchnią kryje się porządek. Twoje najlepsze cechy mają w sobie jakąś majestatyczność i niezmiennność. Przetrawisz to, moja miłości. Będziesz żyła wiecznie.*

*O poranku jesteś świeża i rześka. Ożywiona nowym dniem. Dojrzałym, złotym popołudniem stajesz się ospała i zrelaksowana. Najbardziej egzotyczna stajesz się nocą, błyszcząc w te długie letnie wieczory, jaśniejąc w ciemności. Twoja muzyka jest nastrojowa, twój taniec boski. Trzeba jednak zaznaczyć, że potrafisz też być sprośna.*

*Za kilka dni mam wrócić do mojej żony. Tak, to prawda. Moje miejsce jest gdzie indziej. Moja żona jest bardziej pruderyjna od ciebie, uczepiona zasad i nakazów, bardziej religijna. Może dlatego tak często staram się trzymać od niej z daleka. Mimo że jest młodsza od ciebie, jej obsesją są historia oraz tradycja, ściśle przestrzega też snobistycznej towarzyskiej etykiety. Może właśnie dlatego, że wciąż jest młoda. Choć za zamkniętymi drzwiami okazuje się bardziej rozrywkowa, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Należy do mnie, a ja należę do niej. Zawsze wracam. Mam inne kochanki rozsiane po całym globie. To nie sprawi, że ktokolwiek zacznie mnie bardziej lubić, ale nie należę do tych, którzy mogą długo wysiedzieć w jednym miejscu. Przynajmniej potrafię mówić o tym szczerze. Ludzie mogą wyrażać dezaprobatę, mogą kiwać palcem, ale czy byliby w stanie oprzeć się powabowi tej Francuzeczki bardziej niż ja? Jest taka szykowna, finezyjna, i - no cóż - po prostu napalona. Tak, to prawda, zadziera czasem nosa, ale przecież nikt nie jest doskonały. Ale zapomnijmy o Paryżu. Zapomnijmy o moim Nowym Jorku. Ty, uroczy Londynie, jesteś największym i najlepszym miastem świata. Przyjechałem tu po raz pierwszy od siedmiu lat i - o rany - ileż czekało mnie niespodzianek. Szokujący widok Piccadilly Circus bez rzeźby Erosa, jak twarz pozbawiona nosa, gdy tymczasem pod ziemią, w litej skale, wykuwana jest gigantyczna stacja metra. Być może najbardziej zadziwiająca jest to, że ryją te tunele pod naszymi nogami.*

*Choć i na powierzchni panuje ruch większy niż poprzednio, tamowany nieco wszystkimi tymi przepisami i zakazami, migającą sygnalizacją świetlną. Moim zdaniem właśnie to charakteryzuje Londyn: nieustanny konflikt między całym tym szaleństwem a ścisłym przestrzeganiem reguł.*

*Budynki wznoszą się rok za rokiem, zupełnie jak dzieci. Spójrzcie tylko na te wszystkie domy towarowe, na wszystkie banki z ich greckimi i egipskimi kolumnami, z włoskimi rzeźbami; na ich nowoczesne czarne granity, regularne linie i wygładzone krzywizny. Można by pomyśleć, że próbujecie zagrać na nosie nam, zarozumiałym jankesom. Cóż, zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni.*

*Ależ to była przyjemność: odprężyć się w waszych pubach, z piwem i szampanem. „Witamy konstabla, skusi się pan na jakiś trunek?”. Żadnych klódek na drzwiach, żadnych melin, żadnego chowania butelek po kieszeniach, żadnego wyskakiwania przez tylne okna, gdy gliny pukają do drzwi. Inne rzeczy mają już mniej sensu, jak na przykład wasze uwielbienie dla gry zwanej „football” (choć, owszem, nowy stadion Wembley godzien jest zachwytu). Poza tym krykiet, najwyraźniej antyczny przodek baseballu, walczący z imperatywami darwinowskiej ewolucji. Dobrze wam radzę, odpuśćcie go sobie. I wreszcie sposób, w jaki robicie steki - czy ma to przypadkiem coś wspólnego z garbowaniem skór? No i jeszcze ten deszcz...*

*Ale skończmy z rzeczami nieistotnymi. Może zresztą punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Pora już, byśmy się rozstali. Kochanie, byłaś moją inspiracją. Jesteś cudownym kłębkim sprzeczności. Sprawiałaś, że moje zimne, martwe serce znowu zaczęło bić. Może i sam bałem się właśnie tego pulsującego we mnie serca. Może po prostu nie jestem dobrym człowiekiem. Jakikolwiek by był tego powód, skrzywdziłem cię i przepraszam. Skrzywdziłem zresztą nie tylko ciebie, ale tylko*

*ciebie pokochałem. Musi gdzieś tam istnieć inne dobre serce, które bije dokładnie w takim samym szykownym, jazzującym rytmie, co twoje. Mam nadzieję, że się odnajdziecie. A teraz, gdy krew już zaczyna wrzeć w jego żyłach, Diabeł rusza do domu, by napisać swoją Wielką Powieść. Wreszcie jestem na to gotowy. Zadedukuję ją właśnie tobie.  
(Diamond Sharp powróci w przyszłym tygodniu)*

## ROZDZIAŁ 2

Kiedy pojawiła się jej matka, Grace mieszkała u Sheridana już od tygodnia. Był gorący poranek. Siedziała sama w małym ogrodzie na tyłach, sącząc pod parasolem lemoniadę. Usłyszała Catherine, jeszcze zanim ją zauważyła. Szuranie butów na wykafelkowanej podłodze i stłumione odgłosy protestu, nim otworzyły się francuskie okna, ukazując matkę, czerwoną na twarzy, z torbą na ramieniu i najnowszym wydaniem „Time and Tide” pod pachą. W tle usta Jenkinsa ściągnięte w poziomą kreskę.

- Ach, więc tu jesteś, Grace. Ten facet chce zabrać moje rzeczy!

- Pani wybaczy, *madame*, ale próbowałem tylko... Catherine upuściła torebkę.

- Wiem, co próbowałaś zrobić. Dobrze wiem, po co tutaj jesteś. Ale nie jestem tym zainteresowana i mogę sama ponieść swoją torbę. Jeśli pozwolisz, będę się tym cieszyć, póki zdrowie mi jeszcze na to pozwala. Dostrzegając w tym swoją szansę, Jenkins rzucił się na torbę. Catherine oparła ręce na biodrach.

- Cóż, ze wszystkich...



Mamo, po prostu daj spokój. - Grace złapała matkę za ramiona i ucałowała ją w policzek. - Jak dobrze cię widzieć. Cóż za urocza niespodzianka. Chodź tu i usiądź w cieniu. Jenkins, mógłbyś nam przynieść dzbanek lemoniady? Musisz jej spróbować, mamusiu. Jest aż do przesady dobra. Mam na jej punkcie fioła.

- Tak. Cóż... - Catherine usiadła sztywno. Wyglądała na skonsternowaną.

- W tej torbie mam trochę ubrań. Twoich. Z tego, co widzę, prawie nic tu ze sobą nie przyniosłaś. Musi codziennie prać ręcznie swoją bieliznę, pomyślałam, albo każe to robić gosposi, a żadna z tych ewentualności nie wydaje mi się właściwa.

- Dziękuję. - Grace ścisnęła jej dłoń. - Bardzo to rozsądne. Gdybyś tylko zadzwoniła, sama bym...

- Co byś niby zrobiła? Wymyśliła głupią wymówkę, żebym się tu nie pojawiała? - Zasłoniła dłonią usta, jednak nie dość szybko, by ukryć swoją minę.

- Och, mamusiu. Nie denerwuj się tak.

- Cóż... - Jej twarz zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. - Co mam sobie myśleć? Od czasu tamtej krótkiej rozmowy telefonicznej nie dałaś nawet znaku życia. Nie wiedziałyśmy, kiedy wrócisz do domu. Tilly wciąż o to pyta, ja się martwię coraz bardziej, a biedna Nancy jest przekonana, że musiała cię czymś śmiertelnie urazić.

- Przykro mi, mamusiu.

- Powinno być ci przykro. O co w tym wszystkim chodzi, młoda damo? Wielka pszczoła przeleciała tuż przed twarzą Catherine, cudownie nieświadoma kipiącego w niej szału.

- Słuchaj, nie chciałam, żebyście się o mnie martwiły. To ostatnie, czego bym pragnęła. Potrzebowałam po prostu trochę czasu dla siebie. Żeby pomyśleć. Bo w domu nie jest to łatwe.

- To nie jest łatwe dla żadnej z nas. Życie nieczęsto takie bywa - Catherine

skrzyżowała ramiona i wysunęła do przodu podbródek. - Musimy jednak ciągnąć ten wózek. A ty co? Uciekasz, tracisz pracę... - Patrzyła na stojące w grządkach egipskie statuetki i małe piramidy. - Grace, czemu zamieszkałaś akurat tutaj?

Przyszedł Jenkins, niosąc tacę. Lemoniada była żółta i mętna. Kostki lodu obijały się o krawędzie dzbanka. Catherine gapiła się na nie niczym zahipnotyzowana.

Grace poczekała, aż Jenkins wróci do domu.

- Zawsze byliśmy blisko, ja i Sheridan. Powiedział, że mogę tu zostać.

- Blisko? - powiedziała to z wyrazem twarzy zdradzającym odczuwany przez nią skrajny dyskomfort. Zupełnie jakby pod ubranie Catherine wpełzła pszczoła i kobieta wiedziała, że ta może ją w każdej chwili użądlić.

- Był najbliższym z moich przyjaciół. Opiekował się mną. Jest dla mnie jak brat... - Spojrzała w oczy matki i dostrzegła w nich coś jakby paniczne zrozumienie. Nalała im lemoniady, kostki lodu wpadły do szklanek.

Czekała.

- A więc ci powiedział. - Głos Catherine był teraz cichszy. - A obiecywał, że tego nie zrobi. Ty zresztą też obiecywałaś...

- Och mamó. No już, wydało się. Nic nie możesz na to poradzić.

- Nie. Raczej nie.

- Nie chciał złamać przyrzeczenia. Wiedziała, że coś jest nie tak, i nakłoniłam go, by mi powiedział. Ale czemu ty mi tego wtedy nie powiedziałaś? Dlaczego pozwoliłaś mi wierzyć, że cała wina leżała wyłącznie po twojej stronie?

- Nie ja powinnam ujawniać takie rzeczy - powiedziała Catherine, pociągając nosem. - Twojego ojca tu nie ma, nie może więc mówić za siebie. Jaki miałabym mieć interes, żeby

oczerniać go w oczach córki? Co dobrego mogłoby z tego wyniknąć?  
Tak czy owak, jego zachowanie wcale nie usprawiedliwia mojego.

- Ale nie widzisz, że to rzuca zupełnie nowe światło na całą sytuację?

Cała wasza czwórka narobiła tego bałaganu. Na litość Boską, przecież oni mieli dziecko!

Catherine gapiała się na kapryfolium.

- Spójrz na te pszczoły. Robią to, co powinny, to, do czego się urodziły...  
Co porabia teraz Sheridan?

- Jest w Tutankhamunie ze swoją księgową. Mamo, powinnaś powiedzieć o tym Nancy. Skoro ja wiem, ona też musi się dowiedzieć. I lepiej, żebyś to ty jej powiedziała.

- Chyba masz rację. Ojej. - Wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby i z wysiłkiem próbowała się pozbierać po tym, co właśnie usłyszała. - To miły chłopiec, prawda? Dziwny, rzecz jasna, ale bystry i bardzo rozrywkowy. Powiedziałabym, że to prawdziwy skarb. - Zmarszczyła brwi. - Ale marnuje swoje życie. Zupełnie jak ktoś, o kim mogłabym teraz wspomnieć... Naprawdę powinien wrócić na uniwersytet. Może pomówię z nim na ten temat. Bo jeśli nie ja, to kto?

Grace przewróciła oczami.

- Zatem... Czy wiedzieliście o sobie nawzajem? O tych dwóch romansach? To znaczy, czy zorientowaliście się, gdy jeszcze trwały?

Catherine zamieszała napój i pociągnęła łyk lemoniady.

- Owszem, wiedzieliśmy. O, to naprawdę jest dobre!

- Zawarliście ze sobą jakiś układ? Czy to był taki nowoczesny eksperyment towarzyski?

- Tak bym tego nie ujęła. - Znów wyglądała tak, jakby łąziła po niej groźna pszczoła.

- I obydwie pary zakończyły swoje romanse, gdy Amelia zaszła w ciążę?  
Catherine przytaknęła.

- Co się wydarzyło? Usiedliście razem w jednym pokoju i

porozmawialiście o tym jak przyjaciele? Jak cztery osoby mogą podjąć taką decyzję?

- Zagłosowaliśmy.

Grace zaśmiała się, zanim zdołała to powstrzymać.

- Och, mamusiu.

Niemal niesłyszalny chichot.

- Tak, jeśli się nad tym zastanowić, to przecież zupełny absurd.

Postanowiliśmy uporać się jakoś z sytuacją, która wymknęła się nam spod kontroli. Postąpiliśmy bardzo rozsądnie, bardzo demokratycznie. Jeśli cię to interesuje, decyzja zapadła jednogłośnie.

- Dobrze. - Myśli Grace płynęły teraz jedna za drugą, niczym wodospad. Starła się je zatamować.

- Twój ojciec był dobrym człowiekiem. Nie dopuszczaj do siebie myśli, że było inaczej. Wątpię, by sam zboczył z wyznaczonej sobie ścieżki, gdyby Amelia go nie skusiła. Złapała go w swoje wnyki, niczym królika. Nie mam pojęcia, czy naprawdę go kochała. Była bardzo... „głęboka”. Była jedną z tych irytujących, niezgłębionych kobiet, które trafiają się raz na jakiś czas. Ktoś żyjący z taką osobą musi ją nieustannie zgłębiać. Obydwu ich do tego ciągnęło, Edwarda i tatę. Mnie też, gdy jeszcze przyjaźniłam się z Amelią w szkole... Zazwyczaj potem wychodzi na jaw, że w tych głębinach nic się nie kryje. Wyłącznie próżnia. -Spuściła wzrok. Odchrząknęła. - Tata i Edward stanowili przeciwieństwa. Chodziło głównie o tę różnicę między nimi, tak jak o i tę między mną a Amelią. Tata przez pewien czas był nią oczarowany. - Wykręcała trzymane na kolanach dłonie. - Jednak koniec końców postąpiliśmy właściwie. I dla was, dzieci, i dla samych siebie. Dla siebie nawzajem.

Nic zawsze kochasz ludzi, których powinnaś kochać. Miłość po prostu ci się przytrafia. Nie możesz mieć jej na zawołanie.

- Ale zawsze możesz odejść. - Catherine przysunęła swoje krzesło bliżej Grace. - Czasami po prostu musisz, nawet jeśli to boli.

- Wiem.

Pobliski krzew był pełen biedronek. Wręcz tłamsiły się na nim wzajemnie. I jeszcze wszystkie te bielinki kapustniki. W tym niewielkim ogrodzie aż roiło się od życia.

- Co planujesz zrobić, Grace? Głęboki oddech.

- Mam zamiar wyjechać z Londynu.

- Nie możesz! - Catherine trzasnęła szklanką o stół, aż kostki lodu zabrzęczały głośno.

- Czemu nie? Zgadząmy się co do tego, że powinnam odejść. Myślę, że im dalej wyjadę, tym lepiej.

- Ale co z nami? Co z Nancy?

- Mamusiu, myślałam, że to zrozumiesz. Tak naprawdę będzie najlepiej. Zacznę na nowo. Będę wam przysyłać pieniądze.

- Tu wcale nie chodzi o pieniądze. Tilly i Felix strasznie za tobą tęsknią. Jesteś dla nich ważna!

Na dźwięk tych imion Grace poczuła ukłucie w piersi. Ostry ból w sercu.

- Ja też za nimi tęsknię. Ale muszę odejść. Catherine potrząsnęła głową.

- Wolałabym, by nic nie musiało ulegać zmianie. Kocham moje obie córki. Błagam, Grace, wróć do domu.

To było kuszące, niezmiernie kuszące, żeby powiedzieć teraz: dobrze, wrócę. Mogłaby pozbierać swoje rzeczy do torebki, podczas gdy Catherine leżałaby w słońcu, racząc się lemoniadą. W autobusie zaczęłyby dyskutować o problemach

u Pearsona, może mamusia miałyby obiekcje, a może i nie, a potem, gdy weszłyby przez frontowe drzwi, z salonu wyczołgałby się Felix - potrafił teraz raczkować tak szybko! -złapałby ją za nogę obiema rękami i ścisnął tak długo, aż by go nie podniosła i nie przytuliła. Tilly z początku trzymałaby dystans, ale gdy wreszcie zechciałaby podnieść wzrok znad swoich rysunków, powiedziałyby: „Ciociu Grace, przyniosłaś mi jakiś prezent?”. Odparłyby, że nie, ale lody i tak zostałyby przełamane. Znow byłyby przyjaciółkami. A potem wypisywałyby różne słowa, a Tilly próbowała je skopiować, przytulałaby Feliksa, i wszystko byłoby zupełnie jak dawniej - przynajmniej dopóki nie przyszłyby do nich Nancy.

- Powiedz mi jedno - poprosiła Grace. - Czy myślisz, że Nancy jest zakochana?

-Tak.

Lakoniczne przytaknięcie. Milczały przez chwilę, w tle brzęczały pszczoły, jarzyły się jaskrawe barwy kapryfolium i fuksji.

- Nie martw się. Nie wyjadę w pośpiechu. Przecież i tak jeszcze nie mam pojęcia, dokąd się udam. - Próbowała nieco się rozpogodzić i nadać swojemu głosowi radosny ton. -Powiedz lepiej, co ostatnio porabiałaś, mamusiu? Poszłaś na ten wiec Women's Freedom League?

- Wszystko ci opowiem, ale najpierw ty powiedz, co się wydarzyło w agencji Pearsona. Co się stało, moja mała?

Siedziały razem w słońcu, rozmawiając, a lód w ich szklankach powoli topniał.

### **ROZDZIAŁ 3**

Kilka dni po wizycie u Catherine Sheridan oświadczył, że miał telefon od Nancy i zaprosił ją, by spędziła z nimi popołudnie. To była szansa, by mogli zbudować między sobą nową relację.

- Zapłaszam na podwieczorek, skałbie - powiedział. - Tłójka łodzeństwa i takie tam. Ależ heca!

Grace zdawała sobie sprawę, że w najbliższym czasie będzie musiała spotkać się z Nancy. Nie mogła przecież wyjechać z miasta bez pożegnania. Wiedziała też, że jej lęk przed tym spotkaniem jest nielogiczny. Uroczą Nancy nadal była Uroczą Nancy, nieważne, w kim była aktualnie zakochana. Niemniej jednak John i George wciąż spędzali jej sen z powiek i naprawdę była pełna obaw. Przecież, mówiła sobie, nie musi to być akurat dzisiaj, prawda? Wielkie pojednanie nie musi chyba odbyć się natychmiast?

- Och, jaka szkoda, że mam inne plany - powiedziała lekko do Sheridanana i odwróciła się na pięcie, żeby nie zobaczył wyrazu jej twarzy.

To oczywiście dawało Grace idealną okazję, by zaglądnąć do domu przy Tofts Walk i zabrać jedną czy dwie walizki

swoich rzeczy. Nancy z pewnością nie będzie w domu. Gdy zatem młodsza z sióstr Rutherford jechała z Hampstead do Kensington autobusem, a potem tramwajem, pragnąc się spotkać z nowo odkrytym bratem, starsza z nich jechała dokładnie w przeciwnym kierunku, raz za razem czytając felieton O'Connella, który pojawił się tego dnia na łamach „Heralda”.

Dickie oczywiście uprzedził ją o tym zawczasu.

- Nie masz chyba nic przeciwko, prawda, Gracie? Chodzi o to, że nikt na moim miejscu nie odrzucałby felietonu od Dextera O'Connella. Już od lat nie pisał do gazet. A sama przecież mówiłaś, że dobrze by ci zrobiła krótka przerwa...

Wiedziała, że powinna się cieszyć, że w tym tekście O'Connell ją przeprosił. Że powinno jej pochlebiać, iż w swoim felietonie szczerze wyznał jej miłość. Ale sposób, w jaki przeproszał, napełniał ją goryczą. Zajął miejsce Grace tylko po to, by powiedzieć swoje. Musiał potwierdzić swoją siłę nawet wtedy, gdy wyznawał, że uczyniła go kruchym. I oczywiście cały ten artykuł był typową gierką O'Connella. Szczery gest zakopany został pod takimi zwałami sztuczności i próżności, że ledwo była w stanie się do niego dokopać. Szczerze mówiąc, po tym tekście zaczęła myśleć o O'Connellu jak o uporczywie brzęczącym komarze, którego po prostu trzeba pacnąć. Miała go już absolutnie powyżej uszu i będzie szczęśliwa, gdy wreszcie Margaret spakuje jego walizkę i zaprowadzi go na ten cholerny statek.

Była tak wściekła z powodu tego felietonu, że niemal przegapiła swój przystanek. Jak w półśnie pokonała dziesięciominutową trasę do domu, otworzyła frotową bramę i bezwiednie przekręciła klucz zamku. Zupełnie nie zwróciła uwagi, że po chwili ktoś inny otworzył tę samą bramę i szedł



tu, gwizdząc melodię *Five Foot Two, Eyes of Blue*, więc gdy len ktoś wesoło krzyknął jej imię i położył jej dłoń na ramieniu, serce załomotało jej w piersi i aż głośno pisnęła ze strachu. Odwróciła się i ujrzała Johna Cramera. Jej serce zamarło.

- Przepraszam - Cramer miał podwinięte rękawy koszuli, co odsłaniało jego opalone, muskularne przedramiona. - Nie chciałem cię przestraszyć. Zobaczyłem cię z okna i po prostu musiałem tu przybiec. Jak się miewasz?

- Świetnie, dzięki - odparła lodowato. Potem zmarszczyła brwi. - Zgoliłeś wąsy.

Skrzywił się i potarł górną wargę. - Kara za złe zachowanie na imprezie „Heralda”. Taką mam zasadę. Bez nich moja twarz wydaje się zbyt podłużna, nie sądzisz?

- Wąsy są jak zdechła mysz wetknięta pod nos.

- Aleś ty okrutna. Ja do swoich byłem bardzo przywiązany. A może raczej, one były przywiązane do mnie... -Uśmiechnął się.

Czuła, że zaraz sama też zaczyna się uśmiechać. Musiała to w sobie zwalczyć.

- Dobrze cię widzieć, Grace. Może wpadniesz do mnie na filiżankę herbaty?

Powściągliwe potrząśnięcie głową. Podrapał się w czoło.

- Nagadałem ci coś na przyjęciu, co? Przepraszam. Musiałem być chamski, może nawet ordynarny.

- Wcale nie. Po prostu mam sporo spraw na głowie... -Zza drzwi dobiegł ich jakiś odgłos. Ktoś schodził po schodach. Pewnie Catherine albo Edna. Grace przyjrzała się ogolonej twarzy Cramera. Teraz było wreszcie widać jego usta. To dobrze, miał bardzo ładne usta. - Chociaż może znajdę chwilę na jakiś króciutki spacer.

Na początku szli w ciszy, drepcząc po bruku Fiask Walk. Nie miała bladego pojęcia, o czym on teraz mógł myśleć. W niej aż się gotowało od emocji, bałaby się odezwać choćby słowem. Gdy ruszyli Weil Walk w

stronę Heath, wreszcie przełamał milczenie.

- Jeśli chodzi o przyjęcie... Chciałbym się wytłumaczyć.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Pierwszy raz od lat miałem w ustach alkohol.

- Nie wątpię.

- To się już nie powtórzy, Grace. Naprawdę, możesz mi wierzyć.

- John, to przecież nie mój interes.

Dotarli do East Heath, gdzie nierówną glebę porastały kępy długich traw.

Przed nimi drzewa garbiły się ku ziemi, a ich korzenie przebijały piaszczyste ścieżki, jakby walczyły o to, by wrócić na powierzchnię.

- W czasach gdy piłem, wciąż dręczył mnie sen o drewnie dryfującym na morzu. Przegniłe kawałki drewna wyrzucane na brzegi bezimiennych plaż, leżące na piachu, całe w glonach i osadzie. To był bardzo dziwny sen. Jakby w zwolnionym tempie. Dźwięk fal uderzających o brzeg... To mnie przerażało. - Nagle wzruszył ramionami. - Boże, to brzmi strasznie żałośnie, nawet jak na mnie.

- Ja tak nie uważam. - Gęsto rosnące drzewa w tej części Heath sprawiały, że było ciemno, mimo ładnej pogody. - Wiem, o czym mówisz. Niekiedy śnię o połowicznie otwartych drzwiach. W moich snach panuje przeciąg, więc drzwi kołyszą się to w przód, to w tył. Nieznaczne ruchy. A poruszając się, skrzypią. I ten dźwięk powtarza się raz po raz. Nic nie mogę na to poradzić. Śniłam też o potworach, chorobach i wojnie, no wiesz, wszystkie te zwyczajowe koszmary. Jednak sen o drzwiach przeraża mnie bardziej.

Więc rzeczywiście rozumiesz - odparł. - Gdy rzuciłem picie, przestałem też o tym śnić. Ale teraz, po ostatniej popijawie, to znów do mnie wróciło. I to już kilka razy. Nie mogę pozwolić, by ten koszmar powrócił, Grace. Nie dopuszczę do tego.

Wędrowali wzdłuż kąpieliska o zielonkawej wodzie, w wilgotnym powietrzu gęstym od komarów. Dziś pływały tu jedynie kaczki.

- Cieszę się, że przyłożyłeś O'Connellowi.

- Serio? - Wziął ją pod ramię. Zdecydowanie.

- Najchętniej sama bym to zrobiła. Cieszę się, że wyjeżdża. Myślałam się co do niego.

- Wygląda na to, że ja także - Mocniej ścisnął jej rękę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Cóż, odwiedził mnie następnego dnia po tamtym przyjęciu. Przyszedł do mojego domu, tak po prostu.

- Naprawdę? - Pamiętała, co O'Connell powiedział jej kiedyś o Cramerze: że tamten śledził go po całym świecie. Żartował nawet, że spotka Cramera, leżąc na łożu śmierci... Cramer był w Savoyu, w czasie jej pierwszej randki z O'Connellem. - Przyszedł się z tobą zobaczyć?

- To było takie dziwne. Był bardzo uprzejmy, zupełnie jakbyśmy byli dalekimi znajomymi. Zaprosiłem go do środka i wypiliśmy herbatę, rozmawiając o pogodzie. Chyba za długo siedzimy już w Anglii! Było „miło”, mimo jego rozbitego nosa i opuchniętej wargi. Pomimo mojego kaca i przekrwionych oczu...

- Czego chciał?

- Gdy wreszcie uporaliśmy się z tymi całymi uprzejmościami, powiedział, że jest mu przykro, że nie był ze mną szczerzy przez te wszystkie lata. Powiedział, że kiedy był sam, pisząc *Wizję*, przeszedł swego rodzaju załamanie. Eva wprawdzie wybrała mnie, ale on sam już wcześniej z niej zrezygnował. Faktycznie wybrał swoją Véronique. Jednak w trakcie

procesu pisania, miłość do Evy znów w nim odżyła. Powiedział, że przelał całą tę relację na papier, i te dobre rzeczy, i te złe. Był zazdrosny, że ja dostałem wszystko, a jemu została tylko maszyna do pisania i zakurzony pokój. Mówił, że najgorzej było nocami. To właśnie wtedy zaczął mnie nienawidzić.

- I tak po prostu zdecydował się powiedzieć ci o tym? Po całym tym czasie? Uwierzyłeś mu?

- Szczerze mówiąc tak. Wiem, kiedy kłamie, a kiedy mówi prawdę. Powiedział, że przeszło mu kiedy już wydano książkę, a on wreszcie wrócił do świata żywych. Pozostał w nim jednak wielki żal, że wybrał sztukę zamiast miłości. Kończąc pracę nad *Wizję*, był kompletnie wypalony. Starał się jeszcze w kimsz zakochać, ale to było tylko udawanie.

- A wtedy Eva zaczęła do niego pisać?

- I tak było już za późno. Véronique wysłała z niego wszystko, co najcenniejsze. Nie mógł już obdarzyć miłością nikogo, nawet Evy. Powiedział, że czytając jej listy, czuł jedynie smutek i żal. Czasami też wściekał się na mnie, bo to mnie obwiniął o stan, w jakim się znalazła. Powiedział, że odpisał może na połowę z nich. Część z jego odpowiedzi była nostalgiczna, rozwodził się nad przeszłością. W innych wspominał o swoim życiu, mówił o tym, jak wiele ich dzieliło. W końcu miał już tego dość i napisał jej w trzech linijkach, by dała mu wreszcie spokój.

- I jak zareagowała?

Westchnienie. - Uciekła z kliniki, żeby go odnaleźć w dzień, gdy prowadził wykład. Powiedział, że gdy się ubierał, waliła w drzwi jego pokoju. Oficjalne przyjęcie, smokingi, a tu nagle pojawia się ten zapłakany wrak kobiety, błagający, by ją pokochał, tak jak kiedyś. Dla O'Connella to było aż nazbyt rzeczywiste. Zlekceważył ją: powiedział,

ze już jej nie kocha i nigdy nie pokocha jej znowu. Musiał ją siłą od siebie odepchnąć, by w ogóle móc wyjść z pokoju. Wychodząc, powiedział, by wzięła kąpiel i pozbierała się do kupy. Wtedy sądził, że to wspaniałomyślne z jego strony. Na odchodne dodał jeszcze, by zostawiła klucz w recepcji.

- Co za głupota, że nie powiedział ci o tym przez te wszystkie lata.

- Nienawidził mnie. A ja krążyłem za nim, wciąż zadając te same pytania, bo także go nienawidziłem. Na początki chodziło tylko o Ewę, ale później zaczęło już chodzić wyłącznie o nas, o naszą wzajemną nienawiść.

- Wreszcie ci o tym opowiedział. I co dalej?

Im bardziej zbliżali się do Parliament Hill, tym bardziej świat przed nimi zdawał się otwierać. Konary drzew ustąpiły miejsca błękitnemu niebu, które nigdy wcześniej nie wydawało się tak ogromne, nigdy nie było tak pełne obietnic. Razem wspięli się na górę, po stromej ścieżce. Nad nimi mały chłopiec starał się poderwać do lotu purpurowy latawiec. Dwie dziewczynki rzucały swojemu psu patyk.

- Uwielbiam to wzgórze - Grace czuła pulsującą w jej żyłach krew. - Właśnie tu jest moje miejsce.

- A mimo to chcesz wyjechać.

- Właśnie.

Dotarli do szczytu wzgórza, aż pod ławkę Grace. U ich stóp rozciągał się Londyn, migocząc w rozgrzanym powietrzu. John usiadł. Poklepał miejsce obok, by dołączyła do niego. Po chwili wahania zrobiła to.

- Nigdy nie czułem, bym naprawdę gdzieś należał - odparł. - Może bardziej przywiązuję się do ludzi, niż do miejsc. Tak, to musi być prawda. Przypomniała sobie, jak siedzieli tu z Georgeem. Najpierw tylko trzymając się za ręce, potem objęci.

- Zawsze tęskniłam za tym, by wreszcie odnaleźć swoje miejsce. Tak całkowicie, całą sobą.

- Och, Grace. Nie wyjeżdżaj. - Objął ją ramieniem, właśnie tutaj, w miejscu będącym sercem całego jej świata. I tu, z budzącymi się w niej wspomnieniami, uświadomiła sobie, że przestała myśleć o przeszłości oraz przyszłości i myślała już tylko o nim. O jego ustach. O ciepłym, atramentowym zapachu jego szyi. I gdy ten moment trwał, złoty, zielony i słodki, nagle się skończył i odsunęła się od niego. Wstała, wygładziła włosy i odwróciła się.

- Chcesz wiedzieć, czemu wtedy na przyjęciu uderzyłem O'Connella? - powiedział. - Oczywiście, nie mogłem znieść tego, że zachowywał się, jak król całego lokalu, w tym idiotycznym białym garniturze, otoczony przez pochlebców. Ale nie o to chodziło. Pewnie, umieścił moją Ewę w swojej książce i zarobił na tym duże pieniądze, próbował zatruć moje małżeństwo i nie chciał ze mną rozmawiać na temat śmierci mojej żony. Ale to też nie był powód. Żadna z tych rzeczy nie była powodem.

- Więc o co chodziło?

- Naprawdę nie wiesz? Chodziło o ciebie, Grace. O ciebie. O to, że należałaś do niego, a nie do mnie. Bo przyszedł do mnie, żeby się tym chełpić. Żeby powiedzieć, że cię posiadał, twoje ciało i twoją duszę, i że będzie się tobą bawił, dopóki mu się nie znudzi, dopóki cię nie zużyje jak starej szmaty, i że nigdy, przenigdy, nie będziesz należeć do mnie, nawet gdy nie będziesz już nic warta, bo ma cię na własność i do tego nie dopuści.

- Jak śmiesz! - Odwróciła się i zobaczyła, że oczy Johna są pełne łez.

- Mówię prawdę, Grace. To jego słowa. Drwił ze mnie, bo wiedział, że między nami coś jest, i nie mógł tego znieść. Uderzyłem go, bo cię kocham.

Och... Ojej... - Poczula zawroty glowy, a on momentalnie wstal i pomogl jej usiasc na lawce. Bezskutecznie probowala sie od niego opedzic.

- Co sie ze mna dzieje? Przeciez to mi sie nie zdarza. Nigdy wczesniej nie mdlam.

- Tamtej nocy na przyjeciu - powiedzial cicho. - Konflikt miedzy mna O'Connell'em przestal dotyczyc Evy, przestal dotyczyc przeszlosci. Zaczelo chodzic o to, co dzieje sie teraz, o ciebie. Bo tak naprawde on tez ciebie kocha.

- Kompletne bzdury! Nie mam pojecia, co bylo miedzy mna a nim, ale z pewnoscia nie byla to milosc.

- Kocha cie. Albo kochal. Nie jestem pewien, co jest prawda. Przynajmniej na tyle, na ile jest zdolny do milosci. Kochal wystarczajaco, by pragnac dla ciebie szczescia.

Dlonie Grace drzaly. Cale jej ciało sie trzeslo.

- Co przez to rozumiesz?

- Pewnie widzialas jego dzisiejszy felieton. Napisal: „Nie ciebie jedna skrzywdzilem”. I potem probowal ci powiedziec, ze gdzie tam czeka na ciebie inne dobre serce. Napisal: „Mam nadzieje, ze sie odnajdziecie”. Znów to uczucie - porozumienie miedzy nia a Crame-rem. Cos laczonego ich na najglębszym poziomie.

- To z twojego powodu przyszedl mnie odwiedzic. Bo przekonywalas go, by wyznal mi prawde o przeszlosci, i sprawilas, ze zaczal odczuwac wstyd. Bo w koncu pojal, ze uczepil sie tej przeszlosci rownie mocno jak ja. Bo uswiadomil sobie, gdy byliście razem w damskiej toalecie, ze cie utracil i zaczal zachowywac sie jak dziecko.

Stopniowo drzenie zaczelo slabnac. Patrzac na wieze i dachy Londynu, Grace probowala zebrać mysli.

- Pozwol, ze cos ci powiem - odezwała sie w koncu. -Przed dwunastu laty siedzialam na tej lawce, patrzylam na ten widok i sluchalam chłopca, który mowil, ze mnie kocha.

I jeszcze tej samej nocy oświadczył się mojej siostrze. Cztery lata później znów tu siedziałam, z pozbawionym sił do życia żołnierzem, który nie potrafił rozmawiać ze swoją żoną. Zdradził mi swoje sekrety i wtuliliśmy się w siebie, a potem między nami zaczęło się coś, co nigdy nie miało prawa się wydarzyć. To był George. Mąż Nancy. John, cokolwiek jest między tobą a mną, jeśli w ogóle jest między nami cokolwiek, nie znaczy to dla mnie więcej niż moja siostra. Nie będę się znów wiązać z mężczyzną, który nie potrafi wybrać między mną a Nancy.

- Co za historia. - Zdjął rękę z jej ramienia. Wyprostował się i wyglądał, jakby chciał sobie to wszystko przemyśleć. -Ale Grace, to nie to samo. Ja pragnę ciebie.

- On powiedział dokładnie to samo.

- Nie jestem Georgeem. - Gniewne spojrzenie. - Nie jestem też O'Connellem. Jesteś jedyną kobietą od pięciu lat, która w ogóle zwróciła moją uwagę. Ile razy mam ci powtarzać, że Nancy i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Ale zabrałaś ją do Paryża!

- Boże! - Grzotnął się w skronie. - Wziąłem Nancy do Paryża, bo nie chciałem być sam, a ona jest dobrym towarzystwem. Mieliśmy oddzielne pokoje. Cholera jasna, Grace, twojej siostrze należały się wakacje! . Kawalek dalej dwóch chłopców kopało piłkę. Podawali ją jeden do drugiego, tam i z powrotem.

- A tak swoją drogą, co ty robiłaś w tamten weekend?

- Tu nie chodzi o to, co j a robiłam. Pojechałam z O'Con-nellem, bo wiedziałam, że muszę zostawić cię dla Nancy.

- Rany, Grace, kiedy chcesz, potrafisz być naprawdę obłudna i ograniczona. Nie zauważasz rzeczy oczywistej! To ty nie jesteś w stanie wybrać. Nie ja.

- Nie chcę O'Connella.

- Więc czego chcesz?



Piłka krążyła od nogi do nogi ledwie kawałek dalej. Westchnienie.

- Nancy jest w tobie zakochana. Widzę to, nawet jeśli ty nie chcesz albo nie potrafisz tego dostrzec. Boże, nawet moja matka to widzi. Nie mam zamiaru niszczyć szczęścia mojej siostry i jej dzieci. Raz to już zrobiłam.

- Twoja siostra i ja nigdy nie będziemy razem. Nigdy.

Uderzenia piłki. Niski pomruk, który mógł być odgłosem rozciągającego się u ich stóp miasta. Przepływającego przez nie życia.

- Żegnaj, John. - Grace wstała i otrzepała się.

- Grace, przez całe pięć lat całym moim światem były nienawiść, ciemność i rozpacz. Ty mnie z tego wyciągnęłaś. Ty. Teraz znów żyję.

Naprawdę żyję. I myślę, że ty czujesz dokładnie to samo.

- Spytałeś mnie, czego chcę. Chcę wyjechać z Londynu. Chcę znaleźć się daleko od ciebie. Żegnaj.

Raz jeszcze odwróciła się, by na niego spojrzeć. Wyglądał, jakby uszło z niego powietrze. Nie miał nic do powiedzenia. Kiedy odeszła, nie próbował jej zatrzymać.

## **PICCADILLY HERALD**

*20 czerwca 1927*

### **Z życia West Endu**

*Dawno, dawno temu ludzie wierzyli, że umierający łabędź wyśpiewuje piękną i smutną pieśń. Stąd wzięło się określenie „łabędzi śpiew”. Czy jednak którykolwiek z twórców tej legendy słyszał kiedyś łabędzia? Może mieć smukłą szyję i nieprzeciętne upierzenie, ale - jeśli macie jakiegokolwiek wątpliwości - wśród pieśniarek Panna Łabędź nie może dorównać nawet Bessie Smith.*

*Niemniej jednak to właśnie jest łabędzi śpiew Diamond Sharp. To wy, drogie czytelniczki, już dawno temu podjęłyście decyzję, czy moje melodyjne tony są choć trochę ładniejsze od tych wydawanych przez moich jasno upierzonych przyjaciół. Tak czy siak, już po raz ostatni proszę o waszą wyrozumiałość.*

*Dzisiaj nie będę wynosić pod niebiosa ciasta ptysiowego podawanego w Chez Noisette (swoją drogą: jest takie lekkie, że trzeba je chyba przyklejać do talerzy, by nie odleciało), płakać nad rozgotowanymi warzywami z Florence Finnegan (właściciela powinno się chyba utopić z garze z wrzątkiem), oskarżać menedżera klubu Salamander o chrzczenie alkoholi kranówką (oczywiście tylko się drażnię) czy wychwalać*

*makijażu pana Hamiltona-Shapcotta (Sheridan, skąd ty bierzesz len tusz do rzęs? Na gwałt takiego potrzebuję!).*

*Do tej pory chyba wszyscy zdążyliście się już dowiedzieć, gdzie na West Endzie można spędzić udany wieczór, więc nie będę trwonić słów.*

*Zamiast tego pragnę coś powiedzieć na temat nieco bardziej istotny niż to, gdzie najlepiej przycinają pazia.*

*Moja matka, Catherine, była sufrażystką. Gdy była młodsza, maszerowała na wiecach WSPU i nawet ją aresztowano za ciskanie jaj w członków Liberal Party. Nawet teraz, mimo iż jest w podeszłym wieku, tak często jak tylko może chadza na wiece Womens Freedom League i wciąż zgadza się z ich czterema postulatami (ignorantkom, które nigdy o nich nie słyszały, przypomnę: 1. renty dla dzieci, które straciły ojców, 2. równy podział obowiązków w opiece nad dziećmi, 3. równe prawa wyborcze, 4. podpisanie ustawy znoszącej nierówne traktowanie ze względu na płeć).*

*Muszę przyznać, że to ignorowałam, przewracałam oczami, a nawet kpiłam z matki, gdy zaczynała swoje tyrady na temat niedoli dwudziestowiecznych kobiet. Prawdę mówiąc, wolałam spędzać czas na malowaniu paznokci, popijaniu Gin Fizzu czy słuchaniu puszczonego na gramofonie jazzu, niż iść do Speaker's Corner lub podobnego miejsca, by stać na deszczu, trzymając transparent. Bądźmy szczerzy, wolałabym, żeby mi powyrywano palce kombinerkami przy dźwiękach Piątej Symfonii Beetho-vena, niż iść na takie wiece.*

*Jednak, drogie czytelniczki, mimo wszystko wierzę, że zawsze promowałam ideę równych praw dla kobiet. Moje słowa nie mają może takiej wagi, jak słowa mojej bohaterskiej Catherine (to nie sarkazm, mamo, naprawdę jesteś moją bohaterką, mimo wszystko), lecz emancypacja ma wiele twarzy. Dla niektórych to może być blahe, ale blahe sprawy są sednem naszego życia, waszego i mojego. Czy kobieta potykająca się*

*o własną halkę jest naprawdę wyzwolona? Czy to sprawiedliwe, że młoda kobieta, bojąc się dezaprobaty rodziców, zostaje w sobotni wieczór z nosem w książkach, gdy jej młodszy brat tańczy do białego rana w Hammersmith Palais? Czy musi być tak, że kobieta siedząca sama w restauracji, bo ma na to ochotę, jest wytykana palcami i obgadywana przez wszystkich tych idiotów siedzących przy barze? A skoro już jesteśmy w temacie: co jest złego w tym, że dziewczyna popija sobie wieczorami koktajle? Picie jest też dla kobiet i nie sprawia, że stajemy się „cudzołożnicami” albo „towarami z drugiej ręki”. Może zresztą niektóre z nas właśnie takie są. Może i w tym nie ma wcale nic złego.*

*To już koniec mojej tyrady. Teraz mam zamiar zatańczyć mojego najlepszego breakawaya na nowych parkietach (dla tych, którzy właśnie wyszli z jaskini: breakaway to taki charleston z bajerami). Pewnie wrócę jeszcze do mojego kochanego Londynu, gdy księżyc będzie w pełni, a zespół narzuci tempo. Rozglądajcie się za mną w porze rozdawania koktajli, poznacie mnie po idealnie przystrzyżonym paziu (swoją drogą, mój fryzjer nazywa się Marcus Rino), śladach szminki na kieliszku i kólkach z dymu, które będę puszczała. Jeśli mnie zobaczycie, podejdźcie, żebyśmy mogli wypić za stare dobre czasy.*

*To była przyjemność, moje kochane, mam zresztą nadzieję, że nie tylko po mojej stronie. Życzę wam długich nocy i krótkich sukienek. Głowa wysoko, umysł otwarty i figi w torebce. No i pamiętajcie: w Życiu liczy się Różnorodność.*

*Buziaki*

*Grace Rutherford alias Diamond Sharp*

## ROZDZIAŁ 4

Z oporami, ale w końcu Dickie zgodził się na warunek Grace dotyczący jej pożegnalnego przyjęcia: ma być skromne. Poza ich dwójką, mieli się na nim pojawić Sheridan, Dodo, Margaret oraz Nancy. Nancy, której Grace wciąż unikała, zupełnie jakby tamta zrobiła coś złego.

Gdy pozostał tylko wybór miejsca, Dickie, nie zważając zupełnie na preferencje Grace, zarezerwował Tour Eiffel. Grace protestowała, ale w głębi serca była zadowolona. Dobrze było wiedzieć, że cokolwiek by się działo, Dickie pozostanie Dickiem.

Na ten lunch wystroiła się w szyfonową suknię od La Samaritaine, wygodną i luksusową. To był prezent od O'Connella, ale postanowiła się tym nie przejmować. To była zbyt ładna kiecka, by z powodów osobistych miały ją zżerać mole.

Gdy weszła do restauracji, przy narożnym stoliku siedziało tylko troje gości.

- Oto i ona - Brwi Dodo były podkreślone jeszcze mocniej niż zazwyczaj, a jej cygarniczka była najdłuższą, jaką Grace kiedykolwiek widziała. Siedząca obok Margaret miała

w ustach pełno chleba, więc tylko pomachała na powitanie (czy ktokolwiek potrafił jeść tak jak ta dziewczyna?).

- Najdłuższa siostrzyczka! - Sheridan trochę przesadzał, jeśli chodzi o tę ich nowo odkrytą więź. Ilu osobom już zdążył się wygadać? - Kazałem im przynieść najlepszego szampana, więc poszli grzebać w swojej piwniczce. Dickie dziś płaci, więc chyba możemy się tym nacieszyć? I dobrze, niech płaci, bo stłasznie się spóźnia. A co z naszą boską siostrzyczką? Też planuje wpaść później?

- Ależ to wkurzające z ich strony - odparła Grace, bardziej ze zdenerwowania niż z irytacji. - Dobrze wiedzą, jak lubię wszędzie przychodzić ostatnia, a przecież dziś jestem spóźniona punktualnie pół godziny.

- Och, napławdę, Głacie. Spóźnianie się jest takie niemodne.

- Dickie miał pilną sprawę w redakcji „Heralda” - powiedziała Dodo. - Mówił, że przyjdzie tak szybko, jak zdoła. Myślę, że coś się kroi.

- Co za „coś”? - Grace, zaintrygowana, zajęła miejsce przy stole.

- Nie mam pojęcia, ale miał bardzo dziwny wyraz twarzy - mówiąc to, Dodo zrobiła z brwiami coś doprawdy niezwykłego.

- Napławdę nie sędzę, by ktokolwiek mógł mieć aż tak dziwny wyraz twarzy!

Przynieśli szampana, wraz z jakąś bardzo dobrą francuską zupą cebulową.

- A więc, Grace, czemu akurat Edynburg? - spytała Margaret.

Grace wzruszyła ramionami.

- Równie dobrze mogłabym pojechać gdziekolwiek indziej. Ruszam jutro z samego rana. Pomieszka tam trochę z koleżanką ze szkoły. A potem zobaczymy.

Stłaszliwie tam zimno - stwierdził Sheridan.

Mnie to nie przeszkadza. Dobrze wyglądam w futrach.

- Tej jesieni będą mieli w sklepach naprawdę ładny kaszmir - wtrąciła Dodo, pocieszającym tonem.

Grace omiotła wzrokiem całą trójkę. Trzy pełne sceptycyzmu twarze.

- To szaleństwo - powiedział Sheridan.

- Po prostu stąd uciekasz - dodała Margaret. - I nie ma ku temu żadnego powodu. Przecież o n i tak już wyjeżdża.

- Nie chodzi o O'Connella - rzuciła Grace. - Naprawdę, możesz go sobie wziąć. *Bon voyage!* - Potem nieco ciszej zwróciła się do wszystkich: - Ludzie przecież nie muszą spędzać całego życia w jednym miejscu, prawda? Może chcę być gdzieś, gdzie nikt mnie nie zna. Może pragnę jakiejś nowej przygody. Margaret powinna to doskonale rozumieć, nawet jeśli pozostali mają z tym problem.

- Toast - Dodo uniosła kieliszek. - Za nową przygodę!

Grace stuknęła się z nimi kieliszkami, marząc, by mogła życzliwszym okiem spojrzeć na tę całą nową przygodę. Pewnie gdy już dotrze na miejsce, wszystko się jakoś ułoży. Millicenta to przecież sama słodycz - mówiła, że Grace może u niej zostać tak długo, jak będzie chciała.

Edynburg wydawał się idealny: położony za granicą, lecz zarazem bliski. Rozważała też Paryż, ale doszła do wniosku, że nie jest dość bystra, bo ograniczy ją francuski, którego uczyła się w szkole. Był jeszcze oczywiście Nowy Jork, ale... nie... Edynburg to był jednak najlepszy wybór. Tam uda jej się zabłysnąć. W parę tygodni podbije to miasto...  
Prawda?

Sheridan nachylił się ku niej.

- Zawsze przecież możesz włócić.

Jednak Grace już go nie słuchała. Jej wzrok przyciągnęło coś na ulicy. Postać w bieli idąca po przeciwnej stronie.

Autobus zasłaniał jej widok. Grace mrugnęła, autobus ruszył, a tamten mężczyzna wciąż tam stał.

O'Connell, w białym garniturze i kapeluszu. Nie potrafiła rozpoznać wyrazu jego twarzy, lecz była pewna, że się uśmiechał. To był ten jego charakterystyczny, chytry uśmieszek. Patrzył się prosto na nią. Prosto na jej twarz.

Wokół niej nic się nie zmieniło: przyjaciele rozmawiali, wydychali dym z papierosów, Joe obsługiwał stolik obok. Lecz Grace aż wstrzymała oddech.

Była pewna, że przyszedł tu, by się z nią zobaczyć. Już miał przejść przez ulicę i wejść do budynku. Gdy tylko wejdzie, od razu doskoczy do niego Rudolf Stulik, by poprowadzić go do ich stolika niczym gościa honorowego. Zajmie miejsce Dickiego, Margaret popatrzy na niego z podziwem w oczach, Dodo zacznie z nim flirtować, Sheridan będzie robił zamieszanie, a wtedy... No właśnie, co wtedy?

Nie spodziewała się, że jeszcze go zobaczy.

Jednak wcale nie przechodził na drugą stronę. Wciąż stał w miejscu.

Uchylił kapelusza, a potem założył go z powrotem.

- Obiecał, że nie będzie robił żadnych sensacji - Margaret spuściła wzrok.

- Chciał się tylko pożegnać.

Grace raz jeszcze spojrzała na skąpaną w słońcu ulicę. Nie było już na niej O'Connella. Taksówka właśnie włączała się do ruchu.

- Witaj, nieznajoma!

Grace odwróciła się i zobaczyła, że przy ich stoliku stoi Nancy. Miała na sobie turkusową suknię, a na głowie atrakcyjnego, świeżo przyciętego pazia.

- Nancy, skarbie - W ich uścisku dało się wyczuć napięcie. Obydwie mierzyły się wzrokiem, starając się dociec, co kryje się za uprzejmym uśmiechem drugiej.



Czyżby ominęła mnie zupa? - Nancy spojrzała na puste miski. - Myślicie, że jeszcze mi ja przyniosą, jeśli się ładnie uśmiechnę? Cała aż promienieje szczęściem, pomyślała Grace. Margaret wodziła wzrokiem od jednej siostry do drugiej;

- Łacja! - Sheridan gapił się na lewą dłoń Nancy. - Jeśli nie powiem tego teraz, to nie powiem tego nigdy. Głace, nie możesz w żadnym wypadku wyjeżdżać. Po tylu latach wreszcie odkryliśmy że jesteśmy łodzieństwem. Powinniśmy trzymać się razem i tłuszczyć o siebie nawzajem jak pławdziwa łodzinka.

- To niemądre, że chcesz wyjechać - dodała Nancy. - Co się z tobą stało, Grace?

Grace opuściła wzrok na stół. Spojrzała na dłoń Nancy, ścisnącą przez Sheridana. Na palcu serdecznym widniał pierścienek. Był tak wielki, że musiał jej aż ciążyć. Miał ogromny rubin otoczony diamentami.

- Nancy! Jesteś zaręczona!

- Cudownie, prawda? Dowiadujecie się jako pierwsi Cóż, przynajmniej taki był plan. Jednak gdy mamusia znalazła tego ranka pierścienek w mojej szufladzie z bielizną wyciągnęła takie wnioski, że musiałam jej wszystko wyjaśnić. Potraficie uwierzyć, jak wścibska jest ta kobieta? Grace zmusiła się do pocałunku i uścisku. Spróbowała się też uśmiechnąć. Ale tak naprawdę walczyła z tym, by się nie rozpłakać. Beładne rysunki, akwaforty i obrazy na ścianach nigdy wcześniej aż tak bardzo nie kojarzyły się jej z chaotycznymi nagrobkami. Sheridan zamawiał kolejnego szampana, Dodo i Margaret podziwiałały i ścisnęły dłoń Nancy, a Grace pobiegła szybko do toalety.

- A zatem - powiedziała do swojego odbicia w lustrze - wracamy do punktu wyjścia. - Okręciła kran z zimną wodą i stała tam tak po prostu, opierając się o krawędź umywalki, gapiąc na swoją twarz i nie potrafiąc niczego z niej wyczytać. Czemu tamtego dnia Cramer tak ją pocałował? Czemu opowiadał jej te wszystkie bzdury, gdy siedzieli na ławce? Czy to

były zwykłe kłamstwa, czy tak samo jak George zrobił coś wbrew sobie. Cholerny głupiec!

Nie uwierzyła mu, gdy zapewniał ją o swoim uczuciu. Doświadczenie nauczyło ją, by tego nie robić. Wiedziała, że powinna zejść z drogi tej dwójce, ale nie spodziewała się, że John oświadczy się Nancy aż tak szybko, jeszcze zanim Grace zdążyła wyjechać z miasta. Zanim nawet zdążyła ochłonąć po tym, co wydarzyło się między nimi w Heath. Dobrze chociaż, że udało się jej już kupić bilet i spakować walizki. Nie ma zamiaru przeszkadzać narzeczonemu i czekać, aż znowu wszystko pójdzie nie tak jak trzeba, nie tym razem.

Tym razem postąpi tak, jak powinna.

Czy jednak dobrze było wyjeżdżać, nie mówiąc Nancy nawet słowa o tym, co zaszło między nią a Cramerem? Czy nie było jej obowiązkiem wyjawienie siostrze, że jej narzeczonemu nie jest w niej aż tak zakochany, jak twierdzi?

Boże, gdyby to wszystko aż tak nie bolało!

- Czemuś się tu schowała? - Nancy weszła do toalety, zamykając za sobą drzwi. - I czemu aż tak mnie ostatnio unikałaś? Gdybym nie znała cię lepiej, pomyślałabym, że to z mojego powodu wyjeżdżasz.

Grace nie była w stanie wydusić z siebie nawet słowa. Zakręciła kran i wbiła wzrok w umywalkę. W środku leżał pojedynczy ciemny włos, pewnie jej.

- Powiedz, że nie wyjeżdżasz z mojego powodu. Grace wciąż milczała. Nancy podeszła bliżej i położyła jej dłoń na ramieniu.

- Grace, przecież wiem, że było ci ciężko opiekować się nami wszystkimi. Rozumiem, że to dla ciebie zbyt wiele. Mamusia była w szoku, słysząc, że straciłaś pracę, ale ja nie.

Kazdemu byłoby ciężko zawsze stawiać innych na pierwszym miejscu, tak jak ty to robiłaś. To musiało cię z końca dobić. Może dlatego dałaś się wciągnąć w to całe szaleństwo z O'Connelllem.

- Nie chodzi wcale o to...

- Wolałabym, żebyś to ty wychodziła za mąż, Gracie. Wtedy, przed laty, to też powinnaś była być ty. Ale stało się inaczej. Teraz jednak, gdy nie będziesz się już zajmować mną i dziećmi, ciebie też może to spotkać. Ktoś inny zajmie się nami, a ty wreszcie będziesz mogła żyć własnym życiem.

Grace odeszła parę kroków, strząsając z ramienia dłoń Nancy. Tę dłoń z pierścionkiem.

- Bardzo bym chciała, żeby to było takie proste. Nancy wyglądała na zdezorientowaną i lekko przybitą. -

Czasami życie naprawdę może być proste. Wyjdę za wspaniałego mężczyznę i będziemy mieli piękne wesele. Chcę byś była wtedy ze mną, tutaj, nie w Edynburgu, czy innym odległym miejscu. Grace, nie chcesz chyba naprawdę zamieszkać tam z Millicentą, prawda? Pызatą Millicentą z naszej szkoły?

Grace znów była w urzędzie stanu cywilnego, tamtego zimowego dnia, całe lata temu. Ona i jej matka, dwie wdowy, patrzące, jak Nancy wychodzi za Georgea.

- Przykro mi, Nancy. Cieszę się twoim szczęściem, ale i tak mam zamiar wyjechać. Jest właśnie tak, jak powiedziałaś: muszę wreszcie postawić siebie na pierwszym miejscu.

Na twarzy Nancy pojawiła się podejrzliwość. Zmarszczyła brwi.

- Jesteś zazdrosna, tak? O to właśnie chodzi?

- Nie.

- Ależ tak. Jesteś zazdrosna. Widzę to po tobie! Mój Boże, Grace. Przecież ty już z nim byłaś. Miałaś swoją szansę. Naprawdę chcesz żałować mu prawa do bycia szczęśliwym?

Potrząśnięcie głową. Łzy napływające do oczu.

- Odrzuciłaś go, Grace.

Nie mogła już tego dłużej powstrzymać.

- To nieprawda! Po prostu byłam zagubiona, przez O'Connella, ale potem uświadomiłam sobie, że to w nim jestem zakochana, nie w O'Connellu.

Poprosił mnie, bym jechała z nim do Paryża, Nancy. Mnie poprosił najpierw. Ale odmówiłam, z twojego powodu. Bo on jest twój. A teraz.. Nie mogę zostać tu z wami. Po prostu nie mogę!

- Och, Grace! Ależ to niemądre.

Ale Grace już pędziła w stronę drzwi, gnała przez restaurację, po drodze zderzając się z Dickiem, który właśnie wchodził po schodach.

- Ej! - złapał ją i popatrzył na nią ze zdumieniem. Był dziś znacznie bardziej elegancki niż zazwyczaj. Wręcz wytworny. Podciął włosy. Jego garnitur był świeżo wyprasowany. Był znacznie przystojniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Nawet jego oczy były dziś piękne.

Puścił Grace i uniósł wzrok, spoglądając na kogoś.

- Witaj, kochanie. Czyżbym przegapił naszą wielką chwilę?

Grace patrzyła to na Dickiego, to na Nancy, i coś mrocznego, co zamieszkało w jej wnętrzu, nagle po prostu zniknęło, uciekając w pośpiechu. To była jakaś odrażająca czarna rzecz, jakby pajak, ale ciężki, naprawdę ciężki. Krył się w niej już od lat. Może nawet od tamtej nocy w 1915 roku, gdy pocałowała Stevena Wilkinsa, a Nancy zaręczyła się z Georgeem. Teraz to czarne okropieństwo wreszcie zniknęło, a Grace poczuła się lżejsza od powietrza.

## ROZDZIAŁ 5

Gdy wreszcie zasiedli do lunchu, Grace dostała niemal niejadalna potrawkę z zająca. Tymczasem w centrum zainteresowania znalazł się nowy burzliwy romans.

Tłumacząc to wszystko, Nancy raz po raz potrząsała głową.

- Grace, ja naprawdę myślałam, że wiedziałaś o tym, co działo się między mną a Dickiem.

- Muszę chyba dziękować Dexterowi O'Connellowi i Johnowi Cramerowi - powiedział z ożywieniem Dickie - To dzięki ich sprzecze na imprezie „Heralda” zbliżyliśmy się z Nancy. Zabraliśmy spitego Cramera do domu i położyliśmy go do łóżka. Potem usiedliśmy w kuchni przy herbacie i torcie czekoladowym i przegadaliśmy dosłownie całą noc. To było wręcz magiczne.

- Wiem, że to wszystko potoczyło się strasznie szybko - powiedziała Nancy. - Ale widać tak miało być. W końcu znamy się już od lat. Nie ma sensu tracić więcej czasu

Przyniesiono deser i Dickie zaczął swoje przemówienie pożegnalne dla Grace. Opowiedział historię Diamond Sharp

Powiedział zebranym, że zaledwie rok temu zadzwonił do Grace, by odwołać ich wspólny lunch. Jeden z autorów

zawalił i nie dostarczył na czas zamówionego tekstu i Dickie tłumaczył Grace, że będzie musiał usiąść i napisać ten artykuł samemu, inaczej w „Heraldzie” znajdzie się jedna pusta strona.

- Ani mi się waży odwoływać nasz lunch - odparła Grace. - Rób swoje, a tymczasem ja napiszę coś dla ciebie.

Roześmiał się.

- A niby o czym ty chcesz pisać, Gracie?

- O pierwszej cholerniej rzeczy, jaka wpadnie mi do głowy. I obiecuję, że ci się to spodoba.

Dickie uśmiechnął się do siedzących przy stole przyjaciół.

- Gdybym miał choć odrobinę rozumu, powiedziałbym jej: nie bądź śmieszna. Przecież nigdy wcześniej nie pisała niczego dla prasy. Nie zajmowała się niczym prócz tekstów reklamowych. To był kompletnie wariacki pomysł.

- Ale postanowiłeś zaryzykować - odparła Margaret. - Czemu to zrobiłeś?

- Bo się jej bałem!

Wszyscy zanieśli się śmiechem. Grace machnęła na Dickiego ręką.

- Dickie, na litość boską, skończ już ten swój nekrolog i poproś o rachunek.

Gdy przyjęcie się skończyło, Grace i Nancy wsiadły w autobus do Hampstead.

- Dzieci się ucieszą, gdy cię zobaczą - stwierdziła Nancy.

- Ja też będę się cieszyć. Było mi smutno, gdy ostatnio przyszedłam do domu i ich nie zastałam. Ale zanim do nich pójdę, muszę się jeszcze z kimś zobaczyć.

- Oczywiście. Ale z nas kretyńki. Mówiłam przecież, że między nim a mną nic nie ma. Gdybyś mnie tylko posłuchała...

Grace potrząsnęła głową. To dziwne. Byłam tego taka pewna. Myślałam, że znam cię na tyle dobrze, że rozumiem cię nawet bez słów.

- Cóż... — Wzruszenie ramion. - Nie do końca byłaś w błędzie. Na początku faktycznie trochę mnie pociągał. Nie mam pojęcia, czy i on czuł to samo. Ale nigdy nie mówił o tym głośno i do niczego między nami nie doszło. Oboje byliśmy pogrążeni w żalu i to nas łączyło. Ale tylko jako przyjaciół. I tyle, nie było niczego więcej. - Zamilkły na chwilę, obserwując ludzi wysiadających z autobusu i wsiadających do niego. Potem Nancy znów podjęła wątek. - John mówił mi, że kogoś poznał. Wtedy w Paryżu. Powiedział, że pierwszy raz od lat zakochał się w dziewczynie, ale ona już kogoś ma. Szkoda, że mi nie powiedział, że chodziło o ciebie! Możesz mi wierzyć, ja naprawdę miałam nadzieję, że między wami zaiskrzy. Przecież z tym O'Connellem były same problemy. Cieszę się, że już nim nie jesteś. John idealnie do ciebie pasuje.

- To dokładnie tak, jak mówiliście ty i Dickie - odparła Grace. - Nie ma sensu tracić więcej czasu.

Dom Cramera był zamknięty i ciemny. Grace raz za razem waliła w drzwi, tupiąc nogą z irytacji. Nancy stwierdziła, że zazwyczaj o tej porze był w domu i zaczynał pracę. Czemu dziś miałoby być inaczej?

- Trzymaj. - Nancy przyszła od strony ich domu, niosąc w dłoni pęk kluczy. - Dał mi na wszelki wypadek zapasowy zestaw. Może zajrzemy do środka?

Był podobny do ich domu: wąski i wysoki budynek, nieco ciemny w tylnych pomieszczeniach. Stary i skrzypiący. Ale nieco się różnił: było tu znacznie czystiej, mniej przytulnie. Meble wydawały się zbyt małe w stosunku do pokoi.

- Chyba naprawdę nie ma go w domu, co? - spytała Nancy. Grace pomyślała dokładnie o tym samym.

- Ciężko mi wyobrazić go sobie tutaj - powiedziała Grace. - Ten dom jest za duży dla jednej osoby.

Weszły do salonu. Szarzielone fotele wydawały się strasznie ponure. Kanapa wyglądała niezbyt gościnnie. Na kominku stała fotografia dziewczyny z wielkimi ciemnymi oczami i krótkimi, kręconymi włosami. Siedziała po turec-ku na łące pełnej polnych kwiatów, w wianku ze stokrotek na głowie. Śmiała się.

- To musi być Eva - Grace podniosła zdjęcie i przyjrzała mu się z bliska. Na lewo od Ewy leżało coś wyglądającego jak koszyk piknikowy. Czy to możliwe, że to zdjęcie zrobiono wtedy, gdy Eva, O'Connell i John wybrali się razem na piknik? Grace zastanawiała się, kto mógł je zrobić.

- To takie przykre, co spotkało tę dziewczynę - Nancy stała za Grace, zaglądając jej przez ramię. - Kilka dni temu, gdy widziałam się z Johnem, powiedział, że wreszcie zdołał zostawić przeszłość za sobą. - A potem, z emfazą, dodała: -my też powinniśmy to zrobić, Grace.

Grace wbiła wzrok w kominek, bojąc się, że z jej oczu można teraz wyczytać zbyt wiele. Nagle coś sobie uświadomiła. Nancy wiedziała o romansie Grace i Georgea. Wiedziała pewnie od samego początku.

- Kocham cię, Nancy - powiedziała cicho.

- Wiem.

Głośne pukanie do drzwi wystraszyło je obie.

- To nie on - szepnęła Nancy. - Przecież ma własny klucz. Może nie powinniśmy otwierać?

Grace wciąż gapiła się w palenisko, na popiół i zwęglone strzępy papieru w nim leżące. Wielki plik papierów.

- Co on wyprawiał, zaczął palić w lecie?



Wydaje mi się, że miał coś, co postanowił spalić. Kolejny raz rozległo się pukanie do drzwi.

- Jak myślisz, co to mogło być? - spytała Nancy.

Grace podniosła pogrzebacz i wbiła go w popioły. Pośród sterty zwęglonych papierzyk, na zachowanych kartkach można było dostrzec napisane na maszynie słowa.

Znów ktoś zaczął stukać.

- Przeszłość - odparła Grace, a Nancy ruszyła do drzwi.

Gdy weszli do pokoju, głośni i kolorowi, było tak, jakby przynieśli ze sobą trochę słonecznego blasku. Tilly miała na głowie jeden z babcinych kapeluszy, na szyi zaś perły matki. Trzymała w dłoni miotełkę do kurzu i mamrotała pod nosem.

- Jakie będą konsekwencje? A jakie będą konsekwencje tych konsekwencji? O, witaj, ciotuniu Grace.

Narzekając na bolące plecy, Catherine niosła Feliksa, który miał całą buzię umorusaną dżemem. Gdy tylko postawiła go na podłodze, mały natychmiast zaczął raczkować w kierunku swojej ciotki. Złapał ją za nogi i zaczął piszczeć, żeby go przytuliła.

- Aleś ty dziwny, Feliksie - powiedziała poważnie Tilly. - Tak strasznie dziwny. - A potem sama pobiegła się przytulić.

- Widziałam was przez okno - powiedziała Catherine. - Pomyślałam, że poczekam na was, ale wieki to trwało. - Podała Nancy kopertę. - Znalazłam to wcześniej w skrzynce.

Nancy zmarszczyła brwi.

- Mamo! Otworzyłaś to!

Felix wycierał dżem o ramię Grace.

- Felix to zły chłopiec i pora, by zaczął liczyć się z konsekwencjami - oświadczyła Tilly.

- Zapomniałam powiedzieć ci o tym wcześniej - powiedziała Catherine. - Ale twój ostatni felieton był naprawdę niezły. Naprawdę niezły.

- Grace - Nancy pokazała list, który właśnie czytała. - Popatrz na to.

*Droga Nancy*

*Przykro mi, że nie mogę pożegnać się osobiście, ale wcześniej widziałem, jak wychodziłaś, i obawiam się, że nie mogę czekać na Twój powrót. To wszystko wynikło tak nagle. Chodzi o to, że wracam do Nowego Jorku. Jak sama się domyślisz, między mną a tamtą dziewczyną, o której opowiadałem, nie wypaliło. Ale to nie ma znaczenia. Mimo wszystko spotyka mnie też coś dobrego. Nie uciekam. Nie tym razem. Ta dziewczyna była dla mnie naprawdę dobra, mimo że nam nie wyszło. Rozbłysła we mnie iskra, serce znów zaczęło bić. Nie czułem tego od lat i myślałem, że już nigdy nie poczuję. To pomogło mi się pozbyć dręczących mnie demonów. Zabawne, jak wszystko się odmieniło. Czasem pomoc przychodzi z najmniej spodziewanej strony.*

*Zbyt długo jeździłem już po świecie, a przecież Betsy potrzebuje ojca. Zawsze mnie potrzebowała, lecz ja byłem zbyt zajęty, by to zauważyć. Sądziłem, że lepiej jej będzie z moimi rodzicami, ale to nieprawda. Jej miejsce jest przy mnie.*

*To pośpieszna, lecz słuszna decyzja. Po co zwlekać, gdy już dokonano się wyboru? Mam wykupione miejsce na statku, który dziś wieczorem odpływa z Southampton. Już pora, bym wrócił do mojej dziewczynki. Nancy, byłaś dla mnie cudowną przyjaciółką. Dużo mnie nauczyłaś - Ty i Twoja urocza rodzina. Mam nadzieję, że nie zwodziłem Cię nieumyślnie. Zawsze czułem, że świetnie się rozumiemy. Będę o Tobie myślał, życząc Ci szczęścia. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy.*

*Napisałem już do właściciela domu, który wynajmowałem, i do pani Collins. Zapłaciłem im też za przyszły miesiąc. Mogłabyś od czasu do czasu do mnie zaglądać, żeby sprawdzić, czy wszystko gra? Będę wdzięczny. Wyślę telegram, jak tylko dotrę na miejsce.  
Czułości dla Tilly i Feliksa.  
Jak zawsze, Twój przyjaciel John*

## ROZDZIAŁ 6

Gdy taksówka mijała urząd stanu cywilnego, Grace wydmuchnęła idealne kółko dymu. Trzymany w palcach papieros miał na sobie ślad czerwonej szminki.

- Waterloo, co? - powiedział taksówkarz. - Spotykasz się tam z kimś czy łapiesz pociąg?

- Mam nadzieję, że jedno i drugie. - Znów zaciągnęła się papierosem. - Najpierw wsiadam w pociąg, potem się z kimś spotykam.

Wszystko stało się tak szybko. W jednej chwili stała tam, trzymając list w dłoni, a wszyscy krzatali się wokół niej, niemal wypychając ją przez drzwi i do domu po drugiej stronie ulicy.

- Rusz się, Grace - Pośpieszała ją Nancy, wrzucając rzeczy do torby. - Nie ma czasu do stracenia.

- O czym ty gadasz? On wyjechał.

- Wyjeżdża wieczorem - odparła Nancy. - Może go złapiesz w Southampton. Zatrzymasz, zanim wejdzie na statek.

- Albo popłyniesz z nim - dodała Catherine.

Oszalałyście. Obydwie. Przecież już za późno - Na sanuj myśl o tym zaczynało jej walić serce.

- Na litość boską, a co masz do stracenia? - dziwiła się Catherine.

- To nie utrata czegoś ją przeraża - stwierdziła Nancy. - Moja siostrunia drży na samą myśl, że mogłaby wreszcie dostać to, czego zawsze pragnęła.

- Błagam! - Grace upuściła list i złapała się za głowę.

- O nie, nie zostaniesz starą panną - powiedziała Nancy. - Nie jesteś nią.

Och, mamusiu, powiedz jej coś!

Catherine wsparła ręce na biodrach.

- Grace Rutherford, nie wychowałam cię na tchórza. W tym domu braku odwagi tolerować nie będziemy. A teraz zbierz się do kupy i w drogę.

Tilly pogroziła jej palcem.

- Konsekwencjami konsekwencji są konsekwencje.

- To twój narzeczony? Ten, z którym się spotykasz?

- Całkiem możliwe. - Kolejne kółko dymu.

- Mam nadzieję, że dobry z niego chłop. Że traktuje cię tak, jak powinien. Na świecie jest zbyt wielu drani.

- Wiem.

Jechali przez Bloomsbury, mijając bujne zieleńce.

- A gdzie jedziesz tym pociągiem?

Może Nancy i mama miały rację. Może zawsze bała się tego, że odnajdzie szczęście. Założyła na siebie kiedyś wło-siennicę i zdążyła się do niej przyzwyczaić. To, że związek z O'Connełlem nie wypalił, było właściwie pocieszające. Bo niby jak to się miało skończyć? Z takim mężczyzną jak on? To był tylko kolejny dowód na to, że nie może nigdy zaznać tego najbardziej elementarnego szczęścia: kochania kogoś z wzajemnością.

- Robi się korek. Jak myślisz, co się tam dzieje?

- Na West Endzie miał być jakiś przemarsz. No wiesz, ci wszyscy ludzie w zielonych pelerynach, wierzący, że odrobina nacjonalizmu może nam

wyść na zdrowie. Słyszałaś o nich?

- Mówisz o Kibbo Kift?

- Tak, właśnie o nich. Na czele z Johnem Hargravem. Czy jak go tam zwać. Zabawny koleś. Nadają sobie zabawne imiona, no nie? Biały Gołąb, Złoty Orzeł i tym podobne głupoty.

Taksówka zatrzymała się. Grace wyjrzała, by spojrzeć na wysoki szary budynek z czerwonymi drzwiami. Trzy albo cztery miesiące temu była na jazzowym przyjęciu zorganizowanym na jednym z górnych pięter.

Wyglądała się z dwoma malarzami wortycystami: jeden był w komicznym berecie, drugi miał szpiczastą bródkę. Chichotali, spici dżinem, a ona miała świadomość, że z drugiego końca sali przygląda im się Dickie. Musiało to wyglądać, jakby świetnie się bawiła. Ale tak naprawdę, tamtej nocy czuła się strasznie samotna.

- Zgraja przerośniętych skautów z paskudnymi pomysłami - stwierdził taksówkarz. - Nie słyszałem, żeby ten cały Hargrave miał do powiedzenia cokolwiek, co byłoby warte blokowania ulic.

Nie ruszyli się ani o metr już od niemal dwóch minut. Grace nachyliła się i patrzyła na zakorkowaną ulicę: samochody, autobusy, tramwaje... wszystko stało.

- Kiedy ten przemarsz ma się skończyć? Myślisz, że jeszcze dziś dojedziemy?

- Nie mam pojęcia, skarbie. O której masz ten pociąg? Wszędzie dokoła kierowcy zaczęli wycofywać samochody i zawracać, wybierając inną trasę.

- A nie możemy zawrócić?

Nie, chyba że chcesz, żebym wracał aż do Clerkenwell. Nie martw się, pewnie zaraz ruszymy.

- Ale przecież mówiłeś, że nie wiesz, ile ten przemarsz może potrwać! Kierowca stojącego przed nimi autobusu wystawił rękę za szybę, sygnalizując zmianę kierunku jazdy. Autobus jadący do Waterloo, tak jak oni, ruszał na wschód, by jechać przez Clerkenwell.

- Moim zdaniem to zupełnie nieodpowiedzialne. Przecież tam siedzą ludzie, którzy chcą dotrzeć na West End.

- Błagam, czy możesz pojechać naokoło? - powiedziała przez zaciśnięte zęby Grace.

W wyobraźni widziała już, jak John wchodzi trapem na łódź - nie żadnego transatlantyku, lecz hiszpańskiego trójmasztowca, z działami i czarną flagą z czaszką na maszcie, wszystko gotowe, by go uprowadzić.

- O której odjeżdża twój pociąg?

Na boku autobusu znajdowała się reklama: JEDŹMY DO LYONS.

Siedzący w środku chłopiec rysował palcem po szybie. Jakieś dziecko zanosło się płaczem: czerwona buzia, rozdziawione usta. Kilka starszych kobiet miało na głowach kapelusze.

- Siedzę tutaj, a tymczasem życie wymyka mi się z rąk. Muszę się dostać do Waterloo!

W autobusie siedział też ciemnooki, ciemnowłosa mężczyzna. Z nieobecny wyrazem twarzy spoglądał na ulicę. Tak wygląda ktoś, kto porzucił wszelką nadzieję.

John!

Nie, to niemożliwe. A może jednak? Nie, do tej pory powinien przecież być już w Southampton. Choć z drugiej strony mógł wcześniej wybrać się jeszcze gdzieś indziej... mieć jakąś sprawę do załatwienia, ludzi, z którymi należy się pożegnać...

Zamrugnęła. Starła się dostrzec go wyraźniej, a tymczasem autobus ruszał w stronę Eastbound. To był on. Naprawdę on.

- Stop! - krzyknęła, mimo że przecież stali w miejscu. Wetknęła papierosa w popielniczkę i złapała za klamkę.

- Ej, gdzie się wybierasz? - Taksówkarz odwrócił się w fotelu.

- Muszę lecieć. - Wygrzebawszy z torebki kilka monet, rzuciła je kierowcy.

- Na pewno, skarbie? Dzięki.

Otworzyła drzwi i zaczęła gramolić się na zewnątrz, wyciągniętą dłonią zatrzymując jadące samochody. Popędziła w stronę autobusu.

- A torebka, panienko?! Zapomniałaś torebki. Autobus zaczął ruszać, oddalając się coraz bardziej.

- John! - krzyknęła, machając rękami. - Zaczekaj! John! Pobiegnę przed siebie. Gnała na złamanie karku za tym

autobusem, chociaż była na wysokich obcasach. Biegła w ten możliwie najgłupszy, dziewczynski, nieskoordynowany sposób. Serce jej waliło.

Wyglądała jak uosobienie desperacji. Jacyś uczniowie wytykali ją palcami, śmiejąc się. Jakaś kobieta cmoknęła z dezaprobatą. Robotnik zagwizdał. Lecz Grace wiedziała, że trafiła jej się druga szansa i nie

pozwoli, by szczęście uciekło jej sprzed nosa tamtym autobusem.

Autobus jednak nabierał prędkości. W myślach zaczęła błagać, lecz nie Boga, w którego nie wierzyła, tylko samą siebie. „Dogoń ten autobus.

Dogoń go". Zadarła suknię i zmusiła się do jeszcze szybszego biegu.

Ruch uliczny znów się zageścił, tylko na chwilę, jednak to była szansa dla niej. Tylne platformy autobusu były już niemal na wyciągnięcie ręki.

Grace mogłaby na nią wskoczyć. Wykonać swój skok wiary i złapać się poręczy.



Bała się dostać to, czego pragnie? Już ona im pokaże. O tak, zaraz im wszystkim pokaże. Nie była wystarczająco blisko...

- Zatrzymaj się, ty przeklęty kierowco!

Przed nią pojawił się nagle konduktor, spoglądając na nią z góry.

Zadzwoił swoim dzwonkiem.

- Spokojnie, panienko. W moim autobusie nie trzeba używać takiego języka. - Pojazd zaczął wreszcie zwalniać. Konduktor wyciągnął do niej rękę. - Nie ma takiej potrzeby. Damy tak nie robią. I czemu biegiesz, jakby od tego zależało twoje życie?

Chwyciła jego dłoń i wskoczyła na platformę.

- Bo tak właśnie jest. Sam się przekonasz. - Miała taką zadyszkę, że ledwie mogła mówić. - Moje życie naprawdę od tego zależy.

Konduktor podrapał się po głowie, poprawiając czapkę, a tymczasem ta szalona dziewczyna posłała mu szeroki uśmiech i chwiejnym krokiem ruszyła przez autobus. Dziewczyna o zawadiackim uśmiechu.

Oczywiście nie w jego typie. Od razu było widać, że jest twarda jak skała. Ładna, ale ona sama dobrze o tym wiedziała. Jedną z tych twarzy, które trudno wymazać z pamięci. Zamiast takich jak ona, raz po raz wolał wybierać dziewczyny o pospolitej urodzie. Ciężko byłoby wytrzymać, budząc się codziennie i widząc tę twarz. To jedna z tych nowoczesnych dziewczyn, które gotowe są cię ochrzanić, gdy tylko na ciebie spojrzą. Arogancka młoda dama. Jednak coś w sobie miała, nie dało się zaprzeczyć. Odważna dziewczucha. Przebiegła spory odcinek. I wygląda na to, że zrobiła to, by dogonić swojego faceta. Słyszał, jak wykrzykiwała jego imię: „John!”, a później dodała: „To ja!” Widział, jak mężczyzna odwraca głowę: pełne przerażenia oczy, a już chwilę później szeroki uśmiech. Autobus znów ruszył w drogę.

*Reklama, „New York Express”*

*1 października 1927*

*W naszym następnym numerze:*

**NASZA NOWA FELIETONISTKA,  
PROSTO Z LONDYŃSKIEGO „PICCADILLY HERALD”**

*„Minionej nocy poczęstowano mnie ukradkowym tykiem burbona, prosto z butelki ze smoczkiem, wetkniętej w wewnętrzną kieszeń obszernego płaszcza mojego znajomego. Prohibicja może być dokuczliwa, ale przynajmniej zmusza nas do kreatywnego myślenia”.*

*„Nie pojmuję tych całych bajgli. Czy ta dziura w środku ma być metaforą tego, co jest sednem naszego życia, czy po prostu piekarze są zbyt skąpi, by zapęłnić ją ciastem?”*

*Diamond Sharp*

**ZOBACZ WŁASNE MIASTO OCZAMI  
PRZYJEZDNEJ**

## **POSŁOWIE**

### **Felietonistka**

Pierwsi felietoniści pojawili się w połowie dziewiętnastego wieku, wraz z rozwojem rynku gazet i czasopism. Najwcześniejsze felietony były esejami politycznymi, satyrycznymi szkicami bądź karykaturami, często stanowiąc jednorazowe publikacje. Wkrótce jednak najbystrzejsi i najzabawniejsi autorzy dostali swoje stałe działy, nagłówki oraz tytuły, zyskując grono wiernych czytelników.

Forma felietonu najszybciej rozwijała się w Stanach Zjednoczonych, gdzie jego orędownicy mogli zarabiać naprawdę pokaźne kwoty dzięki systemowi syndykatu. W Wielkiej Brytanii felietoniści zazwyczaj potrzebowali też innych źródeł dochodu, często pracując jako dziennikarze bądź na etatach, dlatego też więcej czasu minęło, zanim ta forma wypowiedzi się przyjęła. Gdyby Grace Rutherford rzeczywiście żyła i gdyby rzeczywiście pisała swoje felietony w Londynie lat dwudziestych, byłaby jedną z pionierek.

Nie żeby Diamond Sharp była pierwszą frywolną plotkarą w Londynie ani nawet pierwszą kobietą starającą się przebić w tej branży. Już w 1846 roku Marguerite Gardiner, hrabina Blessington, została jako „reprezentantka wytwor-

nej inteligencji" zatrudniona w „Daily News” przez Charlesa Dickensa. Jej działalność trwała jednak ledwie sześć miesięcy. Gdy tylko Dickens przestał być redaktorem, jego następcą momentalnie pozbył się Lady Blessington.

Wicehrabia Castlerosse, autor „The Londoner's Log” w piśmie „Sunday Express”, często jest określany mianem pierwszego angielskiego felietonisty piszącego o plotkach. Począwszy od roku 1926 przez piętnaście lat pisał jako wędrowny kawaler do wzięcia, dzielący się z czytelnikiem najskrytszymi sekretami. Brytyjskim czytelnikom bardzo przypadła do gustu taka mieszanina ploteczek, opinii i przemyśleń, a tego właśnie dostarczał im „Daily Express”. Inne znaczące felietony to między innymi: „Talk of the Town” niejakiego Dragomana, „By the Way” D.B. Wyndhama Lewisa, „Beachcomber” J.B. Mortona i - moje ulubione - Toma Driberga piszącego jako „William Hickey”.

Kobiety felietonistki wcześniej pojawiły się w Stanach niż w Wielkiej Brytanii. W roku 1879 Louise Knapp Curtis na łamach czasopisma swojego męża zaczęła publikować comiesięczny felieton na temat prowadzenia domu. Odniósł on tak ogromny sukces, że Cyrus Curtis postanowił sprzedać swój tytuł, by wesprzeć pismo żony - „Ladies Home Journal”. Na nieco bardziej elitarnym polu pierwszą hollywoodzką felietonistką opisującą świat filmowy została Louella Parsons (było to w roku 1914). W latach trzydziestych dołączyła do niej Hedda Hopper i obydwie panie stały się zapalonymi konkurentkami. W tym czasie Dorothy Thompson, wcześniej publikująca w prasie reportaże, zaczęła pisać swoje zaangażowane politycznie kawałki w „On the Record”. Postać Diamond Sharp czerpie inspirację z wielu powyższych, jak też z późniejszych autorek, w rodzaju Jill Tweedie, która pisywała do „Guardiana” w okresie 1960-1980 - zaangażowanej feministki, opisującej swoje zmagania

z wcielaniem w życie feministycznych reguł postępowania. Także Anna Quindlen w swoim „Life in the 30's” pisanym dla „New York Timesa” podczas przedłużającego się urlopu macierzyńskiego, wyrażała swoje zdanie na różne tematy niemalże przez trzy lata. Największy wpływ na Diamond wywarła jednak pisząca w latach dwudziestych dla „New Yorkera” niejaka „Lipstick”, znana też jako Lois Long. Ta nowoczesna kobieta regularnie opiniowała nowojorskie restauracje, kluby taneczne i zakonspirowane meliny sprzedające alkohol. W jednym ze swoich felietonów opisała nawet policyjny nalot na jeden z lokali.

Jeśli chodzi o pozostałych bohaterów, to Dexter O'Connell, John Cramer i Eva zawdzięczają sporo E Scottowi Fitzgeraldowi i Zeldzie Sayre (choć nie można powiedzieć, że powstali na bazie tych postaci).

Wąsy Johna Cramera skradłam młodemu Ernestowi Hemingwayowi. Aha, a klub Cirós naprawdę miał szklany parkiet.

## **PODZIĘKOWANIA**

Za pomoc i wsparcie dziękuję następującym osobom:

Mojej agentce, Carole Blake z Blake Friedmann, moim redaktorkom, Katie Espiner z Transworld i Lauren McKennie z Simon & Schuster, a także Jeanne Ryckmans i Larissie Edwards z Random House Australia. Moim cudownym współpracownikom z Curtis Brown.

Bronwyn Cosgrave, występującej jako Brand Ambassador w Savoyu.

Mojemu bratu Rhidianowi.

Mojemu mężowi Simonowi - za wszystko i przede wszystkim.

Natalie i Leo, którzy nie tyle byli pomocni, co po prostu niesamowicie uroczy.